

BIBLIOTEKA
**PW
SP**
KRAKÓW

35.462

M 62

IEWIADOMSKA

NAUKA STYLISTYKI

I

TEORJI LITERATURY

NA PRZYKŁADACH I WZORACH

WYD. II. PRZEJRZANE I UZUPEŁNIONE

KL. IV.



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

3/1-1 217

C. BOGUCKA & C. NIEWIADOMSKA



NAUKA STYLISTYKI

I

TEORJI LITERATURY

NA PRZYKŁADACH I WZORACH

WYD. II. PRZEJRZANE I UZUPEŁNIONE

KL. IV.



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



35.462

UP - Kraków BG



1050295222

Polon

W opracowaniu naszej książki dążyliśmy do tego:
aby uczeń poznał najważniejsze przymioty stylu i zasady,
na których się one wspierają,
aby się nauczył oceniać piękno naszej mowy,
aby rozumiał, że indywidualność autora wyciska na
niej swoje piętno: stąd nieprzebrane bogactwo indywidual-
nych cech wysłowienia.

Na ten ostatni dział stylistyki kładziemy szczególny na-
cisk, gdyż pogłębia on naukę stylu i rozwija myśl ucznia.

Ponieważ czytanie odpowiednio dobranych wzorów z ar-
cydzieli literatury najbardziej się przyczynia do poznania
i zrozumienia różnorodnych cech i właściwości wysłowienia,
starałyśmy się tych wzorów podać jak najwięcej. Stanowią
one w naszej książce rodzaj wypisów (str. 234—288), prze-
znaczonych jako materiał zarówno do wszelkiego rodzaju
objaśnień, porównań, rozbiorów i t. p. jak wykładu teorii
literatury.

Wkońcu musimy zaznaczyć, iż w pracy naszej opiera-
łyśmy się głównie na Stylistyce Chmielowskiego, a w dziale
kompozycji pisarskiej na Wskazówkach do ćwiczeń stylistycz-
nych Dygasińskiego.

I. Co to jest styl i od czego zależy.

1. Różnice stylu, zależne od tego, kto mówi.

HRABIA I ZOSIA

(wyjętek z Pana Tadeusza).

.....
A hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach po trawie
Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę i ujrzał cudne widowisko:
.....

Śród ptaszych głów sterczały główki ludzkie małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe,
Szyje nagie do ramion; a pomiędzy niemi
Dziewczyzna głową wyższą, z włosami dłuższemi.
Tuż za dziećmi paw siedział i piór swych obręcze
Szeroko rozprzestrzenił w różnobarwną tęczę,
Na której główki białe, jak na tle obrazku,
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
Obrysowane wkoło kręgiem pawich oczu,
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu,
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski
I angielską trawicą, posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mieszały się razem,
Niby krata, ze srebra i złota pleciona,
A powiewna od wiatru, jak lekka zasłona.

Nad gęstwinią różnofarbnych kłosów i badyłów
Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,

Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,
Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną, zaledwo widome,
I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome.
Dziewczyzna powiewała podniesioną w rękę
Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku;
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu. W drugiej ręce
Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
Zdaje się, że naczynie do karmienia dzieci,
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei;
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei ¹⁾.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony
Zbliżył się, czołgając się jak wąż przez zagony,
Aż wyskoczył z łopuchu. Spojrzała — stał blisko,
O cztery grędy od niej, i kłaniał się nisko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
I zrywała się lecieć, jak kraska spłoszona,
I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem,
Kiedy dzieci, przelekłe podróżnego wniściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie.
Postyszała, uczuła, że jest nieroztropnie
Dziatwę małą, przelekłą i samą porzucić:
Wracała, wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
Jak niechętny duch, wróżki przyzwany zaklęciem.
Przybiegła z najkrzykliwszem bawić się dziecięciem,
Siadła przy niem na ziemi, wzięła je na łono,
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objawszy w rączkę
Jej kolana i tuląc główki, jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: »Czy to pięknie
Tak krzyczeć? czy to grzecznie? Ten pan was się zleknie.
Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny,
To gość, dobry pan, patrzcie tylko, jaki ładny«.

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile
I widocznie był wdzięczny jej za pochwał tyle;

¹⁾ Amaltea — karmicielka Jowisza, (nimfa lub koza).

Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła
I, jako róży pączek, cała się spłoniła.

Wistocie był to piękny pan: słusznej urody,
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał, pełznąc przez zagony,
Zieleniły się, jako wieniec rozpleciony.

»O ty! — rzekł — jakimkolwiek uczczę cię imieniem,
Bóstwem jesteś, czy nimfą, duchem, czy widzeniem!
Mów: własnali cię wola na ziemię sprowadza,
Obcali więzi ciebie na padole władza?
Ach! domyślam się: pewnie wzgardzony miłośnik,
Jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik
W tym cię parku zamkowym jak zakłętą strzeże!
Godna, by o cię bronią walczyli rycerze,
Byś została romansów heroiną smutnych!
Odkryj mi, piękna, tajnie twych losów okrutnych,
Znajdziesz wybawiciela. Odtąd twem skinieniem,
Jak rządysz sercem mojem, tak rządz mem ramieniem!
Wyciągnął ramię.

Ona z rumieńcem dziewiczym,
Ale z rozweselonem słuchała obliczem.
Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich wartość, — tak się słuch jej pieści
Z dźwięcznemi słowy, których nie pojęła treści.
Nakoniec zapytała: »Skąd tu pan przychodzi?
I czego tu po grzędach szuka pan dobrodziej?«
Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,
Milczał; — wreszcie, niżając swej rozmowy tony:
»Przepraszam, — rzekł — panienko! Widzę, żem pomieszał
Zabawy. Ach, przepraszam: jam właśnie pośpieszał
Na śniadanie... już późno; chciałem na czas zdążyć;
Panienka wie, że drogą trzeba wkoło krążyć,
Przez ogród, zdaje mi się, jest do dworu prościej...«
Dziewczyna rzekła: »Tędy droga jegomości;
Tylko grząd psuć nie trzeba. Tam między murawą
Ścieżka«.

Czy hrabia i Zosia mówią w jednakowy sposób? (jednakowym stylem).

Sposób mówienia nazywamy stylem¹⁾ lub wystowieniem.

Dlaczego hrabia mówi innym stylem, niż Zosia?

Czy styl hrabiego jest prosty, naturalny? Jakby go można określić?

Styl przesadzony nazywamy napuszonym, bombastycznym.

A jaki jest styl Zosi?

W CHACIE.

z »Chłopów«.

— Kuba, останiesz to w służbie dłużej, co?

Kuba spuścił ośnik²⁾, którym strugał, i zapatrzył się w ogień tak długo, aż Boryna mu przypomniał.

— Słyszałeś, com ci rzekł?

— Słyszeć, słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, że po prawdzie, to krzywdy mi nijakiej u was nie było... Juści, ale ino... — urwał zakłopotany.

— Józia, dajno gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej Żydy jakie — zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła butelkę, wianek kielbasy i chleb.

— Napij się, Kuba, i rzeknij swoje słowo.

— Bóg zapłać, gospodarzu... Ostać, tobym się ostał, ino... ino...

— Postąpię ci coś niecoś...

— Przydaćby się przydało, bo to i kożuch zlatuje ze mnie i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dzia-
dek jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takim obleczeniu...

— A w niedzielę nie baczyłeś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... — rzekł surowo Boryna.

— Juści... Hale... Prawda... — bąkał srodze zawstydzony, i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

— A to i Dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napijno się, Kuba, na zgodę i słuchaj, coć rzeknę, a sam się pomiarkujesz, że cò parobek, to nie gospodarz... Kuźden ma swoje miejsce, i la kuźdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go se pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad

¹⁾ Wyraz styl pochodzi od greckiego stylos. Tak zwali Grecy. a później i Rzymianie, rylec do pisania na tabliczkach, powleczonego woskiem. ²⁾ Nóż, mający dwie poprzeczne rękojeści.

drugie — bo zgrzeszysz ciężko. I sam Dobrodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi — bych porządek na świecie był. Miarkujesz se, Kuba?

— Nie bydłem przeciech i swoje pomyślenie mam.

— To baczże, byś się nad drugie nie wynosił.

— I... inom bliżej ołtarza chciał być...

— Pan Jezus z kuźdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą, ktoś jest?

— Juści, juści... gospodarzem byłbym, to i baldach nosićbym nosił, a i Dobrodzieja pod pachę wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a żem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi w kruchcie stać, albo przed drzwiami, jako te pieski... — powiedział smutno.

— Takie już na świecie urządzenie jest, i nie twoja głowa zmieni.

— Pewnie, że nie moja, pewnie.

— Napij się jeszcze, Kuba, i rzeknij, co ci mam za sług dodać.

Kuba wypił, ale już go nieco zamroczyła gorzałka, to uwidziało mu się, że w karczmie siedzi z Michałem od organisty, abo i z drugim kamratem, i rajcują se swobodnie, wesoło, jak równy z równym. Rozściebnał żdziebko kapotę, wyciągnął nogi, buchnął pięścią w ławkę i zakrzyknął:

— Cztery papierki i rubla zadatku dołoży — to ostanę!

— Widzi mi się, żeś pijany, abo ci się w głowie popsuło — zawołał Boryna, ale Kuba szedł już za myślą swoją i dawnem marzeniem, a zresztą nie słyszał gospodarskiego głosu, więc rozprostowywał skurczoną duszę, rósł w ambit i taką pewność siebie, jakoby samym gospodarzem się poczuł.

— Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku — dołoży, to u niego ostanę, a nie, to psiachmać, na jarmark pójde i służbę se znajde, choćby i na furmana do cugowych we dworze... Znają mię, iżem robotny i na wszystkim w polu, czy kiele domu się znający, że niejednemu gospodarzowi bydlę paść u mnie, a uczyć się... A nie, to ptaszki strzelał będę i Dobrodziejowi nosił abo i Jankłowi — a nie...

— Cie... kuternoga jeden jak bryka. Kuba! — krzyknął ostro stary.

Kuba zamilkł, wytrzeźwiał z rozmarzenia, ale hardości nie stracił, bo jał się nieustępliwym czynić, że Boryna rad nierad dorzuczał mu po półrublu, to po złotówce, aż i sta-

neło, że obiecał mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

Wł. Reymont.

Wskaż wyrażenia rubaszne, rzewne, naiwne, rozumujące.

NA BEZLUDNEJ WYSPIE.

Wyjątek z »Latorośli«.

...Piotruś zerwał się i zaczął szukać swego łuku i strzał.

— A teraz co będziemy robili? — spytał Mieczys.

— Teraz upieczemy ptaszki.

Ptaszki upiekli na tym samym drewnianym rożnie, który zobaczyli na wstępie. Choć bez soli, smakowały im bardzo.

— Jakie one strasznie małeńkie! — skarżył się Mieczys. — Radzę zjeść dziś wszystkie, a jutro dostać inne...

— Dostać inne?... Może poprosić Walka, żeby wrócił i nałapał...

Mieczys pobladł i przestał oddychać.

— Wiesz co, lepiej wyrzeknę się ptaszka. Niech zostanie.

— A najlepiej połóż się spać. Jeżeli nie możesz usnąć, to zamknij oczy i licz do stu.

— Lepiej pacierz zmówię!

— Mów, a ja pościel urządę.

Mieczys ukląkł koło budy, przeżegnał się.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! —

Złożył ręce — »Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech...«

Ale nowy sposób przygotowania pościeli tak go zajmował, że nie mógł wytrzymać i głowę co chwila pod gałęzie wsuwał.

— Podłóż więcej pod głowę, będzie poduszka...

— Wiem sam. Jak się modlisz? Ładnie, bardzo ładnie...

— »Chleba powszedniego daj nam dzisiaj...« Co tak wąsko ściesz? Gdzie położysz się sam?

— Ach, daj mi pokój! Nie położę się. Przecież musi ktoś zostać na straży.

— To prawda! Ale co wtedy będzie?

— Przestaniesz ty, smyku! Mów dalej pacierz, bo dam ci klapsa.

— Kłapsa?... Ale przecież dalej zawsze ze mną mówiła mama.

Piotruś ukląkł obok brata i głośno odmówił z nim modlitwę, poczem pocałowali się. Mieczys położył się posłusznie na pościółce z mchu i przymknął powieki. Piotruś siadł poważnie u ognia. Ogień ledwie się tlił. Wielkie, czarne cienie drzew milezających i nieruchomych otaczały ich zwartą ścianą; w górze, przez kosmate ich konary, blado migotały gwiazdy.

— Zimno mi, Piotrusieńku, i nóg nigdzie schować nie mogę... Mój Boże, pewnie pani Vauban zapomniała schować mojej bułki wieczornej, i herbata przepadła, bo jutro będzie jutro, a dziś to już było...

— Cicho bądź i śpij. Jutro ruszamy o świcie. Śpij!

Zdjął kurtkę i nogi brata otulił. Ten jednak nie przestał kręcić się i skarżyć. Wówczas, zwalczając trwogę, starszy wyruszył w ciemności po trawy i paprocie.

— Nie odchódź! Nie odchódź daleko! — krzyczał Mieczys.

— Zaraz wrócę. Muszę cię nakryć.

Rwał drżącemi rękoma, co tylko znalazł w pobliżu, i rzucał za siebie w oświetlone koło czerwonym blaskiem ognia. Nakrywszy brata, resztę włożył na swe nagie, podrapane, skostniałe od zimna ramiona. Ogień ogrzewał go z przodu.

— Piotrusiu!... Piotrusiu!... — zawołał znowu Mieczys.

— Co? jeszcze nie śpisz?

— Ależ śpię... A tylko jeżeli wilk przyjdzie, to mnie obudź... pamiętaj...

— Śpij spokojnie! Nie przyjdzie, tu wyspa...

— Dobranoc, Piotrusiu! Chciałem jeszcze powiedzieć, żeś kochany. Teraz zupełnie ciepło... Tylko na chwilkę, na maluchną chwilkę chodź do mnie...

Piotruś wstał i przykląkł koło brata, ten uchwycił go za szyję rękoma.

— Przestań! Smokcesz się tylko, jak ciele!

Poprawił na nim obsunięte zioła i poczekał, aż zasnął.

W. Sieroszewski.

Jak możesz określić ten styl?

PRZED WIEKAMI.

(wyjątek z »Pójdźmy za Nim«).

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandrii był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandrii, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pargaminu lub papirusu¹⁾ w Bibliotece, któregooby nie przeczytał — i że posiadał całą mądrość ludzką. Był przytem człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Cinna wyróżnił go odrazu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet w przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w dyalektyce²⁾, wymowę i rozagę, z jaką starzec mówił o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim szczególnie to, że owa rozwaga była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą, niejednokrotnie brała Cinna ochota zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż wkońcu do tego przyszło.

Pewnego wieczora, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz, zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wzięwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie, co mu było największem udręczeniem życia, i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów.

— Tyle przynajmniej zyskałem — rzekł wkońcu — żem poznał ciebie, Tymonie, i teraz wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżyca, poczem rzekł:

— Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz, czego one szukają w Egipcie?

— Wiem. Ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłąkaniu, smutku i niepokoju.

— Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogą znaleźć drogi?

¹⁾ Parganim — materiał do pisania ze skóry zwierzęcej, — papirus — z rośliny. ²⁾ Nauka o prowadzeniu dysput, t. j. sporów uczonych.

— Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofja będzie dla dusz słońcem prawdy — dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie, i w Atenach, i tu, siedzą sceptycy¹⁾, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się światła i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc, wyciągnąwszy ręce przed siebie, szukamy po omacku wyjścia...

— Zali i ty go nie znalazłeś?

— Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkoszy, ja w myśleniu — i obu nas jednaka mgła otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz, i że w tobie dręczy się dusza świata.

— Lecz czyli wobec tego warto żyć?

— Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

— Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

— Sceptycy godzą się na ciemność, lub udają, że się godzą, ja zaś męcę się w niej.

— I nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, poczem odrzekł z wolna, jakby z pewnem wahaniem:

— Czekam go.

— Skąd?

— Nie wiem.

Potem wsparł głowę na dłoni i jakby pod wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić równie przyciszonym głosem:

— Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczem więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, toby nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofja zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.

.....

Czy mowa tych ludzi różni się od mowy chłopów lub dzieci? Dlaczego?

Każdy mówi właściwym sobie językiem: **styl zależy od tego, kto mówi.**

¹⁾ Sceptycy — filozofowie starożytni, których zasadą było powątpiewanie o wszystkim.

„STYL TO CZŁOWIEK“.

Styl to człowiek — mówi przysłowie, — i rzeczywiście: styl zależy od moralnego i umysłowego rozwoju człowieka, jego wykształcenia, temperamentu, wychowania i wielu innych warunków. Uczniowie jednej klasy, dzieci jednych rodziców, ludzie jednego fachu — różnią się bardzo sposobem wystąpienia czyli stylem, bo różnią się pomiędzy sobą.

Różnice te bywają bardzo rozmaite: czasem nieznaczające, czasem wielkie. Im więcej człowiek wyodrębnia się od innych, tem wybitniejszy, oryginalniejszy ma styl: genjusz, poeta, idjota — mówią inaczej niż przeciętny człowiek. Ludzie przeciętni t. j. mniej więcej podobni do siebie, mało różnią się w wystąpieniu.

Powieściopisarz, przedstawiając rozmaitych ludzi, musi przemawiać coraz innym stylem. Widzimy więc, że **człowiek może zmieniać swój sposób wystąpienia**; niekażdy jednak.

Ćwiczenie klasowe. Opis poranku, lasu, zachodu słońca
Zaznaczyć różnice stylu uczniów.

2. Różnice stylu, zależne od tego, o czem się mówi.

Z GRZECHÓW DZIECIŃSTWA.

(Urywek).

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu.

Wiedziałem o tej broni i bardzom do niej tęsknił. Nie raz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem wymykałem się do gajowych i uczyłem się »wygarniać« z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczęskom, nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz od śpichrza, który posiadał otwór, podobny do lufy, tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików, przybiłem, jak należy, pakułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudełko hubczanych zapalek.

Zaledwem wyszedł za dom, ujrzałem kilka wron, polujących na dworskie kurczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnie porwała kurczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść, przysiadła na obórce.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków z pod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podпалиłem... Huknęło, jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kurczątko na ziemię, — wrona, dotknięta śmiertelną obawą, uciekła na najwyższą lipę, — ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, poczem w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób nieruchomość wypaliła się »do środka ziemi«, jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy.

Najprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu... ucho od rozerwanego klucza; potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce; w sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt: postanowiłem kłamać, jak prowentowy pisarz, i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki; gdy mnie zaś schwytano, odrazu przyznałem się do wszystkiego. Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę i moją siostrę, obie płaczące; potem klucznicę Salusię, kamerdynera, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawo-brunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzelskiem.

Bolesław Prus.

Wskaż wyrażenia dowcipne, naiwne.
Jak możesz ten styl określić?

WAŻNOŚĆ SZTUKI CZYTANIA.

Zobaczmy, jaką wartość praktyczną ma oświata, choćby najniższa, choćby polegająca na umiejętności czytania...

Człowiek »nieczytelny i niepiśmienny« porozumiewać się może z innymi ludźmi tylko za pośrednictwem mowy ustnej i tylko z kilkudziesięciu osobami, stanowiącemi jego najbliższe otoczenie.

Rodzice, żona, sąsiedzi, towarzysze w pracy lub w karczmie, zazwyczaj tyle wiedzący, co sam nasz bohater — oto źródła, z których uzupełnia swoje szczupłe doświadczenie i do których zwraca się po rady.

I co znajduje?... Rozumie się jedno z dwojga: albo niewiadomość podobną do własnej, albo przesady.

Tymczasem człowiek umiejący czytać, jeżeli naturalnie ma w pobliżu zrozumiałą dla siebie biblioteczkę, może od razu wejść w stosunki z najdzielniejszymi umysłami świata.

Nie jakaś stara baba udzieli mu porady na wypadek chwilowej niemocy, ale — książka o higienie, napisana przez uczzonego lekarza. Nie ciemny sąsiad będzie mu dawał wskazówki co do hodowli zwierząt czy roślin gospodarskich, ale uczony rolnik. Nie dziad pod cmentarzem będzie mu objaśniał: na czym polega zaćmienie księżyca? albo — co jest gwiazda poranna i gwiazda wieczorna? ale robi to astronom, za pomocą jasnego opisu zjawisk, zachodzących na niebie.

Słowem — jeżeli mowa ustna wiąże nas z dziesiątkami ludzi, żyjących i mieszkających obok nas, to sztuka czytania jest jakby mostem między nami a setkami ludzi najmądrszych i najlepszych, bez względu na to, gdzie mieszkali i kiedy żyli.

Nieuk w trudach i walce życiowej ma za sprzymierzeńców kilku takich, jak on sam, biedaków i nieuków. Lecz umiejący czytać znajdzie całą armję pierwszorzędných umysłów w bibliotece, która na to tylko czeka, ażeby służyć mu — radą, objaśnieniami, nawet opisami nowych, nieznaných mu zjawisk.

Nieuk jest umysłowym nędzarzem — umiejący czytać bogaczem. Zawsze jednak pod tym warunkiem, że znajdzie w pobliżu bibliotekę, złożoną z książek, zarówno odpowiednich jego potrzebom, jak i pojęciom...

Jeżeli najgenjalniejszy nieuk widzi tylko ten świat, który

leży przed jego oczyma, to — umiejący czytać może, nie ruszając się z miejsca, oglądać całą kulę ziemską, jaką jest dzisiaj i jaką była przed wiekami.

Sztuka czytania jest niby nowym zmysłem, nieskończenie głębszym i rozleglejszym od wzroku.

Z Kroniki Bolesława Prusa.

Czy możesz tu wskazać wyrażenia humorystyczne lub naiwne?

SPOWIEDŹ ANIELKI.

W uchylonych drzwiach ukazał się stary proboszcz w białej komeżce. Anielkę nagły strach ogarnął.

— Czy to już ksiądz przyszedł? — zawołała. — O, jakże ja się boję!... Dlaczego tu tak ciemno?... Jak tu ciemno!...

— Czy cię bolały, i dlatego doktor kazał przymknąć żaluzje — szeptała ciotka.

— Już mnie nie bolą — przerwała Anielka. — Otwórzcie choć jedno okno. Zdaje mi się, że już jestem na cmentarzu, w tej kaplicy, gdzie leżą dziadek i babcia...

— Otwórzcie okna! — odezwał się proboszcz, siadając przy chorej.

Skrzypnęły żaluzje, i jasny dzień wlał się do ponurego salonu. Ciotka wyszła, zakrywając oczy, ksiądz szeptał po łacinie, a za oknem wtórował mu szelest drzew i świergot ptaków.

— Módl się, moje dziecko... — rzekł proboszcz.

— Jak tam ładnie!... — odezwała się Anielka, wskazując ogród. — Boże mój, Boże!... czy ja kiedy zobaczę dom nasz... mamę moją kochaną?...

Potem zaczęła bić się w piersi i spojrzała na księdza, czekając jego pytań.

— Byłaś, moje dziecko, u spowiedzi przed Wielkanocą?

— Tak.

— Dobrze, moje dziecko. Trzeba przynajmniej raz na rok spowiadać się. A na mszy świętej bywałaś każdej niedzieli?

— Nie.

— Więc zapewne modliłaś się w domu?

— Niezawsze — odparła Anielka, spuszcżając oczy. — Czasami biegałam po ogrodzie i bawiłam się z Karuskiem.

— Można się bawić w święta, ale zawsze trzeba się

choć trochę pomodlić. A paciorek odmawiałaś codziennie rano i w wieczór?

Anielka zamyśliła się.

— Raz wieczorem nie mówiłam pacierza.

— Z jakiegoż to powodu?

— Siedziałam długo przy mamie i zasnęłam na krześle...

Potem dodała ze drżeniem w głosie:

— Wtedy nam się dom spalił.. Może to za moje grzechy? — spytała, patrząc bojaźliwie na proboszcza.

Spowiednik zakłopotał się.

— Nie jestem pewny, moje dziecko, — rzekł — ale, zdaje mi się, że nie... Słuchałaś też rodziców? chętnie wypełniałaś ich rozkazy?..

— Nie — szepnęła Anielka. — Ojciec nie kazał mi rozmawiać z Gajdą, a ja rozmawiałam...

— Trzeba, moje dziecko, zawsze spełniać wolę rodziców, bo oni nic nie nakazują bez powodu. Pocóżes rozmawiała z tym człowiekiem?

— Prosiłam go, żeby córki swej nie bił... Ona taka mała...

— Aha!... Moje dziecko... moje dziecko... To dobrze, żeś prosiła, ale rodziców zawsze słuchać potrzeba... A nie wzywałaś kiedy imienia Boskiego nadaremnie?

— Tak.

— Doprawdy? — rzekł proboszcz. — I z jakiegoż to powodu, moje dziecko...

— Prosiłam Boga, ażeby ojca do nas przysłał... potem mamę...

— Aha!... Moje dziecko...

Proboszcz dobył fularową chustkę i obtarł nos.

— Czy już nie pamiętasz, moje dziecko?..

— Nic...

— Bij się w piersi, moje dziecko, i mów: „Boże bądź miłościwi!...” A za pokutę zmów sobie jeden pacierz na intencję wszystkich grzeszników.

Odmówił nad nią modlitwę głosem zmienionym i prędko wybiegł z salonu, unikając spotkania z ludźmi.

B. Prus.

Porównaj styl Prusa w tych trzech wyjątkach? — Skąd pochodzi różnica?

Czy o wszystkim możemy pisać jednakowo? Czy jednakowym

stylem opiszesz np. wiosnę i sposób uprawiania książki lub sadzenia kwiatów? — tęsknotę do domu i przebycie błotnistej ulicy?

Widzimy zatem, że styl tego samego człowieka zależy od tego, o czym mówi lub pisze.

Ćwiczenie klasowe: Piękny dzień jesienny. — Główne cechy plaków. Porównać styl ćwiczeń tego samego ucznia.

3. Różnice stylu, zależne od tego, do kogo, lub dla kogo mówimy (piszemy).

Kochany Olesiu.

Cieszę się, dziecko moje, żeś tak szczerze postąpił ze mną w tym wypadku: zbłądzić każdy może, ale przyznać się do błędu, ocenić samego siebie — jest to w połowie już okupić winę. Wierzę ci też i ufam, że po raz drugi nie dasz się uwieść pokusom, rozumiejąc, jak smutne byłyby tego następstwa. Nie mogąc ponosić tak wielkich wydatków, musiałbym przerwać twą naukę, co dla przyszłości twojej byłoby wielką krzywdą, a dla mnie bolesną bardzo koniecznością.

Ale koniecznością, moje dziecko. Nie mamy na zbytki i nieprzewidziane wybryki.

Nie piszę o tem więcej, ponieważ ci ufam, że ten rozdział twego życia zamkniesz.

Oczekujemy cię za trzy tygodnie. Matka już dni liczy do twego powrotu, ja chcę pomówić z tobą o nauce młodszych braci, którą także rozpocząć trzeba. Jest między wami taka różnica wieku, że po części musisz być ich opiekunem i kierownikiem w życiu.

Do zobaczenia, mój synu,

kochający Cię ojciec

A. H.

Kochana Juleczko.

Tatusz bardzo się ucieszył, że Julcia już tak ładnie pisze literki. Niedługo już Tatusz wraca i kochanej córeczce przywiezie śliczną lalkę. Daj buziaka, córuś moja, tatusiowi.

A. H.

Wielmożny dr. X. X.

Administracja Zakładu leczniczego XX. ma honor zawiadomić Szan. Pana, iż sezon letni roku bieżącego otwarty będzie w zakładzie d. 1 maja.

Z poważaniem

Sekretarz A. H.

Skąd pochodzi różnica stylu w tych listach, pisanych przez tę samą osobę?

Czy jednakowym stylem pisać będziesz do matki, siostry — lub osoby obcej: krawcowej, adwokata, właściciela sklepu?

Różnica stylu tej samej osoby zależy nie tylko od tego, o czym pisze, lecz i od tego, do kogo lub dla kogo pisze.

Porównaj styl Konopnickiej w utworze pisanym dla dzieci p. t.: »Na jagody« i »Przed sądem«.

Cwiczenie: List o chorobie młodszego brata: do matki i do jednego z kolegów brata.

NA JAGODY.

Posłuchajcie, jak w poranek
Na czernice, na jagody
Szedł do boru mały Janek,
Jakie w boru miał przygody.
Kapelusik wziął czerwony,
Zeby go się bały wrony,
A choć serce mu kołata,
Nic nie pyta: kawał chwata!
— Na bok tarnie i wikliny,
Dziś są mamy imieniny,
Niespodziankę mamie zrobię:
Jagód zbiorę w krótki obie,
Leśna rosa je obmyje,
Paprociany liść nakryje,

Ciszkiem, chyłkiem po polanie
Wrócę, zanim mama wstanie, —
No, i będzie niespodzianka:
Dar od boru i od Janka!
A czy jakie zamówienie!
Szuka Janek, co ma siły,
A tu — żeby na nasienie!
Tak jagódki się pokryły.
Szuka w prawo szuka w lewo,
Między brzozy, między sosny,
Wreszcie tam, gdzie ścięte
[drzewo,
Siadł, zmęczony i żałosny.
M. Konopnicka.

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których lży wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzesach, spuszczonech ku ziemi;
Blady jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się, i wołać: »matko!«
Gdyby miał matkę, — i mógł stroić psoty
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,

I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu...

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniosł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zdjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: »Czy w wiosce jest szkoła?«
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem — pytanie było jakieś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
Na ręce nagie, wychudłe i sine;
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękiecie...
I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świetle,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,
Ze chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyń...

»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,—
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!«

Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy
I rzekł: »Pójdź, dziecię! ja cię uczyć każę!«

M. Konopnicka.

4. Różnice stylu, zależne od usposobienia autora (nastroju).

HYMN O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.

Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa, z podniesioną głową
Stoję, rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową:
Ciszę błękitu.

Ale przed Tobą głębi serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;

Choć wiem, że jutro błysną nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.

Żem je znał niegdyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy błyskach gromu, —

Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;

Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mógł... popiołom.

Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.

Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzający, marli.

Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

J. Słowacki.

ZE „ZŁOTEJ CZASZKI“.

(Wyjątek).

Strażnik. A cóż? każ, serce, niech się dziewczki zejda na kołędę.
Czy rozdałaś im wstążki?

Strażnikowa. Dałam każdej po wstążce i po tynfie ¹⁾ — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem.

Strażnik. A Gnusi coś dała?

Strażnikowa. Kornecik ²⁾ z czarnej koronki z różami.

Strażnik. A ja tobie co dam?

Strażnikowa. Nie szalej, dziadu! Czy ja to jeszcze głodna na twoje fatalachy? Ot, wiesz co, spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

Strażnik. A weź, serce, na to z biurka pieniędzy i daj ode mnie.

(Schodzą się dziewczki).

No, dziewczęta, poprawcie kaganka i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiewają).

¹⁾ Tynf — drobna moneta srebrna.

²⁾ Kornet — czepiec z wstążek i koronek.

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes ¹⁾;
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes ²⁾.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes ³⁾;

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes ⁴⁾;
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciatku;
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.
J. Słowacki.

POWITANIE.

(Z Beniowskiego).

(Słowacki tak opisuje przywitanie się Beniowskiego z narzeczoną).

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem,
Potem się zmieszał i o zdrowie pytał;
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!
Nieświatowością! Znakiem, że nie czytał
Pani Sand! ⁵⁾ że się bajronicznym cieniem
Nie okrył; że jest niezgrabny w rozmowie;
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżycy
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka ⁶⁾ albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw.

¹⁾ Et mentes — i umysły. ²⁾ Ridentes — śmiejące się. ³⁾ Cantantes — śpiewające. ⁴⁾ Mutantes — mieniające się. ⁵⁾ Pani Sand — współczesna Słowackiemu powieściopisarka francuska. ⁶⁾ Sawantka — uczona.

Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna, skora do zabijaństw,
Wołałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie.

J. Słowacki.

Porównaj styl tych trzech utworów Słowackiego.

Czy mógł poeta w tem samem usposobieniu (nastroju) pisać Hymn
i Beniowskiego? lub Beniowskiego i Złotą czaszkę?

Widzimy, że styl zależy także od nastroju piszącego.

5. Różnice stylu, zależne od epoki.

XIII w.

Bogu Rodzica, dziewica,
Bogiem sławiona Maryja,
U Twego Syna, Gospodina
Matko zwolena, Maryja,
Ziści nam, spuści nam

Kyrje Elejson!

Twego dzieła Krzciciela, Bożyce,
Usłysz głosy, napełni myśli człowiecze,
Słysz modlitwę, jaż nosimy,
To dać racz, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt

Kyrje Elejson!

XVI w.

PRAWE SZLACHECTWO JAKIE BYĆ MA.

A wszakoż jeśli kto będzie ozdobion stanem szlacheckim, jakoż się to już zdawna po świecie rozniosło, tedyć jeszcze nie to prawie szlachectwo, gdy cnotami nie będzie ozdobione, iż go tak zową, albo iż się czerwonym albo zielonym woskiem pieczętuje, albo na wrociech nadobnych na tablicach herbów nawiesza, albo iż się chlubi dziady, pradziady albo inszemi przodki swymi, toć jeszcze mało na tem. I owszem, jeśliś się ty wyrodził z nich jakimi wszetecznymi obyczajami swymi, tedyby ich snadź lepiej i nie wspominać, boś je już zelżył, a by byli żywi, barzoby się gniewali, że się ich potomkiem zowiesz. A acz możesz być twarzą albo urodą do nich podobien, ale daleko obyczaje od nich różne. A nie wiem, by się ciebie nie zaprzeli, abyś im co jako żyw w rodzie nie miał.

Albowiem szlachectwo prawe jest jakaś moc dziwna, a prawie gniazdo cnoty, sławy, każdej powagi i poczciwości.

A kto to gniazdo tak zacne dobrowolnie sam przez się szkaradzi, ten jest podobien ku owemu śmierzdzącemu dudkowi, co i sam śmierzdi i gniazdo swe zawždy plugawi, czego żaden ptak nie czyni i owszem je sobie zawždy każdy chędoży.

M. Ref. (Żywot pocziwego człowieka).

POWRÓT WIOSNY.

Serce roście, patrząc na te czasy!
Mało przedtem gołe były lasy,
Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał,
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał;
Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,
Lody zeszły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.
Teraz prawie świat się wszystek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodny wieje,
Ptacy sobie gniazdo omyślają
A przede dniem śpiewać poczynają.

J. Kochanowski.

TREN VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo ¹⁾ słowieńska,
Na którą nietylko moja częśćka ziemieńska ²⁾,
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała:
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając;
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sownie łzami.
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę, ucałowawszy, takeś żegnała:

¹⁾ Poetka grecka (około 627—570 przed Chr.). ²⁾ Ojcowizna.

Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde:
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.
A matce, słysząc żegnanie tak żałościwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe¹⁾.

J. Kochanowski.

WYJĄTEK Z KAZANIA KS. PIOTRA SKARGI.

»O niezgodzie domowej«.

»I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Bo wszyscy z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

Ziemia i księstwa wielkie, które się z Koroną zjedoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą; przy których teraz potężna być może ręka i moc wasza i nieprzyjaciołom straszliwa! Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje. I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i uraganiu nieprzyjaciołom swoim.

Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onymi słowiańskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu, tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie, i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócićcie, jako się inszym przydało.

Będziecie nietylko bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwaj ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, skarby i ozdobności mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę straciecie, już o drugiej nie myśleć.

Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie,

¹⁾ Dobrze, że serce nie pękło z żalu.

w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto iżeście nie służyli P. Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego.

XVII w.

ELEKCJA MICHAŁA WIŚNIOWIECKIEGO.

Nazajutrz *ad locum electionis* ¹⁾ ruszyły się i stanęły województwa. O! kiedy to się z Warszawy karety wypięją! jedni ryścią, drudzy nacwał, do koła co żywo! A potem arcybiskup przyjechał, obaczywszy, że się nie kłaniają i przepraszać nie myślą za wczorajsze naprzytykanie.

Zasiedli tedy, ale już *non tam numero* ²⁾ jako przedtem, bo kto bardzo tchórz, to ten uczynił się chorym, obawiając się takiego drugiego albo gorszego huczku, a drudzy też i prawdziwie w chorobę powpadali z przełknięcia, albo też brzuch tłusty utrząsnął się.

Ozwie się ktoś tam z kupy: — Mości panowie! Nie na próżnowanieśmy tu przyjechali: milcząc, a patrząc na siebie, nic tu nie sprawimy.

Brali tedy głosy *pro i contra* ³⁾; my też już zacinamy się *rationibus* ⁴⁾: »Ja tego« »Ja też tego życzę« »Mnie się podoba ten« »Mnie też ten« »Racja tego taka, tu też taka«. To się agituje, a Wielkopolacy już krzyczą *Vivat rex!* ⁵⁾.

Ja *per curiositatem* ⁶⁾ skoczyłem do Sandomierzanów, którzy najbliżej stali, aż tam trafiłem na tę materję, że życzą sobie *de sanguine gentis* ⁷⁾ i mówią: — Niewieleby nam trzeba szukać króla, mamy go między sobą. Wspomniawszy na wielkie *merita* ⁸⁾ ks. Jeremiego, słusznaby rzecz odwdziżyć to jego *posteritati* ⁹⁾. Owo jest ksiązę jegomość Michał, czemuż go nie mamy mianować?

J. Chr. Pasek.

Z „PSALMODJI“.

Panie! w mocy Twojej rozwesel isię król, a w dziełach wybawienia Twego wielką mu dasz do radości przyczynę.

¹⁾ Miejsce elekcji. ²⁾ Nie tak licznie. ³⁾ Za i przeciw. ⁴⁾ Podając przyczyny. ⁵⁾ Niech żyje król. ⁶⁾ Przez ciekawość. ⁷⁾ Krwi narodu. ⁸⁾ Zasługi. ⁹⁾ Potomstwu.

Oto bohater ¹⁾ do boku przypasuje miecz, aby wojował za imię Twoje; bierze herbowną tarczę, aby odprowadzał wojny Pańskie.

Już na dzielny koń wsiada i na rączym pegazie puszcza się w drogę. Daj, Panie, rycerzowi Chrystusowemu szczęśliwe wszędzie powodzenie...

Niech cię wysłucha, królu, Bóg w dzień starcia się z nieprzyjacielem, niech ci tarczą przeciwko poganinowi będzie imię Boga Jakóbowego.

Niech ci ześle Pan na pomoc pułki anielskie, a z ognistym Serafin mieczem niech poprowadzi oblicze twoje.

Pan na wysokości gór niechaj poprowadzi jako jelenie nogi twoje, abyś widział oczyma obozy bisurmańskie, materję zwycięstwa.

Tam się przypatrzysz upstrzonym namiotom, daleko rozwleczonym, które nie tylko stolicę cesarską Wiedeń, ale i północnych rzek księżnę Dunaj szeroko otaczają.

Oto jako ognie gęsto się po przestronnych majdanach ²⁾ błyszczą, mnóstwem swoim przeciwiając się liczbie gwiazd na firmamencie.

Jako grzmi ziemia i po blizkich lasach echo się rozlega od huku nieznośnego dział, do miasta zdesperowanego ³⁾ bijących.

Widać z wież i blanków ⁴⁾ powywieszane chorągwie; widać i wyciągnięte oblężenców ręce, nieodwłocznego żebrzących od ciebie ratunku.

Następuj szczęśliwie, wojuj mężnie, o! królu; i wszelką radę twoją niech Pan Bóg zastępów mocą swoją utwierdza...

Pójdźcie, radujmy się Panu, śpiewajmy Bogu, Zbawicielowi naszemu, uprzedźmy oblicze jego z dziękczynieniem, a przez pieśni i hymny wychwalajmy niewysłowioną dobroćliwość Jego.

Albowiem Pan Bóg jest wielki, który czyni wszystko z niczego; i król możny, który z ostatniej toni zgubionych wyratować może.

Ten cię, zdesperowany Wiedniu, wydrze z rąk olbrzyma, za gardło cię trzymającego, i zrazi krwawą bestję, paszczę na cię rozdzierającą.

Wespazjan Kochowski.

¹⁾ Jan Sobieski. ²⁾ Majdan — duży plac, rynek. ³⁾ Wiednia.

⁴⁾ Mury forteczne.

PIEŚŃ LICYDYNY.

Moje miłe równiennice,
Powiem wam swą tajemnicę:
Żałosna, niemała, Szkoda mię potkała;
Nie we złocie, ni w dostatku,
Ale w najprzedniejszym statku:
Pół roku minęło, Serce me zginęło.
Nie był nikt czasu tej zguby,
Tylko mój jedyny luby:
Przecie z tej przyczyny, Nie daję mu winy.
Bo nie brał on serca mego,
Gdyż samo zbiegło do niego:
Aż z swej dobrej woli Zostało w niewoli.
Jeszcze mu dziękuję za tę
Uczynność, że moję stratę
W tak znacznej potrzebie Przytulił do siebie.
Inszej mu nie dam nagrody,
Tylko połowicę szkody:
Na czem małoli ma, Niechaj wszystko trzyma.
Nie zechceli przestać na tem,
Wiem, co ja uczynię za tem:
Bym nie zbyła dusze, Za sercem pójść muszę.
Żadna panna, ani pani,
Wierzę, tego nie nagani:
Ile białej głowie Miłem-ci jest zdrowie.
Choćbym nierada, ja tuszę,
Przecie tak uczynić muszę:
Bez serca, wszak wiecie, Trudno żyć na świecie,
Sz. Zimorowicz.

XVIII w.

GŁOS UMARŁYCH

(wyjątek)

Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
Sierocych piskląt garnie się drużyna,
Gdy na nie orlik, pazury otwarte
W górę podnosząc, uderzać poczyną.

Wyście ją z piórek obnażyli marnie...
Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?

Niemasz pod słońcem, jak świat stoi światem,
Gdzieby się w rządzie większe działa cuda.
Pocóż królewskim błyskać majestatem,
Jeśli bezczynna w nim tylko obluda?
Poco ich szukać, łożąc kosztów wiele,
Jeśli królowie są nieprzyjaciele?

Ociec król — czemuż dziecię mu nie wierzy?
Pan — cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
Wódz jest najwyższy — czemuż bez żołnierzy?
Sędzia — gdzież w jego ręku miecz i prawa?
Nędznać to ziemia, dzika i szalona,
Gdzie same tylko w rządzących imiona!

A. Naruszewicz.

DZIEKAN W BADAJOZ ¹⁾.

Ksiądz dziekan katedralny w Badajoz mędrszy był od wszystkich doktorów akademji w Salamance ¹⁾, a podobno i od koimbryceńskich ¹⁾ i tych, co są w Alkali ¹⁾. Umiął języki i te, któremi teraz mówią, i te, któremi przedtem mówiono; posiadał wszystkie nauki; to go tylko trapiło, iż czarnoksiężstwa nie umiał. W tej zostawał troskliwości, gdy się dowiedział, iż w mieście Toledzie był sławny czarnoksiężnik, nazwiskiem Don Toribio. Skoro go ta wieść pożądana doszła, zaraz kazał osiodłać swoją mulicę, i nie opowiedziawszy się nikomu, jechał do Toledu.

Gdy przybył, wypytywał się, gdzie mieszka Don Toribio. Pokazano dom dosyć mizerny; wszedłszy, rzekł:

— Mości panie Don Toribio! ja jestem Don Fernandez Diegos Katalaya-Folderon y Menezes y Parataios, dziekan katedralny w Badajoz. Mędrcy zowią mię mistrzem, a ja chcę być waszmości uczniem.

Don Toribio, lubo czarnoksiężnik, nie był grzeczny i rzekł: — Mości księżu dziekanie katedralny w Badajoz, Don Fernandez Diegos Katalaya-Folderon y Menezes y Parataios,

^{1) 1) 1)} Miasta w Hiszpanji.

pójdźcie sobie waszmość precz. Sprzykrzyło mi się to rzemiosło, gdiem nic więcej nie zyskał od podobnych waszmości, nad niewdzięczność.

— Jakto niewdzięczność? — krzyknął dziekan; — mogły się na świecie znaleźć takie monstra¹⁾? a choćby się i znalazły, czyż mnie waszmość w ich liczbę kłaść możesz? — Zaczął więc dysertacją²⁾ o wdzięczności tak mądrze, tak zwięźle, tak żwawo, iż przekonany Don Toribio obiecał mu użyczyć nauki swojej; zawołał zatem gospodynię i rzekł jej:

— Małgorzato! upiecz dwie kuropatwy: ksiądz dziekan będzie jadł tu wieczerzę.

Odeszła Małgorzata, a Don Toribio, zaprowadziwszy do gabinetu księdza dziekana, dotknął się jego czoła i rzekł te słowa (które proszę pamiętać): — Ortobolan, Pestrafoier, Onagryaf; — zaczął zatem naukę. Słuchał uczeń z niewymowną ciekawością. Wtem otworzyły się drzwi, weszła Małgorzata, a za nią kurjer, służący stryja księdza dziekana, biskupa Badajoz, oznajmując, iż po wyjeździe jego w kilka godzin ksiądz biskup paraliżem ruszony został. Odprawił natychmiast kurjera z listem i wrócił się do nauki, jak gdyby na świecie nie było ani stryjów, ani paraliżu.

Po kilku dniach przyjechał ksiądz kantor katedralny, z nim dwóch kanoników, donosząc, iż imci ksiądz biskup donosił przykładnego życia swego. Osieroconą po śmierci pasterza kapituła jednostajnymi głosy obrawszy imci księdza dziekana, zaprasza przez delegatów na objęcie katedry. Słyszając to Don Toribio, gdy prałaci odeszli, powinszował nowego stopnia nominatowi³⁾ i nadmienił, iż miał syna jedynaka, Don Antonio, który, że się nie zdał do czarnoksięstwa, oddał go do seminarjum. Prosił zatem dla niego o wakującą dziekanję.

— Ach! kochany przyjacielu — krzyknął nominat — cóż ja ci odmówić mogę? Całem życiem się tobie z wdzięczności nie wyplacę; patrz jednak sam, w jakim ja teraz stanie zostaję. Oto mam rodzzonego wuja księdza, który się dotąd miejsca w katedrze doczekać nie mógł; sam zważ, coby na to mówiła cała moja familja, gdybym go na pierwszym wstępie pominął? A co większa, skąpiec bogaty i stary, a sukcesja na mnie spada. Ale jedź ze mną do Badajoz;

¹⁾ Potwory. ²⁾ Rozprawę. ³⁾ Mianowanemu.

dziekanja fraszka dla Don Antonia; lepiej ja mu usłużyć. — Dał się namówić Don Toribio i pojechał do Badajoz.

Trwały i tam nauki wciąż. Po niejakiem czasie tak się rozeszła po kraju sława biskupa w Badajoz, iż dostał nominację na arcybiskupstwo w Kompostelli, i z tem od dworu przyrzeczeniem, iż ten będzie jego następcą, którego on wyznaczy. Nie zaspiał tak dobrej pory Don Toribio i prosił o biskupstwo dla Don Antonia, albo przynajmniej, gdyby się miało dostać wujowi, o dziekanję w Badajoz, zamawiając zawczasu jakowe dobre miejsce i w Kompostelli.

— Z duszy całej — rzekł nominat arcybiskup, — ale co ja tu mam czynić? Kiedy don Rodriguez de Lara, gubernator Kastylji, nie daje mi pokoju, żebym koniecznie jego synowca Don Bartholomeo na biskupstwo nominował, a wiesz dobrze, najukochańszy mistrzu, w jakim on kredycie ¹⁾ u dworu; a kiedy mam ci się przyznać, jemu winieniem arcybiskupstwo.

Zbudował się z takowej wdzięczności Don Toribio i dobrze tuszył dla Don Antonia.

Wyjechali do Kompostelli. Umieszczony w wielce wspaniałym pałacu arcybiskupim, Don Toribio używał dobrych czasów i czekał na to, co się dalej zdarzy. Zdarzyło się nadspodziewanie: kurjer z Rzymu przywiózł arcybiskupowi nominację na kardynałstwo, i breve ²⁾ wzywające na mieszkanie tamże, z pozwoleniem dworu, z nominacją na poselstwo i z pozwoleniem wyznaczyć następcę w Kompostelli. Po dniach kilku powinszowań, jak zazwyczaj oddanych, znalazł porę Don Toribio przypomnieć syna, jeśli nie na arcybiskupstwo w Kompostelli, które mógł wziąć wuj, przynajmniej na wakującą dziekanję w Badajoz.

— Ach! czemużeś mi tego prędzej nie powiedział — rzekł z jakaniami eminentissimus ³⁾. Chyba, że po arcybiskupie terazniejszym Kompostelli...

— Albo już jest nowy? — rzekł Don Toribio.

— Od dwóch dni — odpowiedział kardynał. — A któż matce odmówić może? Znasz archidjakona w Badajoz, Don Diego y Palos y Bermudez. Przez lat trzydzieści pięć był spowiednikiem mojej matki, pisała za nim, i już kurjer z nominacją do dworu wyprawiony. Jedź ze mną do Rzymu, naj-

¹⁾ Znaczeniu, powadze.

²⁾ List papieski.

³⁾ Tytuł kardynała:

najdostojniejszy.

szacowniejszy w życiu przyjacielu, niech jedzie i Don Antonio, tam infuły lecą jak grad.

Do największego przyszedł kardynał kredytu¹⁾. Po dosyć długiem bawieniu kilka bogatych biskupstw razem zaważowało. Nadmienił Don Toribio o synu.

— Masz przyczynę skarżyć się na mnie — rzekł kardynał — i wymawiać mi możesz niewdzięczność, lubo nie masz w świecie wdzięczniejszego człowieka, ale staw się w mojej sytuacji. Cudzoziemiec, powołany do tak wielkich stopni, czyżbym nie zasłużył na sprawiedliwą nagane, gdybym szafunek łask zaczynał od rodaków i domowników moich? Zostawmy rzecz czasowi; infuła Don Antonio nie minie, kto wie, czy nie kapelusz; powtarzam, kochany Don Toribio, zostawmy rzecz czasowi. — I tak dobrze zostawili, że o Don Antonio przez lat kilka i wzmianki nie było.

Umarł papież, weszli kardynałowie do conclave²⁾ i nad spodziewanie wszystkich ów niegdyś dziekan w Badajoz papieżem został. Po wszystkich obrządkach przypuszczony był Don Toribio do audjencji sekretnej; zapłakał u nóg ojca świętego i w rozrzewnieniu przypomniawszy ów kapelusz dla Don Antonio. Zastanowił się nieco ojciec święty, potem mówić począł:

— Dowiedzieliśmy się z niezmierną boleścią serca naszego, iż pod pretekstem jakowychś skrytych nauk, wdaliście się w przemierzłe rzemiosło czarnoksięstwa; napominamy was zatem, ażebyście takową szkaradność jak najrychlej porzucili; nadto rozkazujemy wam, ażebyście w czasie trzech dni z państw się naszych wynieśli, inaczej na stos skazani zostanieie.

Porwał się natychmiast z ziemi Don Toribio, a wymieniwszy wspaniałe owe trzy słowa, otworzył okno pokoju audjencyjnego i zawołał:

— Małgorzato! dosyć jednej kuropatwy.

W tym punkcie znikło biskupstwo w Badajoz, arcybiskupstwo w Kompostelli, kardynałstwo i papieństwo; ksiądz dziekan, widząc się być w gabinecie z Don Toribio, cicho wyszedł, a zastawszy uwiązaną przy drzwiach mulicę, wsiadł na nią i wrócił do Badajoz.

I. Krasicki.

¹⁾ Znaczenia.

²⁾ Zebranie dostojników kościelnych dla wyboru

papieża.

OCEAN I TAGUS RZĘKA.

Ocean, niezmiernością swoją zbyt zuchwały,
Gardzić począł rzekami, które weń wpływały.
— Przestańcie — mówił do nich — dodawać mi wody.
Rzekł Tagus: — Daj nam pokój: dla twojej wygody,
Dla twojej wspaniałości żyzną ziemię porzem:
Gdybym ja nie był rzeką, nie byłbyś ty morzem.

I. Krasicki.

PIEŚŃ PORANNA.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebiebie
I szukam Go wkoło siebie.

A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił.

Wielu snem śmierci popadli,
Co się wczoraj spać pokładli,
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.

Fr. Karpiński.

XIX w.

MATKA I DZIECIĘ.

W dzień zimowy matka miła
Na łonie miała swe dziecię,
Nucąc dlań mile, tuliła
Jedyne skarby na świecie.

— Matko, dlaczego te dzwony?

Tak smutno księża śpiewają?

— Nie bój się, mój ulubiony,

Ktoś umarł, chować go mają.

— Jakto on umarł, o mamo?

— Na długie zasnął on spanie!

— Będzież i ze mną to samo?

— Nie będzie, moje kochanie.

— Księża tak brzydko mu nućą,

A mama śpiewa tak pięknie,

Jeśli go oni ocućą,

Zapewnie ich się przełęknie.

— On się ocucić nie zdoła,

Aż będzie biła godzina,

Ojciec na niego zawoła,

Aniołka przysła po syna.

- Ale gdzie jego prowadzą?
— Na cmentarz, rwałeś tam kwiatki.
— Poco mu chodzić tam dadzą,
Zapewne nie ma on matki?
— Ma on tam matkę, niebożę!
Tam ona czeka go rada.
— Jak ona czekać tam może,
Gdy taki zimny deszcz pada?
— Nie chodź tam, mamó kochana,
Oboje pójdziem na wiosnę,
- Będiesz w kwiateczki ubrana,
Ja z tobą, skoro dorosnę.
— Zostań ty, pójdę ja sama,
Będziemy później przy sobie.
— Nie chodź, tyś dobra jest mama,
I mnie tu ciepło przy tobie.
To gdy dziecina mówiła,
Ucichła, snem umorzona.
Matka ją łzami rosiła,
Całując, tuląc do łona.

Kazimierz Brodziński.

MUZYKA JANKIELA.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie
Nie dorówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni.
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska
I dygając: »Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?»

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą: jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją nanowo struny i próbując, brzęczą;

Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym.
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonekami, z zelami, z bębenki:
Brzmi polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoja,
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły
Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: »Wiwat król kochany!
Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!«

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkłe; przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili:
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaca,
Coraz głośniejsze targając akord rozdąsany,
Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany.
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: »Znam! znam głos ten! to jest Targowica!«
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca;
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów:
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słysząc wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz наконец strunami wszystkimi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchnęły tony
Łączą się i akordów wiążą legijony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalowaną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu-tulaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata
Po łądach, morzach, piaskach gorących, i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Nateża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drażki uderzył.
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,

I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski...« I wszyscy klasnęli,
I wszyscy »Marsz Dąbrowski!« chórem okrzyknęli.

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.
— Generale — rzekł — ciebie długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak my Żydzi Mesyjasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o, ty nasz!... Mówiąc, ciągle szlochał:
Żyd pocziwy Ojczyznę jako Polak, kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

POGRZEB WISZA.

Żalnik¹⁾ i zgłiszcza dosyć były oddalone, znajdowały się w lesie, na piaszczystej polance. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stós, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znów bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i młot z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga (żona), z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie,

¹⁾ Żalnik — cmentarz.

w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu...

Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali, na rękach podparci, łzy ocierając po cichu...

— Odszedłeś od nas — wołały płaczki — niema cię, panie, ...osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców swoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... I miłość miałaś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty... włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki... Wiszu, wojaku niezwycięzony, wróg na cię napadł zdradliwie... krew twa nie pomszczona, zemsta niesyta; z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgłiszczu stos gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za nimi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgłiszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, wśród gęstego boru, który doń bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piofunem bladym porośłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijscia, na ubitem tokowisku ¹⁾, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion ²⁾ sosnowych, który cztery grube pale, white po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w które popioły i ofiara obecna mieścić się miała! — chleby, kołaczki, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę ³⁾ przygoto-

¹⁾ Ubitym gruncie. ²⁾ drew. ³⁾ stypa pogrzebowa.

wane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem dobrego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama osierocona nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je wpośrodku; przy niem składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugih, wiodły jakby schodami do góry, gdzie stał trup Wisza, otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę córkę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka; przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąłszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprawdzono Siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach, miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnieto razem. Podpalone zaledwo, zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym, i w mgnieniu oka drzewo, przepojone smołą, stanęło jednym ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębamii sinymi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu, i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajądłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zda-

jąc chłonać stos, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa już przezeń zjedzone, opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagął się i podlegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzyli z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało im się, że ujrzą ze stosu ducha, ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odegnać należało złe siły, czarne bogi, i czterech parobków na koniach, z dzidami w rękach, poczęło szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemimi... Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, podrzucając w górę oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębow dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było szerniałe zwłoki, i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym odzież płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień, wybuchające od dołu, aż bale kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębie i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomień ogromne, w którym tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły... duchy wzleciały... Dzieci rzucały jeszcze w płomień, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże... kawałki kruszcu... kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i objatami ¹⁾ dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarę.

Żarzewie na zgłiszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małym ogniskiem, kupą węgla czarnych i popiołu. Zsuwano głównie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgłiszczę wodą, przyniesioną ze świętego źródła, zalewać poczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

¹⁾ Objaty — ofiary.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnice, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok ojców i braci Wisza. Wpółśrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnice pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto z pośpiechem sypać ziemię na mogiłę.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już były spokojniejsze: duch uleciał... Noc zapadła, gdy żółty pagórek wzniosł się nad popiołami Wisza.

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

J. I. Kraszewski.

Z „**ANHELLEGO**“.

Rozdział XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: »Więc koniec już!

»Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?»

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zacierwieniło się niebo, i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na okręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrział na nie Anhelli i zawołał: »Gdzie wy lećcie, o mewy?»

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos, odpowiadający mu: »Lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiąć w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia.

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonięło nieszczęście«.

Taki był głos ptaków, i rozkruszyło się serce w Anhelim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej

lejące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych
girlandy, ulatujące ku południowi
Anhelli był umarty.

J. Słowacki.

Z NIEBOSKIEJ KOMEDJI.

Czemu, o dziecie, nie hasasz na kijku, nie bawisz się
lalką, much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli, nie
tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz
łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli,
przyjacielu poliszynela¹⁾, czarcie małeńki, czemuś tak podobny
do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone,
choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen prze-
szło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach bia-
łych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak
skronie twoje obieczone myślami?

* * *

A kiedy się zarumienisz, płoniesz, jak stulistna róża,
i pukle odwijając wtył, wzrokiem sięgasz do nieba, — po-
wiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? —
Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici,
płynące z niewidzialnego kłębka, — bo w oczach twoich jaś-
nienie iskra, której nikt nie rozumie, a mamka twoja płacze
i woła na ciebie, i myśli, że jej nie kochasz, — a znajomi
i krewni wołają na ciebie, i myślą, że ich nie poznajesz, —
twój ojciec jeden milczy i spogląda ponuro, aż łza mu się
zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

* * *

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz
nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ra-
mieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego
narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wy-
rzekł, że masz zdatność do nauk ścisłych²⁾. — Ubogi, które-
muś dał grosz, przechodząc, obiecał ci piękną żonę na ziemi

¹⁾ Zabawna postać w ludowej komedji włoskiej; potem — wogóle
pajac. ²⁾ Zgodnie z mniemaniem o możności odgadnięcia cech ducho-
wych człowieka z kształtów czaszki; naukę tę zwano kranjoskopią.

i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał, podrzucił i krzyknął: »Będziesz pułkownikiem«. — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nie wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąć nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długimi palcami twarz ci okrzył, i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukląć przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętymi duchami. —

* * *

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, — każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: »Jakie śliczne dziecko«. — Gdyby kwiat, co więdnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała, miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobny, o dziecko moje, — może takie bywały przed upadkiem Adama. —

Z. Krasiński.

Ćwiczenie ustne w klasie, a potem piśmienne.

Porównaj pod względem stylu wyjątki z XIII, XVI, XVII, XVIII i XIX w.; zwróć uwagę na język, budowę zdań, i wymień charakterystyczne cechy wysłowienia, jakie zauważyć mogłeś w przytoczonych ustępach.

Czy na podstawie tych kilku wyjątków można mieć wyobrażenie o stopniowym rozwoju języka?

Streszczenie:

Styl cz. wysłowienie jest to sposób wyrażania myśli.

Styl zależy od tego:

Kto mówi (pisze).

O czym się mówi (pisze).

Do kogo lub —

Dla kogo się mówi (pisze).

Pod wpływem jakich uczuć mówi się lub pisze (— **nastrój**).

W jakiej **epoce** powstał dany utwór.

Nauka, która bada warunki i zasady dobrego stylu, nazywa się **stylistyką**.

II. Gramatyczno-logiczne przymioty stylu.

1. Jasność.

P O R A N E K.

(Z »Pana Tadeusza«).

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; — w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tędy ma zstąpić na ziemię;
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtanu —
Dziś, okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
Te, jamki w roli kopiąc, parami się kupią
I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu, —
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
Klece bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty, —
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,

Tem smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka;
Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy, otawę siekących, wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żelaza i w takt kują młotki.
Ludzi we mgłę nie widać: tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

Czy możesz nazwać ten opis **jasnym**? Dlaczego?

Nadzwyczajna prostota w wypowiedzaniu myśli, malowaniu obrazów, układzie zdań. Zdania niezbyt długie, doskonale zbudowane.

ŚMIERĆ KS. JÓZEFA.

(Pod Lipskiem).

Poniatowski przez cały czas osobiście prowadził do walki swoich żołnierzy, stając na czele bataljonów piechoty, albo szarżując ze swoją świtą. Był blady ze zmęczenia i trudów dni poprzednich i kontuzji ¹⁾ dnia wczorajszego. Rękę prawą miał bezwładną i obolałą od pchnięcia dzidą kozacką w starciach kawalerji 12 października i od postrzału w pierwszym dniu bitwy lipskiej; trzymał ją też na chustce, nie mogąc dobywać pałasza. Przemawiał do żołnierzy kilkakrotnie, zachęcał ich do wytrwania, kazał im pamiętać, że są Polakami, że walczą o cześć swego narodu. Najwięcej wszakże znaczyła sama jego obecność. Był zapewne w pozycji Pleissenburga ²⁾ z 4 i 12 pułkiem, kiedy (mniej więcej w pół do dwunastej) otrzymał nowy postrzał. Kula karabinowa przeszła górną część lewej piersi między obojczykiem a łopatką. Rana była dość ciężka i spowodowała znaczny wpływ krwi. Wtedy generał Bronikowski prosił księcia, aby zdał komendę i szukał ocalenia, przeprawiając się przez Plejsę. Żywo mu odparł Poniatowski: »Chcę zginąć śmiercią walecznych«. Wówczas także miał wypowiedzieć te słowa historyczne: »Bóg mi oddał honor Polaków, Jemu samemu go oddam«. Poddania się z pewnością nikt nie zalecał w otoczeniu wodza. Przecież, aby zapobiedz widocznemu przygnębieniu, nie dał się nawet opatrzyć, tylko dosiadł konia na nowo. Zresztą i czasu nie było. Nakazał eskortie nowy atak, który wszakże był już

¹⁾ Odrętwienie mięśni skutkiem blizkiego przesunięcia się kuli i uderzenia powietrza. ²⁾ Pod Lipskiem.

ostatnim. Reszty piechoty polskiej cofnęły się wdół Plejsy ku Fleischerplatz (pułki, 1, 8, 15 i 16 walczące na dalszem przedmieściu od Borna), część zaś na wiadomość o wysadzeniu mostu, wpadła na ogrody nadrzeczne (pułk 4 i 12 z przed bramy św. Piotra). Strzelcy pruscy i badenscy przez Barfusspförtchen wdarli się na bulwary zachodnie nad Plejsą. Eskorta Poniatowskiego nie mając już osłony w piechocie, nie mogła się sformować. Zresztą było jej zaledwie kilkadziesiąt koni. Strzelcy nieprzyjacielscy zaczęli ubiegać się o wzięcie do niewoli księcia, w którym po orderach poznali generała.

Jakkolwiek prawą rękę miał bezwładną, a poruszenia lewą musiały mu sprawiać ból dotkliwy, przecież powodował jeszcze koniem i nie dał się ująć. Ale dłużej zwlekać nie było możliwości. Skierował konia ku Plejsie i przebył ją szczęśliwie, prawdopodobnie po jakimś mostku. Jechał z wolna przez ogród Reichela, po grzązkim terenie, wśród niemilkącego huku strzałów, zewsząd wdzierających się tyraljerów¹⁾. Wtedy (mogło to być parę minut po dwunastej), nową odebrał ranę: kula przeszła przez żebra.

Z upływającą krwią z każdą chwilą widocznie tracił siły. Chwiał się na siodle, podtrzymywany z obu stron przez adjutantów Kickiego i Szydłowskiego. Tracił też świadomość. Nie mówił zapewne już nic, usta miał spalone gorączką. Ale chwilami myśl pracowała. Przebłyśki świadomości ogniskowały się w ostatnim akcie woli, a było nim pragnienie śmierci. — Z tą myślą kraj opuścił. Tę nutę żałobną słyszał w weselnych tonach zabaw »tańczącego« Krakowa. »Idziesz umrzeć« żegnała go pieśń ojczysta. On też nie mógł wrócić, nie chciał wracać, kaleką po ojczyzny stracie. Bo on nie mógł być prowadzonym na rynek lipski, aby uświetnić tryumf monarchów trzech potęg ościennych, ani mógł, jak później Roźniecki, stać na przeglądach przed ks. Konstantym na Saskim placu. Musiał umrzeć tam, na polach Lipska, jako naczelný wódz wojsk polskich.

Zgaśł w nim instynkt życia; obok myśli o śmierci żyła tylko troska, która zgoła poza świadomością ludzką prowadzi szczęty ciała na wybrane miejsce spoczynku. Spojrzeniem pożegnał Szydłowskiego, który padł, przeszyty kulą. Przez błotnisty przekop z trudem przeprowadził go Kicki, przy pomocy

¹⁾ Tyraljerzy — strzelcy, działający podczas bitwy w rozproszeniu.

Bléchamps a i innych oficerów, z których wielu nie przedostało się na drugą stronę.

Dalej szedł pieszo ku Elsterze, szukając miejsca przeprawy. Po chwili podano mu konia. Jechał wzdłuż rzeki, unoszącej kłody, deski, trupy ludzi i koni. W tym momencie ranny był Kicki. — Wiatr dał silny nad wodą, wezbraną i rwącą. Walka nie ustawała. Krzyżowały się wciąż kule. Broniła się w ogrodach piechota i kirasjerzy. Wojska sprzymierzonych ze wszystkich stron zbiegały się nad rzeką, aby przeszkodzić przeprawie, przedstawiały się już na drugą stronę i otwierały stamtąd zabójczy ogień, spychały uciekających w głąbie, mordowały prostych żołnierzy, zagarniały w niewolę starszyznę. — Wtedy książę, na widok zaledwie o kilka kroków oddalonej piechoty nieprzyjacielskiej, ostatnim wysiłkiem zmusił konia do skoku z wysokiej platformy w nurt, w miejscu tem z powodu obmurowanych brzegów głęboki i bystry. — Odrazu pokryła go fala. O ratunku nie mogło być mowy. Bléchamps skoczył nieść pomoc, ale zatonął natychmiast.

Skałkowski. (O cześć imienia polskiego).

Czy równie łatwo opisać wypadek historyczny, zdarzenie, którego nie byliśmy świadkami, jak widoki i zjawiska otaczającej nas natury?

Czy wystarczają dobrze zbudowane zdania, aby taki opis był jasny? Czy mógłbyś jasno i dokładnie opisać np. którą z bitew Napoleona? Dlaczego nie?

Ażeby pisać jasno, trzeba doskonale znać przedmiot, o którym piszemy.

WPŁYW WARUNKÓW MIEJSCOWYCH NA TEMPERATURĘ.

Zdawałoby się napozór, że wszystkie miejsca, leżące na jednym równoleżniku, to jest jednakowo odległe od równika, powinny mieć jednakową średnią temperaturę (gdyż promienie słońca padają na te miejsca pod jednakowym kątem); tak jednak nie jest, ponieważ ogrzewanie ziemi (a stąd i powietrza) zależy nie tylko od tego, pod jakim kątem promienie słońca padają, ale także i od tego, na jaką powierzchnię padają. Niewszystkie ciała bowiem rozgrzewają się i oziębiają z równą łatwością: wiadomo np., że jeżeli położymy na rozpalonej blasze kamień i garnek z wodą, to kamień daleko prędzej się rozgrzeje, niż woda; ale zato gdy po rozgrzaniu zdejmemy kamień i wodę, to pierwszy prędzej ostygnie, niż druga. Stąd wynika, że ląd musi się łatwiej ogrzewać, ale

też i łatwiej oziębiać, niż morze. Przytem i sam ląd niewszędzie jednakowo się ogrzewa, zależy to od jego składu: nagie skały lub obszary piaszczyste (np. Sahara) rozgrzewają się łatwiej (bruk i drogi w miastach rozgrzewają się silnie, dzieci wiejskie chętnie biegają boso po ciepłym piasku), niż obszary bagniste, lub pokryte roślinnością, szczególniejszymi lasami. Zdawałoby się dalej, że na wysokich górach, które znajdują się bliżej słońca, musi być cieplej; tak jednak nie jest: wprawdzie sam grunt góry rozgrzewa się tam silniej, ale powierzchnia góry jest zbyt mała, aby rozgrzać otaczające zimne warstwy powietrza (wiadomo, że warstwy górne są zimne), podobnie jak mały piecyk w wielkim pokoju. Dlatego to na wysokich górach jest zimno.

W. Nałkowski.

Treść tego ustępu jeszcze trudniejsza, bo wyjaśnianie rzeczy nieznanym czytelnikowi, — dowodzenie.

Zdania dosyć długie, a nawet porozrywane nawiasami. A jednakże całość jest zupełnie jasna. Dlaczego?

Ćwiczenie:

Opis znanego ogrodu, dworku wiejskiego, wsi, lub kościoła.

Wzór. Opis Saskiego ogrodu:

Gdzie jest położony, otaczające ulice, wejścia.

Naturalny podział ogrodu, wchodząc od Saskiego placu.

Aleja główna, fontanna, drzewa, perspektywa,

Strona prawa: sadzawka i ślizgawka, rezerwoar, ogródek Raua.

Strona lewa: studnia, kiosk, ogródek wód mineralnych, oranżeria i mleczarnia.

Utrzymanie ogrodu, ozdoby i oszpecenia, wartość dla miasta.

A) Budowa zdania.

»Miał król Zygmunt I od cesarza Karola V Złote Runo, dawno sobie na znak braterstwa przysłane — które iż po śmierci tego, który je miał, do podkomorzego tego bractwa albo do starszego brata odesłać była powinność — pana Stanisława Ostroroga, który kasztelanem międzyrzeckim umarł, z tem do cesarza Karola, a do Węgier, do siostry swojej (królowej węgierskiej) Izabeli, księdza Filipa Padniewskiego, sekretarza (który potem pieczęć mniejszą puściwszy, biskupem krakowskim umarł), z poselstwem pełnem miłości, i do innych panów chrześcijańskich na pogrzeb prosząc, posłał».

Czy to zdanie jest jasne? Dlaczego nie?

Każde zdanie pojedyncze, zosobna wzięte, zrozumiałe, — lecz całość — jest **źle zbudowana**.

Rozpatrzmy uważnie budowę tego zdania: jakie widzimy w niej błędy?

a) jest za długie;

b) niema **jedności**, gdyż nie odnosi się do jednej myśli, ale treść główna porozdzielana jest wielką ilością zdań pobocznych, nie mających z nią ścisłego związku, oraz mnóstwem zbytecznych objaśnień, odnoszących się do wymienionych w zdaniu osób;

c) w zdaniu głównem opuszczono podmiot, którego nie można się domyślić, (nie znając treści całego utworu);

d) orzeczenie zbyt daleko odsunięte.

Gdybyśmy opuścili zdania, nie należące do głównej treści, a zawierające zbyteczne objaśnienia:

o godnościach i śmierci Ostroroga

o życiu i śmierci Padniewskiego

o poselstwie do królowej węgierskiej,

oraz gdybyśmy dodali brakujący podmiot, to zdanie brzmiałoby tak:

Miał król Zygmunt I od cesarza Karola V Złote Runo, które po jego śmierci należało odesłać do podskarbiego tego orderu, — więc król Zygmunt August pana Stanisława Ostroroga z tem do cesarza posłał.

Zdanie to jest zupełnie jasne, ponieważ:

ma podmiot, —

jest znacznie krótsze, a przez to i orzeczenie nie jest zbyt oddalone, — odnosi się do jednej myśli, czyli ma **jedność**.

Widzimy zatem, iż

dobra budowa zdania jest niezbędnym warunkiem jasności.

Warunki dobrej budowy zdania.

1. **Zdanie musi mieć jedność**, — to znaczy, iż musi się odnosić do **jednej** myśli głównej.

Widzieliśmy, iż poprzednie zdanie stało się niejasnem z powodu nagromadzenia zdań podrzędnych, nie mających ścisłego związku z jego treścią, — weźmy jeszcze inny przykład.

»Co iż się wszystko działo za mych dorosłych lat i bycia mego u dworu, wspomnę i to, co się za lat mych pacholących toczyło, a dziękuję Panu Bogu, jako za wszystkie insze łaski, tak i za tę, że mi się dał urodzić za panowania Zygmunta I, którego żywot iż wypisany nie jest dostatecznie od tych, którzy od niego dobrodziejstwa odnieśli, jest czego za prawdę żałować i na te niewdzięczniki w sercu gniew sprawiedliwy ponosić«.

To zdanie nie ma jedności i dlatego jest niejasne: nie wiadomo, o **czem** autor chce mówić: zapowiada na początku, że będzie pisał o swoim dzieciństwie, a następnie wyraża oburzenie, iż nikt nie opisał »dostatecznie« panowania Zygmunta I.

2. Zdanie nie powinno być zbyt długie.

Nie znaczy to, iż pisać należy tylko krótkimi zdaniami, — dla urozmaicenia stylu, dla dokładnego wyrażenia myśli, często potrzebne są i zdania dłuższe, lecz nie mogą przekraczać nigdy miary jasności i muszą być tak zbudowane, aby w nich **całość myśli** z łatwością objąć można.

Ażeby zdanie długie było jasne, trzeba:
dobrego uporządkowania zdań głównych i podrzędnych,
umiejętnego uwydatnienia myśli najważniejszej,
doskonałego władania językiem.

3. Zbudowanie więc dłuższego a jasnego zdania nie jest rzeczą łatwą; spotykamy jednakże w utworach mistrzów języka pewien rodzaj zdań dłuższych, kunsztownej lecz jasnej budowy — to **okresy**, np.

»O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą: || o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice«.

(*Mickiewicz*).

Okres jest to zdanie złożone, zbudowane w ten sposób, że się dzieli wyraźnie na dwie części: **poprzednik** i **następnik**, uzupełniające się nawzajem, np. w tym krótkim okresie mamy jeden poprzednik i jeden następnik.

Inny okres:

Widzisz, iż bliźni twój potrzebuje chleba, sukni, pieniędzy, rady i pomocy twojej: || daj mu, nie broń bratu swemu tego, co i dla niego tobie Bóg dał.

(*Skarga*)

Jest to okres złożony z 1 poprzednika i 2 następników. Poprzednik jest zdaniem złożonym, — pierwszy następnik pojedynczym, drugi złożonym.

Widzimy więc, że tak poprzednik, jak i następnik może się składać z dwóch lub więcej zdań współrzędnych, pojedynczych lub złożonych. W takim razie między poprzednikiem i następnikiem kładziemy dwukropek.

Inny okres:

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega.

(*Mickiewicz*).

Okres złożony z 2 poprzedników i jednego następnika.

Jeżeli się nie będę starał o zachowanie w czerstwości sił moich; jeżeli, owszem, będę ich nadużywał i zdrowie rujnował: stanę się niezdolnym do pracy, wystawiony będę na niezliczone choroby i kalectwa, nie będę mógł zaspokoić moich potrzeb, muszę cierpieć, muszę przed czasem umrzeć.

Hugo Kołłątaj.

Okres z 2 poprz. i 5 następ.

Oblicz, z ilu poprzedników i następników składają się okresy następujące:

Lot orła znajdzie granice w przestworze,
Delfin napotka w oceanie brzeg,
Grot piorunowy w ziemię się zaorze,
Wolę i dumę zegnije los w pokorze:

Lecz twórczej myśli nieskończony bieg...

K. Tetmajer.

Jeżeli na ostatnią chwilę twego życia pada cień niepokoju, i jeżeli nim jest wątpliwość, czy pozostawiasz twojemu narodowi spadek, godny twych pragnień: to zaśnij spokojnie, bo on otrzyma po tobie wielką puściznę.

A. Świętochowski (o P. Chmielowskim).

Zem często dumał nad mogiłą ludzi,
Zem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trzodzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę:
Smutno mi Bōże!

J. Słowacki.

Praca dla bliźnich nietylko jest samym wydatkiem: ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi; ona nietylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca.

N. Żmichowska.

Z fal ta najgorzej huczy, co się ma rozbić na piasku; —
piersi ludzkie to fale świata.

Z. Krasiński,

Jeżeli będąc bogatym, ujęty litością nad tylu nieszczęśliwymi, rozdałem między nich mój majątek tak dalece, żem się stał przez to ubogim: jest to prawdziwy heroizm.

Jeżeli widzę bliźniego, tonącego w wodzie lub ogarniętego płomieniem, a wystawiam życie moje, abym go uratował: jest to heroizm.

Jeżeli przenoszę sam cierpieć, jak zdradzić interes społeczności; jeżeli wystawiam życie na obronę swego bliźniego, tembardziej na obronę całej społeczności: jest to prawdziwy heroizm.

Bo w tych wszystkich sprawach przenoszę dobro bliźniego lub całej społeczności nad dobro moje własne.

Hugo Kollataj.

Ile tu okresów ?

4. Do warunków dobrej budowy zdania należą jeszcze następujące zasady, o których wspomnieć tu musimy.

a) **Zaimek „który“ stać powinien bezpośrednio po wyrazie, do którego się odnosi.**

Opowiem wam zdarzenie z mojego dzieciństwa, którego nigdy nie zapomnę. (Nie zapomnę dzieciństwa, czy zdarzenia ?)

Był to pies brata, który zginął przed miesiącem. (Pies, czy brat ?)

Przyjmuję obstalunki po cenach przystępnych, które wykończam w 24 godzin.

b) **Orzeczenie zdania podrzędnego nie może być wyrażone w formie imiesłownu nieodmiennego, jeżeli to zdanie nie ma wspólnego podmiotu ze zdaniem głównym.**

Błędnie: Przechodząc przez most, wiatr zrzucił mi w wodę kapelusz.

Pracując tak ciężko, niedostatek nasz wzrastał ciągle.

Zaopatrzywszy się w żywność, o poranku dnia następnego łódź popłynęła z wolna z biegiem rzeki.

c) **Unikać należy dwuznaczności, wynikającej ze złego zastosowania, przypadków, np.**

Wkońcu psy pożarły wilki.

W obu rzeczownikach 4-y prz. ma taką samą formę jak 1-y, dla tego nie wiadomo, co tutaj jest podmiotem.

Kobiety zaprosiły na wieczór sąsiadki.

Lecz głód zwyciężył strach.

(Patrz poprawność str. 64).

B) Omówienia.

Powiedz lub napisz, co to znaczy:

Stwórca świata —	Przędza Matki Boskiej —
Królowa niebios —	Oko dnia jasnego —
Przybytek Pański —	Światła nocy —
Błękitne sklepienie —	Kwiaty pamięci —
Syn ziemi —	Ziemia piramid —
Zwycięzca z pod Wiednia —	Ojczyzna Kolumba —

O wschodzie słońca ryknęły śpiże
Przez pola pomknął szarak
Już naród dźwiga żelaza

Jeżeli nazwę jakiegoś przedmiotu zastępujemy innym wyrazem, lub paru wyrazami, które to samo oznaczają, powstaje t. zw. **omówienie** czyli peryfraza np. młodość — wiosna życia, Polska — kraj Lechitów, Kraków — gród Krakusa i t. p.

Omówienie można uważać za określenie wyrazu, który zastępuje.

Ćwiczenie.

Zastąp **omówieniami** następujące wyrazy:

Bocian —	Kordecki —	Wiosna —
Słowik —	Kazimierz Wielki —	Róża —
Skowronek —	Stanisław August —	Cyprys —
Warszawa —	Zydzi —	Matejko —
Paryż —	Turcy —	Mickiewicz —

Czy **omówienia** w następujących wyjątkach są zrozumiałe i piękne?

Na sali orszak przywitam wybrany —
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej ślę pełne smaków porcelany
I sztucznym morzę apetyt żywiołem.

Zacnych dusz wielkie cienie, którym los łakomy
Zabrał w plonie, co tylko miał człowiek znikomy;
A sława, próżna szwanku, trwalszą część istoty
Nad gwiazdami (w) zatlone wzniosła kołowroty:

Omówienia zdobią i urozmaicają styl, gdy są **jasne, piękne**, i kiedy nie używamy ich za wiele. Nietrafne omówienia i zbytne ich nagromadzenie czynią styl niejasnym.

Wskaż omówienia i wyjaśnij ich znaczenie:

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika. *Kondratowicz.*

Miałam ja drugą (córkę), litościwy Boże,
Oko się za nią napłakać nie może:
Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu. *Brodziński.*

Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
»Ej!« krzyknął z góry »ej ty, ryży kudła,
Wara od źródła!«
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drag — i w nogi. *Mickiewicz.*

Pocoś tu przyszła, poco, moja droga,
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Mickiewicz,

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna Kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę:
Z żalu straciła swoją urodę. *Lenartowicz.*

Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi;
Trafiłem w serce stugłowej poczwary. *Mickiewicz.*

Prędzej czy później, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni —
O niepamięci! wtenczas chłodne skronie
Weź pod twą schronę do grobowej cieśni. *Mickiewicz.*
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony. *Mickiewicz.*

C) Synonimy i homonimy.

a) Wyrazy blizkoznaczne.

(Synonimy).

Czy jest dobrze i jasno powiedziane:

To mądry człowiek, skończył uniwersytet.
Mam dla ciebie wiele litości w tem nieszczęściu.
Płynęłam okrętem z Warszawy do Gdańska.

Człowiek, który skończył uniwersytet, jest wykształcony, ale niezawsze jest mądry, bo mądrości nie daje tylko nauka, lecz i własne doświadczenie i sąd. Wyraz mądry w tem zdaniu jest więc źle użyty. Jeśli tego wyrazu dobrze nie rozumiem i nazwę kogoś mądrym, chociaż jest tylko wykształconym, to dam o nim mylne pojęcie, ponieważ wyraziłem się nieściśle, a tem samem niejasno.

W drugim przykładzie wyraz litość określa uczucie nasze nieściśle i tak niesubtelnie, iż może nawet sprawić przykrość: nieszczęście budzi w nas współczucie, litość połączona jest zawsze z pewną wyrozumiałością, której nieszczęście nie potrzebuje (jeśli niema w niem własnej winy nieszczęśliwego).

Okręt jest to wielki statek morski, po płytkiej Wiśle płynący nie mógł, zwłaszcza pod Warszawą.

Okręt, statek, łódź etc. równie jak: wykształcony, mądry, rozumny, — litość współczucie, miłosierdzie — są to **synonimy**, wyrazy **blizkoznaczące**, ale nie jednoznaczne, więc nie można używać jednych zamiast drugich.

Z tego wynika, jak ważną jest rzeczą doskonale zrozumienie znaczenia wyrazów wogóle, a w szczególności synonimów. Bez głębszego zastanowienia się nad nimi i wniknięcia w ich treść, niema mowy o jasnem i dokładnem wypowiadaniu myśli.

Synonimy stanowią bogactwo naszego języka: pozwalają nam cieniować wyrażenia, unikać powtarzania tych samych wyrazów, dobierać odpowiednich dźwięków, wreszcie malować nasze myśli i uczucia z największą subtelnością i ścisłością.

Zastanówmy się np. nad synonimami:

Bitwa, bój, walka, utarczka, potyczka, wojna ¹⁾.

Bitwa oznacza zapasy dwóch wojsk nieprzyjacielskich. Np. w krwawej bitwie pod Kannami poległ kwiat rycerstwa.

Bój wre podczas bitwy, gdy jedni zadają ciosy, drudzy je odbijają. Np. Wstępnym bojem odnieśliśmy zwycięstwo nad nieprzyjacielem.

Walka oznacza fizyczne lub moralne zapasy dwóch sił. Walka olbrzymów; walka byków; walka z przyrodą; walka z sobą.

Utarczka jest to dorywcza walka z nieprzyjacielem. Zanim przyszło do bitwy, miały miejsce utarczki.

Potyczka nazywa się mała bitwa dwóch niewielkich oddziałów nieprzyjacielskich. Wcale nie przyszło do bitwy, staczano tylko częste potyczki.

Wojna oznacza zbrojne działanie dwóch państw. Szwed wypowiedział nam wojnę.

Napisz zdania na te same synonimy.

¹⁾ A. Dygasiński. Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych.

Mężny, waleczny, bitny, odważny, dzielny.

Mężny jest ten, kto umie pokonywać wszelkie przeciwności. Mężny rycerz, mężny umysł.

Walecznym jest taki, który walczy z postanowieniem, że umrze lub zwycięży. Waleczny wódz, waleczni żołnierze.

Bitnym zwiemy człowieka, który w bitwie zapomina o całym świecie i o sobie. Bitny chłop, bitny naród.

Człowiek, gotów zawsze narazić własne życie, nazywa się **odważnym**. Byłem młody, odważny, świat stał mi otworem.

Dzielny jest ten, kto posiada siłę energicznego działania. Dzielna ręka, dzielne serce, dzielny koń.

Krytyczność i krytyka.

Krytyczność — zdolność słusznego oceniania każdej rzeczy.

Krytyka — sąd, wyrażony o danej rzeczy.

Ginać, niknąć, przepadać, podziać się.

Przykłady:

Zginał, jak mucha w smole. Nic w naturze nie ginie.

Zniknął, jak kamfora. Gdy się obudzimy, nikną obrazy senne.

Przepadł, jak kamień w wodzie. (W innem znaczeniu — przepadał za polowaniem).

Dopiero co miałem pod ręką pióro, i gdzieś mi się **podziało**.

Naśladować, udawać.

Naśladować znaczy wstępować w cudze ślady. Naśladowaj ludzi dobrych.

Udawać jest to grać czyjąś rolę. Udawał, że mię nie widzi. Udawał głupiego.

Cwiczenie klasowe ustne:

Objasnij następujące synonimy.

Pałac, zamek, dwór, willa, budynek, chata.

Kościół, świątynia, kaplica, synagoga, meczet.

Wieś, folwark, osada, kolonja.

Ogród, sad, park.

Droga, szosa, ulica, aleja, gościniec.

Łódź, czółno, statek, okręt, tratwa, prom.

Dar, gościniec, pamiątka, upominek, wiązanie, kołęda.

Wieżień, jeniec, braniec, niewolnik.

Rzemieślnik, robotnik, wyrobnik, pracownik.

Dostatek, dobrobyt, zamożność, majątek, bogactwo.

Smutek, żmartwienie, boleść, rozpacz.

Współczucie, litość, miłosierdzie.

Życzliwość, sympatja, przyjaźń, miłość.

Podróż, pielgrzymka, wędrówka, tułactwo.

Cześć, szacunek, poważanie, poszanowanie, uszanowanie.

Wykształcenie, uczoność.

Rozsądek, rozum, mądrość.

Pojętność, zdolność, inteligencja.

Odkrycie, wynalazek.

Ponury, posepny, smutny.

Starożytny, staroświecki.

Pracować, robić, trudzić się, działać.

Mówić, powiedzieć, rzec, gadać, prawić, gwarzyć, gawędzić, rozmawiać.

Cwiczenie. Do następujących wyrazów dopisz synonimy i objaśnij je.

pokój	podziemie	woń	niechęć
koń	wąwóz	wieży	fałsz
góra	zmrok	dziedzic	moc
staw	świt	kobieta	praca
gruzy	światło	duma	wesołość
ładny	chromy	grzeczny	zimny
brzydki	rozumny	ociemniały	gorący
bogaty	pilny	zły	stary
ubogi	pożyteczny	dobry	przychylny
chory	trudny	uczciwy	surowy
bawić się	chwycić	myśleć	gonić
nudzić się	mówić	budować	bujać
psocić	niszczyć	rumienić się	trwożyć
biegać	wróżyc	plakać	uciekać

b) Wieloznaczniki

(homonimy).

Co to znaczy:

Był to piękny granat. Kula leżała na drodze.

Granat — roślina, kwiat, owoc, drogi kamień, pocisk armatni, barwa. — Kula przedmiot kulisty i szczudło.

On złamał krzyż.

Kupiłam kilka gwoździaków.

Boję się raka.

Wspaniałe pajaki!

Wysoki kozielek.

Prześliczny dzwonek.

Równe zębki.

Stara koronka.

Olbrzymi chwast.

Zniszczony zamek nie zapewnia bezpieczeństwa.

Są to wszystko wyrażenia nieściśle, niejasne wskutek tego, że użyte w nich **wieloznaczniki** nie są bliżej określone.

Należy więc przy użyciu **homonimów** zwrócić uwagę na ich zastosowanie i wyrażać myśl w taki sposób, aby nie mogła być zrozumiana inaczej.

D) Archaizmy.

Nie więzysz mu nazbyt z młodu knefliczków, bryżyczków, pstrych sukienek, jako prosięciu, bo jako się tego z młodu nauczy, tak mu się to w pamięć wbije.

M. Rej.

Ażebym zrozumieć ten ustęp, musimy wiedzieć, że:
knefliczek — naszyście, guziczek; bryżyczek — haft.

Są to wyrazy stare, dziś już nie używane, **archaizmy**.

(Piękniej dziewczę) gdy jedzie na koniu z sajdakiem,
Niż kiedy się ociągnie ciasnym inderakiem.

M. Bielski.

Inderak — suknia.

Język dawnych pisarzy niezawsze jest dla nas jasny z powodu wyrazów, dziś już nie używanych, więc niezrozumiałych, które zwiemy **archaizmami**.

Dzisiaj archaizmów używamy tylko wtedy, gdy pragniemy naśladować język dawnych czasów, np. w powieściach Sienkiewicza i innych.

»Nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie, i nie był Jurand waszym wrogiem, — ale ileżto razy zaczepialiście go sami, jako i ninie za to, że pozywał waszych rycerzy«.

H. Sienkiewicz.

drzewiej — dawniej; — ninie — teraz.

E) Neologizmy.

Częściej czynią styl niejasnym niezręcznie utworzone wyrazy nowe, czyli **neologizmy**.

Tworzą je zwykle dla zastąpienia wyrazów obcych lub jako nazwy nowych pojęć. Wyrazy nowe muszą powstawać w języku, gdyż jest to jego rozwój, objaw życia, ale tworzą się w sposób naturalny, wraz z nowymi zjawiskami i pojęciami np. letnisko, letnicy, zespół.

Niekiedy tworzą je bardzo szczęśliwie wielcy poeci i mistrze języka jak np. wiele wyrazów utworzył Zyg. Krasiński, Reymont, Żeromski i inni; te wyrazy zlewają się z językiem ludzi wykształconych i bardzo prędko przestają być neologizmami. Nazwę tę pozostawiamy wyrazom utworzonym

sztucznie, niezgodnie z duchem języka, które pojawiają się czasem w utworach, ale nieprzyjęte przez ogół, zanikają.

Do takich neologizmów zaliczyć możemy: bokotwarz, zachówki, parciomierz, cichostępy i t. p. których naturalnie nikt dziś nie używa.

2. Zwięzłość.

PO PIERWSZYM ROZBIORZE.

W przeciągu kilkunastu lat spokoju rolnictwo dzwignęło się z upadku; produkcja zboża zwiększyła się tak dalece, że przewyższyła dawną, przedrozbiorową. Dla pomnożenia dochodów z ziemi, wybitniejsi obywatele podejmowali reformę stosunków włościańskich, przedewszystkiem zrywali z pańszczyzną, jako ze zbyt słabem narzędziem produkcji rolnej. Po dawniejszych: ks. Świniarskiego, księżnej Jabłonowskiej, kanclerza Zamoyskiego i Przebendowskiego, nastąpił cały szereg prób reformatorskich.³³ Ks. Brzostowski, referendarz litewski, w dobrach Mereczu pańszczyznę zamienił na czynsz, ciężary w naturze na opłatę pieniężną; obdarzył poddanych samorządem, pracował nad podniesieniem w nich ducha obywatelskiego. Za przykładem Brzostowskiego poszedł synowiec królewski, książę Stanisław Poniatowski, właściciel dóbr korsuńskich, obejmujących do 400 tysięcy mieszkańców. Podkanclerzy litewski Joachim Chreptowicz w dobrach swych Szczorse i Wiszniew nadał włościanom wolność osobistą, zniósł robociznę, z wyjątkiem szarwarków i podwód; za używalność gruntów pobierał tylko третią część plonu. Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, właściciel 3 milj. morgów ziemi, zmniejszył pańszczyznę, zadawałniał się dwunastu groszami czynszu za dzień roboczy. Zasłynęli łaskawością dla włościan: August Czartoryski, syn jego Adam, księżna marszałkowa Lubomirska z zięciem swym, Stanisławem Kostką Potockim, Jacek Jezierski, kasztelan łukowski i t. p.

Wł. Smoleński.

Czy można stąd usunąć niektóre zdania lub wyrazy bez uszczerbku dla treści?

Styl, w którym używamy tylko wyrazów niezbędnych do należytego uwydatnienia myśli, nazywamy **zwięzłym**.

Porównajmy np.

Jest niedziela, dzień przeznaczony na odpoczynek i rozrywkę, kiedy wszyscy odpoczywamy, bo niema zajęć w biurach, szkołach ani fabrykach, — a ponieważ nie mamy żadnego pilnego zajęcia, więc możebyście przyszli dziś do nas wieczorem na miłą pogawędkę o tem wszystkim, co nas zajmuje i obchodzi.

Jest niedziela, więc jeśli nie macie innych zamiarów, możebyście przyszli do nas na wieczorną pogawędkę.

Które z tych dwóch zdań jest zrozumialsze? Czy w pierwszym zdaniu potrzebna tak wielka ilość wyrazów i objaśnień?

Opuszczając wyrazy i objaśnienia niepotrzebne, otrzymujemy zdanie krótsze i jaśniejsze. Pierwsze ma styl **rozwlekły**, drugie **zwięzły**.

Zwięzłość czyni styl silnym i jędrnym. Styl zwięzły zawiera te tylko wyrazy, które istotnie do ścisłego i dokładnego wyrażenia myśli są potrzebne.

Zastanówmy się, co jest przyczyną rozwlekłości pierwszego zdania:

»niedziela, dzień, przeznaczony na odpoczynek i rozrywkę«,
zdanie zbyteczne, bo wiadomo, że niedziela jest dniem odpoczynku.

»kiedy wszyscy odpoczywamy, bo niema zajęć w biurach, szkołach, ani fabrykach«.

Ta sama myśl, co w zdaniu poprzednim, tylko wypowiedziana w inny sposób, — a więc zbyteczne powtórzenie (tautologia),

»a ponieważ nie mamy żadnego pilnego zajęcia«,
znowu powtórzenie tej samej myśli w innej formie (tautologia),

»co nas zajmuje i obchodzi«: — **tautologia**.

Jak nazwiesz wyrażenia:

Człowiek niemłody w podeszłym wieku.

Każdy jest obowiązany spełnić swoje obowiązki i powinności.

Zrobię to chętnie i z przyjemnością.

Pobiegłam do sąsiadki, która mieszkała obok.

Deszcz padał od rana, dzień był słotny i niepogodny.

Do rozwlekłości przyczyniają się także określenia, które nie dodają żadnej nowej cechy do określanego pojęcia, np.

martwy kamień, bagniste moczary, jasny świt, głośny huk, przykra złośliwość, czworonogi rumak.

Takie określenia (**pleonazmy**) nie mają istotnej treści, bo kamień zawsze jest martwy, moczary bagniste i t. p.

Niekiedy wprawdzie używamy umyślnie określeń, malujących cechy nieodłączne od przedmiotu, — czynimy to wówczas, gdy pragniemy je silniej uwydatnić lub wyraźniej odmalować przedmiot np.

Ogarnął mię palący ogień.

Chcę tu zwrócić uwagę na tę nieodłączną cechę ognia.

Ukazało się jasne słońce.

Drżała na listkach kroplista rosa.

Uczulem zimny lód pod stopą.

Szmaragdowa trawa pokrywała łąki.

Czynią też styl rozwlekłym:

- a) **Zaimki osobowe**, które należy opuszczać, jeśli nie są potrzebne do dokładnego zrozumienia myśli, np.

ja napisałem list, nim poszliśmy na przechadzkę, — zamiast —
napisałem list, nim i t. d.,

co innego:

ja napisałem list, bo nikt się tego podjąć nie chciał, —
tutaj zaimek ja jest potrzebny, bo jest to wyraz, mający w zdaniu ważne znaczenie.

Już późno, ty idź do domu, — lepiej: idź do domu,

co innego:

ty idź do domu, a ja zostanę,

Najczęściej jednak używamy niepotrzebnie zaimków on, ona, ono, które należy opuszczać.

Staś przyjechał; on przywiózł promocję, bo uczy się pilnie.

Staś przyjechał, — przywiózł promocję i t. p.

co innego:

on przywiózł promocję, a młodszy bracia nie.

- b) **Zaimki dzierżawcze**: mój, twój, swój, gdzie nie zachodzi wątpliwość co do przynależności przedmiotu, np.

Czesła swoje długie włosy (nie cudze!)

Kocham swoją matkę i ojca.

Wzięłabyś się do swojej roboty.

Położyłam swój kapelusz i t. p.

- c) **Wreszcie wszelkie wyrazy niepotrzebne.**

Najwięźlejszym jest t. zw. styl **lakoniczny**. Nazwa ta pochodzi od Lakonji, greckiego państewka w starożytności, którego mieszkańcy wyrażali się zwięźle; znana jest lakoniczna odpowiedź króla Sparty Leonidasa, dana królowi perskiemu Kserksesowi, gdy ten żądał złożenia przed nim broni: — »Przyjdź i weź«.

Lakoniczne są słowa Sobieskiego o zwycięstwie pod Wiedniem: »Przybyłem, zobaczyłem, a Bóg zwyciężył«.

Ćwiczenia.

1) Wyłutnaczyć w sposób zwięzły, a jasny, dlaczego wczoraj opuściłeś lekcję.

2) Opisz zwięźle wypadek na ślizgawce, na wycieczce, na rzece, na ulicy, w tłoku, podczas pożaru, burzy.

3) Prześlij zwięźle zawiadomienie o przygotowaniach, potrzebnych do wycieczki.

4) Określ zwięźle i jasno (np. w liście do rodziców), jak stoisz pod względem przygotowania i trudności pracy z przedmiotów, wykładanych w twojej klasie.

5) Zwięźle i jasno sprawozdanie z godziny wykładu nauczyciela.

KS. J E R E M I.

... Wtem rozległy się zbrojne stąpania i weszli oficerowie książęcy — czarni, wychudli, brodaci, z pozapadanemi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy. Skłonili się w milczeniu księciu, gościom i czekali, co powie.

— Mości panowie — rzekł książę — czy konie u toków?

— Tak jest.

— Gotowe?

— Jako zawsze.

— To dobrze. Za godzinę ruszamy na Krzywonosą.

— He? — rzekł wojewoda kijowski i spojrzał ze zdziwieniem na pana Krzysztofa, podsędką braclawskiego.

A książę mówił dalej:

— Imć Poniatowski i Imć Wierszuł ruszą pierwsi. Za nimi pójdzie Baranowski z dragonją, a w godzinę żeby mi i armaty Wurcla wyszły.

Pułkownicy, skłoniwszy się, opuścili izbę — i po chwili rozległy się trąbki, grające wsiadanego. Wojewoda kijowski takiego pośpiechu się nie spodziewał, a nawet sobie nie życzył, gdyż był zmęczony i zdrożony. Liczył on na to, że z dzionek u księcia wypocznie i jeszcze zdąży — a tu przychodziło zaraz, nie śpiąc, nie jedząc, na koń siadać.

— Mości książę — rzekł — a czy zajdą żołnierze wasi do Machnówki, bo widziałem strasznie fatigati, a to droga daleka.

— Niech waszą mość o to głowa nie boli. Jak na śpiwanie idą oni na bitwę.

— Ale bo to i mój lud podrożony.

— Mówiłeś wasza mość: *periculum in mora*¹⁾.

— Tak jest, ale... my z pod Chmielnika idziemy.

¹⁾ Niebezpieczeństwo w zwłoce.

— Mości wojewodo, my z Łubniów, z Zadnieprza.

— Cały dzień byliśmy w drodze.

— My cały miesiąc.

To rzekłszy, księżę wyszedł, by osobiście szynk pochodowy sprawić.

H. Sienkiewicz.

Czy można ten styl nazwać rozwlekłym?

Z IMPROWIZACJI.

Czem jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czem jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko.

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?

Z iskry tylko.

Czem jest śmierć, co rozproszy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czem był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czem będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala:

Stwarza i zwała.

A. Mickiewicz.

Zastanówmy się chwilę, ile wielkich i głębokich myśli zawiera się w tym krótkim urywku.

M Y Ś L I.

Jeśli na obrazie jest plama czarna albo w obrazie dziura, tedy lada głupi postrzeże je; ale zalety obrazu widzi tylko znawca.

Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony. *Mickiewicz.*

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,

Że on zawsze to tylko zwykły robić, co umie.

Mickiewicz.

Muzyk zmiesza orkiestrę najlepiej dobraną,
Jeśli grając, stara się, żeby go słyszano. *Mickiewicz.*

Najwyższe nawet wykształcenie szkolne jest dopiero wstępem do
wykształcenia życiowego. *Szczepanowski*

Cokolwiek będzie siał człowiek, to też będzie żał.

Dobrze czyniąc, nie ustawajmy, albowiem czasu swego żać będziemy, nie ustawając.

A przeto póki czas mamy, czynmy dobrze wszystkim.

Św. Paweł. List do Galatów.

3. Poprawność.

Rodzice moi szukali schronienia przed nieprzyjacielem w narodzie, z którego interesem pogodziło się nasze ocalenie. Władana niedołężnym królem Francja daje przytułek niedobitkom obrońców kraju: tem zakończyła słabe usiłowania swoje w obronie Polski. Tam się urodziłem i nie powróciłem do kraju, tylko żeby być świadkiem onego zguby i do końca. Wiek mój nie pozwalał mi liczyć się naówczas między obrońcami Ojczyzny. Lecz będąc świadkiem smutnego podbicia mego kraju, utkwіło mi w pamięci, że występек dokończył nieszczęście, które od dawna przekupstwo możnych, brak oświecenia i ciemnota między nami gotowały. W tej powszechnej klęsce nie mogąc się z obcą oswoić służbą, zostawał mi tylko pobyt domowy i t. d.

Sapieha Aleksander († 1812).

(Podróż w krajach Sławiańskich).

Rozpatrzmy styl tego ustępu:

»wstępек dokończył nieszczęście«

dokończyć czego: nieszczęścia, — błąd gramatyczny (składnia),

»z którego interesem pogodziło się ocalenie kraju«

ocalenie jeszcze nie nastąpiło, więc nie mogło się pogodzić tylko gościć w zasadzie, — użycie czasownika w niewłaściwej formie, błąd gramatyczny i logiczny,

»będąc świadkiem podbicia mego kraju, utkwіło mi w pamięci«, skrócenie zdania, które nie może być skrócone, bo ma inny podmiot, — błąd gramatyczny (składnia).

To samo: »nie mogąc się z obcą pogodzić służbą, zostawał mi tylko pobyt domowy«,

»nie powróciłem do kraju, tylko żeby być świadkiem«,
zwrot obcy, francuski, przeciwny duchowi języka i czystości mowy.
To samo: »Francja władana niedołężnym królem« i t. p.

Wadliwość stylu wynika tu więc głównie z błędów gramatycznych i użycia zwrotów obcych: jest to styl niepoprawny, to znaczy niezgodny z zasadami gramatyki.

Warunkiem dobrego stylu jest **poprawność**, która niedopuszcza błędów gramatycznych.

Cwiczenie klasowe.

W następujących zdaniach wskaż błędy, wytłumacz je i popraw.

Podaj mi tą książkę.	Kupiłam dwóch zajęcy.
Lubię tą łąkę.	Mówię o synie.
Spotkałem p. Kownackę	Kilka chłopców bawiło się.
Mam trzech psów.	Sto chłopców szło parami.
Widziałem czterech koni.	Idę na Hoże ulice.

Upadło mi jabłko, ale go podniosłem.
Dziecko płakało, ale go uspokoiłem.
Dzieci się bawią, widzę ich przez okno.
Psy biegali po ogrodzie, ale ich wypędziłam.
Dzieci się gonili i śpiewali.

Prosiemy do pokoju.	Bierę dwie nożyczki.
Bawimy się dobrze.	Mamy dwa oczy.
Mówimy o was.	Dwa uszy

Przyszli państwo Adamowie (Adamowie oznacza dwóch Adamów, — państwo Adamostwo).

Wskaż, wytłumacz i popraw błędy składniowe:

Pożycz mi książkę.
Niewolno nikomu krzywdzić służącą.
Lepszy wróbel w rękę, jak cietrzew na sęku.
Szukając drogi, rozwidniło się na koniec.
Wychylając się z okna, książka wypadła mi z ręki.
Pokój do wynajęcia z wolnej ręki od tyłu.

Uwagi o poprawności.

a) Zaimek „który“ stać powinien po rzeczowniku lub zaimeku, do którego się odnosi.

np. widziałem wierzchowca brata, który ma białą strzałkę na czole.

Niejasność wynika stąd, iż zaimek który odnosi się zawsze do ostatniego rzeczownika.

W zdaniu podrzędnem zaimek który stać powinien na pierwszym miejscu.

Błędnie jest: Rzeka, fale której płynęły tak cicho —
Słońce, blask którego raził oczy i t. p.

b) Zaimek „który“ nie może powtarzać się w tem samym zdaniu złożonym, — chyba dla lepszego uwydatnienia myśli, łącząc ze zdaniem głównem kilka zdań jednorodnych.

Dobrze: Zarówno cenię tych, którzy zrobili wiele, jak tych, którzy zrobili wszystko, co mogli, choćby to było niewiele.

Źle: Bliżej poznałem kolegów, z którymi wspólnie odbyłem wycieczkę, która przyniosła nam tyle korzyści.

Powtarzający się zaimek który można zastąpić:

zaimkiem co: np. Odro graniczna, Odro prześliczna, co płyniesz Piastów krajem.

skracać zdanie: np. ujrzałem wreszcie kamień, będący dawniej celem mych wycieczek.

albo wreszcie inaczej układając zdanie: bliżej poznałem kolegów, towarzyszków wspólnej wycieczki, która przyniosła nam tyle korzyści.

c) Należy także rozróżnić zaimki: „który“ i „jaki“; który odnosi się do osób lub rzeczy, — jaki — do własności osób lub rzeczy.

co innego znaczy: napisałem list, który poleciłeś mi napisać,

a — napisałem list, jaki poleciłeś mi napisać,

list, który poleciłeś, znaczy: ten, który poleciłeś,

list jaki poleciłeś, znaczy: taki napisałem, jaki poleciłeś.

Tak samo:

Rozległ się krzyk, jaki pierś ludzka raz tylko wydać może, —
rozległ się krzyk, który mię przeraził.

d) Wogóle sprzeciwia się poprawności powtarzanie tych samych wyrazów i dźwięków:

1. Najczęściej powtarzamy czasownik **być** w czasie przeszłym lub teraźniejszym, np.

Wszystko było w porządku i nie było potrzeby zabierać się do nowych przygotowań.

Adaś jest obowiązkowy, a przytem jest bardzo uczynny.

Oto są utwory, które są umieszczone w tem dziełku.

2. Równie często powtarzamy zaimek **się** np.

Ona chciała się cofnąć, lecz potknęła się i nie zdążyła usunąć się na czas.

Jeżeli mamy dwa czasowniki zaimkowe lub zwrotne obok siebie, to zwykle jedno się możemy opuścić, np.

Ona potknęła się, zachwiała i nie zdążyła cofnąć przed nadjeżdżającym powozem.

3. **powtarzanie tych samych dźwięków:**

w wyrazach pokrewnych, pochodzących od jednego pierwiastku:

wojownik wojował na wojnie,
uczeń uczy się różnych nauk,
sędzia wezwał do sądu podsądnego.

w końcówkach, — na początku wyrazów, — w środku:

polubiłem słabowitego, ale pilnego i zacnego chłopca,
spotkałem się z twoimi dobrymi przyjaciółmi,
z tej zbytnej troskliwości wynikało wiele niedogodności,
weszliśmy do ogrodu, minęliśmy długą aleję i stanęliśmy przed
gankiem,
kochają ją.

Przestań się przeglądać w przezroczystej wodzie,
przebyliśmy przestrzeń, przeznaczoną na przechadzkę,
przyszedłem oddać ci przysługę,
poznałem posła po postaci,
na kogo teraz kolej kołysać kołyskę,

Nie uwierzyłbym, że tak mię rozrzewni to zdarzenie,
przez chwilę tylko kilka motylków bujało w świetle,
mali milusińscy liczyli maliny,
dokoła kołysały się kłosa.

e) **Umieszczanie jednozgłoskowych nieakcentowanych wyrazów na końcu zdania:**

źle: pomimo tylu przeszkód, spotkaliśmy się,

dobrze: spotkaliśmy się, mimo tylu przeszkód,
pomimo tylu przeszkód, spotkaliśmy się przecież,

źle: nikt nie wiedział, że znam go,
spieszyliśmy, aby powitać się.

f) **Rymy**, właściwe mowie wiązanej:

ponad łąkami unosiło się ptactwo stadami.
kiedy zjechali się goście, ponieważ było to w poście, gospodyni
zatroszczyła się bardzo, czem ich przyjmie.
wreszcie całe zgromadzenie wyraziło nam życzenie upamiętnie-
nia tego zdarzenia.

g) **Złe zastosowanie znaków przestankowych:**

wytrwać należy, — ustąpić mamy czas.
wytrwać? — należy ustąpić, — mamy czas.

Widzimy, że znaki przestankowe mogą zupełnie zmienić treść zdania.

4. Czystość.

(Z »*Przygód Doświadczynskiego*«).

Wkrótce po tej konwersacji odebrałem wiadomość o śmierci matki mojej. Mimo naturalną z przyszłej swobody satysfakcję, uczulem żal prawdziwy z tej straty. Uśmierzył się z czasem, a natychmiast snować się w imaginacji poczęły rozmaite projekta. Podróż do cudzych krajów największą we mnie czuła impresję. Jakoż nie wyjeżdżając z Warszawy, uczyniłem wszystkie dyspozycje i przygotowania do drogi. Nowy mój mentor ułożył plantę przyszłej mojej peregrynacji, a gdy widziałem go nieco pomieszanym, przyznał mi się, iż przymuszony był szukać kredytu na 500 czerwonych złotych. Ofiarowałem mu natychmiast swoje usługi i chcąc pokazać wspaniałość animuszu, wyliczyłem 1000 bez karty i prowizji.

I. Krasicki. (XVIII w.)

Czy kto dziś jeszcze pisze takim stylem? Jakiego języka wpływ tutaj widzimy? Wybierz wyrazy i zwroty obce i zastąp je polskimi.

Wszelkie obce wyrazy i zwroty w języku polskim nazywamy **barbaryzmami**.

Barbaryzmy , pochodzące z łaciny,	nazywamy latynizmami ,
» » z francuskiego	» galicyzmami ,
» » z niemieckiego	» germanizmami ,
» » z rosyjskiego	» rusycyzmami .

PLEBEI.

(Chłopi).

Nie należałoby podobno *inter materias status* ¹⁾ mieszać pospółstwo, ponieważ *non componunt* ²⁾ Rzplitej naszej żadnego stanu, ani wchodzą w żadne rady, oprócz miast pruskich, tak jako u inszych państw wolno się rządzących. I lubo w takiej są u nas wzgardzie, to *opprobrium hominum et objectio plebis* ³⁾, że i wspomnienia niegodni, ja ich bynajmniej nie mogę lekceważyć.

Bo cóż czyni fortuny i substancje ⁴⁾ wasze, jeżeli nie plebei, prawdziwi nasi chlebowodawcy, kiedy grzebią dla nas ustawicznie w ziemi, skarbów dobywając, z ich roboty nasze dostatki, z ich pracy obfitość państwa, z ich handlu *commercia* ⁵⁾, z ich roboty nasze wygody.

St. Leszczyński. (XVIII w.)

W poprzednim wyjątku mieliśmy barbaryzmy po większej części spolszczone, tutaj mowa przeplatana jest niespolszczonemi zwrotami i wyrazami łacińskimi, czyli **makaronizmami**.

Czy taki styl możemy nazwać czystym?

ROZMOWA STAROŚCINY Z MEŻEM.

(Z »Powrotu posła«).

Starosta. Nie chcesz się czem rozerwać? Siedzisz sama jedna?

Starościna. Lubię sobie przez okno patrzeć na naturę,
Szarmancki robił ze mną maleńką lekturę;
Tout à fait garçon brave i pełen tandresy,
Vraiment, bardziej od innych wart panny Teresy;
Nie refiużuj mu dłużej.

Starosta. A jakże? to o posąg przykrzyć się nie będzie?

Starościna. *Jamais!* On sobie w małej kabance osiedzie,
Na zielonym ryważu jasnego strumyka.
Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika.
A quoi bon les richesses? W cichej solitudzie
Żyć będą, nie zważając, co powiedzą ludzie.

¹⁾ Do spraw politycznych. ²⁾ nie stanowią. ³⁾ hańba ludzkości i wyrzutki ludu. ⁴⁾ majątności. ⁵⁾ zarobki.

Des fruits, du lait to ich będzie pożywienie,
Łzy radosne napojem, pokarmem westchnienie,
J. U. Niemcewicz.

Wybierz stąd galicyzmy i wytłumacz je.

Kochany siostrzeńcze.

Tyś już duży i liczysz się za dorosłego... Skończyłeś szkoły z nagrodą, co ci chwałę, i powinieneś być rozsądny. Ja pojmuję twoją chęć postąpienia do Akademji, ale u nas w kraju dużo jest uczonych durniów, niegodnych zapracować sobie kawałka chleba. Każdy naród jak i każdy człowiek dłużen przedewszystkiem dbać o swe pożywienie. Prócz tego ty masz starą matkę. Kiedy ukończysz Akademię, ona zupełnie zgrzybieje — przecie nie posadzisz ją do ochrony. Tymczasem ona ci będzie przeszkadzać jeździć po świecie i iskać miejsca. Tak więc ja przekładam tobie, żebyś ty lepiej jechał teraz do Chin.

Naszej firmie potrzebny jest młody, nauczony człowiek i któryby znał po chińsku. Gotowa ona zapłacić sama za naukę. Naznacza na to rok czasu i tysiąc rubli złotem. Nauczając się będziesz w Pekinie, gdzie lżej o nauczyciela. Takim sposobem nie tylko zabezpieczysz matkę, ale możesz cokolwiek odłożyć. A z czasem otrzymasz przydatek. Kiedy uzbierasz sumkę, wszyscy wrócimy zasłużenie do kraju. Potemu, że kraj biedny, i do kraju wnosić trzeba pieniądze, żeby mu być pomocą, a nie w ciężar. Bądź przyłeczny, pracowity, oszczędny, a głównie spełniaj swój dług wesoło i dokładnie, jak możesz ze wszystkich sił, a ostatek przyjdzie sam. Już ty wierz mi staremu! Przełożeni, gdy będą widzieli twoje staranie, będą cię odznaczali, i wyrośniesz na dzielnowo człowieka, co sobie w kaszę dąć nie pozwoli i wszędzie się znajdzie.

Bywaj zdrów. Mamie rączki ucałuj. Niech się nie troska. Jesteś chłopak, a chłopcy zawsze się po świecie blakają. Czy to nasza matka pokojnica myślała, że ja będę siedział w Kiachcie i targował herbatą! Bądźże dobrego usposobienia. Nic się nie dzieje bez woli Boga.

Obejmuję was, rozpołożony ku wam T. S.

W. Sieroszewski.

Ćwiczenie: Wybrać rusycyzmy i poprawić je na lëkcji ustnie.

Barbaryzmy psują czystość mowy.

Czystość polega na unikaniu zwrotów i wyrazów obcych.

Czy pięknie brzmi nasz język, skażony barbaryzmami? Latynizmy nas rażą, galicyzmy o wiele mniej są rozpowszechnione, niż na początku XIX w.; germanizmy głównie w prowincjach zachodnich, — u nas — rusycyzmy. Musimy też największą zwrócić na nie uwagę, chcąc mówić czysto i poprawnie.

Następujące zdania napisz czysto i poprawnie:

Rusycyzmy ¹⁾.

Sędzia d o k a z a ł, że obwiniony popełnił zbrodnię (zam. dowiódł).

M i e s z a ć komu (zam. przeszkadzać).

N a n i e ś ć komu krzywdę, szkodę (zam. wyrządzić).

O b w i n i ć kogo w czem (zam. o co).

O d k a z a ł mu się w p o m o c y (odmówił mu pomocy)).

P o s t a p i ł do wojska (zam. wstąpił...).

O d m ó w i ł się od lekcji (wymówił się) od grania.

O d p r a w i ł się w podróż (udał się, wyruszył...).

P r z y c z y n i ć komu krzywdę, radość i t. p. (wyrządzić komu krzywdę, sprawić radość). *Krasnowolski.*

S ł u ż y ć p r z y k ł a d e m (zam. za przykład).

W s t ą ż k a stosowna dla kapelusza (zam. do kapelusza).

K s i ą ż k a dla użytku szkolnego (zam. do użytku).

U ż y w a m y spirytusu dla palenia (zam. do palenia).

M i ę s o niezdatne dla jedzenia (zam. do jedzenia).

O b j a w i o n o wojnę (zam. wydano...).

O k a z a ł mu dobrodziejstwo (zam. wyświadczył).

Z a k a z a ł e m wszystkie dzieła Mickiewicza (zam. zamówiłem).

O d p u ś c i ć kogo ze służby (zam. uwolnić).

P e ł e n kurs nauk (zam. całkowity).

P o ż y c z y ł u mnie parasola (zam. ode mnie).

M ó w i ć n a polskim języku (zam. po polsku).

W y j e d z i e m y n a dniach (zam. w tych dniach).

W y ż s z y n a palec, n a włos (zam. o palec i t. p.).

J e s t n a tyle rozsądny, że... (zam. o tyle).

P o ś l a ć z a doktorem (zam. po doktora).

B u r k a z a m i e n i a ł a m u kołdrę (zam. zastępowała).

¹⁾ Krasnowolski: Składnia języka polskiego. Słowniczek frazeologiczny. Najpospolitsze błędy językowe.

Sędzia mówił w korzyść obwinionego (zam. na korzyść).

Sledzić za postępem nauk (zam. postęp nauki).

U mnie jest papier (zam. mam papier).

Ja czytam (zam. czytam).

Wszystko, z wyjątkiem (zam. z wyjątkiem).

Wieża, wysokość której (zam. której wysokość).

Coby nie było (zam. cokolwiekby się stało).

Kogo nie zapytam (zam. kogokolwiek zapytam).

Ja jego poproszę (zam. ja go poproszę).

Ja jemu daruję (zam. ja mu daruję).

Przyjąć udział w zabawie (zam. wziąć udział).

Zważył w twe dobre chęci (zam. o twych dobrych chęciach).

Czekam za bratem (zam. na brata).

Idę za sprawunkami (zam. po sprawunki).

Rusycyzmy rozpowszechnione na Litwie: grable (grabie), kartofla, ta piec, kaczać (huścić), kocić (toczyć), karabkać się (wdzierać się z wysiłkiem), kosy (krzywy), kutać (otulać), myć (prać), odkryć (otworzyć np. uniwersytet), zakryć (zamknąć), peckać się (brukać się, walać), przyjąć ze stołu (sprzątnąć), uspieć (zdążyć) i t. p.

Popraw następujące galicyzmy ¹⁾.

Mam ból głowy (głowa mnie boli).

To był Jaś, który zbił lampę. (To Jaś zbił...)

Ten młody człowiek jest bardzo dobrze (ten młodzieniec ma dobre ułożenie).

Znajduję, że powinienś więcej pracować. (Uważam, że...)

Znalazłem już moje rękawiczki.

To silniejsze ode mnie (to nad moje siły).

Napisz do mnie przez pocztę (pocztą).

Byłam bardzo pochlebiona. (Bardzo mi to pochwalało).

Zabierz miejsce (usiądź).

Ojciec jest lepiej (ma się...)

Pó chorobie nie wolno mu brać udział w zebraniach (udziału).

Objaśnij i popraw następujące germanizmy ¹⁾.

To jest żaden uczeń (nie jest uczeń).

To jest żaden talent (on nie ma wcale talentu).

Na żaden sposób nie mogę (wcale nie mogę).

¹⁾ ¹⁾ Stylistyka Chmielowskiego.

Jak jesteś stary? (ile masz lat).
 To ma jeszcze czas (jeszcze na to czas).
 To mi daje do myślenia (nad tem warto (muszę) pomyśleć).
 To leży na dłoni (to jasne).
 To jest dla mnie w pierwszej linii (najważniejsze).
 Co pod tem rozumiesz? (przez to).
 Ja sobie z tego nic nie robię (to mię nie obchodzi).
 Co ja za to mogę? ja za to nie mogę (cóż ja na to poradzę).
 Trzymam cię za słowo (polegam na twojem słowie).
 Nie jestem w stanie (nie mogę).
 On potrzebuje się uczyć (musi się uczyć).
 Potrzebuję panu powiedzieć (muszę powiedzieć, powinienem).
 Już ubieram buciki (kładę buciki).
 Ona ubiera woalkę (kładzie woalkę).

Czy nie należy nigdy używać zwrotów obcych?

Niemcewicz i Sierószewski w powyższych przykładach umyślnie używają galicyzmów i rusycyzmów, ażeby oddać wiernie styl osób, o których piszą. W tym wypadku używanie barbaryzmów jest potrzebne.

Mamy też w mowie naszej wiele wyrazów obcych, których unikać ani spolszczać nie należy, gdyż stanowią one jakby wspólną własność wszystkich cywilizowanych narodów, ułatwiając porozumienie czy to w kwestjach naukowych czy praktycznych.

Dó takich wyrazów należą: terminy naukowe, nazwy nowych wynalazków, narzędzi i t. p. np.

matematyka	dramat	fortepian
algebra	tragedja	telegraf
geografia	ballada	telefon
fizyka	sonet	gramofon
psychologia i t. p.	poezja i t. p.	fonograf i t. p.

wreszcie wyrazy, oznaczające nazwy urzędów, urządzeń lub stosunków państwowo-społecznych, właściwych danej epoce lub narodowi np.

konsul	ratyfikacja	polityka
kwestor	okupacja	dypłomacja
edyl	indygenat	amnestja i t. p.

inne wyrazy obce zostały tak spolszczone, że ich pochodzenia już nie odczuwamy np.

ołtarz	kapłan	jagnię
msza	kościół	ślusarz
klasztór	anioł	biurko

Wyrazy te stanowią dzisiaj część naszego języka i nie sprzeciwiają się jego czystości.

Zwroty obce są szkodliwe nie tylko dlatego, że dla wielu jednostek są niezrozumiałe, więc sprzeciwiają się jasności stylu, — ale tamują i paczą naturalny rozwój języka, zacierają właściwe mu piękności i zmieniają jego charakter.

Nie tylko bowiem człowiek, lecz i jednostka zbiorowa: naród — ma swój własny charakter, swoją indywidualność, uwydatniającą się wyraźnie w stylu. Ktokolwiek zna języki, musiał zauważyć, iż styl francuski jest przeważnie żywy, niemiecki poważny, angielski odznacza się prostotą, wschodni bogactwem porównań, płynącym z bogactwa wyobraźni i t. p.

Każdy ma swój charakter, swego ducha. Bronić czystości języka to znaczy: zachowywać jego właściwy charakter.

Skąd się wzięły w naszym języku wyrazy obce.

Język narodu cywilizowanego nie może być zupełnie wolny od wpływu języków obcych, ponieważ w ciągłym stosunku z innymi narodami ludzie poznają i przejmują od nich nowe przedmioty i pojęcia, a wraz z nimi ich nazwy.

I język polski w ciągu swojego rozwoju podlegał coraz innym wpływom, których ślady w nim znajdujemy.

Nie znamy stanu naszego języka przed przyjęciem chrześcijaństwa; religja rzymsko-katolicka wraz z cywilizacją Zachodu przyniosła nam łaćcinę t. j. wyrazy, formy i zwroty łacińskie. Były to nazwy pojęć, godności, urzędów i przedmiotów, przedtem nieznanych w naszym kraju. Spolszczyły się one z czasem, a nawet zatraciły łacińskie brzmienie.

Do takich wyrazów należą:

Anioł — angelos	hostja	kapłan
Krzyż — crux	brewjars	mnich
ołtarz — altare	stula	klasztor
jagnię — agnus	relikwia	pastorał
kasztelan — castellum	kościół	papież i t. p.

napady tatarskie zostawiły nam inne wyrazy:

chan	kurhan	kajdany
horda	jasyr	kańczug
haracz	nahajka	kulbaka

Kolonizacja niemiecka, która zaczęła się w XIII w. i wytworzyła później stan mieszczański, rzemiosła i handel — pozostawiła również wielki zasób wyrazów, odnoszących się głównie do narzędzi pracy i tech-

nicznych nazw czynności, a także sprzętów i przedmiotów domowego użytku np.

lichtarz	obcegi	szlifierz
flaszka	śruba	ślusarz
szlafrok	cyrkiel	dekarz
szlafmyca	rajsbret	burmistrz
pantofel	hebel	ratusz
szuwaks	rygiel	szpicruta

Turcy dali nam:

sultan	harem	kindżał
wezyr	meczet	dzirył
janczar	minaret	sandał
bisurman	dywan	sorbet
seraj	otomana	turban

i wiele nazw drogich kamieni: turkus, rubin, szmaragd i t. p.

Wpływ francuski rozpoczął się wyraźnie od czasów Walezjusza, a następnie za pośrednictwem królowych Marji Ludwiki, Marji Kazimiery, Leszczyńskiego i jego córki, oraz Stanisława Poniatowskiego utrwalił na czas dłuższy. Wyrazy francuskie odnoszą się głównie do mody, elegancji, życia salonowego i dworskiego, — do nich należą:

salon	biżuterja	pejżaż
szezlong	portjera	prezent
kozetka	froter	iluzja
toaleta	fotel	woalka
żardinierka	perfumy	girlanda
etażerka	danser	puder
buduar	fryzjer	kontredans i t. p.

Oddziaływanie języków obcych na polski zaznacza się wyraźnie i dzisiaj, tak w Galicji, jak w Poznańskim i w Królestwie, i to w sposób ujemny. Każda z tych dzielnic innym podlega wpływom i różni się językiem, nietylko w utworach literackich, ile w mowie potocznej. W Galicji i w Poznańskim rozpanoszyły się germanizmy, królewiaczy najsiłniej podlegają rusycyzmom.

GWARA.

GAZDA HALNY.

(Na tle gwary podhalańskiej).

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało; bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem,

pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkse gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek ¹⁾ owiec, co się mu pasł w Małolące, nie, ino to były te góry, ten smreckowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli albo o bydle radził, tylko ciągiem: co się ta we Wiérchcichej, a co się tam w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do światu; noc była jasna, miesiąc wyszedł z za Koszytej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnią i pyta się Jędrzeja: Ze poco ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędrək?

A on mu odpowiedział:

— Bo jo jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej, miły mocny Boże! Jako się im téz ta bez zime gazdowało przeze mnie?! Kosodrzewiny popod Wołosyn cy téz przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyną weselić.

Obudził się, chłodny wiatér ku ranu; przejaśniła się noc, tylko w Kościelcu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupaje ²⁾ do przełęczy, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wiérchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od lodowego przebiela, różeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, cichučki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pół z poza turni ³⁾ i pyta się: Ze poco ześ ty haw prziseł, Jędrək, tak rano?

A on mu odpowiedział:

¹⁾ kierdel owiec — stado. ²⁾ Stopnie. ³⁾ Najwyższe skały, już bez roślinności.

— Bo jo jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom.

Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarzniony.

— Nie tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw się czerni między skały.

— Stowecku! Stowecku! — woła Jędrzej. — Tuś?!

A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witojcie! Nie było was téz downo!

— Jakoz ci się ta drzémało pod lode? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak się mi śniło, co syćko bedzie zielone.

— Ej, tak, i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, ze ci ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nowonniejszy kwiat! — mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej: rozwidniło się, świetleje po niebie; słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocieplał wiatr.

Bedzie jehał śnieg — myśli se Jędrzej.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się Jędrzejowi gardło ścisnęło i lży mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej, gazdostwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, ogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som téz!

A Sikława huczy mu, wali się grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

— Wody mom dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomacał.

— Pięknie zrosła. Nagodził Bóg urodzaj, nima co pedzieć — mówi. — Wiaterek wiał, oduhował, toz to rosło, jak żyto. Ino by trza ten śnieg pouprzątać dolinami, ale to się tak wartko robi z wiesnom. Turnie się juz téz pozwydobywały kielo telo ze śniegu, śmiejom się do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzy, wszystko jego: tu wody, tam góry; świecą

mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwo objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogatyk jest — rzekł. — Tu mi się w Pięcistawak, dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu, na Spiglasowe Pérci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierziało, że się go bały.

— Djabłaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Dy wom nic złego nie robiem, cegoz mi się boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. Tak, jako zające w kápuście! — pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przezłociły się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się wokrag, co jaze cud, radość!

— Hej! grajom téz wody do słonka! Ciepło im, ciesom się — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na pérci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, telo na niej farby, jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się zażółciły popod Krzyżne. Gdzie już pierwéj stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna, a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklane. Jakisi idzie młody dech dolinom, jaze duch w cłowieku rośnie!

Takie to było prześlicne Jędrzejowe gazdowstwo...

K. Tetmajer.

PRÓBKA GWARY KRAKOWIAKÓW.

Był se pán i miał córke; ozenił sie z gdowom, no i ta gdowa miała znowu córke. Jak jechali kaj, to te pasierbice brali ze sobom. Zajechali do króla, tam sie bawili, pili, hulali, a tam był królewic i miał sie zenić z tom córkom. A ta druga córka chodzi po ogrodzie i płace, bo jo ostawili, zeby pilnowała gadziny¹⁾. Płace, a tu przyszła Pani²⁾ i pyta ji

¹⁾ Zwierzęta domowe. ²⁾ Matka Boska.

sie: — Cego płaces? — A płace, bo ociec pojechał i wzion tamte. — A ty chcesz jechać? A ino — tak ta peda, ze chce... i t. d.

Wisła, tom VI, 1892.

Wskaż wyrazy i formy odmienne od używanych w języku literackim.

Gwara.

Jakim językiem napisany jest *Gazda halny*?

Niektóre ustępy pisane są t. zw. stylem literackim t. j. językiem ludzi wykształconych, inne — mową czyli gwara górali tatrzańskich t. zw. gwara podhalańską.

Czy gwara różni się bardzo od języka literackiego?

Porównaj gwara podhalańską i krakowską; — jeszcze inna będzie gwara wielkopolska, śląska, mazurska i t. p.

Widzimy więc, że język ludu jest bardzo rozmaity i bardzo odrębny w różnych okolicach kraju; natomiast mowa ludzi wykształconych czyli język literacki dla całego kraju jest jeden.

Jakim sposobem powstał język literacki? z jakiego materiału czerpał dalszy rozwój?

Odczytując dawne zabytki naszej literatury, widzimy, iż powstał on przeważnie z narzecza małopolskiego, udoskonalonego w ciągu kilku wieków przez życie polityczne, ruch reformatorski i wielkich pisarzy. W ich ustach i pod ich piórem język wyrabiał się, ustalał pewne formy, odrzucał inne, zdobywał i tworzył nowe wyrazy i zwroty, bogacił się, doskonalił i szlachetniał. Zastosowany w najrozmaitszych kierunkach do potrzeb rządu, rozwijał się bardzo wszechstronnie i wkrótce stał się mową wszystkich wykształconych Polaków.

Gwara zatem jest materiałem, z którego język żywy czerpie bezustannie; jest ona jakby ruda, z której wytapiamy rodzime pierwiastki mowy ojczystej.

Z gwary czerpiemy ciągle te pierwiastki, które nasz język rozwija i bogaca, niekażdy jednak może i umie z niej korzystać, — potrzeba na to znać ją doskonale, rozumieć i odczuwać, trzeba mową ojczystą władać znakomicie, trzeba być mistrzem słowa.

To zjawisko możemy i dziś widzieć sami, czytając utwory pisarzy, którzy roztaczają przed nami niewyczerpane bogactwo piękności gwary ludowej, stosując ją już to we właściwej formie, jak w *Gazdzie halnym*, już zmienioną prawem twórczości autorskiej. Do takich autorów należą: Reymont, Tetmajer, Orkan, Wyspiański i inni.

Oto przykład gwary, zużytkowanej w utworze literackim.

TANIEC MAZOWIECKI.

(Na tle gwary mazowieckiej).

Znagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko

i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przykłonieniem zagnał zawijał, to trzających po izbie się nosił szeroko od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siarczyscie i tan wiódł zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować, i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion pełnych różnobarwnej wełny wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiła coraz prędzej, wścieklej, zapamiętałej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzecem srebrem wskroś ciemności i wskroś wirującej gęstwy ludzkiej, co nadpływała spienioną, rozśpiewaną falą, migotała i kłębiła się w tych brzaskach, jako w sennem widzeniu, i przepadała w émie nieprzeniknionej, by się znowu wynurzyć i zamajaczyć na mgnienie przed drugą ścianą, na której tknięte światłem szkła obrazów pryskały i mżyły ogniami, i przewalić się i stoczyć w noc, że tylko ciężkie dychanie, łupoty, krzyki rwały się, plątały i huczały głucho w osłepłej izbie.

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym, bez przerwy ni przestanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił zagnał, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy, jak huragan; trzask hołubców rozlegał się jak, bicie piorunów, krzyk ochotny trząsł całym domem, i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój na śmierć i życie.

I tańcowali!

...Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące, ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwemi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli; pełne weselnej gędźby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów ucieszonych, przegonów i waru krwi młodej, kochania pragnącej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie, niby te równie nieobjęte przyciężkie, a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne

godne a zabijackie, i nieustępliwe, jako te chłopcy, co zwarci w kupę, niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach rozniesć i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubce bić i ostro, po mazursku pokrzykiwać: »dana, dana!«

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekle, oszalałe, zawiadające a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwi ognistej tętniące, a dobrości pełne i kochania, jako chmura gradowa zagnała spadające, a pełne głosów serdecznych, pełne modrych patrzyń, wiosnianych technień, woniejących poszumów, okwietnych sadów; jako te pola o wiosnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie, i serce śpiewa radością, i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca i »oj da dana!« przyśpiewuje.

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami.

Bo tak ano chłopski naród się weseli w przygodny czas.

Takoż się zabawiali na weselu Jagusinem z Boryną!

Godziny biegly za godzinami i przepadały niepamiętnie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznym zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało ne wschodzie, i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladyły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzędące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa, i coraz niżej chyliły oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańcował!

Jakoby łąki i żniwne pola, i sady rozkwitłe zeszły się na gody i porwane wichurą, poszły spodem w długi, zawrotny, ognisty korowód!

Wywarli drzwi na rozścież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko, ujęło się w bary, zwiło w kłęb, splątało, i pijane, oślepte, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym

szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Muzyka to ich wiedła, to granie, te piosneczki...

...Basy pohukiwały do taktu i buczały drgający, niby bąki, a flet wiódł wtór i pogwizdywał wesoło, świegotał, figle czynił, jakby na sprzeciw bębenkowi, któren ucieszny wyskakiwał, brzękadłami wrzaskliwość niecił, baraszkował i trząsł się, jako żydowska broda na wietrze, a skrzypice wiedły, szły na przedzie, niby ta najlepsza tanecznica, śpiewały zrazu mocno a górnio, jakby głosu próbowały, a potem jeły zawodzić szeroko, przenikliwie, smutnie, kieby rozstajami płacze sieroce kwiliły, aż zakręciły w miejscu i spadły z nagłą, nutą krótką, migotliwą, ostrą, jakby sto par trzasnęło hołubcami, i sto chłopca zakrzykało z pełnej piersi, aż dech zapierało, i dreszcz szedł po skórze, i wnet jeły kołować, pośpiewywać, zawracać, drobić, przeskakiwać, a śmiać się i weselić, że ciepło do serca szło i ochota do łbów biła, kiej gorzalka... to znowu śpiewały tą nutą ciągliwą, żalosną i płakaniem kiej rosą osutą; tą nutą naszą, kochaną, serdeczną, pijaną mocą wielką i kochaniem, i wiedły w tan ostry, zapamiętały, mazowiecki.

Wł. St. Reymont.

Objasnić wyrażenia gwarowe.

Prowincjonalizmy.

Jakkolwiek uważamy gwarę za żywe źródło, z którego język czerpie siłę i bogactwo, korzystać z niej należy umiejętnie, aby nie szpecić mowy źle i nie trafnie dobranymi wyrazami.

Z gwary bowiem pochodzą t. zw. *prowincjonalizmy* t. j. wyrazy, używane w jednej tylko prowincji, a poza nią niezrozumiałe i do języka literackiego nie przyjęte, ponieważ nie mają dla niego wartości.

Do takich *prowincjonalizmów* należą np. *pyrka* (ziemniak), *drewnutnia* (drwalnia), *makutra* (donica), *ryczka* (gryka), *życzka* (czzerwona tasiemka), *uroda* (wzrost) i t. p.

O ile wśród *prowincjonalizmów* spotykamy wyrazy piękne, malownicze, używamy ich w języku literackim; wtedy tracą one jednak charakter *prowincjonalizmów*, np. piękny i zrozumiały wyraz *ziemniak*, który powinien zastąpić *kartofel*, — nie można tego samego powiedzieć o wyrazie: *pyrka*.

Wprowadzanie gwary i *prowincjonalizmów* do języka literackiego jest wogóle właściwe wówczas, gdy autor maluje ludzi danej prowincji np. Podhalanie w utworach Tetmajera zupełnie słusznie mówią gwarą pod-

halańską, a chłopci Reymonta — mazowiecką. Do języka literackiego przechodzą tylko pojedyncze zwroty i wyrazy — stopniowo, pod wpływem znakomitych pisarzy, którzy na rozwój mowy ojczystej mieli zawsze i mieć będą wpływ największy.

NASZ MAŁY.

(Wyjętek).

— Słuchaj, Waluś, czy ty pamiętasz tę paniusię garbatą z ochrony?

— Oj, oj!

— Wiesz ty co, zaprowadź ty do niej Karolka, żeby go przyjęła do ochrony.

— A klawo!

— Kiedyż więc to zrobisz?

— To trzeba rano. Wpadnę jutro o 7-ej. Niech tylko brzdąc będzie umyty.

Nazajutrz stawił się na umówioną godzinę i zaraz zawołał:

— No, brzdącu! Walać!

Byłem trochę w obawie, żeby jego zuchwałość nie popsuła sprawy Karolka.

— Słuchajno, Waluś...

— Co?

— Ty — uważasz — ty — pocałuj panienkę w rękę.

— Idź, frajerze! Co ja tam będę kogo po łapach lizać!

— Widzisz, Waluś — bo paniusia, widzisz — będzie dla Karolka lepsza.

— Yy! odknaj z takim gdakaniem!

W. Kosiakiewicz.

Używane w tym utworze wyrażenia nie są gwara, jest to **żargon**, zepsuty język ludności miejskiej, składający się z wyrazów najróżnorodniejszego pochodzenia, zmienionych i poprzekręcanych umyślnie.

Właściwy żargon wytwarzają najniższe warstwy ludności, po części dlatego, aby się porozumiewać w sposób niezrozumiały dla ogółu, do którego się odnoszą z nieufnością, — po części mimowolnie, kalecząc i przekręcając wyrazy przez złe wymawianie.

Ucząca się młodzież wytwarza też niekiedy rodzaj żargonu dla żartu i przez lekkomyślność, nie zdając sobie sprawy, iż szpeci tym sposobem mowę ojczystą. W klasach niższych jest to rzecz łatwa do wyba-

czenia, starsi uczniowie jednak powinni pod tym względem zwracać baczną na siebie uwagę.

Do żargonu należą takie wyrazy jak: rypać, frajer, frajda, szpas, drynda, sałata, dryndziarz, fajtlapa, ćpać, mieć stracha, dać nogę i t. p.

Wskaż różnice między gwara a żargonem.

POD ZAMOŚCIEM.

Z murów Zamościa patrzano na zbliżające się pułki szwedzkie, które otaczały miasto. Nakoniec od zbitych tłumów oderwało się kilku jeźdźców. Wpół drogi powsadzali białe chusty na miecze i poczęli niemi powiewać.

— Poselstwo — rzekł Zagłoba. — Widziałem, jak do Birzów złodzieje przyjechali z taką samą fantazją, i wiadomo, co z tego wypadło.

— Zamość nie Birże, a jam nie wojewoda wileński! ¹⁾ — odparł pan starosta.

Tymczasem oficer służbowy oznajmił, iż pan Sapieha przybył się rozmówić w imieniu króla szwedzkiego.

— Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada — odparł starosta dumnie. — Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda przyśle, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwo odprawują, gdyż porównie nimi gardzę!

— Jak mi Bóg miły, to respons! — zawołał z niekłamanym zapalem Zagłoba. — Pozwól mi, wasza dostojność, niech mu sam ten respons odniosę.

Jakoż w pół godziny później Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się zwolna, i generał wjechał do twierdzy wśród spokoju i powagi.

Przebiegły Szwed odrazu zaczął traktować starostę, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał.

— Wasza książęca mość — mówił — najjaśniejszy król szwedzki (i tu długo wyliczał tytuły) nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc, w gościnę przyjechał, mając niepłonną nadzieję, że w. k. m. dla osoby jego i wojsk bramy otworzyć zechcesz.

¹⁾ Wojewoda wileński, Janusz Radziwiłł, zdradził króla i poddał Litwę Szwedom.

— Nie masz tu u nas zwyczaju — odpowiedział pan Zamoyski — aby komu gościnności odmawiać. Znajdzie się zawsze miejsce przy stole, a nawet dla tak dostojnej osoby — pierwsze. Ale że, jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać.

— Dobrze! — szepnął stojący tuż za plecyma pana starosty Zagłoba.

Forgell przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł.

— Największy to byłby dowód nieufności, gdybyś w. ks. m. nie chciał wpuścić załogi króla, który tu przybył jedynie w tym celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście, a wolność obywatelom tej prześwieatnej Rzplitej zapewnić.

— Djabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni — szepnął Zagłoba.

— Ażeby jednak wojna prędki koniec wziąć mogła — ciągnął dalej Forgell — potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie czasowe zajęcie tej twierdzy. Od ciebie zatem, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Król ufa, że niepowszednia twa mądrość na równi z sercem do tego cię skłonią; — dlatego rozkazywać nie chce, woli prosić, przyjaźń ofiaruje, — nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu generał Forgell skłonił się staroście z takim uszanowaniem, jakby udzielnemu monarsze, i umilkł. Starosta oparł dłonie na kolanach i rzucając głową jak narowity koń, tak począł.

Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie o moim dowcipie i afektach dla ojczyzny. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność zostawała sobie w Sztokholmie, a ja w Zamościu, co? Bardzo wierzę, iż Zamość mógłby się jego szwedzkiej jasności do wiktoryi przydać, ale ja nie jego szwedzkiej mości, jeno Janowi Kazimierzowi przysięgałem i dlatego Zamościa nie dam! Ot, co!

— To mi polityka! — huknął Zagłoba.

Spostrzegł Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pargamin z pieczęciami, na który

nikt dotąd nie zwracał uwagi, i powstawszy, rzekł uroczystym, dobitnym głosem.

— Za otwarcie bram twierdzy jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje w. ks. m. województwo lubelskie w dziedziczne władanie.

Słyszając to, zdumieli się wszyscy, zdumiał na chwilę i pan starosta.

Już Forgell począł toczyć tryumfującym wzrokiem, gdy wśród ciszy głuchej ozwał się nagle po polsku stojący tuż za starostą Zagłoba.

— Ofiaruj wasza dostojność królowi szwedzkiemu wzmian Niderlandy.

Pan starosta nie namyslał się długo i palnął na całą salę po łacinie.

— A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy.

W tej chwili sala zagrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Forgell błydy był, brwi zmarszczył, lecz czekał, z głową dumnie wzniesioną.

Nakoniec, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

— Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

— Nie — odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę starosta — bo mam armaty na murach.

Poselstwo było skończone.

H. Sienkiewicz (Potop).

ROZMOWA PRZY KOMINKU.

— No, no, dość już tego, dość tego — zawołała Emilja — między nami człowiek cierpiący i znękany, a nikt z was jeszcze nie pomyślał, że przede wszystkim, że najpierw trzeba duszę i człowieka ratować. Czy Benjamin pośród was ożyje? czy macie w sercu skuteczne na jego niemoc słowo? o to już dawno ktokolwiek powinien się być zatroszczyć.

Benjamin, dotychczas w milczeniu spuszczoną głowę trzymający, wznosił oczy na Emilję; była jakaś obojętna ciekawość w jego spojrzeniu, ale współczucia wdzięcznego nie było. Po chwili nawet ciekawość przygasta, zimną martwością zaszły źrenice, powieki znów się ku ziemi osunęły

i znów nieruchomy, jakoby obcy, jakoby niebyły na miejscu swoim pozostał.

— Masz słuszość, święcie radzisz, Emilko — powtórzyła Tekla mówiącej — o Benjaminie myśleć nam się godzi. Znajdźmy dla niego użyteczną pracę, to najlepsza pociecha, najmniej szkodliwe lekarstwo.

— Użyteczną pracę? — podchwyciła Felicja — a cóż ty zowiesz pracą użyteczną? Jeśli pewien gatunek zatrudnienia, to mu każ drzewo rąbać, lub opis jego podróży drukować; jeśli zaś użyteczną pracą ma być praca moralnie dla bliźnich plonująca, praca, która im światła i ciepła, mądrości i siły ku cnocie dostarcza, to mu żadnych nie dawaj rozkazów. Możesz z niego bardzo piękną wyrobić karjatydę¹⁾, możesz biegłego dziennikarstwu przysposobić korespondenta, lecz młody i pełen zdolności Alcybjades²⁾ już nie zmartwychwstanie. Złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy nie dorósł swej miary. Ocho! praca użyteczna!... toć niema innej, tylko chrześcijańska, ofiarna. Ofiarna nie przez cierpienie konieczne, jak sobie wielu dziś wyobraża, jak niejeden tłumaczy i uczy — ofiarna nie przez krzyż, od którego mdleją nam ramiona, ale ofiarna z bogactwa duszy. Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, kto im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: pieniądz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia. Cóż ty chcesz, by im dzisiaj przyniósł ten Benjamin upadły, biedny, nie kochający, zginiony?

— Niech im da czas tylko — odpowiedziała Tekla — na początek ja więcej nie wymagam; niech da godzinę po godzinie, dzień po dniu, lata po latach, a zobaczycie, jak zwolna życiem pierś jego się napelni, światłością myśli rozpląną; bo praca dla bliźnich, Felicjo, nietylko jest samym wydatkiem, ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi; ona nietylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca. Więcej przyjmujemy, niż nam dać jest podobnem. Oto spróbujcie tylko: dajcie pracować Benjaminowi; choć zrazu w tę lub ową stronę się zachwieje, podtrzymujcie go na tej i na owej stronie. Sami wkrótce się przekonacie, jaki nam z niego wyrobnik przybędzie.

¹⁾ Karjatyda — figura kamienna, służąca w budynkach do podtrzymywania wystającej części muru. ²⁾ Wódz grecki, — tutaj nazwa Benjamin, nadana mu w młodości przez brata.

— Zapóźno już, zapóźno! — rozbrzmiał jak wyrok surowy głos Seweryny. — Użyteczna praca nie może być ani jako ćwiczenie, ani jako zachęta uważana. Pan Bóg ją tylko na nagrodę dla wybranych swoich zachował. Spójrzycie dookoła, moi państwo: widzicie, ilu tu ludzi gimnastykuje się, trzodzi, poci, krząta, zwija, a ilu jest takich, którym użytecznie pracować wolno? Garstka mała, — z krociowego tłumu chętnych garstka wyłączona, kapłańska... garstka, do której może nawet z nas, tu siedzących, żaden imienia swego nie dopisze w przyszłości, bo ku temu innych stygmatów¹⁾ i nowych sakramentów trzeba. Daremne wasze zabiegi! Zostawcie go lepiej na tej, którą obrał, przepadłej i odpadłej drodze jego. Niech się wywiązuje z długów, zaciągniętych względem społeczeństwa jedyną, jaką może złożyć nam korzyścią: niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadkiem swego przykładem.

— Nie, nie! — z pośpiechem zaprzeczyła Emilia — musi być przecież i dla niego środek jakiś wybawczy; nie godzi się tracić nadziei ocalenia...

— Ach! gdyby ten Benjamin mógł się modlić!... — westchnęła Julia.

Benjamin westchnął także.

W tej chwili Henryk zerwał się z miejsca, obie ręce jak do uścisku i pieśczęoty ku Benjaminowi wyciągnął.

— Bracie mój! bracie! gdybyś ty miał matkę!... — zawołał takim przejętym, takiej głębokiej prawdy wykrzykiem, że się jego echo o wszystkie nasze serca odbiło.

— Gdybym miał matkę! — powtórzył Benjamin i także wstał z miejsca: usta mu drżały, łza w oku błysnęła. — Gdybym miał matkę! O pewnie, z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może...

N. Żmichowska.

Porównać styl dwóch poprzednich wyjątków.

ZIEMIE POLSKIE.

W przedziwnej różnaitości ukształtowania Polski jest rys jeden naczelny, rys naznaczony najsilniej, rozwinięty naj-

¹⁾ Stygmat — w starożytności wypalony na ciele znak, którym piętnowano złoczyńców; — stygmaty — rany Chrystusa, występujące niekiedy na ciele świętych, pod wpływem rozpamiętywania męki Pańskiej. (św. Franciszek z Asyżu).

szerzej, wyżłobiony najgłębiej w jej obliczu. Rysem tym jest wielka jej polność.

Ona to nadaje Ziemi naszej koloryt, charakter i ton tak wybitny, że nie mają mocy zatrzeć go ni przeprzeć ani Tetry, dźwigające na zawrotną wyżynę poszarpane wirchy, ani morza, bijące zapienioną pletwą o dwubrzeże nasze, ani jeziorne rozcieki Prus, Inflant, Kurlandji, ani zatajone puszcze Litwy, ani bagniste zapadliska kotliny poleskiej, ani ukraińskie stepowe rozłogi.

Wszystko to ma cechę drugorzędności, drugoplanowości jakby, choć ubogaca nam Ziemię majestatem i oryginalnością niezwykłego piękna.

Polność wszakże stanowi istotny rdzeń naszego narodowego życia, naszego duchowego rozwoju, jest syntezą wszystkich rysów oblicza Ziemi—matki.

Jakoż gniazdo nasze nie leżało na wysokiej skale, choć orla mamy narodowym znakiem.

Nizko było ono usłane i całkiem przyziemnie. Wypiały nas równie szerokie, przestrzenne, wolne; wychodziły role chlebne, dorobne, łęgi głębokie, zapaszyste, bujne.

Jak oko puścić, od Wisły po Odrę ścielą się szczere pola zielenią i złotem. Spojrzysz za wiatrem, a tu ci się zda, kraj cały gdzieś idzie, gdzieś płynie. Jakowaś mocna fala życia wznosi się i opada nieustającym tchem pracy na tych spokojnych, uciszonych ziemiach. Jestto jak gdyby rytmiczne bujanie naszej odwiecznej koleby. Syn-Lud dawno ci od niej już odrósł, dawno zmęźniał w sobie, i w różne światy poniósł myśl i siły.

A stara Macierz-Ziemia ciągle kołyskę niemowlęctwa jego buja łagodnym, słodkim, nawpół sennym ruchem.

Buja i śpiewa.

I oto idą, płyną Mazowieckie, Kujawskie, Wielkopolskie łany morzem traw i zbóż. Idą, płyną w majowych runiach wiosny, w śniadej kurzawie wykłoszonych pól, w barwistej siedmiokrasie łągów, w mocnych woniach sianokosów, w siłości dymów wioskowych, w nieprzemożonym smętku ugorów, w złotych ścierniskach jesieni, w oparach świeżych rozorów, w taśmach miedz i przesłach opłotków; w rozechwianiu wierzb nadwodnych, w strzelistości przydrożnych topoli.

Idą, płyną gaje, lasy, jakoby wyspy zwartszej, ciemniejszej zieleni na morzu tem siadle. Idą, płyną obłoki niebem

to modrem, to szarem, — a falistemu ruchowi temu wtórjuje rytmiczna pieśń szmerów i poszumów polnych, zanoszenie się wichrowe borowych czeluści i mocna gędzba wód mnogich, któremi cała ta dziedzina mieni się, gra, świeci, modrzeje.

Wielkie jej rzeki dawno wykipiały z górskich swych źródlowisk. Dawno przebiegły gęsto zarosłe stoki i podgórza. A teraz oto, dopadłszy polnych, szerokich roztoczy, zaczęły morza dech, zwolniły wartu i, spotężniałe obfitym przytokiem wód żywych, płyną w całej wadze i powadze swojej, niosąc na sobie statki, pełne płodu swych bogatych ziem.

Oto graniczna Odra, pokrewna Wiśle po zielonym Beskidzie-Rodzicu, prze się wyżyną Śląską, przebiega zatajone moczary, brnie przez borowe bagna, chłonąc chciwie pómniejsze ciekii wodne, czai się, skręca, prowadzi, omyla, aż się wybije na widne skroś równie, ciężka od wagi przeznaczeń dziejowych.

Zabiera Olszę cieszyńską i śląską Olawę; zabiera Małopianę, na którą książęta opolskie przez okienne błony komnat swych patrzyły; zabiera Barycz, co się przez Wschowską ziemię naszą toczy; bieży pod Raciborz, pod Wrocław, pod Głogów, stare nasze lena; ściąga strugi, przez nieszczęsne lignickie pola płynące. Rzeżka, rażna, gospodarna, dźwiga szkuty, spławia tratwy, roznosi pokrzyki flisaczego ludu, popędza wielkie galary, czarną skorupą jak żółwie nakryte; pieni się pod siekącemi ją kołami parowców, wieje gęstym żagle, jeży się lasem masztów, pluska mnogiem czółnem rybaczem i cała w dymach, w hukach, w świstach i rozpluskach wali przed się, pełna ruchu, pełna życia, pracy.

Aż gdy mgły wieczorne się wzbijają, gdy wstaną nadbrzeżne tumany, tysiąc mar, tysiąc wspomnień przemija smętym korowodem nad tą wielką historyczną rzeką, której wart z krwią naszą zmieszał się od wieków.

A wtedy słyhać w głębokich jej szumach głuchą wrzawę minionych stuleci. Wtedy zaszczęka tam oręż, i zbroica, zasypana żwirem, błysnie w miesięcznej poświacie; pustka obewzie się poomacku wartowniczem hasłem; war bitwy buchnie dziko i ugaśnie; aż wszystkie głosy i tętna zmieszają się w przeciągłym jęku, w mdlejących westchnieniach.

A oto Warta rodowa, nad którą Polanie pierwszym się uwiązali rojem i zarabiali pierwszy plastr dziejowy Piastowego miodu.

Ciek jej kapryśny, nizkiem zabrzeżem sparty, pruje łęgi bogate i głębokie pasze, zapławia żyzne niziny wiosennym rozlewem; napawa ziemie dobre, ludem dorodnym osiadłe; oblewa grody starodawne możne, pamiętne, aż uderzy całą mocą pod zachodowe zorze i uczyni wraz z Kujawską Notecią i Obrą wielkie międzyrzecze o troistym spławie, który się sam w sobie pomieścić nie mogąc, szerokie grzęzwy u Santoka i Drezdenka czyni.

A oto wyroczne Gopło, na którym siedzi koronna Kruszwica; oto zwierciadło Slesińskie, w którym się przeglądały Światowidy nasze. Wszystko to wody ważne, pamiętne, zadumane ogromną przeszłością narodu. Wody pełne w sobie jakiejś złotej baśni, która się tu opowiada w przeciągłych poszumach, z wieku na wiek, z rodu na ród; pełne jakowych wielkich, niedośpiewanych rapsodów, których ostatnie tony na harfie czasów nie rozbrzmiały jeszcze.

M. Konopnicka.

Rozważyć i określić styl.

Streszczenie.

Gramatyczno-logiczne przymioty stylu.

1. Jasność.

Na czym polega, — co przeszkadza jasności:

Budowa zdania, okresy.
Omówienia

Synonimy i homonimy
Archaizmy, neologizmy.

2. Zwięzłość.

3. Poprawność:

Używanie przypadków,
Zaimka »który«

Imiesłówów,
Znaków przestankowych.

3. Czystość.

Barbaryzmy, ich pochodzenie.

latynizmy
galicyzmy

germanizmy,
rusycyzmy.

G w a r a, jej znaczenie dla języka
prowincjonalizmy
żargon.

Cwiczenie: Gramatyczno-logiczne przymioty stylu i ich znaczenie, jako warunków koniecznych naszego wysłowienia.

III. Estetyczne przymioty stylu.

Wszystkie przymioty wysłowienia, które nazywamy gramatyczno-logicznymi, osiągnąć może każdy, kształcąc swój umysł, rozczytując się w arcydziełach literatury i pracując nad wyrobieniem własnego stylu.

Zdobywszy te zalety, może pisać dobrze, lecz niekoniecznie pięknie.

W arcydziełach literatury uderza nas piękno wysłowienia. Pły- nie ono przede wszystkim z bogactwa uczuć, myśli i wyobraźni autorów, objawia się zaś w stylu przez przymioty, które nazywamy este- ty cz nymi.

I. Obrazowość.

CISZA NA MORZU.

Gdy niema wiatru, nastaje t. zw. cisza morska. W po- wietrzu niema żadnego ruchu, flagi statków obwisły na masz- tach bezwładnie. Niebo jest gładkie, błękitne, bez chmurki; powierzchnia morza spokojna i równa, nie porusza jej żadna fala. Majtkowie odpoczywają po pracy, — podróżnych ogarnia dobry humor.

CISZA MORSKA.

Już wstążkę pawilonu wiatr za ledwo muśnię,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda,
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Zagle, na kształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wychnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! — pośród twoich wesółych żyłatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Porównajmy te dwa opisy pod względem formy.

Jeden jest dokładny, jasny, napisany językiem poprawnym i czytym, maluje nawet wrażenie, jakie cisza morska sprawia na człowieku, — drugi opis jest piękny. Co nadaje mu cechę piękna? Inny sposób pisania.

Wiatr — niby istota żyjąca — zaledwo muska »wstażkę pawilonu« zamiast: flagę. Mamy więc w tym wierszu uosobienie t. j. przypisanie wiatrowi cech istoty żyjącej, i pewnego rodzaju omówienie flagi, a właściwie przenośnię.

»Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda« — uosobienie wody, — ruch jej fal przez przenośnię nazywamy cichą grą piersi.

Następne dwa wiersze są porównaniem tego ruchu fali do snu szczęśliwej narzeczonej. Daje nam obraz uśpionego człowieka.

»Zagle naksztalt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich«.

Porównujemy zagle do chorągwi wyrazami: »naksztalt chorągwi«; — wyrazem: »drzemią« tworzymy uosobienie.

»Okręt lekkim ruchem,
Kotysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem«.

Porównanie w określeniu ruchu statku.

Wyrazami: o morze! o myśli! zwracamy się do morza i do myśli, jak gdyby do istot żyjących.

W ostatnich dwóch strofach mamy innego rodzaju porównanie, oparte na zestawieniu głębi morza i głębi myśli, — bajecznego polipa z pamięcią; — pamięć porównujemy do hydry za pomocą przenośni, a zarazem uosabiamy; mamy wreszcie przenośnię, odnoszącą się do całej myśli czyli alegorię.

Widzimy zatem, że opis piękny odznacza się bogactwem pięknych sposobów wyrażania myśli, które nazywamy wogóle przenośniami lub zwrotami mowy.

A) Przenośnie.

a) Porównanie.

Wskaż w Ciszy morskiej wszystkie porównania.

Porównanie polega na zestawieniu dwóch pojęć, mających pewne cechy wspólne, np. włosy białe, jak śnieg; — przyjaźń stopniała, jak śnieg; — woda przezroczysta, jak kryształ; — człowiek silny, jak dąb.

Określ wspólną cechę między śniegiem i białymi włosami; — między śniegiem i przyjaźnią; — między wodą i kryształem; — między człowiekiem i dębem.

Wybierz stąd porównania:

Rankiem obiedwie sine, jak żelazo,
Dwie córki moje, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu!
A jak dorosłym przystoi dziewczicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom. *J. Słowacki.*

Dni nasze miną, jako obłok i para na wietrze: poranu kwitniem,
a wieczór tegoż dnia wędniem; po kilkadziesiąt lat nikt na nas nie wspomni,
jakobyśmy nigdy na świat się nie rodzili.

Piotr Skarga.

Miłość i tęsknota — to jak dwie prządkie naszego żywota.

B. Zaleski.

Szczęście, jak złotopióry ptak, zabity w powietrzu ¹⁾, spadło
i martwe leżało w jego duszy.

Żeromski.

Zółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Dał głowę. Tak,
jakby ją kazał wbić na spisę dla wiekuięstego przestřachu pokoleń. Nie
wyprzysięgił się pod mieczem swego Boga.

Żeromski.

Świat mi się zdał, jak jeden cud.

Tetmajer.

Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie i, niby pięć
gwiazd jasnych, na pustynię rzucił.

Słowacki.

Położyłeś ich, Panie, jako koło na odwrocie; i jako żdźbło przed
wiatrem, tak pyszni zniknęli.

W. Kochowski.

Zadał znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło —
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Mickiewicz.

Na zachód obłok, naksztalt rąbkowych firanek.

Mickiewicz.

...Byli to tacy przyjaciele, jakich i wtenczas liczono niewiele: rzekł-
byś dwój-duch w jednym cielem.

Mick.

Chłopy wracają! Piorunem ta wieść runęła i kiej płomień roznieęła
się po Lipcach.

Wł. Rejmont.

¹⁾ Dłuższe porównania oddzielamy przecinkami.

Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyn stołowych, sterczą: tu z kragłymi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki, różnem winem napełnione;
Kozłak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka.

Mickiewicz.

Zasługa dla ojczyzny jest jako ziarno: kto obnosi to ziarno w ręku i wszystkim pokazuje, wołając: »Oto jest ziarno wielkie« — tedy wysuszy je i nic z niego nie otrzyma.

A kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni, tedy ziarno wyda roślinę.

A kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszły, na życie przysze, ten otrzyma ziarn sto, a z tych stu — tysiące tysięcy.

A. Mickiewicz.

Wybierz spójniki, które w tych przykładach użyte zostały przy porównaniach.

Napisz kilka zdań z porównaniami.

Co to jest porównanie?

b) Przenośnia właściwa — metafora.

Jaka jest różnica między wyrażeniami:

Zwierciadlana toń, — toń gładka jak zwierciadło.

Dzwoneczki konwalji, — kwiaty konwalji jak dzwoneczki.

Złote słońce, — słońce jak złoto.

Takie **skrócone porównanie**, jak: zwierciadlana toń, dzwoneczki konwalji, złote słońce — nazywa się **przenośnią**, z grecka **metaforą**.

Metafora więc jest to skrócone porównanie.

Wybierz stąd metafory i rozwiń w porównania

Oczy są zwierciadłem duszy.

Pies to wierny przyjaciel człowieka.

Młodość życia jest rzeźbiarką.

Człowiek człowiekowi wilk.

Wisła stoi, okuta przez lody.

Obóz to płócienne miasto.

I skruszyło się serce w Anhellim i upadł. *J. Słowacki.*

Młodości! orla twych lotów potęgą,
Jako piorun twoje ramię!

A. Mickiewicz.

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń wojska
polskiego, sławę i pychę Rzeczypospolitej — husarię w całej okaza-
łości. Kipiały od strusich piór kity na głowach końskich, na hełmach
i na skrzydłach rycerzy, pędziły rotę szumno i rzeżko, jak orszak anio-
łów w zbrojach srebrnych.

L. Kubala.

Cóż jest szlachectwo bez cnoty? Larwa bez głowy, dym
bez ognia, piana bez piwa, czapka bez głowy.

Skarga.

Wybierz stąd metafory i porównania.

Wielbłąd to okręt pustyni.

Ona była duszą towarzystwa.

Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty:
Motyle różnobarwne, niby tęczy kosa,
Baldachimem z brylantów okryły niebiosa,
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A. Mickiewicz.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą:
Jakby ta gwiazda miała co nakazać
I o czym cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi błądy pierścionek Djany:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabręczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklany.

J. Słowacki.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą:

W czynów stal!

Z. Krasiński.

Kraj nasz dawny widzę: mądrość rządów na starem zaszczepiła
drzewie kraj młody, — oba kwitły na jednej lodydze, jako dwie róże
barwą różne w jednym krzewie.

J. Słowacki.

Z PANA TADEUSZA.

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem;
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Ze tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn odłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpółzgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Nawpół zgryzione jakichś nieostrożnych gości;
Czasem wymkną się w górę przez trawę zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

A. Mickiewicz.

c) Epitet.

Wybierz metafory.

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W błękitną, cichą noc miesięczną
Ktoś na skrzypcach gra,
Melodja płynie falą dźwięczną,
W powietrzu jasnem drga.
I brzozy stoją zasłuchane
W harmonję słodkich brzmień;
Księżyc na dworu białą ścianę
Rzuca gałązek cień.

Coraz namiętniej, rzewniej, mięcej
Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
Jakby żałosny płacz dziewczęcy
Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowem srebrze
Rozwiały siwy włos,
Słyszac, jak żali się i żebrze
Łkających skrzypiec głos.

Lucjan Rydel.

Wybierz stąd przymiotniki, oznaczające **cechę stałą**.

Przymiotniki lub imiesłowy ozdobne, przyczyniające się do uzmysłowienia danego pojęcia, a malujące cechy stałe — nazywamy **epitetem**, np. szklany jęk źródła, błękitna noc miesięczna, żelazny charakter, baśń tęczowa, łkający głos skrzypiec.

Epitet jest najczęściej metaforą.

Wskaż tu epitety.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
Co mi się dzisiaj cudnym zdają snem.

K. Tetmajer.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przestąpić się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Białą dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodroblowości.

J. Kochanowski.

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
Objęło cały świat. Na modrym oceanie
Słoneczny zasnął blask.

Tetmajer.

Tak więc — to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój — senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych.

Słowacki.

Łagodny zapach wznosił się z łąki-kochanki, mlekiem i miodem
płynącej w ciche, błękitnawe nadednia. — Jasna woń miodu płynęła
z lepkiej koniczyny i szorstka woń z cząbrów. Patrzyły z jej głębi w okna
chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe liljowe dzwonki, z łonami roz-
dartemi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, — patrzyły wysokie
kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy, i przyziemne, żółte, zanikłe polne
bratki.

Żeromski.

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną; na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Mick.

Na tle świetnych kobierców, w tęczach szkieł staroświeckich,
Cyklameny skrzydlate, jak rój białych motyli..
Smętna złota mimoza zadumaną kiść chyli..
Róże krwawe zwisają z marmurowych waz greckich.

B. Ostrowska.

Dzika róża po nagich skarpach pelza z wysoka i wyciąga kolcza-
ste, żebracze badyle.

Żeromski.

Potworny kaktus wwiercał w szczeliny skał i ścian szpony swych
korzeni i wystawiał na słońce krzywe pazury łap rozplaszczonych.

S. Żeromski.

Wybierz metafory (z epitetami), z Przed Sądem (str. 16).

d) Uosobienie.

W zdaniach:

»Potworny kaktus wwierca szpony korzeni i wystawia na słońce pazury łap rozpląszczonych« (str. 98).

»Dzika róża pełza po skałach i wyciąga kolczaste żebracze badyle« (str. 98).

»Brzozy rozwiały siwy włos«, »Głos skrzypiec żali się i żebrze« (str. 97). jak są przedstawione: kaktus? dzika róża? brzozy? głos skrzypiec?

Gdy roślinom, przedmiotom martwym, pojęciom, nadajemy cechy ludzkie, wtedy powstaje przenośnia, którą nazywamy **uosobieniem** (personifikacją, prozopopeją).

Wskaż, na czem polega tu **uosobienie**.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką,
Napotkało w łzach sierotę.

Asnyk.

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobną deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.

Lenartowicz.

Cudne kwiaty wznosiły się nad wodą i schylały ku niej rozmazane głowy.

Żeromski.

A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły.

Syrokomla.

— ...W owych to wiekach z żelaza i złota
Stał się cud wielki — cud, którego siła
Wyżej od zwycięstw Polaków zaszczyca:
W postaci pieśni cudownie zstąpiła
Boga-Rodzica-Dziewica.

Zeszła — i pyta w narodów rozgwarze:
»Jestże lud, godzien słyszeć rajskie dźwięki?«
Wtem nadszedł pielgrzym, szukający męki,
I rzekł: »O Pani! taki lud Ci wskażę«.
Więc za przewodem Świętego Wojciecha
Poszła do Gniezna lekką stopą echa;

Siada na wzgórzu i ziemię zachwyca.
Kłękli Polacy... oni Ją poznali
I wykrzyknęli piersiami ze stali:

»Boga-Rodzica-Dziewica!«

Goszczyński.

CISZA WIECZORNA.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalekniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:
Nic... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.
Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer Siklawy.
Czasem zakłęty las zadyszy,
Albo wystrzełił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy
Nic w tej przełękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy!...

Jan Kasprowicz.

Wybierz uosobienia z wiersza »Miesięczna noc« (str. 67).
Wskaż uosobienia i inne przenośnie w »Farysie«.

FARYS.

Jak łódź wesółą, gdy uciekłeś z ziemi,
Znowu po modrym zwiја się kryształe
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią bują ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina,
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata, —
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzienka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź, latawcze białonogi!
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona,
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Ówdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dzią na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie przedrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

»O szalony! gdzie on goni?
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów;
Tam jeden namiot... niebiososa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują«.

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem — aż dumne głazy
Zostały z dala ode mnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym owinał głowę moją wieńcem,

»Czuje, krakał, zapach trupi.
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdźcze, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują«.

Kracząc, lśniącemi szpony w oczy mi uragał, —
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł?... Sęp uląkł i uciekł wysoko!
Kiedym go chciał ukarać i majdan¹⁾ naciągał
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla... motyla... komara,
Potem się całkiem w błękiecie roztopił.

Pędź, latawcze białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnem sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

»O szalony! gdzie on goni?
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie okropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa, nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny wlot rozkradnie«.

Daremnie grozi. Pędzę i podwajam razy!
Obłok strudzony zaczął po niebie się ślaniać,

¹⁾ Środkowa część łuku, za którą się łuk trzyma.

Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo wtyle go porzucił;
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup szerniał i w górach się schował.

Pędź, latawce białonogi!
Sępy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie —
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca.
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,
Tu żywiły drzemią w ciszy,
Jak niespłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy...
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli, i konie straszliwej białości!
Przybiegam: stoją; wołam: milczą. To są trupy!...
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana!...
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany,
Gdzie lecisz? tam huragany!«

Ja pędzę — ja nie znam trwogi.
Pędź, latawce białonogi!
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.

Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?«
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ład nogą trącił,
Całą Arabję zmącił
I, jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony;
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię.
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Cwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zębami.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem dumnie,
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie,
Bo oprócz mnie, nie było nikogo na ziemi!
Jak tu mile oddychać pierśmi całym!
Oddycham pełno, szeroko;
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całym!
Wyteżyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokreśła.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całym!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejmie,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.

Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce w niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!...

Mickiewicz.

e) Przesadnia — hyperbola.

Zastanówmy się nad wyrażeniami:

U mieram ze zmęczenia.
Szalał z radości.
Morze smutku go ogarnęło.
Powódź kwiatów zasypała jej mogiłę.
Serce pęka mi z bólu.

Każde z tych wyrażen jest skróconem porównaniem a więc metaforą: jestem tak zmęczony, jak gdybym umierał; radość była tak wielka, że podobna do szafu; ogarnął go smutek, wielki jak morze; tak wiele kwiatów, że jakby powódź; serce tak boli, jakby pękało.

Wszystkie te przenośnie jednak uderzają pewną przesadą, użytą rozmyślnie dla wywołania silniejszego wrażenia. Taką przenośnię nazywamy też **przesadnią** lub **hyperbolą**.

Hyperbola może być ozdobą stylu przy opisywaniu silnych wzruszeń i uczuć niepowседневnych, — w codziennej mowie razi i jest wadą.

Wskaz tu **przesadnie**:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?

J. Słowacki.

Grób jego ¹⁾ — Europa; słup — śnieżne Bałkany,
Napis — wieczna pamiątka między chrześcijany.

J. Kochanowski.

Chmury — Twym wozem,
Wiatry — Twoje cugi,
Duchy — posłańce,
A pioruny — sługi.

J. Kochanowski.

Idź i czyń, choć serce wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — czyń ciągle i bez wytchnienia.

Z. Krasiński.

¹⁾ Władysława Warneńczyka.

Nie wiem, gdzie biegłem i dokąd ją niosłem,
 Ale nad dachy i dęby urosłem,
 I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
 I trumna w rękach ku niebu mi rosla. *W. Pol.*
 Nazywam się Miljon — bo za miliony
 Kocham i cierpię katusze. *A. Mickiewicz.*
 Ale żeby wyschło naszych łez morze,
 Chyba świat cały zapalisz, mój Boże!

Konopnicka

Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
 Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
 I obłąkane; niezaspokojone...
 Uderzam ciebie w złości... Milcz szalone!

J. Słowacki.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze ¹⁾,
 Ten młody — zdusi Centaury ²⁾,
 Piekłu ofiarę wydrze,
 Do nieba pójdzie po laury! *Mickiewicz.*

DZWONY ŚW. PIOTRA w RZYMIE.

Za każdym grzmotem dzwonów, zda się, że wylata
 z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
 a każdy z wichrem włosów w swej ręce olbrzyma
 miecz płomienny, w żrenicach sto błyskawic trzyma.
 I lecą... Ziemia gnie się... Nad miasta i sioły
 zawisają spiżową chmurą te anioły,
 i zda się, swoją straszną i ogromną mocą
 słońce strąca gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

K. Tetmajer.

Wskaż tu metaforę, hyperbole, uosobienie, epitet.
 Wybierz przesadnie z Farysa, zaczynając od słów:

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie (str. 104).

f) Alegorja.

Co znaczą te przysłowia i zagadki:

Trafiła kosa na kamień.
 Kruk krukowi oka nie wykole.

¹⁾ Hydra — potwór mitologiczny o wielu głowach, odrastających po ucięciu. ²⁾ Centaury — potwory mitologiczne: pół człowieka, pół konia.

Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął.
Słówko wróblem wyleci, a wraca wołem.
Kto wiatr sieje, burzę zbiera.
Fortuna kołem się toczy.

Czterej bracia wiecznie się gonia, a nigdy dogonić nie mogą.
Bez skrzydeł leci, bez nóg idzie (chmura).

Ma dwa różki, żadnej nóżki, chatupkę na grzbiecie nosi, nikogo
o nic nie prosi.

Jaką myśl zawierają bajki Krasickiego:

Ptaszki w klatce; Żółw i mysz; Młynarz, syn jego i osieł; Lew
chory; Dwa żółwie?

Wyjaśnij znaczenie bajek:

OWIECZKA I PASTERZ.

Strzegąc pasterz owieczkę, nad tem się rozwodził,
Jak wiele prac ponosi, żeby jej dogodził.
Ze milczała: — Niewdzięczna! — żwawie ją ofuknie.
Więc rzekła: — Bóg ci zapłaci;... a z czego te suknie?

I. Krasicki.

TALAR I CZERWONY ZŁOTY.

Talar, zwierzchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym dlatego, że mały.
Gdy przyszło do zmieniania, nie patrzano miary:
Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary.

I. Krasicki.

Z KSIĄG PIELGRZYMSTWA.

Przypowieść XIII.

Nie spierajcie się o zasługi wasze i o pierwszeństwo
i znaki.

Do pewnego miasta szturmowali żołnierze mężni, i po-
stawiono na murze drabinę, a wojsko krzyknęło: Kto pierw-
szy postawi nogi na murze, będzie miał znak wielki woj-
skowy.

Przybiegła pierwsza rota; a iż każdy chciał pierwszy
wstąpić na szczeble, zaczęli się odpychać i obalili drabinę
i pobici są z murów.

Postawiono więc drugą drabinę, i nadbiegła druga rota, a który najpierwej skoczył na szczeble, puszczo go, a drudzy postępowali za nim.

Ale pierwszy żołnierz wpół drabiny stracił siłę i zatrzymał się, drugim zawalając drogę. A więc następujący żołnierz targał się z nim, i oderwał go, i w dół rzucił i innych zepchnął; zrobiło się zamieszanie wielkie, i wszyscy pobici są.

Aż postawiono trzecią drabinę, i wbiegła trzecia rota. Pierwszy żołnierz dostał ranę i iść dalej nie chciał. Ale następujący po nim był mąż silny i ogromny, więc nie nie mówiąc, porwał go i niósł przed sobą i zastawiał się nim, jak tarczą, i postawił go na murze; zaczęli wbiegli inni porządkiem i miasto zdobyli.

A wojsko potem weszło w radę i chciało dać znak wielki owemu żołnierzowi silnemu. On zaś tak im mówił:

— Bracia-żołnierze, okrzyknęliście, iż kto pierwszy na murze nogi postawi, znak weźmie; a oto jest żołnierz ranny, który stanął przede mną, on tedy znak weźmie. Przez niego Bóg miasto zdobył.

Nie ważcie go lekce, mówiąc, iż tylko prędkości nóg winien pierwsze miejsce; bo i prędkość jest przymiot w żołnierzu, jako siła i męstwo.

Nie mówcie, iż on nie nie sprawił; bo gdyby go nie raniono przede mną, tedy ja odniósłbym tę ranę, i możebyśmy miasta dziś nie wzięli. A ten, kto zasłania, równy temu, kto walczy, i tarcz ma równą cenę jak miecz. Znaku nie potrzebuje, bo wszyscy wiedzą, com zrobił.

Bóg daje zwycięstwo, używając prędkości jednego, męstwa drugiego, siły trzeciego; a skoro człowiek zręczny lub silny, zamiast nieść w górę towarzysza słabszego, strąca go, tedy robi zamieszanie i klęskę; a jeśli chwali się z zasługi swej, zasiewa niezgodę.

A. Mickiewicz.

Czy autor myśli tutaj o żołnierzach, wdzierających się na mury fortecy? — Jak należy rozumieć tę przypowieść?

Jeżeli cały utwór jest jedną przenośnią, zawierającą rozwinięcie jednej myśli w formie metafory — to nazywamy go **alegorją**.

Alegorją — jak widzimy — są przysłowia, zagadki, bajki, przypowieści i t. p.

Więc: **alegorja jest to utwór, wyrażający myśl autora pod przenośnią.**

Wytłumacz alegorię, zawartą w przypowieści Chrystusa o talentach, powierzonych sługom, — w którejkolwiek z Ksiąg pielgrzymstwa. — Jak możemy rozumieć Farysa?

ZAŚNIEĆCI.

I.

Jest góra Wielkich Czynów... a w niej grota,
Gdzie nie zajrzało nigdy światło dzienne,
Ni blaski wschodów słonecznych promienne,
Ni zachodzących słońce odzorza złota.

Stoi zakłeta w ciszę... a w tej grocie
Odwiecznym dumem siadły mroki senne,
To się rozpięty przedzą wisze ścienne:
Mchy, i powoje, i skalne paprocie.

W ciemni, od świata oddzielone skałą —
Gdzie jeszcze nigdy życie nie zajrzało,
Nie wpadło echem w uroczysko święte —

Zakłete wojsko śpi — kamiennie stoi,
Nieruchomie — w spleśniałej, czarnej zbroi —
Skałą wrosłe w podziemny grób — zaśnięte...

II.

Po stalaktytach¹⁾, co sopłami wiszą,
Płyną kroplami łez lodowych ścieki
I jak podziemne, zapomniane rzeki,
Brózdami lata na kamieniach piszą.

Spokój... Tam w górze gwar życia daleki..
Skalni rycerze nie czują, ni słyszą,
Śpią nieprzespanym snem, owiani ciszą,
Śpią lata całe, dziesiątki i wieki...

Przyjdzie cud... Grzmoty do jaskini wpadną,
»Już czas!« — zawoła echo, — i rycerze
Zbudzeni, wielkim poruszą się lasem...

¹⁾ Stalaktyty — skamieniałe nacieki wapienne.

Lecz biada temu, kto dziś spojrzy na dno
Zakłętej groty i w najświętszej wierze
»Już czas!« zawoła i zbudzi przed czasem!

Wł. Orkan.

Wytlumacz tę alegorję.

Jakie znajdziesz utwory alegoryczne w tej książce?

Wskaż tu metafory, epitety, uosobienia, porównania:

Ś W I T.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnymi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnem niebie jak lilja świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna — zwiernica. Już zorza, rdzawą łuną z za świata idąc, obejmowała rąb ziemi.

...Stanęli obaj w otwartem oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzie uśpiony staw. Z wód jego biało-niebieskich, jak stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość z dala nadchodząca pokropiła hyzopem¹⁾ cienie i na jej wszechwładny znak, woda samotna została w dole, a mgły porzucały jej łono. Zwijaly swe cudne, powłóczyście szaty, rozszerzały przezroczyście skrzydła i, mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękitcie. Tam, gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płytkiem wybrzeżu wody były różowe, jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórkui stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę, żyjącą własnym żywotem, zmieniać się zaczęło.

S. Żeromski (*Popioły*).

¹⁾ Hyzop — roślina z rodzaju wargowatych, używana podczas nabożeństwa jako kropidło, stąd: »pokropię cię hyzopem«.

g) Zamiennia (metonimja).

Czy możemy dosłownie rozumieć takie wyrażenia:

Dostałem na gwiazdkę Słowackiego.

Lubię Szopena.

Jan Kazimierz złożył koronę.

Warszawa jeszcze spała.

W górę serca!

Nie Słowackiego dostałem, lecz dzieła Słowackiego.

Lubię utwory Szopena.

Jak Kazimierz złożył władzę królewską.

Mieszkańcy Warszawy jeszcze spali.

Uczucia i myśli w górę!

W tych zdaniach zastępujemy wyraz właściwy innym nie na mocy podobieństwa i cech wspólnych, (bo — dzieła zastępujemy imieniem autora, — władzę — jej symbolem, oznaką, — ludzi — nazwą ich miejsca zamieszkania i t. p.) — ale na podstawie związku, jaki zachodzi między pojęciami, przez nie wyrażonemi. Tego rodzaju przenośnię nazywamy **zamiennią, metonimją**.

Zamiennia więc jest to przenośnia, oparta nie na podobieństwie, lecz **na związku** pomiędzy dwoma pojęciami.

Wytłumacz następujące zamiennie.

Podziwiam Stańczyka Matejki.

W żelazie chodzili od stopy do głowy.

Bardziej boli od języka, niżeli od miecza.

Każda rzecz tem przyjemniejsza, im ją daje twarz weselsza.

Polska była śpichlerzem Europy i przedmurzem chrześcijaństwa.

Wiek XIX dał nam wiele wynalazków.

Trzech było strzelców, a szedł ogień bezustanny.

Dokoła cisza, milczy bór, ustały prace wiosek, miast.

Co mi grób zabrał, wiosna nie powróci.

Kiedy rękę otworzysz, wszyscy nasyceni.

Czyż to pióro wypowiedzieć zdoła?

To Sparta idzie — obaczyć ciekawa, gdzie się toczyła walka Aten krwawa.

Na naszej skroni tylko laurów wieniec.

Bez serc bez ducha — to szkieletów ludy!

Czy mię oko nie łudzi, czy mię ucho myli?
Hejże na Soplicę! tysiąc głosów wrzasło.
W tej rzeźbie znać dłuto mistrza.

Nie tyle grozą, jak raczej dozorem
Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem. *Pol.*

Uręczamy, że niedźwiedź, zabity dziś w boru,
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.

Mickiewicz.

Widzimy z tych przykładów, iż w zamienni kładziemy imię człowieka zamiast jego pracy, miejsce zamiast ludzi, narzędzie zamiast siły, która niem kieruje, symbol za istotę rzeczy, i t. p.

Rodzaj zamienni stanowi też przenośnia, pozwalająca nam zastępować liczbę mnogą przez liczbę pojedynczą, całość przez część i odwrotnie, (ogarnienie, synekdocha) np.

Słyszę, kędy wąż ślizką pierśią dotyka się zioła.
Włos mi osiwił od troski i trudu.
Kwiat okrył łąki i drzewa, bocian wrócił, słowik śpiewa.
Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha.

Sto lat miało, jak Zakon Krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy. *Mickiewicz.*

Wskaż tu zamiennię (metonimję).

W kilka dni po przybyciu króla do obozu zaczęły się ściągać pojedyncze oddziały pospolitego ruszenia. Dzień po dniu nadciągały strojno i konno województwa, ziemie i powiaty, bogate pułki wielkich panów, zaciężne chorągwie z tłumami sług i taborami wozów.

...Chorągwie pancerne lśniły się od skrzydeł białych, rycerstwo w półkirysach¹⁾ złotem szmelcowanych — tygrysy i lamparty na grzbiecie.

...Dalej szły chorągwie z różną strzelbą: jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, w misiurze²⁾ i karwaszach³⁾.

¹⁾ Półkirysy — półzbroje, — kirys — część zbroi, osłaniająca piersi. ²⁾ Rodzaj szyszaka. ³⁾ Naramiennik żelazny.

...Za temi chorągwiami ciągnęło pospolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty, słowem Rzeczpospolita we własnej osobie, strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej strojny i na przeróżnych koniach.

L. Kubala.

Twoja cię dobroć posadziła na tem
Miejscu, królu mój. Ta cię, ta przeniesła
Z konia na krzesło, na Majestat z krzesła¹⁾.

W. Potocki (o Sobieskim).

Wskaż zamiennię i określ, na czem polega.

I mają rozkaz surowy wodzowie,
Zadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie.

K. Ujejski.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

A. Mickiewicz.

W natłoku

on jeden tylko był widny jej oku,
Jej Jasiek, — dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany.

M. Konopnicka.

I niema śladu

po krwawej męce, po strasznej łzie,
A noc tak cicha... liść winogrodu
Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy stoją tam w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gna,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach, spadłych na wody dno...

K. Ujejski.

¹⁾ Sobieski był chorążym koronnym, hetmanem i marszałkiem w. k. (a więc senatorem), nim został królem.

Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały,
Choć przemija sama szparko, cios jej dłuta wiecznotrwały.

Z. Krasiński.

Wybierz zamiennie (metonimję) i inne przenośnie z Pieśni wajdeloty.

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszczą odgadnie żrenica:
Bo, jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewczica
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta,
A ile razy krwawą chustą skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiem czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić —
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...

O wieści gminna! ty arko-przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,—
Z archanielskimi skrzydłami i głosem
Ty czasem dzierżysz i miecz archanioła...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega,
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją —
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I grzmiącą pieśnią nad zgłiszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie bezdzietni...
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem z dala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy¹⁾,
Jeziora puste brzmią licznymi wiosłami,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje...
Śpiewają wieszczce, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie... srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,

¹⁾ Strop — sklepienie

Spada, w domową tuli się zaciszę —
Lutnia umilkła w odrętwiałem ręku;
Śród żałosnego współrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce —
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskresić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca współbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie... niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...
O nim zaśpiewam: uczcie się, Litwini!

Ogarniając teraz wszystkie przenośnie, widzimy, jak wielkie mają znaczenie dla stylu, gdyż one to nadają mowie naszej obrazowość, przenosząc na istoty martwe lub zjawiska przyrody cechy istot żywych, (miasto spało, burza szalała), zestawiając zjawiska świata zewnętrznego ze zjawiskami duchowymi (myśli, jak stado ptaków, krążyły mu po głowie), skutkiem czego oderwane myśli i pojęcia występują pod postacią obrazów zmysłowych, plastycznych i malowniczych. Obrazy te utrwalają w pamięci naszej treść poezji, podnoszą wrażenie piękna.

2. Urozmaicenie i ożywienie stylu.

B) Zwroty krasomówcze.

a) Powtórzenie.

SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia. *A. Asnyk.*

Czy powtarzanie wyrazu: szkoda — psuje styl w tym wierszu? Autor powtarza go tutaj umyślnie dla większego nacisku, dla silniejszego zwrócenia uwagi czytelnika, jak wielu rzeczy — szkoda!

Powtórzenie tego samego wyrazu jest tutaj więc ozdobą wysłowienia, **zwrotem krasomówczym**, który przyczynia się do urozmaicenia stylu.

Wskaż powtórzenia w następujących urywkach:

Jedziesz na wojnę, nieboże,
Jedziesz na wojnę!

Noce ci będą na dworze,
A dzionki znojne...

Znajdziesz po wojnie, niebożę,
Znajdziesz po wojnie,
Pustki z powrotem w komorze,
Ran w skórze hojnie.

Stara piosnka żołnierska

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!

Nie jest czynem — wyniszczenie!

Jedna prawda Boska, czynna:

To przez miłość — przemienienie.

Z. Krasiński.

Z GLOS¹⁾ ŚW. TERESY.

Albo Ty myślisz, o Ty, wiecznie żywy!
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy, — harfy, — i cuda, — i dziwy,
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którabyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolełaś to wszystko, — co boli!
Że zniosteś wszystko, cotylko poniża,
Ty Bóg w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg — przez katów prowadzon do krzyża!
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O, jam opuszczony!«
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie.

Z. Krasiński.

PIEŚŃ O DOMU.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

¹⁾ Glosa — objaśnienie, — tutaj: rozwinięcie i objaśnienie myśli i uczuć św. Teresy.

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o starych dniach ?
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg ?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń ?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew ?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię ?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż —
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

M. Konopnicka.

b) Pytanie.

W Głosie św. Teresy, w Pieśni o domu mamy kilka pytań. Czy dlatego je autor zadaje, aby usłyszeć odpowiedź? — Nie, — chodzi mu tylko o urozmaicenie stylu niepowszednim zwrotem, który go czyni żywym, zajmującym i pięknym.

Pytanie więc jest także zwrotem krasomówczym; — gdyby wszystkie zdania były podobne do siebie, mowa stałaby się jednostajną, nudną.

Wskaż pytania w następujących wyjątkach.

Ach, coś droższe nad głos z kraju,
I co świeższe nad liść w maju,
Co smutniejsze nad wspomnienie,
Co prawdziwsze nad cierpienie ?

T. Lenartowicz.

Pogniły jawory i limbowe lasy,
Ka się nam podziały nasze dobre czasy ?

(Piosnka podhalska).

Czy znasz ten kraj, gdzie kwitną
Nad grobami piołuny?
Gdzie niebo twarz błękitną
W szare kryje całuny? *I. J. Kraszewski.*

Ty tutaj, słonko? A kto tam świeci
Nad wioską naszą cichą? *M. Konopnicka.*

A zostawisz sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: »Więc koniec już? Cóż zrobiłem na ziemi? Byłże to sen?«

Słowacki.

I mówił sobie: — Cóż są te gwiazdy,
Co na niebieskim iskrzą się sklepie,
Grają tak dziwnem światła odbiciem?
Może to kwiaty na lepszym stepie?
Może to twory z ognistszem życiem?
Może-li człowiek, który ma serce,
Więzić się pośród murów ciasnoty?
Mając pod sobą takie kobierce?
Mając nad sobą takie namioty? *G. Zieliński.*

A czemuż wy, chłodne rosy, padacie?
Gdym ja nagi, gdym ja bosy, głód w chacie!
Konopnicka

Chmielowski zgasł, ale czy nie widzicie, że zapaliło się po nim
i idzie dalej z nami wielkie światło? *A. Świętochowski.*

c) Wykrzyknienie.

Ha! Sardes gore! Sardes w gruzach leży!
I padł, wołając: — Zwycięstwo! *K. Ujejski.*

Patrz, jak za nami błyska czerwono!
Ha! — krzyknął jeździec — to stepy płoną!
G. Zieliński.

Hej! naprzód! choć ciężko pod prąd,
Choć mgła nam żre oczy, wir grozi odmętem,
I burza się pastwi nad naszym okrętem,
Tam płynmy, gdzie jasny jest ład!
G. Daniłowski.

Wykrzyknienie jest także zwrotem retorycznym, za pomocą którego autor wyraża uczucia i wrażenia: przestachu, gniewu, radości, trwogi i t. p. Wpływa, jak wszystkie zwroty, na urozmaicenie stylu.

Jakie uczucia wyraża wykrzyknienie w następujących przykładach.

W takiej ciszy tak ucho nadstawiam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy.

Jedźmy, nikt nie woła!

Mickiewicz.

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku,
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny wokoło,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

E. Wasilewski.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie według miary krawca — lecz Fidjasza! ¹⁾

Żeby też jedna pierś!

J. Słowacki.

Pomimo gorzkich prób,
Zawsze, ach, dobrym bądź,
Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób!

Asnyk.

Czem jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czem jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

A. Mickiewicz.

Lecz narodu duch zatruty —
To dopiero bólów ból!

Kraśiński.

Wód zwierciadła, gór widziadła,
ziemia, niebo — jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
w świat przemienia ideału,
w sen ze srebra i kryształu.
Daj mi teraz marzyć, daj!

Z. Kraśiński.

Błogosławione pierwsze dni wiosny!

Błogosławionyś, wieku radosny!

Żmichowska.

¹⁾ Znakomity rzeźbiarz grecki.

d) Apostrofa.

Tyś mi nie straszna, o nocy!

Asnyk.

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę

I gniewną stopą depczę cię i łamię —

Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę:

Po Jeremjasza gęśl wyciągam ramię.

B. Zaleski.

Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziła?

Kochanowski.

W tych przykładach autor zwraca wykrzyknienie do nocy, do gęśli, do zmarłej Orszulki — taki zwrot krasomówczy nazywa się **apostrofa**.

Apostrofa jest to więc wykrzyknienie, zwrócone do rzeczy nieżyjącej, pojęcia lub osoby i t. p.

Wskaż apostrofę, — do kogo lub do czego jest zwrócona?

O wielmożni panowie, o ziemscy bogowie! miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobro braciej swojej. Nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedyńkowych pożytkach! nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach waszych; niech się na lud wszystkich z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa!

P. Skarga.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!

I zwieście mój ślad z tej smętnej pustyni!

Słowacki.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy

Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,

Kiedy przeleci przez wszystkie równiny

Z hymnem wietrzanym, gdy skrzydłami ruszy,

Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!

Słowacki.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu

Czuję z nad Niemna polankę borową,

Widzę kaplicę o słomianym dachu,

Słyszę jej dzwonek, jak jęczy nad głową.

Wł. Syrokomla.

Tyś mi, chłopie, nie święty ani idylliczny!

Znam każdy z błędów twych i wad,

Lecz zło i dobro twoje — to mój skarb dziedziczny:

Boś ty mój brat!

Adam M...ski

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
 Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
 Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznana, jakby na sercu grano
 I smutno i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
 Przechodzę całe sioło. *W. Syrokomla.*

Do ciebie, matko moja, twarz obróćę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
 Z obłądnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
 Lecz bez łyż próżnej. *J. Słowacki.*

e) Poprawienie.

Umarł nasz król... przebóg, rycerze! cóż to ja wyrzekłem? Mógłli umrzeć ten, którego świetna i prawdziwie królewska cnota, jeszcze nim doczesny zawód odprawił, już obdarzyła była nieśmiertelnością?

Nie umarł zaiste — na lepszy się świat, z tego lichego wyzuwszy, znikomą postać przeniósł. *St. Orzechowski.*

Zgaszone mamy i dusze i twarze; uśmiech na nich nie gości, nie-frasobliwość uleciała daleko. Ale co mówię! Nie, — duchów zgasić nie zdołali, przytłumili je tylko. *G. G.*

Będę bił ludzi... Brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano.

L. Kondratowicz.

Taki zwrot krasomówczy, gdy autor niby się cofa, poprawia, zmienia zdanie lub wypowiada swoją myśl inaczej — nazywamy **poprawieniem**.

Wskaż i objaśnij poprawienia.

Gdzie koniec pieśni? Wraz mi koniec śpiewaj!...
Albo daj lutnię... Czego stoisz drżący?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiewam lepiej, jeśli ty się boisz!

Mickiewicz.

Przecież niewszyscy, o nie, na Perkuna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam!

Precz mi z tą lutnią! zerwała się struna,
Nie będzie pieśni. *Mickiewicz.*

Ze Polak daje się wieść — nie nowina!
Widziałem... Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale... *Słowacki.*

Orcio. Widuję mamę bardzo często.

Mąż. Gdzie, mój maleńki?

Orcio. We śnie, — to jest niezupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, np. wczoraj.

Mąż (do siebie). Marjo, chcesz dziecię własne zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć... Co ja mówię? Ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi, — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu...

Z. Krasiński.

Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze;
W dolinach tuman, naksztalt proszącego śniegu,
A na łąkach zaranna połyska się rosa;
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:
Jedna tylko nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia
Tam przy altanie —

Ha, ha! pobiegłem z ukosa!

To nie o tym poranku! *A. Mickiewicz.*

f) Zamilknięcie (niedomówienie).

Bóg wybaczy.

Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpacz
Popeliłem... *Mickiewicz.*

Gierwazy, czemuś wtenczas chybił!..
Łaskębyś zrobił! Widać za pokutę grzechu
Trzeba było... *Mickiewicz.*

Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną
I nie jest tylko omyłką liczebną... *Mickiewicz.*

W przykładach tych autor przerywa myśl pod wpływem nadmiaru uczucia, — nie kończy jej, gdyż nie chce lub nie może; — taki zwrot nazywamy **zamilknięciem** lub **niedomówieniem**.

Wskaż i objaśnij niedomówienia.

Od strony Medów już miljon strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biega,
Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą.

K. Ujejski.

Zbladłem — serce zamarło i trwożliwie puka,
Lecz mówię sam do siebie: to znów czyjaś sztuka!
A nawet się domyślam...

Kondratowicz.

...Ach, tam inaczej

Może im szczęście kto wytłumaczy,
Może je złudzi inną nadzieją?
To, co im mówię, czyż zrozumieją?
O, gdyby mogły... Dziewczynki moje!
Lecz ja daleko, daleko stoję...

N. Żmichowska.

Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię...
A teraz... na obcej... Wyrzec, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi...
Cesarzu, cesarzu! (Słowa legionisty do Napoleona).

Żeromski.

Starcze! graj nutę, tę nutę dziecinna,
Którą w dolinie... O był to czas błogi!
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże, starcze! bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie... Starzec musiał wrócić.

Mickiewicz.

Lecz ja... Dobranoc!

Wskaż zamilknięcia w Opowiadaniu Gierwazego w zamczysku, w Jagodzie Lenartowicza (str. 160).

g) Stopniowanie i nagromadzenie.

Już sęp wisiał w powietrzu, jako plamka szara
Wielkości wróbla... motyla... komara —
Potem się całkiem w błękanie roztopił.

A. Mickiewicz.

Dusze praojców
...budzą się ze snu i śpiew zblakany
Echem z ust do ust sobie podają,
Coraz lżej... ciszej..., bo im kurhany

Starsze, tem słabiej, wolniej śpiewają,
A dźwięk ostatni staje się ciszą.

G. Zieliński.

W tych urywkach autor malowniczo przedstawia stopniowe znikanie postaci sępa, stopniowe uciszanie się dźwięków pieśni — taki zwrot nazywamy **stopniowaniem**.

Niekiedy zamiast stopniowania, mamy wprost **nagromadzenie** obrazów, porównań lub innych przenośni, bez wyraźnego przejścia od silniejszych do słabszych lub odwrotnie np.

Tu na walkę wrony, kruki, orły!

Tu na walkę psy, wyjące smutnie!

Tu na walkę chmury z piorunami!

Tu szumiące wichry!

J. Słowacki.

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,

Są takie, które szepcze swemu narodowi;

Są takie, które zwierza przyjaciółom domu;

Są takie, których odkryć nie może nikomu.

A. Mickiewicz.

Wskaż nagromadzenie i stopniowanie w wyjątku z Glosy św. Teresy, Krasińskiego (patrz str. 118) i w następujących przykładach.

...I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,

Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,

Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios prog.

A. Mickiewicz.

Struna po strunie pęka, kwiat po kwiecie

Wiednie i ginie, blask kona po blasku,

Coraz jest ciszej, ciemniej i bezwonniej.

K. Tetmajer.

...O, ja wam powiem, dziewczynki moje!

Piękne są perły, djamenty, stroje,

Piękniejsza jednak woda w strumieniu

I lilja polna w białym odzieniu.

A od liliji, od czystej wody,

Piękniejsza świeżość waszej urody;

A od piękności hożych dziewczynek

Jeszcze piękniejsza łza uzalenia,

Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszy — dobry uczynek.

N. Żmichowska.

Polaty się łyzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek kłeski;
Polaty się łyzy me czyste, rześiste!

A. Mickiewicz.

Nim los twój ziemski wypełni się dokona,
I ty, ludzkości, będziesz przemieniona!
Zostawisz w dole, u stóp ciemnych wzgórz,
Wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli:
Zostawisz w dole szataństwo niewoli!
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
Zostawisz w dole tajemnic zawilość —
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskończoną miłość!
I z temi dwiema świętymi potęgą
Jak Chrystus w światła wzbijesz się okręgi!
Z czoła się twego grzech wszelki Twój zetrze;
Jak pióra lekkie będą twe ramiona!
Ręce pokładniesz na białe powietrze
I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona!

Z. Krasiński.

Jakie tu znajdziesz jeszcze zwroty retoryczne, prócz stopniowania?

Wskaż stopniowanie lub nagromadzenie w wierszu Le-
nartowicza: »Wiecznie to samo«.

h) Przeciwwstawienie — antyteza.

Długo myśl — prędko czyni.
Zgoda buduje — niezgoda rujnuje.

Tak rotmistrz, jak pachołek fuczą i krzyczą, a jak do bitwy —
to ze skruchą.

Kubala.

A jedni szepczą: — Nieprzyjaciół siła,
Na cóż się przyda ofiara i męstwo?
A drudzy krzyczą: — Śmierć — albo zwycięstwo!

K. Ujejski.

Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, — ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać, — raczej ogień z wodą!

Mickiewicz.

W tych przykładach widzimy zestawienie pojęć przeciwnych, dla silniejszego uwydatnienia sprzeczności, a przez to spotęgowania wrażenia.

Takie zestawienie wprost przeciwnych pojęć, uczuć, myśli — nazywamy **przeciwstawieniem, antytezą**.

Wytłumacz antytezy:

Ojciec król? — Czemuż dziecię mu nie wierzy?
Pan? — Cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
Wódz jest najwyższy? — Czemuż bez żołnierzy?
Sędzia? — Gdzież w jego rękę miecz i prawa?

A. Naruszewicz.

(Mowa tu o lekceważeniu władzy królewskiej w Polsce w XVIII w.)

Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo, lecz z przebaczenia
anielską pogardą.

Kraśiński.

Wesoły jestem, wesoły
i śmieję się do łez;
choć jesień już napoły,
kwitnący czuję bez.
Wesoły jestem, świeży...
— cóż to? na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch, jak ognia słup.

Już słyszę: biją dzwony
wysoko w niebios strop;
trup dawno pogrzebiony,
duch niesie pełny snop.
Ach, któryż jestem żywy:
czy ten, co leci wzwyż,
czy ten, co zmarł szczęśliwy,
ściskając w dłoni krzyż?

St. Wyspiański.

Bywają takie epoki, w których każdy musi być żołnierzem; bywają również takie, w których każdy powinien być dobrym obywatelem kraju.

A. Świętochowski.

Patrzało na hardość ich wschodzące słońce; a toż na odwieczny widziało sromotnie rozgromionych.

W. Kochowski.

Zginięcie me pieśni — wstańcie czyny moje!

Z. Kraśiński.

Z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania niema.

Z. Kraśiński.

Niema jest retoryka — ale dzielna i bardzo mocna namowa: patrzenie na cnotę, która jako piękna, i wdzięczna, i naturze naszej wrodzona, milcząc, sama do siebie ciągnie i za serce chwytą.

Skarga.

PIEŚŃ LUDOWA.

Jakżeś ty piękna, a jak tajemnicza!
Poważne lice krasi blask uśmiechu;
Rosa twym oczom swych kropli używa,
A wiosna swego oddechu!

Głowę kwiat polny wianeczkiem okrywa,
Serce ci płonie, jak iskra żarząca;
I czasem milcząc, jesteś gadatliwa,
A czasem mówiąc — milcząca.

Giller.

O sobie samym myśleć — ściśle jest i łakome serce. Powinno tyło i domowe opatrować — miłość jest domowa i ciasna. O wszystkich radzić i wszystkim dobrze czynić — to prawie Boska cnota.

Skarga.

Wskaż antytezy w Głosie św. Teresy.

Gdybyśmy to samo, co zawiera się w tych wyjątkach i utworach poetyckich, napisali bez **zwrotów krasomówczych**, styl wszędzie stałby się jednostajny. Pytania, wykrzyknienia, apostrofy, powtórzenia i t. p. zarówno jak i przenośnie — zajmują czytelnika, pobudzają go do myślenia, wzruszają, słowem urozmaicają i ożywiają mowę.

I zwroty i przenośnie upiększają wysłowienie, więc są **przymiotami estetycznymi**.

Pamiętać jednak trzeba, że w stosowaniu ich należy być bardzo oględnym. Są one ozdobą stylu tylko wtedy, gdy powstają w umyśle piszącego swobodnie, bez wysiłku. W przeciwnym razie szpecą styl, czyniąc go sztucznym, napuszonym. To właśnie nas razi w przemówieniu Hrabiego do Zosi (str. 3). Prostota, zwłaszcza w mowie potocznej, jest wielkim przymiotem wysłowienia, równie jak naturalność i szczerość, polegające na tem, aby być w zgodzie z prawdą pod względem własnych myśli i uczuć.

Mistrzem prostoty, naturalności i prawdy był Mickiewicz.

3. Dźwięczność.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich, cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porosły, dach słomiany.

Sienkiewicz.

Przy chacie było niewiele drzew. Kilka czereśni z ciemnymi, błyszczącymi liśćmi i jedna brzoza z długimi, cienkimi prątkami, rosła tak blisko chaty, że każdy wiaterek zwiewał jej zielone warkocze na dach słomiany, zapadły, porosły mchem.

Aby mowa sprawiała przyjemne dla ucha wrażenie, musimy dbać o jej **dźwięczność**.

Na czym polega dźwięczność? Na takim doborze i ustawieniu wyrazów i dźwięków, ażeby się łączyły harmonijnie i mile dla ucha.

Dlatego sprzeciwia się dźwięczności:

a) Wszelkie powtarzanie:

tego samego wyrazu, — wyrazów z tym samym pierwiastkiem, — tych samych dźwięków na początku, w zakończeniach i w środku wyrazów. (Patrz poprawność str. 66).

Wskaż błędy:

W wieniec żniwiarki strojąc znojne skronie,
Zdaje się w starej Piasta pysznić się koronie.

Kto był obecny podczas przemówienia, każdy był przekonany.

W tej rodzinie obchodzono urodziny rodziców i rodzeństwa.

Zasunęłam zasuwkę i zamknęłam drzwi na klucz

Szanuję tego zacnego człowieka.

Ostrzegają ją, — mają ją.

W dowód ufności i życzliwości każdy z gości i t. p.

Ujrzałam nad rzadkiem żytem trzy rzędy pochylonych żniwiarzy.

b) **Zbieg spółgłosek twardych i syczących, samogłosek, wyrazów jednozgłoskowych i wogóle wyrazów o jednakowej ilości sylab.**

Wskaż błędy.

Chrzęst skrzydeł chrząszcza. Trzcinyowe krzesło trzeszczy.

O Olesia nie pytano, a Anielkę chwalono.

Chodzi mi o oczy. A i ona tu była.

Aż tu wpadł bąk i pęc go w nos. Kot wlaźł na płot.

Ptaka wpadł w dół.

Wicher szarpie czarne chmury, łamie drzewa, kładzie zboża, pędzi bydło, niszczy wszystko.

c) Umieszczanie jednozgłoskowych wyrazów, zwłaszcza nieakcentowanych na końcu zdania: (Patrz poprawność).

Popraw:

Ludzie chętnie zebrali się. Wkońcu zaproszono go.

Już całą książkę przeczytałem mu. Wczoraj dałem znać wam.

d) Rymy w prozie.

Pomimo niepogody skoczyliśmy do wody.

Przynajmniej wśród rych trudów nie doznaliśmy nudów.

(Patrz poprawność).

Niekiedy dobieramy umyślnie pewnych brzmień, naśladowujących dźwięki, które odtworzyć chcemy, — nazywa się to **harmonją naśladowniczą** czyli **onomatopeą**.

Taką harmonją naśladowniczą są pojedyncze wyrazy jak: ryk, bek, syk, tętent, szum, świst, zgrzyt, skrzyp, warczy, miauczy, gęga, kracze, kwacze, bęc, brzdęk, pif, paf, etc.

Onomatopeą będą również zdania: Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei, głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki i t. p.

Wskaz onomatopeę:

Stepowa gęśli! (drum, drum, — drum, drum),

W rozciąglej nucie domowych dum

Brzękam ku tobie = sam, o! samiutki;

Rozbrzmiej na wiatry powszednie smutki.

B. Zaleski.

Hop, hop, cwałem, koniu wrony,

Leć do pułków, do mej żony!

Dłużej chwilką

Jeszcze tylko

Do Stawiszcz mi służ.

B. Zaleski.

Jedzie, jedzie, tętni, dzwoni,

W tysiąc koni, w tysiąc koni,

Król Mendog,

Litewski król Mendog od Trok!

St. Wyspiański.

Co naśladową powyższe i następujące wiersze?

W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur:
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziesięć gór;
Za godzinę pieje kur. *A. Mickiewicz.*

A tymczasem upusty niebieskie otworzyły się: deszcz pomieszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, skrzypią i szumią; słychać trzask gałęzi; ciemność!

H. Sienkiewicz.

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony:
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony,
Na Anioł Pański biją dzwony;
W niebiosach kędyś głos ich kona... *Tetmajer.*

DESZCZ JESIENNY.

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno..
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny..
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Wieczornych snów mary powiewne, dziewicze
Naprawdę czekały na słońca oblicze..
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą..
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby,
A smutek cień kładzie na licu ich młodem..
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
W dal idą na smutek i życie tułacze,
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Kto dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w pamięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... szczęście przyjść chciało, lecz mroków się zlekło.
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce mu pękło,
Gdy poznał, że we mnie skrę roztlić chce próżno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrag płaczą...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonem szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szal trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swem dziełem, brzemieniem ołowiu
Położył się na tem kamiennem pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpaczę
I smutków potwornych płomienne łyzy płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Leopold Staff.

Streszczenie.

III. Estetyczne przymioty stylu.

I. Obrazowość.

Przenośnie.

Porównanie
metafora
epitet

uosobienie
hiperbola

alegorja
metonimia

2. Urozmaicenie stylu.

Zwroty krasomówcze:

Powtórzenie
pytanie
wykrzyknienie

apostrofa
poprawienie
przemilczenie

stopniowanie
nagromadzenie
antyteza

3. Dźwięczność.

Warunki dźwięczności.

Onomatopea.

IV. Przymioty stylu indywidualne.

Za pomocą przenośni i zwrotów retorycznych, przez zachowanie warunków dźwięczności — możemy styl ożywić, urozmaicić, uczynić go harmonijnym i obrazowym — więc ozdobnym. Warunki te jednak nie wystarczają do wyróżnienia naszego stylu od wysłowienia innych piszących, nie nadadzą mu cechy oryginalności i mistrzostwa.

W arcydziełach literatury oprócz gramatyczno-logicznych i estetycznych zalet wysłowienia, znajdujemy cechy stylu, płynące z odrębności duchowej pisarzy, t. j. siły twórczej ich umysłu, uczuciowości i wrodzonego talentu, który można w sobie rozwinąć lub stłumić, ale stworzyć — nigdy.

Każdy prawie człowiek inaczej myśli i czuje — te różnice tworzą jego **indywidualność** (zbiór cech, różniących daną jednostkę od innych).

Różnice te wzrastają i uwydatniają się w miarę roz-

woju jednostki umysłowego i moralnego, oraz jej samodzielności: — im większa samodzielność, twórczość, — tem wybitniejsza indywidualność pisarza, wyrażająca się zawsze nie tylko w pomysłach, ale i w stylu.

Ludzie mało samodzielni, pozbawieni cech indywidualnych, mówią stylem pospolitym, szablonowym; — wybitniejsze jednostki (choćby analfabeci!) mają swój styl odrębny, oryginalny.

Porównajmy np. styl następujących urywków:

CHOROBA CIOCI POLCI.

Pewnego piątku, wieczorem, po odejściu Rejenta i po napisaniu listu do p. Szałwiewicza, ciocia Polcia uczuła się niezdrową i oznajmiła o tem zaraz pannie Eufemji, towarzysze, która jej domem zarządzała od lat niepamiętnych.

P. Eufemja zawyrokowała, że to będzie katar, poradziła cioci położyć się do łóżka i wypić czegoś na poty. Zaparzone wielki imbryk suszonych malin; ciocia wypila trzy filiżanki wrzątku i, według zwyczaju, usnęła podczas głośnego czytania »Kurjera« w chwili, kiedy p. Eufemja dojechała do rubryki »zgubionych rzeczy«.

— Dzień dobry pani! Jakże tam dziś z katarą? zapytała p. Eufemja nazajutrz rano, wchodząc na głos dzwonka do sypialni cioci.

— Nie czuję kataru — odpowiedziała ciocia.

— A co, mówiłam, że maliny pomogą! Będzie pani zaraz wstawiała?

Ale maliny widocznie nie pomogły, bo ciocia nie miała ochoty wstać z łóżka.

— Nie wiem właściwie, co mi jest, mówiła, — czuję tylko ból głowy... zmęczenie...

— Może to przejdzie do południa, pocieszała p. Eufemja. Byłam dziś raniutko w kościele, spotkałam Pytlewską, obiecała panią odwiedzić.

Jakoż obietnica nie była dana na próżno; niebawem ukazała się Pytlewska.

— Cóż to kochanej pani się stało? pytała, siadając przy łóżku chorej. Pewno pani zjadła coś niezdrowego!

Ciocia z pomocą p. Eufemji przypomniała głośno to

wszystko, co spożyła w ciągu ostatnich trzech dni; niezdrowego stanowczo nic nie było.

— W każdym razie ten ból głowy pochodzi z niestrawności, rzekła Pytlewska, — zaczął się przed wieczorem, więc to żołądkowe; gdyby było przeziębienie, choroba objawiłaby się dopiero od rana.

— Może być... westchnęła ciocia.

— Ale tak, tak! niech pani tylko zażyje rabarbarum, a wszystko będzie dobrze.

Nie miała ciocia wielkiej na to lekarstwo ochoty, uległa jednak gorącym namowom. Pytlewska odeszła do domu wtedy dopiero, kiedy jej przepisowi zadość się stało.

W GORĄCZCE.

Krzysztof jechał na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł, gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinjerowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzuja się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści, konwulsją ściśniętych, uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarliny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie

w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rzą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył żrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza noma zabili! — ryczy na cały szwadron. Zwioteczałe wyszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

Ranny leży nieprzytomny. Serce wali szalonymi ciosy, serce młot bije raz w raz w głębie miękkich klekocących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocią w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, spłakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży, na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystko-grające nie zabrzmia już. Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecz się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych, opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydeć kamienia...

— Tyżeś to jest, przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obległy nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu ucisku śmierci.

— Tyżeś to jest ze mną — szeptaają usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłaci... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty, pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z ucisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane

jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych gwoździaków. Fijołkowemi powłóceniami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Bładofioletowa lewkonja leży na pierśsiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słysząc, słysząc...

Słysząc, co się dzieje w uszach i w głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wypródki! Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru-lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błędzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwał w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyjedziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... dajże mi pić, daj-że mi pić...

S. Żeromski.

Ze względu na nieskończoną różnorodność własności indywidualnych, mamy też nieskończoną różnorodność rodzajów talentu i stylu: — u jednych autorów przeważają cechy umysłowe, innych wyróżnia nadzwyczajna wrażliwość i uczuciowość, inni jeszcze odznaczają się niezwykle bogactwem wyobraźni, — prawdziwi mistrze łączą w sobie niekiedy wszystkie przymioty, cudownie zharmonizowane.

Która z tych cech przeważa w każdym z następujących wyjątków?

Z „IMPROWIZACJI“.

(Konrad w najwyższym natężeniu bólu i miłości przemawia do Boga)

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,

Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!

O ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga:

Aż tu moje skrzydło sięga!

Lecz jestem człowiek, i tam na ziemi me ciało;
Kocham tam, w ojczyźnie serce me zostało...

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,

Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ociec,

Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,

Chcę nim cały świat zadziwić.

Nie mam sposobu i tu przyszedłem go dociec.

Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,

Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,

Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;

Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą,

Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,

Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa...

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!

Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie!

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tem się uszczęśliwią;

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną!

Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,

Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!

Mówią, że Ty tak władasz!...

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;

Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,

Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe, niżli Ty, zrobiłbym dziwo:

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

A. Mickiewicz.

Z KORDJANA.

*(Kordjan wchodzi do wielkiej sali zamkowej, słabo oświetlonej lampą.
Ukazują mu się widma).*

Kordjan: Puszczajcie mię!... Ktoś mię za włos trzyma!

Przywidzenie: Słuchaj! ja mówię oczyma.

Strach: Słuchaj! mówię biciem serca.

Kordjan: Nikogo niema —

Ktoś gada —

Przywidzenie: Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.

Kordjan: Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada

Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze —

To arabeski, ścienne malowidła —

Strach: Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,

Ściana gadem się rusza — przebrzydła —

Każdy wąż — złota ogniem nalany,

Pierścieniami rozwija się z muru.

Kolumny potrzęsają węzów zwitych grzywą;

Sfinksy straszliwe

Spełzły z marmuru —

Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą,

Nie nastap na nie — patrzaj — wiją się i błyszczą.

Przywidzenie: Jako motyl płocha, powiewna

Odleciała od ściany dziewica;

Może jakaś zaklęta królowna?

Królowna — lub czarnoksiężnica?

Przypomnij! widziałeś jej lica,

Przypomnij! do kogoś podobna,

Przypomnij!

Tamta była posępna i patrzała skromniej;

U tej szata gwiazdami ozdobna —

To gwiazdy prawdziwe — to światy —

Błyszczą na szafirze szaty —

Jest to pasterka z gwiazd sioła,

Kosz na głowie, w koszu kwiaty —

I twarz anioła —

Strach: Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!

Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.

Przywidzenie: Czy czujesz woń jej warkoczy?

Strach: Rozgniotłeś węża pod sobą —
Pękła żmija.

Kordjan: Jezus Maryja!!!

J. Słowacki.

Z PSALMU WIARY.

Lecz szkołą duchów są ludzkości dzieje —
Drogą do niebios — planety koleje!
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni
— A wszyscy razem — do innych przestrzeni,
Gdy Syn Twój, Sędzia, zmartwychwstałych Ksiązę
Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże
I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
A do dnia tego wiodące tu wschody —
To w łasce Twojej poczęte narody!
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje jakaś myśl głęboka,
Co z piersi Twojej zestaniem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
A są wybrane jedne przed innemi,
By o Twą piękność walczyły na ziemi,
I krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
Były wśród świata — anielskim przykładem!
Aż nie wywależą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa.

Z. Krasiński.

Jakie cechy przeważają w panu Tadeuszu: umysłowe, uczuciowe, czy płynące z wyobraźni? W Konradzie Wallenrodzie? Grażynie? — W znanych ci utworach Słowackiego, Asnyka, Konopnickiej?

Z naszych trzech największych mistrzów Mickiewicz odznaczał się najpotężniejszą uczuciowością, Słowacki najbogatszą wyobraźnią, Krasiński najgłębszym umysłem filozoficznym.

Zwróć uwagę na różnice w odczuwaniu i malowaniu przyrody u Dygasińskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego.

WŚRÓD WODY.

(Urywek).

Rozległa równina otaczała lepiankę Zawodów. Drzew tutaj jest mało, jak w pustyni; zaledwie na tej płaszczyźnie spostrzegam kilka wierzb białych i olszyn, złotowierzb a wiklina niewyżej wzrastają od bujnych sitów dokoła jeziorzysk, bagien, rowów. Za to pełno wszędy rogoży, tataraku, trzciny i skrzypów. Ponad wodami rosną niezapominajki, błotne kosańce, krwawice, białe sagitarje. Powierzchnia wód tych znowu okrywa się kożuchem gęstej rzęsy, a z rzęsy wystrzeliły piękne, jak z alabastru rzeźbione, białe grzybienie i inne, wspaniałe rozrosłe, niby centyfolje lub kamelje, grzybienie złote.

Kiedy wiatr rozbrykany wpadnie w ajery, wyprawia muzykę w tym gąszczu ziela. I chwieją się, jak w tańcu, ciemne kity oraz czerwono-brunatne pałki trzciny wodnych. Wtedy to tysiączne legiony lazurowych i smaragdowych świtezianek czepiają się łodyg a liści tych grających roślin, i połyskując jakby ich kwiaty, w milczeniu wysłuchują muzyki, z którą przyleciał na Powiśle i Ponidzie¹⁾ wiatr, ów bard²⁾ z dalekiego kraju. Smutna jest pieśń »co z burzą przychodzi!...« A i tej ktoś wysłuchać musi.

Ale w dni jasnej pogody bujają świtezianki ponad falami, ułożonemi w zwierciadło, oddają się miłości zachwytem, zajęciom życia znikomego: składają w wodę jajka przyszłości. Bo woda, równie jak ziemia, piastuje w sobie kolebki i mogiły życia.

W płasającym polocie pojawiają się i złotawe ważki z olbrzymiemi oczyma, i jętki jednodniowe, i wątłuchne chróściki; wszystko walczy, kocha, za dobrą sprawę umiera... Czasem z tajemniczych głębin, niby krety wodne, pod wierzech wypływają czarne kałużnice lub pływak, a zadziwione widokiem świata, czempredziej trwożnie na dno uchodzą... Niekiedy wygodnie jest zakopać się w błocie.

Jakieś długie, trupio wyblakłe pająki, o ruchach niezdarnych, nastawiły sieci między liljami wodnemi, i strach, mordy krwawe sieją. Płaski pluskowiec łazi na swoich szczudłach,

¹⁾ Ponidzie — brzegi Nidy. ²⁾ Bard — śpiewak średniowieczny.

a taki nieruchawy, że zdaje się krwi nie mieć. Powyłaziły rogate ślimaki, wytrzeszczyły dziwne oczy na słońce i zaśliniły czystość zieleni u trzciny wysmukłych. Ustawiły się po brzegach szeregiem żaby, bystro zerkają, czy jaki bocian na nie gdzie nie czatuje. One w razie niebezpieczeństwa umieją dobrze skakać i nurkować. Ta bowiem akrobatyka ¹⁾ popłaca w wodzie, równie jak na lądzie.

Tuż pod powierzchnią jeziora pokazał się i król tych wód, zielonawobury szczupak; stanął w wodzie jak martwy, patrzy straszliwie, bo bez wyrazu... Milczący tyran-morderca, obłudną maską powagi pokrywający swą dzikość, tylko ruch wody wstrząsa jego pletwami z lekka. I otyły grubokarczysty karp wylazi ze swej pieczary; przewalił się ciężko po wodzie, jak wielki bogacz, magnat — błysnął złotą łuską, zakłócił spokój wodnej przezroczystości. Lin poruszył się z mułu, wyciąga ku górze swą czarną, aksamitną głowę, otworzył okrągłą paszczę, żądnie pochwycił jakąś zdobycz i zniknął w topieli.

A rybia młodzież, liczny zarybek hula tu gromadami; szczęście życia, swawola wiodą ten drobiazg na zgubę. Plusnie czasem ponad wodą srebrzysta płotka, da susa kielbik, zmykający przed zawziętą pogonią żarłocznego okonia. I rak, lichota w biegu, pokazuje się niekiedy na tem pospolitem ruszeniu wszechwodnej rzeszy.

Za państwem owadów szybka ściga jaskółka brzegówka, wydając niekiedy krótki odgłos jakiegoś radosnego tryumfu lub kąpiąc ciało w przelocie. Nadbrzeżne pliszki fertycznie się zwijają, podzwaniając jeden takt piosenki; przyczajone w gęstwinach długonogie i długodziobe bekasy oraz chróściele krociami tępią rody muszek, komarów, glist i chrząszczów. Lecz oto nad brzegiem, na jakimś wółprzegniłym pniaku usiadł grubogłowy a cienkodzioby zimorodek, piękny, blaskiem przepychu mieniący się samotnik; poważnie i cicho wpatruje się w wodę, niby to badacz, a jak kot czatujący, aby złowić nieostrożną rybę. I czapla z esowato wygiętą szyją, o czarnym czubie, stoi posepna, jakby los świata opłakiwała; po faryzejsku się ona zamyśla, bo celem jej życia jest tępić, gubić, pożerać, aby istnieć. Łyska czasem się mignie

¹⁾ Akrobatyka — zręczność gimnastyczna, umiejętność skakania na linie.

w wodnych zaroślach, a niedorzecznością jest mniemać, że to jej włóczenie się po ziele jest jakąś bezcelową wędrówką. Dziwne głosy kurek wodnych można podsłuchać wśród owej pozornej ciszy. Serce ci bije prawie z obawy, czy to nie są jakie nadprzyrodzone dźwięki, czy one nie pochodzą z zaczerpniętych pod wodą pałaców. Lecz czyś filozof, czy poeta — szukaj prawdy, powabniejszej nad wszelkie zmyślenie: bo bąki rzą, jak gdyby pod ziemią tętniło; ryby mlaskają i klaszczą w norach; zbłąkana ptaszęca matka dzieci do łona wabi; kurka wodna, z jaj spłoszona, wydaje głos trwogi, — może jej pomoc kto przyniesie w nieszczęściu.

Zresztą — gdzież niema tajemnic?... I tutaj są ich miliony. Kto wie dobrze, co na dnie jeziora porabia szczeżują zamknięta w muszlach? Jakie są bóle i uciechy marnej żaby? Kto wie, czyją krew chłepcą pijawki? Alboż nam znane są macierzyńskie poświęcenia cyranek? Alboż po dnie wód naszych dniem i nocą nie łażą jak widma, straszne potwory równie krwiożercze, jak wilki, tygrysy, hyjeny? Czyż w ciałach wodnych stworzeń nie wpijają się inne wodne istoty? Wszakże mały pływak skrada się nieraz po cichu do olbrzyma szczupaka i straszną ranę wierci mu aż do trzewów lub serca.

Wśród rozległych bagien, nad jeziorami, nad rzekami — człowiek się przeraża, a jednocześnie religijnie szanuje ciszę tych miejscowości, jakby je uznawał za przybytek wyższych od siebie istot.

Adolf Dygasiński.

Z I E M I A.

Zenon szedł swoją ulubioną drogą ku wzgórzu, poroślemu sosnami. Idąc, czuł, że ma nogi trochę lżejsze, plecy trochę mniej przygarbione, i że owe ciemności, zalegające jego mózg i serce, trochę się rozwidniły. Niebawem znalazł się na stoku wzgórza, pośród sosen rzadkich, wyrastających z pokładów mchów siwych, żółkniejących i jeszcze jak szmaragd zielonych. Usiadł na mchu, spojrzał dokoła, a potem zapatrzył się na krajobraz.

Dokoła rosły klombami, gajami paprocie brunatne i cieliste, trzmieliny z liśćmi różowemi jak centyfolje, jałowce krwistordzawe. Pośród sosen stały brzozy, całe w złocie, a głębiny lasu oddalone, zachodząc cieniem, świeciły jeszcze gdzie-

niegdzie smugą słoneczną, kołyszącą na fali ruchomej purpurę zwiedłych borówek i jeżyn. Z obu stron drogi polnej, wijącej się u stóp wzgórza, sterczały łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszane nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane albo zasłane ścierniskiem żółtem, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż po skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa, ze szczytem rozplywającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconymi po wzgórzach, nad dworem zapolańskim, który wyglądał jak obrazek sielski, wymalowany na tle złoto-różowem. Naprzeciw, w stronie wschodu, wieś chłopska, długa, szara, stała we mgle liljowej, rzucając w górę kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni; była też piękność rzadka rzeczy prostych, a wspaniałych.

Zenon patrzył na ziemię, na niebo, i powoli, powoli zmysły i dusza jego zatapiać się w nich zaczęły tak, że stracił całkowicie uczucie samotności. Nie był sam jeden, bo dookoła siebie posiadał to, co kochał. Owszem, im dłużej patrzył, tem silniej i wyraźniej stawać się z nim zaczynał ten sam proces, który przed laty osiemnastu związał go na zawsze z tym kawałkiem świata. Zdawało mu się, że nim oddycha, że wzajemnie jest przez niego wchłanianym i że stanowi część jego, ściśle spojeną z innemi. Uczuł, że nie było na świecie takiej siły pociągu, któraby zdołała go stąd oderwać; że cokolwiekby znosił i czegokolwiek pragnął, tu, a nie gdzie indziej tkwić musi, jak w źródle krople wody lub w smudze słonecznej drobina światła. Pomyślał, że był niezawodnie dla tego kawałka świata kroplą wody i drobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności.

Niedaleko miejsca, na którem siedział, znajdowała się kępina mchów suchych, pomieszanych z igłami, odpadłemi z sosen, ze splotami gałązek, upstrzonych resztką kwiatów i liści. Pochylił ku niej głowę tak nisko, że skroń jego spoczęła na liljowym atłasie późniejszego wrzosu. Wtedy do ucha jego dochodzić zaczęły dziwne szmery i szelesty, jakby chód robaczków we mchu i wrzosie, jakby fruwanie skrzydeł drobnych pod zeschłemi liśćmi, jakby jeszcze toczenie się po-

wolne lub wartkie strumyków wązkich jak nitki, cieniuchnych, a niezliczonych. Strumyki te były sokami ziemi, płynącymi pod jej skorupą i rozbiegającymi się na wsze strony, pod pola, pod lasy, pod dwór zapolański, rysujący się na tle zorzy wieczornej, pod wioską, stojącą szarym pasem u liljowego wschodu.

Zenon słuchał tych szmerów uchem uważnem i chciwem, a niebawem począł rozpoznawać mowę ziemi, którą rozumiał, albowiem żył z tą ziemią oddawna w związku miłości wielkiej. Były w tej mowie rzeczy różne: skargi, dziękczynienia, płacze ciche, śpiewy przewlekłe, podobne do tych, które piastunki nucą nad kolebkami dzieci chorych. Były w tej mowie ziemi, oprócz szeptów i szmerów, tętna pulsu potężnego, idące z głębin najodleglejszych, a bardziej u powierzchni coraz więcej, coraz więcej uderzeń drobnych, niby serc, które żyły, pracowały, mówiły także, opowiadały...

Upłynęło chwil wiele, a Zenon wciąż słuchał, słuchał głosów, gwarów, pulsów ziemi i nabierał ich w serce tak, jak pustynia, spieczona skwarem południa, nabiera wieczornej rosy.

Kiedy nakoniec oderwał ucho od kępy mchu i wrzosu, wstał i wyprostował się, zobaczył nad zapolańskim domem wschodzący sierp księżyca. Jeden dopiero rożek srebrny ukazywał się z nad dachu, lecz rzucał na twarz wpatzonego weń człowieka promienność prawie słoneczną. Plecy jego teraz nie były zgarbione, postawę miał rzeźwą i w oczach, wzniesionych ku górze, myśl dziękczynną.

Modlił się.

— O źródło życia wszelkiego i jedyne zbiorniku wszelkiej wiedzy! Nie wątpię już o potędze swojej, bo czuję, że silnie kocham, i nie żałuję niczego, chociaż jestem bardzo smutny. Owszem, we wszechstworzeniu Twojem wielbię smutek i ze czcią przyjmuję go na ramiona, bo jest on mistrzem, który naucza ludzi, jakimi są Twoje prawa i rozkazy.

E. Orzeszkowa.

DRZEWA W GRUDNIE.

Za trumną książę Gintult szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna, nie wiedząc o tem, zatopiony w myślach. Nareszcie droga polepszyła się. Szła

w górę, ku kościołowi, stojącemu na szczycie pagórka. Po obudwu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wyrывая się z kłębów siwego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkimi. Konary, gałęzie, różgi, czuby ich — sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój — i czterozębach, w splotach gałęzi, wyteżonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, plecach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nadewszystko — była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nade drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi, jak kudłata głowa chłopa-starca. Gdy wóz, otoczony latającymi blaskami, wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszept zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrżał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały, jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone, jak trawnik, od dawnego mechu, albo obwieszone mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawniki... Pnie, pokryte splotami sznurów kory, zbrózdzone, o barwie deszczu i szarugi... Różgi, chwiejące się pod niebem...

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr.

S. Żeromski

Rozpatrzmy niektóre przymioty stylu indywidualnego; — zdobyć ich nie możemy, jeśli nie mamy odpowiedniego talentu, lecz można je rozumieć i odczuwać.

1. Naturalność.

Z Pana Tadeusza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepekami i kołkiem zaszczepekki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
Kończył nauki — końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;

Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałośny po wolności stracie;
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny.
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece!
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty,
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To nie był ochmistrzyni pokój. Fortepiano,
Na niem nuty i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie: nieporządek miły!
Niestare były rączki, co je tak rzuciły!

Tuż i sukienka biała, świeżo z kolka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta,
A na oknach donice z pachnącemi ziółki:
Geranium, lewkonja, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jednym z okien; nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu, niegdyś zarosłym pokrzywą,
Był małeńki ogródek, ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek;
Grządki widać, że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki;
Tylko co wyszła, jeszcze kołyszą się drzewiczki
Świeżo trącone; blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku: bez trzewiczka była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym naksztalt śniegu,
Ślad wyraźny, lecz lekki: odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Mickiewicz.

Zastanów się, czy takie są uczucia młodzieńca, który wita dom rodzicielski? Czy odmalowane są tutaj **z prawdą**?

Mówiliśmy, iż naturalność polega na swobodzie i szczerości wypowiedzania swych myśli i uczuć. Lecz utwory utalentowanych pisarzy cechuje inna jeszcze naturalność: to doskonała prawda w odtwarzaniu ludzi różnych typów, którzy myślą, czują i działają zgodnie ze swym charakterem i usposobieniem, i mówią właściwym sobie językiem.

Wymaga to głębokiego wnikięcia w duszę każdej postaci. Żeby odtworzyć duszę innego człowieka, pisarz musi mieć wielką inteligencję, bogatą wyobraźnię, a nadewszystko tak zwane współczucie psychologiczne (dar odczuwania innych ludzi).

Przeczytaj rozmowę Hrabiego z Zosią (str. 1), rozmowę dzieci »Na bezludnej wyspie« (str. 6), »Z grzechów dzieciństwa« (str. 10), »Spowiedź Anielki« (str. 13) i zastanów się nad tem, czy te postacie są naturalne, prawdziwe.

Przytocz inne przykłady naturalnego odtworzenia ludzi w znanych ci utworach, lub wyszukaj je w tej książce.

Z SIEROCEJ DOLI.

(Wyjątki).

Położenie Jasia było rozpaczliwe. Nie robił nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim przybranym braciszkom, lecz na to niktby mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi. Synostwo to nie przeszkadzało jednak, że kiedy przyszli goście do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Chłopiec był prawie blizki obłądu. Z dziecinnych lat zostało mu przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś żałował. Biegał tam wprawdzie boso, ale biegał, gdzie mu się podobało. Pan Piotr wybił go czasem, lecz zato ucałowała go matka. Miał się też z kim bawić: w najgorszym razie z psami. A tu i psów nie było.

Z powodu braku wrażeń i zajęcia, chłopczyna zaczął marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przymykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze we wsi, w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. To znowu, że w kącie siedzi jeden z dwu kotków i oblizując łapę, mruczy pacierz. Za chwilę odległy szmer uliczny przynosił go do Warszawy, i wówczas Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy, i że matka siedzi o krok od niego.

Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś — zarazbym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba, i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma!

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju czarne kontury okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwóch krzyżów. Wtedy niewiadomo skąd, przychodziły mu słowa: »kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje«.

— Krzyżyki!... Krzyżyki!... myślał Jaś i czekał na matkę. Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie, jak stąd do nieba, aż matka przejść ich nie może.. Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichem stąpaniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?... O matko! spiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, które go otacza ze wszystkich stron!...

Niekiedy gorączkowe dumania sieroty przerywało gwałtowne wejście lokaja i wyrazy:

— Na herbatę!

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zastanie Antosia, Józia, Manię, zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, a matka każe mu usiąść na wysokiem jak drabina krzeselku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem...

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokój. Nagle zalały go potoki światła i ujrzał zamiast matki, piękną i surową panią Karolową, a zamiast pana Anzelma, zimną i dystygowaną twarz pana Karola.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

Wyjazd państwa Karolów na lato obudził w sercu Jasia niepohamowaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły, kryte słomą, dwór, wyglądający z poza ciemno zielonych liści, a wkońcu Antosie, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali mu tylko na świecie. Przypomniawszy sobie rozstajne drogi, rozwaloną kapliczkę i pożegnanie pana Anzelma. Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myśli te obudziły w nim jak na jego wiek bardzo dziwne postanowienie, i otóż zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma, i wiedział, że przy bramie kamienicy, w której mieszkał obecnie, wisiła pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął papier, polinjował go i zaczął:

Kochany panie.

Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...

Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnymi łzami. Już umarła!... Jakie straszne słowo, — i to on sam je napisał!...

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery niejednokrotnie rozplywały

się we łzach. Wreszcie po kilku dniach rzucił zaadresowany list do skrzynki, a wkrótce potem przechodzący przez pocztę w szafce nieopłaconych korespondencji widzieć mogli między innemi adres, pisany ręką dziecięcą:

Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce... żeby prędko doszedł.

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym, — na nieszczęście jednak na kopercie nie było marki!... List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

B. Prus.

2. Żywość.

Panowie bracia! dalej na konie!

Daleko mamy pohasać:

Tam w owej stronie, gdzie luna płonie,

Tam, tam będziemy popasać!

Na konia wskoczę, sztandar roztoczę,

Wesoło trąbka zadzwoni,

Rumaki spięli, bramę minęli,

A na ich czele on goni.

Zaleski.

Żywością stylu odznaczają się utwory, w których zdania i myśli następują po sobie w szybkim tempie. Autor pisze [wtedy krótkimi zdaniami, opuszcza wyrazy (elipsa), unika zdań dłuższych, nie używa wcale okresów i posiłkuje się często zwrotami krasomówczymi, co w wysokim stopniu przyczynia się do żywości stylu. Przedewszystkiem jednakże przymiot ten wynika z żywości usposobienia piszącego.

Określ styl w następujących wyjątkach.

NA WIEŚ.

W salach dworca krakowskiego było ludno i gwarno. Tragarze znosili kufry i pakunki, na twarzach tłoczących się ludzi uderzało zaniepokojenie i gorączkowa niecierpliwość. Rozkazy, pożegnania, ostatnie przypomnienia, wypowiedane krótko, nerwowo, krzyżowały się nieustannie.

Przed okienkiem kasy, na którem umieszczono na białej tablicy napis: »Do Lwowa«, tłoczyła się garstka ludzi. Bra-

cia nasi mojżeszowego wyznania w energji ruchów i błyskawicach wzroku zdradzali lękliwą obawę spóźnienia się, połączoną z chęcią natychmiastowego kupna biletów.

Zapał ich mitygował¹⁾ policjant, stojący tuż przy kasie.

— Ratuj mnie pan! — zawołała młoda dziewczyna, prasowana przez czterech synów Izraela o żółtych brodach.

— Co to, nie wolno kupować biletów? — zaprotestował²⁾ jeden z Żydów, wyciągając rękę, aby się uchwycić okienka kasy.

— Powiadam, rozstąpić się! — powtórzył stróż bezpieczeństwa i tak zręcznie zamanewrował, że dziewczyna znalazła się przy okienku.

Ze strony Izraela wyszedł protest. Jeden z nich wspomniał o gwałcie.

Reprezentant siły i władzy przyjął protest z ironicznym uśmiechem litości, zmienionym w pewien zachwyt, gdy przed nim stanęła uwolniona z pod prasy dziewczyna, pokazując w ręku kupiony bilet, a z poza różowych ust białe, równe zęby.

— A teraz którądy? — spytała. — Przyjeżdżałam już raz, ale jakoś sobie zapomniałam.

Stróż prawa podprowadził ją do trzeciej klasy, wskazując na szklane drzwi.

— A proszę wracać — odezwał się wesoło, salutując.

— Za tydzień! Do widzenia — dodała, odwracając się od drzwi.

Młodzieniec w kasku, z półksiężycową blachą pod szyją, podkreślił w górę wąsa; dziewczę znikło za szklanymi drzwiami.

Na peronie wielki ruch. Ludzie przebiegali od wagonu do wagonu, wołali na konduktorów, tłoczyli się, wchodzili i wychodzili, żegnali się, całowali, śmiali i płakali.

Porwana wirem dziewczyna biegła z jednego końca pociągu na drugi, powtarzając.

— Do Słotwiny, do Słotwiny!

Nikt jej nie odpowiadał, nikt się nią nie zajmował.

Gromadka dzieci Izraela, szwargocząc, szła żywo na sam koniec pociągu. Dziewczę pobiegło za nimi.

— Do Słotwiny — zawołała żałośnie, wystraszona.

— Do Słotwiny? tu, tu — wskazał ręką, na otwarte drzwi pustego wagonu oderwany od gromadki Żydek.

¹⁾ Miarkował, uspokajał. ²⁾ Wyrażać, że na coś się nie zgadzamy.

Dziewczyna postawiła na ławce wagonu koszyk i, chwytając się żelaznych prętów, wsiadła. Odetchnęła całą pierś i rozśmiała się. Już jej nie odjadą, nie spóźni się, zajędzie na czas... Usiadła, ocierając pot z czoła chusteczką.

Radość i szczęście promieniały jej z twarzy; nie mogła usiedzieć, — wstała, przechadzając się zwolna po pustym wagonie.

Do drzwi zbliżył się hamownik¹⁾ z czerwoną chorągiewką i niebieską czapką na głowie.

Dziewczę, aby się upewnić, zapytało:

— Czy w dobrym miejscu usiadłam?

— Kiedy panienska stoi.

Rozśmiali się oboje.

— Wszystko jedno, ale czy dobrze?

— A dokąd?

— Do Słotwiny.

— Doskonale.

— Dziękuję.

— Czy do samej Słotwiny?

— Dalej, będzie jeszcze z półtorej mili w góry.

Konduktor, biegnąc, zamykał wagony, trzaskając drzwiami.

Dziewczyna wystraszona, odskoczyła. W tej chwili rozległ się odgłos dzwonka.

— Gctów! — powtórzono trzy razy. Wążka siatka, oddzielająca wagony od publiczności, spuszczała się ku dołowi. Wagon szarpnięto tak silnie, że dziewczyna, nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadła. Koła zaczęły się obracać, pociąg zwolna, eicho poruszał się. Wyjechał z dworca.

Sewer.

Z PANA TADEUSZA.

Opowiadanie Rejenta.

Inaczej się bawiono w drugim końcu stoła,
Bo tam, wzmógłszy się nagle, stronnicy Sokoła
Na partję Kusego bez litości wsiedli;
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli.
Stojąc i pijąc, obie kłóciły się strony,
A najstraszniej pan Rejent był zacietrzewiony:

¹⁾ Hamownik — tak w Galicji nazywają dróżników.

Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował.
(Był dawniej adwokatem pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta).
Teraz ręce przy boku miał, wtył wygiął łokcie,
Z pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
Przedstawiając dwie smycze chartów tym obrazem,
Właśnie rzecz kończył. »Wyczha! — puściliśmy razem
Ja i Asesor, razem, jakoby dwa kurki,
Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;
Wyczha! poszli, a zając jak struna smyk w pole,
Psy tuż, (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał),
Psy tuż, i het od lasu odsadzili kawał.
Sokół smyk naprzód; rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym, o tyle, opalec.
Wiedziałem, że spudłuje. Szarak, gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstręk na prawo koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo: on w las, a mój Kusy
Cap!« Tak krzycząc, pan Rejent na stół pochyłony,
Z palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony
I »cap!« Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem.

Mickiewicz.

Z BARTKA ZWYCIĘZCY.

(Wyjętek).

W sercu Bartka strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się
w jedno uczucie wściekłości, a gdy usłyszał ową muzykę, to
każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Zapomniał
o świecie, o tem, że »raz kozie śmierć«, i chwyciwszy w po-
tężne łapy karabin, skoczył z innymi naprzód. Dobiegłszy
wzgórza, dojrzał wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli
to turkosity. Dopadł do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, pod-
biegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furja
rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia — błysnęło, huknęło,
i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiął chrapliwy ryk Bartka:

— Chybyliście!

I znów karabin w jego rękę zatoczył łuk straszliwy. Znów jęki odpowiadały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdawało, iż z ich szerokich warg wychodzi krzyk:

— »Magda! Magda!«

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu na pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ściśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, obłany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, niepamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalął głowy. Ręce jego poruszały się straszną szybkością maszyny, siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce jego puściły drzewiec.

— Hurra! — krzyknął Bartek i, podniósłszy chorągiew, zakochał ją w powietrzu.

Ten to wznoszony i upadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim — Bartek tą samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę, nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze i, schwyciwszy oburącz drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosy, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami. Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański

nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwiane drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuskich. Przerazenie zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchali. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pogrzebińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra, Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczone. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Sienkiewicz.

3. Wdzięk.

Z Pana Tadeusza.

Właśnie ułan, ujawszy jej dłoń lewą ręką,
(Prawą miał na temblaku, widać, że był ranny),
Z takimi odezwał się słowami do panny:
»Zofjo, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tem wiedzieć.
I cóż, że przeszłej zimy byłaś już gotowa
Dać słowo mnie? Ja wtenczas nie przyjąłem słowa,
Bo i cóż mi po takim wymuszonym słowie?
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie;
Nie byłem taki próżny, ażebym się ludzi,
Żem jednym mem spojrzeniem miłość w tobie wzbudził.
Ja nie fanfaron: chciałem mą własną zasługą
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.
Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć?...
Czemże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
Może mnie bierzesz, Zosiu, nie tak z przywiązania,
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania?
Ale małżeństwo, Zosiu, jest rzecz wielkiej wagi!
Radź się serca własnego; niczyjej powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja gróźb, ni namów ciotki;
Jeśli nie czujesz dla mnie nic, oprócz dobroci,

Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać;
Więzić twej woli nie chcę; będziem, Zosiu, czekać.
Nic nas nie nagli, zwłaszcza że wczoraj wieczorem
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę...
I cóż, kochana Zosiu?*

Na to Zosia rzecze,
Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:
»Nie pamiętam już dobrze, co się dawniej działo;
Wiem, że wszyscy mówili, że za mąż iść trzeba
Za pana: ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych...« Potem, spuściwszy oczęta,
Dodała: «Przed odjazdem, jeśli pan pamięta,
Kiedy umarł ksiądz Robak, w ową burzę nocną
Widziałam, że pan, jadąc, żałował nas mocno;
Pan łzy miał w oczach... Te łzy, powiem panu szczerze,
Wpadły mi aż do serca; odtąd panu wierzę,
Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
Za pana powodzenie, zawsze przed oczami
Stał pan z temi dużemi, błyszczącemi łzami...
Potem podkomorzyna do Wilna jeździła,
Wzięła mnie tam na zimę; alem ja tęskniła
Do Soplicowa i do tego pokoiku,
Gdzie mnie pan najprzód w wieczór spotkał przy stoliku,
Potem pożegnał... Nie wiem, skąd pamiętka pana,
Coś niby jak rozsada w jesieni zasiana,
Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła,
Ze, jako mówię panu, ustawniem tęskniła
Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,
Że tam znów pana znajdę, — i tak się też stało.
Mając to w głowie, często też miałam na ustach
Imię pana... było to w Wilnie na zapustach;
Panny mówiły, że ja jestem zakochana:
Jużci jeżeli kocham, to już chyba pana«. *Mickiewicz.*

W dziękciem nazywamy nieuchwytny powab, czar, urok,
płynący najczęściej z jakiejś nieokreślonej harmonji — w kwiatku,
widoku, zjawisku przyrody, człowieku, scenach z życia ludzi
i zwierząt; — są to wrażenia pogodne i miłe, choćby owiane
lekką melancholją, — nigdy silne i wstrząsające. Umiejętne
oddanie tego wdzięku życia znajdujemy niekiedy w stylu.

HANIA.

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w jak najlepszem usposobieniu. Stół zastawiony był pod werendą; świece, objęte szklanymi kielichami, paliły się migotliwem światłem, a émy, rojem krążąc koło światła, tłukły się o szklane ściany kielichów; listki dzikiego winogrodu szeleściły, kołysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył się wielki, złoty miesiąc. Ostatnia rozmowa pomiędzy mną, Hanią i Selimem nastroiła nas na ton dziwnie łagodny i przyjazny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziałał i na starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika były wypogodzone jak niebo.

Po herbacie pani d'Ives zaczęła kłaść pasjans, ojciec zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdyż zaczął opowiadać o dawnych czasach, co u niego było zawsze znakiem dobrego humoru.

— Pamiętam raz — mówił — staliśmy niedaleko jakiejś wioski w Krasnostawskim; noc, pamiętam, była ciemna, choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił ponad świecą). Człowiek był zmęczony jak żydowska szkapą. Stoimy tedy sobie cicho, a wtem...

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był je nieraz słyszał, powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniej, zakładał okulary na czoło i, kiwając głową, powtarzał: »uhum! uhum!« albo też wykrzykiwał: »Jezus Marja! — no i co?« My z Selimem, oparłszy się o siebie ramionami, z utkwionemi oczyma w ojca, łowiliśmy z chciwością jego słowa; ale wrażenia na żadnej twarzy nie malowały się tak wybitnie, jak na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce były na twarzy, wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Ives, spojrzawszy nań, uśmiechnęła się i pokazała go oczyma Hani, a potem obie poczęły mu się przypatrywać, bo bawiła je ta twarz, jakby zwierciadło, albo jak szyba wodna, w której odbija się wszystko, co tylko zbliży się do przezroczy.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydłata ustawicznie przesuwam mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej i takiej rodziny zgodnej,

kochającej się, szczęśliwej; stary, posiwiaty weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzą się oczy, dalej jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej, dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu.

H. Sienkiewicz.

PRELUDJUM CHOPINA.

(Wniebowzięcie).

I.

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę.
Mglę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fijołkowej woni
Opływa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś...

II.

Nie wiem, gdzie, czem jestem —
Czym anioł napoty?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz, — Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskreś!...

Ujejski.

Przeczytaj Krasińskiego: »Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku«
(str. 41).

JAGODA.

Po brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie —
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami borówkami.
A dla Boga, co się dzieje?
Kto się śmieje? Las się śmieje —
Kłaniają się przed nią drzewa, —
Ona śpiewa i las śpiewa.
Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy wkoło — i nic niema.

Dzięcioł, co ma dziobek spory,
Przysiadłże się też do kory,
A wiwilga coraz świeżnie —
Gęstwa, ledwie się przecisnie. —
Z pod jałowca zając skoczy.
Z otwartemi śpiący oczy.
— Mój zając, nie bójże się,
Ja borówki zbieram w lesie.

A toż ja ci nie przeszkodzę,
Że ze dzbankiem sobie chodzę.
Gdybyś był nie uciekł w chrósty,
Dałabym ci liść kapusty,
Jak królikom, kiedy z jamki
Wyjdą z rana stare samki,
A za nimi ich przychówek
Powymyka się z kryjówek.
Stara matka uchem strząśnie,
Przybliży się, liścia kąśnie,
I powoli się oswoją,
Że i Burka się nie boją.

Już powiadam, że uciecha —
Oj, frunęło coś z orzecha,
Z czubka drzewa, co się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.
Nocą spadły świeże deszcze,
Bo się krople świecą jeszcze,

Coś zalata, cości słyhać,
Ze aż chce się piersiom dychać;
A na wrzosie, co mnie moczy,
Jak perełki stoją oczy.

Jagódeczko, pójdź do dzbana,
Danaż moja, dana, dana...

Śpiew.

Miała matka dwie sieroty:
Chłopiec starszy, siedmiolatek,
Jak aniołek jaki złoty,
Co otwiera drzwi do chatek.

W koszulinie, zawsze bosi,
Przepasany wąską krajką,
Opalone białe włosy,
Bóg wie, gdzieby szedł za bajką.

A dziewczyna jakby fryga,
Nigdzie miejsca nie zagrzała,
O! śpiewała, o! biegała,
Tylko że się w oczach miga.

Dobrze tym, co mają matkę:
Miłe życie, czas wesoły,
Lecz gdy zajdzie wóz przed chatkę,
Zaprężony w siwe woły,

I kościelny dziadek stary
Od dzwonnicy linkę chwyci:
Za cmentarzem dzionek szary
Smutną zorzą się rozświeci...

I krzyżyków tyle, tyle
Pokaże się z poza płoty,
I sieroty na mogile...
Były we wsi dwie sieroty...

.....
.....

Jak zalata Boże ziółko...
Gdzie tak spieszo, pani pszczołko?

Już za sosną, już za górką!
Przyjdiesz do mnie na podwórko.
Jak mateńka miód wysyci,
To się przecież coś zachwyci.

Danaż moja, dana, dana...
Gdybym była poszła z rana,
Kiedy świat był w cieniu grubym,
To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, słyhać dzwonki,
Stary pastusz spędza z łąki:
To pawłowa — to graniata,
Co kołatką tak kołata;
A to nasza krówka goni,
Co jej dzwonek cienko dzwoni.
I od gaja aż do gaja
Rozlega się ryk buhaja.
Jak zobaczy cudze chłopię,
Zaraz staje, ziemię kopie,
A Burek go łap za nogę:
Nie przestępuj ludziom drogę!
Dobre psisko, nie napada
Na starego ze wsi dziada,
Ale za to jak posłyszysz:
Pójdź tu, Burek, myszy, myszy!
Toż pod siebie ziemię spycha,
Kopie, kopie, potem kicha.

Coraz dalej dzwonki dzwonią,
A brzęk leci równą błonią.

Śpiewa.

Pożegnała siostra brata,
Pożegnała temi słowy:
—Kiedy idziesz za kraj świata,
Mój braciszku, bywaj zdrowy.

Jak za siódmą będziesz rzeką,
Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,
Albo ja wiem, jak daleko,
Obejrzyj się w nasze strony.

Gdzie nad chatą rozwaloną,
Nad kominem het, wysoko
Takie nieba jasne łono,
Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na człeka,
Ni na swoich, co już w grobie,
Ale bracie, wspomnij sobie,
Ze cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,
Nad zieloną pochyłością;
Kto pożegnał się ze łzami,
Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa!
Smutno świeci zachód złoty,
Długa żalność, krótkie słowa:
Zegnały się dwie sieroty.

.
.

Danaż moja, dana, dana...
Jagódeczko, pójdz do dzbana.
Jakoś idzie mi powoli,
A tu trzeba kupić soli.

Latoś¹⁾ było co nie miara, —
Dziwiła się matka stara,
Ze jak tylko w gaik wpadnę,
Wnet borówki niosę ładne.
A ja wcale się nie siłę,
Wszędzie pełno, gdzie się schylę,
Rumienia się wkoło przy mnie:
— Weźże i mnie, weźże i mnie,
I ja świeża, i ja świeża, —
I już dzbanek po wyrzeża.
I mówiła mi jagódka:
— Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja
A ja kładę do kozubka²⁾: [słodka.
— Tyś dla matki, moja lubka.

Ja dziewczyna niełakoma,
Dadzą mi, jak wrócę doma.
A dziś chodzę dzionek cały, —
Czyby ptaki wydziobały?
Oj, wy ptaki nienasyte,
Widzę ja was, choć ukryte.
Dziwuje się, kręci główką,
Nie pocieszysz się borówką.
Oto widzisz, że nie twoja,
Tylko Boska, potem moja.
Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko, pójdz do dzbana.

Śpiewa:

Płyną wody za wodami,
I z gałązek liść oblata,
Sieroténka za górami
Przewędrował kawał świata.

A chociaż mu nie zbywało
Ani soli, ani chleba,
Ale wszystko to za mało,
Bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny
Złotoocznem piórkiem pawia;
Ale taki niepodobny,
Ze co słówko, to zakrwawia.

Niby nic mu nie potrzeba
Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzynkę nieba,
I wietrzyka z swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisła mało wiele,
Tyś braciszek, ty jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciele.

I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim,

¹⁾ Latoś — zeszłego roku. ²⁾ Kozubek — kobiałeczka.

Teraz, wietrze, cichem wianiem
Zanieś listek kalinowy...

Przeleciałam kawał lasu,
Zarosiłam się do pasu,
Trzeba wracać, — bywaj zdrowy,
Mój gaiku brzezinowy.

Spiesz dziewczę drogą z lasku,
Dobrze nogom w ciepłym piasku,
A wciąż jedną nutę nuci.
Czyż jej piosnka nie porzuci?
Nie porzuci, trudna rada,
Z wschodnim wiatrem na nią spada,
Między myśli jej się płacze:
— Skończ mnie, skończ mnie! —
[Nie, nie skończę!]

Śpiewa:

Miała matka dwie sieroty:
Chłopiec starszy, siedmiolatek,

Cicho, piosnko, dosyć psoty.

Najciekawszy był ostatek:
Coś o koniu, o szabelce,
Najpiękniejszy koniec dzieła.
Ja sam ciekaw byłem wielce,
Lecz dziewczyna się zawzięła
I ustami różanemi
Szeptala, jak woda zdroja,
Cichy pacierz: »Wola Twoja,
Jako w niebie, tak na ziemi«.

4. Siła.

PRZEKLĘCI.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła Boże,
A pokłon oddaje w służebnej pokorze
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! kto mężem, a swemu bliźniemu
Za urząd, za stawę, za lepsze jedzenie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem,
I gnuśny rozkoszą, w beczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczyścgo drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

K. Ujejski.

Jeżeli pod wpływem silnego uczucia lub głębokiego przekonania autor wypowiada swe myśli i uczucia dobitnie, z mocą — styl jego posiada **siłę**.

Wskaż siłę w następujących urywkach:

Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać: raczej ogień z wodą!

Mickiewicz.

Wszystko gotowe; tajemnemi drogi
Jutro, gdy Witold, w zaufaniu zbyt niem,
Na Lidzie słabe zostawił załogi —
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem.

Mickiewicz.

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem —
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerni,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela —
Jeśli zaprę tych boleści dla chwili wesela!

K. Ujejski.

Milcz i spełnij rozkaz!

Z IRYDJONA.

(Poświęcony przez ojca bogom zemsty, wychowany na to, aby oddał życie za upadek Rzymu, rozpoczął śmiertelną walkę i został pokonany).

Scena w pałacu Irydjona.

Irydjon. Co nowego?

Euforjon. Poseł Cezara i konsul o posłuchanie prosi.

Irydjon. Niech go wpuszczają!

(*Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie*).

Ulpianus. Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie —

Irydjon. Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — »do broni!«

Ulpianus. Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo...

Irydjon. Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na *via sacra*?¹⁾ czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Wiminalu?²⁾ Czy Scypion ustąpił z Awentynu?³⁾ Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiljusa w popioły rozwał przed waszemi oczyma?

Ulpianus. Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć, wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasem Aleksander, jak dziecko, swawoląc z pomyślnymi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni...

Irydjon. Może zelżonego Majestatu?

Ulpianus. Czyż jej nie popełniłeś?

Irydjon. Majestat wasz od wczoraj się poczyną, a zbrodnia moja stara, jako serce wolnych — dalej!

Ulpianus. Imperator żąda, byś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzód jednak przysiężesz mi na wierność przy dymiących trzewach⁴⁾ i co do jednego wydasz współników twoich. — Jeśli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni...

Irydjon. Głośniej, mężu konsularny! (*odwraca się do swoich*). Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was, spętanych jak bydłeta, rzucił pod różgi liktorowi! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara — wszak miło czołem rozbić się o stopy Jego!

Nieśmiertelne Bogi, wy, które, o nas nie dbając, drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysyła mi w darze przez

¹⁾ Święta droga, jedna z ulic starożytnego Rzymu, po której w tryumfie wjeżdżali zwycięscy wodzowie. ²⁾ Wiminal, Awentyn — wzgórze z owych siedmiu, na których Rzym zbudowany. ³⁾ T. j. trzewach zwierzęcia, złożonego w ofierze bogom.

usta prawnika swego! (*wstaje i zbliża się do Ulpiana*). Prę-
dzej skorpion usiadzie, jak niewinny motyl, na dłoni Cezara,
prędzej piorun Zeusa prosić go będzie: »Daj tę chmurę
rozedrzyć«, niżli ja broń złożę i wydam braci moich!

Z. Krasinski.

Z VIII KAZANIA SEJMOWEGO.

(O niekarności grzechów jawnych).

Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo! Kto
tu na was, ze wszech stron królestwa zebrane, i na głowy
ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się
może, jakie niezbożności i grzechy po wszystkiej Koronie
panują!

Bych był ¹⁾ Izajaszem, chodziłbym boso i nagoły nagi,
wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępnicy i prze-
stępnicze Zakonu Bożego: »Tak was złupią i tak łyskać łys-
tami ²⁾ będziecie, gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywie-
dzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda! I będzie wam
złość wasza, jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie
spodziejecie, upadnie, i jako garncarska flaszka, mocno ude-
rzona, z której się nie najdzie skorupka na noszenie trochy
ognia i na poczerpnięcie trochy wody z dołku!« Ustawicznie
się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: »Nic,
nic! Nierządem stoi Polska!« Lecz, gdy się nie spodziejecie,
upadnie i was wszystkich potłucze!

Bych był Jeremjaszem. wziąłbym pęta na nogi i okowy
i łańcuch na szyję i wołałbym na was grzeszne, jako on wo-
łał: »Tak spętają pany i pożoną ³⁾, jako barany, w cudze
strony!« I ukazałbym zbutwiałą i zgnojoną suknię, którą trząs-
nawszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówiłbym do was:
»Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym a w perzynę
pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majątności wa-
sze!« I wziąwszy garniec gliniany, a zwoławszy waś wszyst-
kich, uderzyłbym go mocno o ścianę w oczach waszych, mó-
wiąc: »Tak was pogruchocę — mówi Pan Bóg — jako ten
garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą!«

I wołałbym, jako i on, płacząc: »Kto głowie mojej doda

¹⁾ Gdybym był. ²⁾ Łyst = łydka. ³⁾ Pożoną = 3 osoba l. mn. od
pognać.

wody i źródło łez oczom moim, abych we dnie i w nocy oplakał pobite ojczyzny i narodu mego? Uciekłbym na pustynią i odbiegłbym ludu mego, bo wszyscy wyrodkowie (jakoby nie onych dobrych ojców synowie) i skupienie zbrodniów. Wyciągnęli język swój, jako łuk kłamstwa a nieprawdy.

Strzeż się każdy brata swego i nadzieje w nim nie miej: w uścicach mają pokój, a tajemnie sidła podkładają«. Dlatego mówi Pan Bóg: »Nakarmię ich piolunem i za napój dam im wodę żółci«. Zwołujcie narzekalniczek! niech nad nami lamentują, mówiąc: »Puszczajcie łzy, oczy nasze, i powieki nasze, opływajcie wodą! O, jakośmy zwojowani i wielce pohańbieni! Przyszłą śmierć przez okna nasze, werwała się w domy nasze, pobiła przed sienią dzieci i młodzieńce po ulicach! Trupy, jako gnój, po polu leżą, jako trawa za kosarzem, a niemasz tego, ktoby je pogrzebał«.

Bych był Ezechjelem, ogoliwszy głowę i brodę, włosy-bych na trzy części rozdzielił. I spaliłbym jedną część, a drugą-bych posiekał, a trzecią-bych na wiatr puścił i wołałbym na was: »Jedni z was poginiecie głodem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie!«. I nie wychodziłbym z mieszkania mego drzwiami ani oknem, ale-bych ścianę przekopał, w rzeczy¹⁾ uciekając, i wołałbym na was: »Tak się z wami stanie! żadne was zamki i twierdze nie obronią! wszystkie nieprzyjacieli wywróci i was pogubi!«

Piotr Skarga.

ŚWIĘTY BOZE.

Któż z nas nie zna tej pięknej a tak niezmiernie ponurej pieśni?

W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje, i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy, wyrывa się z piersi ludzkości taki straszny krzyk błagania, prośby, rozpacz, obłędu.

Kiedy pod rok tysięczny ziemia wila się w konwulsjach, trzęsła się i rozpadała¹⁾, wojsko Ottona I, ciągnące do Włoch, widziało słońce czerwone jak szafran, a słońce dogorywać się zdawało; kiedy spiekła ogniem, strawiona ziemia nie już rodzić nie mogła, a ludzie, według opowiadań kroni-

¹⁾ W rzeczy — nibyto. ²⁾ W roku 1000 oczekiwano końca świata.

karza, sami siebie pożerali; kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozłuniła krwawą pożogą, wtedy powstało *Dies irae* ¹⁾).

A kiedy u nas Szwedzi wyniszczyli mordem i pożogą wsie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniła do reszty spustoszoną glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk: Święty Boże, Św. Mocny, Św. a Nieśmiertelny.

Pieśń ta — to polskie nasze *Dies irae*.

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele, podczas oktawy Bożego Ciała, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu — kiedy ksiądz obróci się z monstrancją ku ludowi, a organy huczą jednym przeciągiem a odległym dudnieniem, wtedy następuje chwila, która zimnym dreszczem ciało przebiega.

Lud na kolana powalony oczekuje czegoś; coś jakby jakieś nieszczęście zawisło w powietrzu, coraz to niżej się stłacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraż intonuje ksiądz Św. Boże, Św. Mocny, a rykiem bólu i cierpienia odpowiada naród: »Św. a Nieśmiertelny, wybaw nas, Panie«.

Pomnę dobrze czasy cholery w 1873 roku, kiedy gromady ludzi z wszystkich okolicznych wsi chodziły po nocach od jednej wsi do drugiej z gromnicami w rękach i śpiewały wśród jęków i rozpacznych szlochań tę bolesną pieśń, — pomnę jedną chwilę w kościele, kiedy zaraza najsilniej się srożyła, a cały naród, porwany dzikim obłędem rozpaczy, wił się w konwulsyjnym płaczu i krzyku: »Wybaw nas, Panie« — ale niczem to cierpienie, kiedy wśród jęku tej pieśni biedny lud uświadamia sobie swoją nędzę, niczem ta żywiołowa rozpacz ludu, nad którym śmierć i zagłada upiorne skrzydła rozpostarła, wobec tego bezbrzeżnego cierpienia, tej beznadziejnej rozpaczy, co rozpiera pierś samotnego człowieka w »Święty Boże« Jana Kasprowicza.

(Z kujawskiej gleby).

Stanisław Przybyszewski.

Wskaż w tej książce utwory, nacechowane siłą.

¹⁾ »Dzień gniewu Bożego«.

5. Wzniosłość.

MŁODOŚCI MOJA!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową,
Byłem szedł zawsze z podniesioną głową,
Byłem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Byłem narodu został ulubieńcem...
Młodości moja! ty mi bądź aniołem!
Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą:
Niechaj jak magnes siłami się wzmoga,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nade mną zawarczą,
Niech, jak chorąży, przed moim narodem
Z sztandarem wiary postępuję przodem...
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

K. Ujejski.

Przy odtwarzaniu uczuć i myśli niepowszednich, wielkich, unoszących człowieka ponad poziom codziennych, egoistycznych zabiegów — styl bywa **wzniosłym** np.

MODLITWA KSIĘDZA PIOTRA ZA GRZESZNIKA.

Panie, otom ja, sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wstawi Twe imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

Mickiewicz.

PSALM VIII.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierny
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,
Wszędy jest zacne, święte imię Twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boże.

Niech zli, jako chcą, Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie,
Ku większej hańbie i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota,
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest? że Ty, niestworzony,
Wszystkiego Twórcą i Pan niezmierzony,
Raczysz ji¹⁾ pomnieć? Czem jest syn człowieczy
Godzien Twojej pieczy?

Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z anioły tylko nie położył;
Postawiłeś go panem nad zacnemi
Czyny swojemi.

Daleś w moc jego wszystkie bydła polne,
Daleś i leśne zwierzęta swawolne;
On na powietrzu ptactwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

J. Kochanowski.

Z PSALMU DOBREJ WOLI.

...Ojczy, Synu, Duchu!

O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkich mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunt rozwiewasz na szczęty,

¹⁾ Biernik od zaimka ji, — dziś: go.

Jak serc przewrotność — Ojczy, Synu, Duchu,
 Ty, coś rozkazał człowieczej iściźnie,
 By nędzna siłą i kolebką małą,
 Przez moc ofiary się wyanielała —
 I polskiej naszej rozkazał Ojczyźnie,
 By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie: —
 Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
 Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
 Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
 A światu męscy; — my, co się nie boim
 Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
 Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słuchu,
 My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
 A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
 Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
 Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,
 Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
 Odnów w nas zmysły — z dusz wypień kąkole
 Żłud świętokradzkich — i daj wiekuiste
 Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego — samych wskrzesić siebie.

Z. Krasiński.

Przeczytaj hymn Kochanowskiego: »Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?«

JEDNOŚĆ NARODU.

Jedność narodu — o! niech przyjdzie ona i niech ręce swe słodkie położy na skroniach naszych — żar nienawiści wzajemnych i uraz wzajemnych z dusz naszych na zawsze usunie...

I niech olśni oczy nasze pięknoscią swoją, i niech wzbudzi w nas miłość ku sobie...

By nam to wszystko, co jej się sprzeciwia, wstrętnem się zdało, by zbrodnią było odtąd dla nas wszystko, — co przeciwko niej jest...

Niech przyjdzie ona, i niech powie nam one słowa pokoju, które zażegnają burze nienawiści i niezgód...

I niech rosą cichą, świetlaną, rzeźwiącą słowa jej spłyną na naród nasz biedny, znękany, zmęczony, a tak wielką jeszcze pracę mający przed sobą...

I niech tęczą barwną, co zwiastuje słońca promienie, oświeci nam niebo chmurne — i smutne...

Niech przyjdzie...

(Wyjątek).

6. Tragiczność.

ŚMIERĆ KONRADA WALLENRODA.

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w nagłonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno wśród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada...
Cień krąży dalej i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada.
Głos tylko słysząc: »Biada, biada, biada!«

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślał chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobrywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem:
Pusto dookoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał.
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją z dala, jeszcze w oknie była.
— Dzień dobry! — krzyknął, — przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz, dzień dobry! — jaka wróżba miła!

Pierwszy dzień dobry po latach tak wielu!
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano?»

Aldona.

»Nie chcę zgadywać; bądź zdrow, przyjacielu!
Już nazbyt światła, — gdyby cię poznano...
Przestań namawiać. — Bądź zdrow, do wieczora;
Wyniść nie mogę, nie chcę«.

Alf.

»Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? — Zrzuć jaką gałązkę,
Nie — kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży.
Chcę dzisiaj — jutra nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na którym jeszcze świeża łezka płonie;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem...
Mam zginąć wkrótce, nagle — zgińmy razem!
Widzisz tę blizką przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał. Dla znaku, co ranek
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświecę:
Tam wiecznie patrzaj. Jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona —
Zamknij twe okno, może już nie wrócę.
Bądź zdrowa!« —

Odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty.
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe, z wiatrem igrające szaty
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

»Zaszło nakoniec«, rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana,
Siedział, patrząc w okno pustelnicy.

»Daj mi płaszcz, szablę. Bądź zdrow, wierny sługo,
Pójdę ku wieży. Bywaj zdrow — na długo,
Może na wieki. — Posłuchaj, Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę — opuść to mieszkanie.
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć
W godzinę skonu — prócz jej i prócz ciebie!...
Bądź zdrow, Halbanie! Ona będzie wiedzieć —
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóż to? słyszysz?« — W bramę kołatano.

»Kto idzie?« trzykroć odzwierny zawołał.
»Biada!« krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne, pokręcone schody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeczadzem podwoje,
Dobrywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Podszedł ku oknu: »Stało się!« zawoła.
Nalał i wypił. »Starcze! w ręce twoje!«

Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój — wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki, —
Opuszcza rękę: »To oni — już przyszli«.

»Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę —
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!

Halban poglądał w milczeniu rozpaczny:
»Nie, — ja przeżyję i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć, ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki!
Obieję Litwy wsie, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.

Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości...»

Na poręcz okna Alf ze łzami pada
I długo, długo ku wieży spoglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana; westchnienia mieszał
W ostatniem długiem, długiem uściśnieniu.
Już u wrzeczadzów słychać łoskot stali —
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu.
»Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!«

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyła się, ślania;
Wspartł się na oknie i, tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

»Oto są grzechy mojego żywota!...
Gotowym umrzeć; czegoż chcecie więcej?...
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?...
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierzawy!
Słyszycie? wicher pędzi chmury śniegów, —
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady...
One się gryzą o szczątki biesiady!

»Ja to sprawilem! Jakem wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!«

Rzekł, spojrział w okno i bez czucia pada,—
Ale nim upadł, lampę z okna ciska, —
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.

W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany..
Z czyjej to piersi? Wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną, zmieszaniem dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Mickiewicz.

Gdy człowiek niepospolity, w dążeniach do wielkich celów, walczy z przeciwnościami, potężniejszymi od jego największych wysiłków, i na koniec złamany — ginie, — los jego jest tragiczny.

Wyraz tragiczny pochodzi od słowa »tragedja« t. j. utwór dramatyczny, przedstawiający taką właśnie walkę człowieka z przeciwnościami.

Tragiczność spotykamy często w życiu.

Gdy ginie człowiek niepospolitych zdolności i siły charakteru, pragnący oddać te skarby dla wielkich celów i pasujący się z losem, który obarczył go obowiązками i zaprzął do powszedniej pracy zarobkowej — to tragiczność.

Życie matki, dobywającej sił wszystkich, aby ocalić dziecko, dotknięte nieuleczalną chorobą — to też tragiczność.

Niezawsze bohater tragiczny jest człowiekiem szlachetniejszym od ogółu, lecz silniejszym musi być zawsze, gdyż człowiek pospolity nie odważyłby się rozpocząć tak trudnej walki.

Wy tłumacz, na czem polega tragiczność w Konradzie Wallenrodzie i następujących urywkach.

Z LILLI WENEDY.

Maluje walkę Wenedów z zaborczymi Lechitami, którzy przybyli wydrzeć im ziemię. Król Wenedów, Derwid, został wzięty do niewoli; miłością i poświęceniem uwalnia oślepiętego starca młodsza córka, Lilla. Nieszczęsny Derwid wraca, lecz bez świętej, czarodziejskiej harfy, której pieśń ma zapewnić Wenedom zwycięstwo. Za harfę Lilla siebie oddaje w niewolę, Udała się po nią do obozu wrogów.

Roza Weneda, starsza córka Derwida, kapłanka, — Lelum i Polelum synowie Derwida).

Monument z druidycznych¹⁾ kamieni w lesie. Derwid na tronie kamiennym, wokoło dwunastu harfiarzy; na dwunastu siedzą kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia, w ziemię zatknięta. Roza Weneda stoi za ojcem na tronie... Dąb Derwidowy na prawo.

Derw. Cóż! jeszcze niema harfy, a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącej
Krwii — Jeszcze niema harfy — o! bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

Wened. Przybiegłem ranny — Lechici nas łamią!
Lud czeka pieśni.

Derw. O! Boże! o! Boże!

Wened. Ja konam, królu — graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

Derwid, *wstając na tronie i rwąc włosy.*

Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje to puch, jak te włosy,
Które wiatr bierze, z krwią moją wyrwane...
O! wichry! rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum wchodzą.

Lel. Ojcie, giniemy, graj pieśń...

Derwid. Idźcie skonać,
Ja nie mam harfy.

Roza Wen. Ustąpcie się wszyscy,
Już słyszę harfę idącą, już słyszę...
Uderzcie w tarcze, niech się zejść wodze!
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.

¹⁾ Druidyczny — poświęcony bóstwu, ofiarniczy.

A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą — pomrą.

Wchodzi Ślaz z harfą w skrzyni.

Ślaz. Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

R o z a W.

Daj tu...

O dąb oparta królewski, niech czeka...

Ślaz. A wam królowa kazała powiedzieć,
Ze dotrzymuje przysięgi.

R o z a W e n .

Precz, wężu!

Ślaz. A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

R o z a W. Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

*Wchodzi wodzów dwunastu z obnażonymi mieczami, wszyscy
krwawi.*

Oto są wodze i pieśni godzina —
Ojce, przy dębie Derwidowym harfa...

Derwid wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć?... Już słyszę
Serca, bijące w ludziach. — Gdzie ta harfa? —
Czekajcie! — Jak mi drży serce! — Gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą —
A duszę już mam w rękach, tu — jak piorun.
Jak piorun, całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowej.

Harfa w skrzyni —

Wenedo, otwórz.

*Roza Weneda zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się,
odciągając ojca za rękę. — W skrzyni bowiem, zamiast harfy,
widać umarłą Lillę Wenedę, w śmiertelnej koszuli, z wieniec
bławatkowym na głowie.*

Puszczajcie do harfy!

Dlaczego wy mnie trzymacie za szaty!

Dlaczego wstręty czynicie¹⁾ starcowi? —
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę,
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

*Wyrywa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej Lilli
Wenedy.*

Cóż to?... rzecz jakaś zimna... to nie struny...
Ja pod palcami mymi czuję trupa...
Co to jest?... o! to nie harfa... to ciało
Mojej umarłej córki...

*Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od ciała
zmarłej, starzec nie daje się córce.*

Precz, gadzino,
Tu moja tamta córka... tu, tu, w trumnie,
O! o! umarła! — czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę! — o! ja znajdę
Twoje usteczka. — O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!
Nie odrywajcie.

Roza W. Cóż to — nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

Derw. O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

Harfiarz. Ojciec płacze.

Derw. Ja ciebie widzę, córko! twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. Ja ciebie widzę w grobie głowy.

O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku!
Wychodzisz z rączki otwartemi — O! o!
Tu! — czy widzicie? tu — śmieje się, płacząc...
Umarła moja najmiłsza, umarła!
Moja jedyna!

Roza W. Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... Już dawno wiedziałam

¹⁾ W staropolskim języku znaczyło: stawiać opór. Formę tę spotykamy też w »Grażynie«.

Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe. — Cóż! czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która nie chcących umrzeć oszukała? —
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu! — Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
Niedosyć jeszcze? — o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się węzów przemieniajcie
I dla strupałych ludzi bądźcie biczem!

1 z W o d z. Wróżko, przyrzekał nam zwycięstwa harfę.

R o z a W. Ja ci przyrzekłam?—co?—Chodź tu i patrzaj.

I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzie taka harfa, jak ten trup? Gdzie takie
Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I późnej zemście czasu...

W o d z e. Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

Wychodzą.

L e l u m, *całując zmarłą siostrę.*

Na ustach twoich, siostro — zaprzysięgam,
Ze zobaczymy się dziś. — O! Lechici...

Derwid *dobywa z zanadrza nóż ofiarny i mówi, przebijając się dwa razy.*

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

Pada martwy.

LEGJONISTA.

Ranny nie ocknął się, aż późno w dzień. Świeciło wielkie, złotolite, oslepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed olśniewającym światłem i ledwie ledwie myślał:

— Co też to ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zaniosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregu rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łózkach polowych, na płaszcach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myśląc ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsł, drżał...

Tylko żeby choć samemu! Gnić we wspólnym dole...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dzwiczny strzał stu armat.

— *Vive l'Empereur.*

Za chwilę drugi:

— *Wiwat cesarz!*

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte Atlantyckie morze:

— *Wiwat cesarz!*

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł, a z nim razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec — zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę klasztorów i zakonów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje... ¹⁾

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko rozumiał.

¹⁾ 1808 r.

— Teraz już wiem, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragosę, castel Aljaferja z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański!...

Przechylił głowę nabok i patrzył w słoneczną przestrzeń. Patrzył na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł, że klei mu oczy prędkie, gorączkowy sen, powieki chodzą jak po piasku, jak po pacynach zeschłego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz błada i tajemnicza, nikiel księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, to znowu w cieniu swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeschłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego jak kły werznięły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Stał.

— Sire — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę... — zaczął mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansjer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nienadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie rannego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych natchnionych oczach widział duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinje na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył¹⁾. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uszło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak bądz umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— Vive la... — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił na swój białóg. Ale nie krzyknął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi, broczące z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit*²⁾.

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

Żeromski.

7. Śmieszność (komizm).

JEŹDZIEC.

Na gościńcu za rzeką podniósł się tuman pyłu. Ślimak spostrzegł go i poznał, że ktoś jakby ode dworu jedzie konno do mostu. Była to osobliwa jazda. Tuman kurzu posuwał się naprzód, ale niekiedy i cofał się wstecz, nawet na kilkanaście kroków. Czasem tak opadał, że chłopskie oczy mogły dojrzeć konia i jeźdźcę; czasem tak powiększał się i kotłował na gościńcu, jakby zrywała się burza.

¹⁾ Autor ma na myśli góry Korsyki, ojczyzny Napoleona. ²⁾ Niech tak będzie.

Ślimak wstrzymał konie, przysłonił oczy ręką i rozmyślał.

Osobliwości, jak on jedzie, i kto to? Ni to dziedzic, ni furman, nawet chyba nie katolicka dusza, ale i nie Żyd!... Żyda rychtyg tak wykręca na szkapie, jak onego; ale Żyd nie wypuszczałby znowu konia tak śmiało. Musi, że to jakiś nietejszy albo warjat...

Tymczasem jeździec zbliżył się do mostu tak, że Ślimak mógł mu się lepiej przypatrzeć. Był to pan szczupły, w jasnem odzieniu i aksamitnej dżokejce na głowie. Miał szkła na nosie, w ustach papierosa, pod pachą szpicrutę. Cugle zaś trzymał w obu pięściach, które mu wciąż skakały między końską szyją a własną brodą. Wykrzywionemi nogami tak mocno obejmował siodło, że spodnie podwinęły mu się do kolan.

Człowiek najmniej obeznany z hipiką¹⁾ mógł zgadnąć, że jeździec poraz pierwszy dosiadł konia, a koń poraz pierwszy dźwiga podobnego jeźdźcę. Chwilami obaj w pięknej harmonji jechali klusem; wnet jednak wyskakujący na siodle kawalerzysta tracił równowagę, szarpał lejce, a koń, czuły na każde dotknięcie, skręcał wbok, albo stawał na miejscu. W takiej chwili jeździec zaczynał cmokać i kolanami gnieść siodło, a widząc, że to nie skutkuje, usiłował z pod pachy wyciągnąć szpicrutę. Wówczas koń, domyśliwszy się, o co chodzi, poczynął znowu biedz klusem, pobudzając do nadzwyczajnych ruchów ręce, nogi i tułów jeźdźcę, który robił się podobnym do lalki, zszytej z kilkunastu źle przypasowanych kawałków.

Niekiedy zdesperowany choć łagodny koń zrywał się do galopu. Wtedy jeździec jakimś cudem odzyskiwał równowagę na siodle i podniecony biegiem, puszczał wodze fantazji. Marzył, że jest kapitanem jazdy i że na czele szwadronu pędzi do ataku. Ale wnet ręce, jeszcze nienawykłe do oficerskiego stopnia, wykonywały jakiś ruch zbyteczny i — koń nagle stawał, a pan uderzał go w szyję nosem i papierosem.

Wszystko to jednak nie psuło mu humoru, od dziecka bowiem wdychał do konnej jazdy, a dziś dopiero miał okazję nacieszyć się nią do syta.

— Ehej! musi to szwagierek dziedzica, ten co miał

¹⁾ Sztuka jeżdżenia konno

przyjechać z Warszawy! — zawołał sam do siebie rozweselony Ślimak. Zonkę wybrał se nasz pan galantą i nawet długo za nią nie jeździł, ale za takim szwagrem to musiał dużo świata oblecieć... Toć on głupszy od pastucha, choć pański szwagier. Ale zawsze pański szwagier!...

Tymczasem jeździec dostał się na most. Łoskot kijanki zwrócił jego uwagę, skrzył bowiem konia do poręczy i z wysokości siodła wytknął głowę nad wodę. Cieniutki tułów i zadarty daszek dżokejki robiły go podobnym do żórawia.

— Czego on chce? — pomyślał chłop.

Nagle koń wyrzucił łeb w górę i ostrym klusem ruszył w stronę chaty Ślimaków. Lecz noga wysunęła się paniczowi ze strzemienia, więc oburącz chwycił rumaka za grzywę i na całe gardło począł wołać:

— Tpruu!... stój, ty djabie!...

Jędrak usłyszał krzyk i wdrapał się na wrota; zobaczywszy zaś dziwnie ubranego panicza, wybuchnął śmiechem. Wtedy koń skoczył wlewo i tak zawinął jeźdźcem, że mu spadła aksamitna dżokejka.

— Podnieś-no czapkę, kochanku! — zawołał panicz do Jędrka i pędził dalej.

— A to se pan podnieś, kiedy gubisz... cha! cha! — śmiał się Jędrak i klasnął w rękę, ażeby lepiej spłoszyć bieguna.

Wszystko to widział i słyszał jego ojciec. W pierwszej chwili zuchwalstwo chłopca mowę mu odjęło, ale wnet oprzytomniał i krzyknął z gniewem:

— Ty kondlu, Jędrak! — A podaj krymkę jaśnie paniczowi, kiej ci każe!

Jędrak wziął we dwa palce dżokejkę i trzymając ją zdaleka od siebie, podał jeźdźcowi, który już powściągnął konia.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — rzekł panicz, śmiejąc się nie gorzej od Jędrka.

— Jędrak! psia wiaro, a czemu ty czapki nie zdejmiesz przed jaśnie paniczem?... wołał z góry Ślimak. — Zdejmij zaraz!

— A co ja mam każdemu czapkować? — odparł zuchwały wyrostek.

— Wybornie!... Bardzo dobrze!... cieszył się panicz. —

poczekaj, dam ci złotówkę. Wolny obywatel nie powinien upokarzać się przed nikim.

Ślimak nie podzielał demokratycznych teorii panicza. Rzucił leżące kasztankom i z czapką w jednej, a batem w drugiej ręce biegł ku Jędrkowi.

— Obywatelu! — zawołał panicz do Ślimaka — obywatelu, proszę cię, nie rób mu krzywdy... Nie stłumiaj niepodległego ducha... Nie...

Chciał prawie jeszcze, ale koń uniósł go w stronę mostu. W drodze minął wracającą do chaty Ślimakową i zdjawszy zakurzoną dżokejkę, zaczął wywijać nią i wołać:

— Niech pani nie pozwala bić chłopca!...

Jędrak zniknął już między budynkami, panicz przejechał most z powrotem, ale Ślimak jeszcze stał na miejscu z batem w jednej i czapką w drugiej ręce, zdumiony tem, co się stało. Jakiś cudak, który cieszył się zuchwalstwem Jędrka, ten sam jego, uczciwego chłopca, przezwał »obywatelem«, a kobietę — »panią«!...

— Farmazon! — mruknął.

B. Prus.

Na czem polega śmieszność czyli komizm?

Niespodziewana sprzeczność w drobnej rzeczy między rzeczywistością, a naszym oczekiwaniem — jest śmieszną np. potknięcie się prelegenta, wchodzącego na katedrę, — kichnięcie śpiewaka podczas śpiewu, — upadek w błoto ostrożnie przechodzącego przez nie człowieka.

Te same zdarzenia jednak nie będą dla nas śmieszne, jeśli osoba, okrywająca się śmiesznością, budzi w nas żywsze współczucie.

Śmiesznym również wydałby się człowiek poważny, skaczący na jednej nodze, gdyż byłby to z jego strony ruch nieoczekiwany, niezgodny z powagą wieku. Tak samo zabawnem wyda nam się dziecko w cylindrze na głowie, z cygarem w ustach i t. p.

Śmieszy nas przedstawienie dowolnego ruchu przyrody martwej np. taniec pietruszki z pasternakiem, — lub widok istot żywych, poruszających się sztywno, niezgodnie z swą naturą i t. p.

Odczuwanie śmieszności jest jednak rzeczą bardzo względ-

na, zależną od stopnia rozwoju umysłowego i moralnego widza lub słuchacza np. widok pijanego, który się zatacza i prawi niedorzeczności, może śmieszyć, budzić pogardę lub współczucie. Toż samo stosuje się do ułomności fizycznych: garb, obłąd i t. p. przedmiot śmiechu niektórych dzieci i ludzi mało rozwiniętych, budzi jedynie współczucie w ludziach moralnie dojrzałych.

Nie śmieszy też nikogo sprzeczność między rzeczywistością a oczekiwaniem w rzeczy poważnej, przeciwnie — może sprawić nawet wrażenie tragiczne np. śmierć w tańcu, — brak głosu w najwyższym napięciu uczucia — bólu, radości, czy trwogi.

Możnaby więc powiedzieć ogólnie, że poczucie śmieszności zmienia się w miarę naszego rozwoju, i że ułomności moralne w odpowiednim oświeceniu więcej przedstawiają dla nas komizmu, niż fizyczne, np. tchórz, udający bohatera, zarozumiały głupiec i t. p.

Na czem polega śmieszność w następującej anegdocie?

— Te buty są za małe! — mówił ktoś do szewczyka, który mu parę butów przyniósł.

— Nie, panie, nie za małe, tylko pańska noga za wielka — odpowiedział szewczyk.

Wypisy Rymarkiewicza.

Wskaż co jest śmiesznego w tym liście.

LIST Z DROGI.

Chciałabym tę kartę do Ceški ładnie napisać. Zaraz:

»Najdroższa moja. Jedziemy szalenie. Do Włoch jeszcze daleko, ale już mineliśmy Piotrków, przejechali nawet Częstochowę. Smutno mi, tak mi żal ciebie, że nie jedziesz. Śnieg białymi puchami zasypał ziemię, a teraz słońce zachodzi i ponury mrok przysłania strzechy wiosek, lasów, miast... Zaraz przejedziemy granicę... a ostatnie promienie zachodzącego słońca ślą nam pożegnanie od opuszczonej drogiej ziemi rodzinnej i od Ciebie, najdroższa, czego ci życzy Twoja Hala.

Ps. Ucałuj ode mnie Nacię.

Ps. Zajrzyj do nas i powiedz cioci, że zapomniałam grzebyka, leży na stole, w stołowym, — żeby go Rozalja nie ściągnęła.

W. Reymont.

OBJASNIENIA.

- O, widzisz dwór? — rzekł stary Ślimak do Staśka.
- Który to?
- Ten z gankiem na słupach.
- A to co za chałupa?
- Na lewo? To przecie nie chałupa, ino oficyna, a to nizkie to kuchnia. A przypatrz się, że w oficynie jedne izby są na dole, a drugie na górze.
- Jakby na strychu.
- To nie strych, ino piętro.
- Ale zawsze oni tam włożą po drabinie — wtrącił Jędrek.
- Nie po drabinie, ino po schodach — odparł surowo ojciec. — Pan akurat poniewierałby się po szczeblach, kiedy on lubi wygodę.
- A ono na prawo, tatulu, co takie szybiaste? — pytał Stasiek.
- Tam pewnie samo państwo wysiaduje i grzeje się na słońcu — odparł Jędrek.
- Nie gadaj, kiedy dobrze nie wiesz, zgromił Ślimak. Tam jest cała ściana ze szkła, bo to oranżerja. Tam są wszystkie kwiaty, jakie ino świat widział, i kwitną se nawet w zimie, kiedy na polu śnieg leży po kolana.
- Musi z papieru kwiaty, jak w kościele.
- Właśnie że prawdziwe. Kwitną zaś, bo im przez zimę ogrodnik pali w piecu.
- A jabłka tu są w zimie? — spytał Jędrek.
- Jabłek niema, ino pomarańcze.
- Pewnie ze sto razy lepsze od jabłek? — spytał Jędrek, a oczy mu się zaiskrzyły.
- Chłop pogardliwie machnął ręką.
- Ii — skosztowałem ci ja jedno takie. Małe jak kartofel, zielone, a paskudne, żeby pies wypłuł...
- I oni takie jedzą?
- Co nie mają jeść!
- A to oni są głupie — rzekł Jędrek.
- Tyś to głupi, bo się nie znasz — odparł chłop. — Tobie dobrze, kiedy ci przy krupniku jest słono? A panu dobrze, jak przy inszem jedzeniu jest mu w gębie paskudnie. Kuźdy na tym świecie ma swój smak: wół lubi trawę, a świnia pokrzywy.

Z ZEMSTY ZA MUR GRANICZNY.

SCENA V.

Cześnik, Dyndalski.

Cześnik (do Dyndalskiego).

Siadaj waść tu — zmaczaj pióro,
Będiesz pisał po mem słowie.

Dyndalski. Stawiam tytle niezbyt skoro.

Cześnik. Właśnie babskiej trzeba ręki —
Zycie w zakład, gaszka złowię —
Dobrze będzie.

Dyndalski (usiadłszy bokiem do widzów, naprzeciwko Cześnika, wkładając okulary). Bogu dzięki!

Cześnik. Teraz trzeba pisać właśnie,
Jakby Klara do Wacława.

Dyndalski. O! o!

Cześnik. No cóż: O, o — ?

Dyndalski (podnosząc się).

Jaśnie

Panie, wszak to despekt dla niej.

Cześnik. Co się waszeć o to pyta,
Maczaj pióro — pisz i kwita.

(Dyndalski siada wyprostowany na brzeжку krzesła i macza pióro =
Cześnik (po krótkim myśleniu).

Tylko że to, mocium panie,
Aby udać, trzeba sztuki,
Owe brednie, banialuki,
To miłosne świegotanie — *(myśli)*
Jak tu zacząć, mocium panie.

Dyndalski (podnosząc się).

Cnym afektem ulubiony...

Cześnik. O... o... o... o!... Jak od żony —
A tu trzeba pół, ćwierć słowa,
Ni tak, ni siak — niby owa:

»I chciałabym i boję się«

O! — już wiem — no! — na tem sztuka...
Lecz nie waści w tem nauka.

Pisz waść: (*nuci*) zaraz, (*nuci*)
(*dyktując*) Bardzo proszę. —
(*pokazując palcem na pismo*)

Co to jest ?

Dyndalski (*podnosząc się — jak to za każdą razą, kiedy mówi do Cześnika*). B.

Cześnik. To ?

Dyndalski. B duże —

A capite ¹⁾, jaśnie panie.

Cześnik (*przez stół patrząc*).

B ? — to kreska — gdzież dwa brzuszki ?

Dyndalski. Jeden w spodzie, drugi w górze.

Cześnik (*dostając okularów*).

Cóż u czarta! (*bierze papier*)

Tać jest — duże —

Dyndalski. Ta, ho!...

Cześnik (*przypatrując się pismu*).

B, B duże.

Kto pomyśli, może zgadnie.

No, no — pisz waść — a dokładnie.

(*dyktuje*) Bardzo proszę... mocium panie...

Mocium panie... me wezwanie...

Mocium panie... wziąć w sposobie,

Mocium panie, wziąć w sposobie,

Jako ufność ku osobie...

Mocium panie, waszmość pana;

Która lubo mało znana,

Która lubo mało znana...

(*pokazując palcem*) Cóż to jest ?

Dyndalski (*podnosząc się*).

Żyd, jaśnie panie,

Lecz w literę go przerobię.

Cześnik. Jak mi jeszcze kropla skapie,

To cię trzepnę tak po łapie,

Aż proformę ²⁾ wspomnisz sobie. —

¹⁾ Od początku wiersza. ²⁾ Proforma — klasa przygotowawcza w dawnych szkołach.

Czytaj waść —

(Dyndalski obciera pot aż po karku).

No, jak tam było ?

Dyndalski (czyta). Bardzo proszę, mocium panie,
Mocium panie, me wezwanie
Mocium panie, wziąć w sposobie
Mocium...

Cześnik (wyrywa i drze papier),

Niech cię czarci chwycą
Z taką pustą mózgownicą!
»Mocium panie« cymbał pisze!

Dyndalski. Jaśnie pana własne słowo.

Cześnik. Milcz waść! — Przepisz to de novo ¹⁾.
»Mocium panie« opuść wszędzie.

Dyndalski (chcąc zbierać kawałki).

Z tych kawałków trudno będzie,

Cześnik. Pisz de novo — pisz, powiadam, —
Mózgu we łbie za trzy grosze!
Siadaj! — siadaj mówię. —

A. Fredro.

Z komizmem łączy się t. zw. **trawestacja** (przenicowanie), kiedy biorąc za wzór poważny utwór lub zdanie, wypowiadamy w tej samej formie myśli błahe lub śmieszne. Krasicki np. w ten sposób przetrawestował własną apostrofę do miłości ojczyzny:

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe!
Dla ciebie zjadłę smakuja trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!

I. Krasicki.

Wdzięczna miłości kochanej szklanice!
Czuje cię każdy: i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy.

¹⁾ Na nowo.

Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żał skosztować, nie żał się i upić.

(Monachomachja).

8. Dowcip.

Mimo płci naszej tak wielkie zalety,
My rządźmy światem — a nami kobiety.

Wszystko to odmienne: łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne.

I. Krasicki.

DOKTÓR I ZDROWIE.

Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia powiem:
Jednego razu doktor spotkał się ze zdrowiem;
On do miasta, a zdrowie z miasta wychodziło.
Przelał się, gdy je spostrzegł; lecz że blisko było,
Spytał go: — Dlaczegoż to tak śpiesznie uchodzisz?
Gdzie idziesz? Zdrowie rzekło: — Tam, gdzie ty nie chodzisz.

I. Krasicki.

...Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi.
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

J. Słowacki.

DYPLOMATY.

Minister Talleyrand wrócił do Paryża z długiej podróży. W jednym towarzystwie sławna z dowcipu, jednooka pani Pluviers, zapytując go niby o zdrowie i poglądając nieznacznie na chromą jego nogę, rzekła doń z pewnym przyciskiem: »Jakże idzie, kochany książę!« — »Jak pani widzi«, odpowiedział Talleyrand z najuprzejmiejszym wyrazem twarzy.

Wypisy Rymarkiewicza.

Pan Wiktor spojrział tak walecznie przed siebie, aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch, cofnął się przerażony.

H. Sienkiewicz.

Lepiej jest, kiedy pszenica jedzie za granicę, a właściciel zostaje, niż kiedy właściciel jedzie, a pszenica zostaje.

Aloizy Żółkowski (Momus).

Nie wszystko złoto, co się świeci np. dziura na łokciu.

Kto rano wstaje, ten cały dzień jest śpiący.

Uderz w stół, a spuchnie ci pięść.

W ścisłym związku z komizmem pozostaje **dowcip**, polegający na pewnej zdolności umysłowej szybkiego chwytania i zestawiania podobieństw i różnic, w sposób nieprzewidziany i niekoniecznie zgodny z prawdą, często oparty na zręcznej grze wyrazów.

Dowcip, jako właściwość umysłu, łączy się z bystrą spostrzegawczością, bujną wyobraźnią i łatwością kojarzenia pojęć.

Wyraz dowcip jest homonimem gdyż oznacza prócz pewnej zdolności wrodzonej, zdanie dowcipne t. zw. koncept.

Jeden uczony tak rozróżnia zwroty śmieszne od dowcipnych: pierwsze wzbudzają śmiech z osoby, która mówi, — drugie — z osoby, do której lub o której się mówi. Ale nie zawsze to określenie wystarcza i nie zawsze jest trafne.

Dowcip może być złośliwy, uszczypliwy albo dobroduszny, jowialny; rubaszny lub delikatny, subtelny; ciężki lub lekki i t. p.

Określ rodzaj dowcipu w przytoczonych urywkach.

Mówisz, żeś błazna widział, czegoś zdawna żądał:

Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał.

W. Kochowski.

Tajemnice w sercu ludzkim nie są koszykiem wisien, któremi można na deser częstować przyjaciół, dopóki jeść je zechcą.

A. Świętochowski.

Kiedy pana zobaczyłam po raz pierwszy, zrobiłeś na mnie wrażenie drzazgi, którą trzeba włożyć w ogień, żeby się przekonać, że ona ma w sobie żywicę i pali się gwałtownie.

A. Świętochowski.

Wyższość języka francuskiego nad polskim.

Pod werendą pewnej cukierni siedzi sobie kółeczko ludzi młodych, najsystematyczniej pijących czarną kawę i najprzyswoiciej w świecie rozmawiających o kwestjach filologicznych.

— Nie masz jak język francuski! — mówi pan X.

- Uprzedzenie! — odpowiada pan Y.
— Język giętki, pełen życia i ognia! — utrzymuje pan X.
— Niezawsze! — odpiera pan Y.
— A nadewszystko posiada mnóstwo zdań i wyrazów, których niepodobna oddać w języku polskim — twierdzi pan X.
— Naprzykład *blagueur* — wtrąca milczący dotąd p. Z.
Nad zebraniem przeleciał anioł ciszy!... B. Prus.

Z ŻYCIA MALARZY.

...Wróciwszy, zastaje Świateckiego, patrzącego bokiem i z nieufnością na całą paczkę sturublówek, leżącą na stole.

- Co to jest?
— Wiesz, co się stało?
— Nie wiem...
— Okradłem jakiegoś człowieka, jak prosty złodziej.
— Jak to?
— Sprzedałem swoje truposze¹⁾.
— I to są pieniądze?
— Tak... jestem podły lichwiarz.

Ściskam Świateckiego, winszuję mu z całego serca, on zaś poczyną opowiadać, jak się to stało.

— Siedzę po twojem odejściu, aż przychodzi jakiś pan i pyta, czy to ja jestem Światecki. Ja powiadam: »Ciekawym, dlaczegobym nie miał być Świateckim!« Tak on odpowiada: »Widziałem pański obraz i chcę go kupić«. Ja mówię: »To dobrze, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że trzeba być idiotą, żeby taki podły obraz kupować«. On znów na to: »Idiotą — mówi — nie jestem, ale mam fantazję kupować obrazy, malowane przez idiotów«. — »Kiedy tak, to dobrze«, — powiadam... Pyta mnie o cenę, ja mówię: »A mnie co do tego?« — »Daję panu tyle a tyle«. — »To dobrze! kiedy pan daje, to niech pan daje!« On dał i poszedł. Zostawił mi kartkę z nazwiskiem Białkowski, doktor medycyny... Jestem podły lichwiarz i basta!

— Niech żyją truposze! Światecki, ożeń się...

— Wolałbym się powiesić — mówi Światecki. — Podły lichwiarz, nic więcej.

H. Sienkiewicz. (Ta trzecia).

¹⁾ Obraz, tak przezwany przez artystę.

Z GRZECHÓW DZIECIŃSTWA.

Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ napróżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej, niż plenipotencja mego ś. p. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym ś. p. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji o 100 złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentą i otrzymał, zamiast dyplomu, niesłychanej wielkości wieprzka, po którego sprzedaniu kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśnicą, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią, tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczęta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wnioszek, że wielkie panie są od tego, ażeby darły odzież, a dziewczęta — ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pogrożył w nieutulonym smutku. Ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią, ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał w wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruwał życie długim pieprzowym cybuchem¹⁾. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do

¹⁾ Z pieprzowego drzewa

wożenia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdówkę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka, z herbowym sygnetem na palcu, i — ów pieprzowy cybuch, który skutkiem niewłaściwego użycia wygiął się, jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że wolałem biegać po polach, niż wywracać się na ślizkiej posadzce, a powtóre — że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką przed mojem wejściem do szkół bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłósy krzyżeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem, mówiąc, że mogłem Lonię zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory wzbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie mogła ani łązić po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku, albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś bitwy — bez której cóż znaczy zabawa? — prawie każda zaczynała mazać się i biegać do kogoś na skargę.

B. Prus.

W O B O Z I E.

Nazajutrz, zanim słońce rozlało złote blaski na niebie, stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przyjemskim postanowili zamknąć wojska do ciasniejszych okopów. Pracowano nad tem gwałtownie całą noc, a hussarja narówni ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu, ale też spali wszyscy, oprócz straży, kamiennym snem, bo i nieprzyjaciół pracowali także w nocy, a następnie nie poruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba, siedząc w namiocie, spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami se-

ra — i rozmawiali o trudach minionej nocy z tem zadowoleniem, z jakim żołnierze rozmawiają o świeżem zwycięstwie.

— Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju, a wstawać o rannym, jak czynili starożytni — mówił pan Zagłoba — ale na wojnie trudno! Śpisz, kiedy możesz, wstajesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa, że dla takiego tałałajstwa musimy się inkomodować¹⁾. Ale trudno, takie czasy! Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechciałoby się im nas budzić...

— Nie wiesz, waćpan, czy siła naszych poległo? — pytał Podbipięta.

— I! niewielu; jak to zawsze bywa, że oblegających więcej ginie, niż obleżonych. Waćpan się na tem nie znasz tak, jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my starzy praktycy nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować.

— Przyuczę się i ja przy waćpanach — rzekł ze słodyczą pan Longinus.

— Pewnie że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopisze, czego się niebardzo spodziewam.

— Daj-że waćpan spokój — ozwał się Skrzetuski. — Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podbipięty, a daj Boże najlepszym rycerzom tak stawać, jak on wczoraj.

— Robiło się, co mogło — odrzekł Litwin — nietyle, ileby się chciało.

— Owszem! owszem! wcale nieźle waćpan stawaleś — mówił protekcyjnalnie Zagłoba — a że cię inni przewyższyli (tu począł wąsa podkręcać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczonemi oczyma i westchnął, marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach, ściętych jednym zamachem miecza.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł rażno pan Michał, wesół jak szczygieł w pogodny ranek.

— No! tośmy w kupie! — zawołał pan Zagłoba. — Dajcie-że mu piwa!

Mały rycerz uściśnął ręce trzem towarzyszom i rzekł.

¹⁾ Inkomodować — fatygować, narażać się na niewygodę.

— Zebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imaginacją! Nie przejdiesz, żebyś się nie potknął.

— Widziałem i ja to — odrzekł Zagłoba — bom też wstawszy, przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata kury w całym powiecie lwowskim tyle jaj nie nanoszą. Ej, żeby to tak były jaja, dopieroibyśmy używali na jajecznicy. A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicy największy specjał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Zjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików, piecuchów, co to niecułki ulegątek nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

— No! aleś się waćpan wczoraj z Burlajem popisał — rzekł mały rycerz. — Burlaja tak ściąć — ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż-to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Tureccyznę.

— Co? ha! — rzekł z zadowoleniem Zagłoba — nie pierwszyczna mi to, nie pierwszyczna, panie Michale. — Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt choćby na Stambuł. Bo uważcie tylko: pan Skrzetuski zabił Burdabuta, pan Podbięta z Mysikiszek zdusił owego Pułjana, a ja Burlaja. Nie zamilczę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich za jednego Burlaja, i że pono najcięższą miałem robotę. Djabieł to był, nie kozak, co? Żebym tak miał synów, pięknym imię im zostawił. Ciekawym tylko, co Król Jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej niż czem innym żywimy.

— Był większy od nas wszystkich rycerz — rzekł pan Longinus — a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta.

— A to ciekawym, kto taki? chyba w starożytności? — rzekł urażony Zagłoba.

— Nie w starożytności, ale, brateńku, ten, który króla Gustawa Adolfa pod Trzcianą razem z koniem obalił i w jasyr wziął — rzekł Litwin.

— A ja słyszałem, że to było pod Puckiem — wtrącił pan Michał.

— Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest! Wiem ja coś o tem — mówił, przymykając oko, pan Zagłoba — bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego, służył — wiem ja coś o tem! Modestja ¹⁾ to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska, i dlatego nikt go nie wie. Chociaż, wiercie w to, co powiem: Gustaw Adolf wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedynczem spotkaniu z Burlajem cięższa była robota — ja wam to mówię!

— To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa? — pytał Wołodyjowski.

— Albożem ci się pochwalił, panie Michale? — Niech tam to już zostanie w niepamięci — mam ja się i dziś czem pochwalić, co będę dawne czasy wspominał! Strasznie to piwsko burczy w żywocie — a im więcej w niem sera, tem więcej burczy. Wolę winną polewkę — choć chwała Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy. Ksiądz Żabkowski mnie mówił, że ponoś wiwendy ²⁾ skapo, a on się tem bardzo niepokoi, bo ma brzuch jak gumno. Setny to Bernardyn! okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza, niż mnicha. Kiedyby kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

— Ale! — rzekł mały rycerz — nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynął sobie tej nocy ksiądz Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży po prawej stronie zamku — i patrzył na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki ³⁾ strzela. Powiada tedy do Zabkowskiego: nie będę do kozaków strzelał, boć zawszeć to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta ⁴⁾ czynią, ale do Tata-rów (powiada) nie wytrzymam! — i jak jął dmuchać, to tak ich podobno coś z pół kopy przez całą bitwę popsował.

— Żeby to wszystko duchowieństwo było takie! — westchnął Zagłoba — ale nasz Muchowiecki te jeno ręce ku niebu wznosi, a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje.

— Daj waść pokój — rzekł poważnie Skrzetuski. — Ksiądz Muchowiecki święty ksiądz, i w tem masz najlepszy

¹⁾ Skromność. ²⁾ Żywności. ³⁾ Strzelba myśliwska. ⁴⁾ Dyzgust — obrzydzenie.

dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zacnością schylają.

— Nietylko ja też nie neguję¹⁾ jego świątobliwości — odparł Zagłoba — ale myślę, że i samego chana potrafiłby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierznić²⁾, aż wszy na nim koziołki ze strachu przewracają. Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojedę i ja z komisarzami. Znamy się zdawna, i niegdyś wielce mnie miłował.

— Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku tak jak po polsku mówi — rzekł Skrzetuski.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar, wychodzący z zewnątrz namiotu — więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje.

H. Sienkiewicz.

9. Ironja.

Minęły czasy szczęśliwej prostoty:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!

.

Z góry zły przykład idzie w każdej stronie.

Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.

O! ty, na polskim co osiadłszy tronie³⁾,

Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina:

Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie;

Z ciebie gust książek, a piwnic ruina.

Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił:

Bodajęś w życiu nigdy się nie upił!

I. Krasicki (Monachomachja).

Czy szczerze wyrzuca poeta Stanisławowi Augustowi że »naród z kuflów, szklenic i beczek złupił?«.

Taka forma wypowiedzania myśli, kiedy nadajemy wyrazom znaczenie wprost przeciwne — nazywa się **ironją**.

Jest to również pewien rodzaj komizmu, niezawsze jednak, gdyż ironja może być nietylko żartobliwa, jowialna, ale złośliwa, gorzka, gryząca — wtedy nazywa się **sarkazmem**.

Określ rodzaj **ironji** w następujących przykładach i wytłumacz, na czym polega.

¹⁾ Przeczę. ²⁾ Gniewać, złościć. ³⁾ Apostrofa do Stanisława Augusta.

WSTĘP DO BAJEK.

Był młody, który życie wstrzemięźliwe pędził;
Był stary, który nigdy nie łąjał, nie zrzedził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.

A cóż to jest za bajka? wszystko to być może.
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Ignacy Krasicki.

...za psami szalał —

Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę... ane wryzmy ¹⁾.
Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna.

J. Słowacki

Z KONRADA WALLENRODA.

Znam ja was: każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie —
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Naksztatł gadziny owija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroźsze trucizny:
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.
Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela,
Zjawia się nieraz wpośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.

A. Mickiewicz

¹⁾ Choroba serca.

»Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróż okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza:
Pan niedaleko — niech do niego pęza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca!

Ujejski.

PTAK RANNY.

Podjął ptaka rannego
Człek. Zagoił ranę
I rzekł:

— Zostań przez wdzięczność.

A ptak: — Nie zostanę.
Wdzięczność? — tyś mi ją winien,
Bowiem gdyby nie ja,
Nie mógłbyś się dowolnie
Mieć za dobrodzieja.

Pacjentów są serca
Twardsze od kamieni:
O doktorze zapomną,
Gdy już wygojeni.

J. Lemański.

Oburzać się tak bardzo łatwo.
I gorszyć się tak łatwo —
I to nie kosztuje nic — ani grosza.

O. A. Wysłouch.

Wskaż ironję w ustępach z Beniowskiego (str. 21).

S A T Y R A

do króla.

Im wyżej, tem widoczniej chwale lub naganie
Podpadają królowie, najjaśniejszy panie.
Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka:
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.

Gdy więc ganię zdrożności i zdania mniej baczne,
Pozwolisz, mości królu, że od ciebie zacznę.

Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?
To niedobrze: krew pańska jest zaszczyt przed gminem.
Kto się w zamku urodził, ten niech w zamku siedzi,
Z tegoć powodu nasi szczęśliwi sąsiedzi.
Bo natura na rządzących pokoleniach zna się,
Inszem powietrzem żywi, inszą strawą pasie.
Mędrcy, rządni, wspaniali, mocarze, junacy —
Wszystko im łatwo idzie; a chociażby który
Odstrychnął się na moment od swojej natury,
Znowu się do niej wróci, a dobrym koniecznie
Być musi i szanownym w potomności wiecznie.
Bo od czegoż poeci? skarb królestwa drogi,
Rodzaj możny w aplauzy ¹⁾, w słowa nieubogi;
Rodzaj, co umie znaleźć, czego i nie było,
A co jest, a niedobrze, żeby się przyćmiło.
I w to oni potrafią; stąd też jak na smyczy
Szedł chwalca za chwalonym, zysk niosąc w zdobyczy;
A choć który fałsz postrzegł, kompana nie zdradził:
Ten gardził, ale płacił; ów śmiał się, lecz kadził.

Tyś królem, czemu nie ja? Mówiąc między nami,
Ja się nie będę chwalił, ale przymiotami
Nieźlemi się zaszczycam. Jestem Polak rodem,
A do tego i szlachcie; a choćbym i miodem
Szynkował, tak jak niegdyś ów bartnik z Kruszwicy,
Czemużbym nie mógł osiąść na twojej stolicy?

Jesteś królem; a byłeś przedtem mości panem,
To grzech nieodpuszczony. Każdy, który stanem
Przedtem się z tobą równał, a teraz czcić musi,
Nim powie: Najjaśniejszy! pierwej się zakrztusi.
I choć się przyzwyczai, przecież go to łechce:
Usty się czi, a sercem szanować cię nie chce.
I ma słuszne przyczyny: wszak w Lacedemonie ²⁾
Zawsze siedział Tessalczyk na Likurga tronie,
Greki archontów ³⁾ swoich od Rzymianów brali,
Rzymianie dyktatorów od Greków przyzwali;
Zgoła — byleby nie swój, choćby i pobłdził,
Zawždy to lepiej było, kiedy cudzy rządził.

¹⁾ Oklaski. ²⁾ Lakonja ze stolicą Spartą. ³⁾ Wyższy urzędnik w Atenach.

Czyń, co możesz, i dziełmi sąsiadów zadziwiał,
Szczep nauki, wznos handel i kraj uszczęśliwiał:
Choć wiedzą, chociaż czują, żeś jest tronu godny,
Nie masz chrtu, co by zmazał twój grzech pierworodny.

Skaąd powstał na Michała ów spisek zdradziecki?

Stąd tylko, że król Michał zwał się Wiśniowiecki.

Do Jana, że Sobieski, naród nie przywyka;

Król Stanisław dług płaci za pana stolnika ¹⁾.

Czujesz to, i ja czuję; więc się już nie troszczę,
Pozwalam ci być królem, tronu nie zazdroszczę.
Źle to więc, żeś jest Polak; źle, żeś nie przychodzień, —
To gorsza (lubo prawda, poprawiasz się codzień),
Przecież muszę wymówić (wybacz, że nie pieszczę),
Powieć więc bez ogródki: oto młodyś jeszcze.
Pięknież to, gdy na tronie sędziwość się mieści,
Tyś nań wstąpił, mający lat tylko trzydzieści,
Bez siwizny, bez zmarszczków: zakał to nielada: —
Wszak siwizna zwyczajnie talenta posiada?
Wszak w zmarszczkach rozum mieszka? a gdzie broda siwa,
Tam wszelka doskonałość zwyczajnie przebywa.
Nie byłeś, prawda, winien temu, żeś niestary;
Młodość, czerstwość i rzeźkość pięknież to przywary,
Przecież są przywarami. Aleś się poprawił:
Już cię tron z naszej łaski siwizny nabawił.
Poczekaj tylko, jeśli zstarzec ci się damy,
Jak cię tylko w zgrzybiałym wieku oglądamy,
Będziem krzyczeć na starych dlatego, żeś stary.

To już trzy, com ci w oczy wyrzucił, przywary.

A czwarta jaka będzie, miłościwy panie?

O sposobie rządzenia niedobre masz zdanie:

Król — nie człowiek. To prawda, a ty nie wiesz o tem!

Wszystko ci się coś marzy o tym wieku złotym.

Nie wierz bajkom: bądź takim, jacy byli drudzy,

Poco tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy.

Chcesz, aby cię kochali? Niech się raczej boją.

Cóżeś zyskał dobrocią, łagodnością swoją?

Zdzieraj, a będziesz moźnym; gnęb, a będziesz wielkim;

Tak się wsławisz, a przeciw nawałnościom wszelkim

¹⁾ Ojciec Stan. Aug. miał urząd stolnika.

Trwale się ubezpieczysz. Nie chcesz? — tem ci gorzej!
Przypadać będą na cię niefortuny sporzej.

Zniesiesz mężnie? Cierpże z tym myślenia sposobem,
Wolę ja być Krezusem, aniżeli Jobem.

Świadczysz, a na złe idą dobrodziejstwa twoje.

Czemuż świadczysz, z dobroci gdy masz niepokoję?

Bolejesz na niewdzięczność? alboż ci rzecz tajna,

Że to w płacy za łaski moneta zwyczajna?

Poco nie brać szafunku starostw, gdy dawano?

Potem ci tylko w Polsce króle poznawano,

A zagrzone wspaniałą miłością ojczyzny,

Kochały patryjoty dawcę królewszczyny.

Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych?

I to złe. Porzuć mędrków zabałamuonych.

Żaden się naród księgą w moc nie przysposobił:

Mądry przedysputował, ale głupi pobił.

Ten, co niegdyś potrafił floty duńskie chwytać,

Król Wizimierz nie umiał ni pisać, ni czytać.

Waszej królewskiej mości nie przepre, jak widzę,

W tem się popraw przynajmniej, o co ja się wstydzę.

Dobroć serca monarchom wcale nie przystoi!

To mi to król, co go się każdy człowiek boi.

To mi król, co jak spojrzy, do serca przeniknie,

Kiedy lud do dobroci rządzących przywyknie,

Bryka, mościwy królu, wzgląd wspacznie obróci:

Zły, gdy kontent; powolny, kiedy się zasmuci.

Nie moje to jest zdanie, lecz przez rozum bystry

Dawno tak osądziły przezorne ministry.

Wiedzą oni (a czegoż ministry nie wiedzą?),

Przy sterze ustawicznie gdy pracują, siedzą,

Dociekli, na czym sekret zawisł panujących.

Z tych więc powodów, umysł wskroś przenikających,

Nie trzeba, mości królu, mieć łagodne serce:

Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskerce.

Żeś dobry, gorszysz wszystkich, jak o tobie słysze,

I ja się z ciebie gorszę i satyry piszę.

Bądź złym, a zaraz kładąc tve cnoty na szalę,

Zato, żeś się poprawił, i ja cię pochwalę.

I. Krasicki.

10. Humor.

STARY SŁUGA.

W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca, i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą pasją.

— Oglądaj się, oglądaj, — mruczał, — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz! On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talerz. Czego gębę otwierasz? co? Widzisz go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy, prowadzonej przy stole, stale się wtracał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz, bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać? Oj jej! Abo to konie nie do tego? A niech-ta koniska nogi połamią na takiej drodze! Jak z wizytą, to z wizytą! Przecie państwu wolno! Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać, i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza!

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

My, to jest ja i brat mój młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla siostr był grzeczniejszy. Mawiał każdej »panienka« choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonji. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało, po lekcjach wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się, jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi! Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta. A potem, przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj

dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Już skończyłem lekcje — odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcje! He! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc, szukał już po kieszeniach). Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie, i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze parę razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on ten pistolet trzyma — mówił: — jak cyrulik! Gdzie tobie świece gasić chyba, jak dziadowi w kościele! Na księdza ci iść, Zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem!

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem, choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołajsko, gdy oddawano mnie do szkół, beczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: »Wzięli dziecko i wywieźli, mówił. A niech-ta umrze! Uu! u! A jemu poco szkoły? Abo to on nie dziedzic? Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować! Co to za rozpusta! Pojechało dziecko, pojechało, a ty, stary, łaż po kątach i szukaj, czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało!«

H. Sienkiewicz.

Humor jest to połączenie różnych pierwiastków, często pozornie sprzecznych: zawiera w sobie komizm, dowcip, iro-

nję, a jednocześnie współczucie i sympatię dla tego, co ośmiesza.

Humor zbliża się do dowcipu, ale i różni się od niego: w dowcipie przeważa pierwiastek umysłowy, w humorze uczuciowy. Gdy dowcip nieraz szydzi z czyjejs słabości, humor ośmieszając, ma dla niej wyraźne współczucie. Rozwesela i roztkliwia jednocześnie, nazywają go też »śmiechem przez łzy«.

Na czem polega humor w przytoczonym urywku ze Starego sługi, Naszej szkapy (Bieda), Omyłki (Goście).

Wskaż ustępy, nacechowane humorem, w panu Tadeuszu, Anielce, Grzechach dzieciństwa, Sierocej doli Prusa.

B I E D A.

Zaczęło się to od starego łóżka, cośmy na niem we trzech sypiali.

Tego dnia ojciec zły czegoś z rzeki wrócił i, siadłszy na ławie, ręką głowę podparł. Pytała się matka raz i drugi, co mu, ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota koło żwiru skończyła, i że szkapa tylko piasek wozić będzie. Zaraz mnie Felek szturchnął w bok, a matka jęknęła z cicha.

Miał ojciec nad wieczorem po doktora iść, ale mu jakoś niesporo było. Chodził, medytował, po kątach pozierał, aż stanął przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łóżku, Anulka? Sypiam ja na ziemi, toż i oni mogą.

Spojrzelismy po sobie. Dwie złote iskry zabłyśły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łóżku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadł.

— Dalej! jazda! krzyknął Felek, i zanim odpowiedzieć zdążyła, jużemy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły wywracać na nim zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łóżku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkiem odłazi. Nie chciał tedy »handel«, którego mi ojciec zawołać kazał, o łóżku ani gadać, pieniądze, naliczone miedziakami, zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi zasunął. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale

się Zydzisko uparło. Z sieni dopiero brodę do izby wsadził, postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrzał na nas, spojrzał na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— O jej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, i nie zmieniając pozycji, poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił. Felek znów na mnie, aż nam ją »handele« z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarpali.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy »handlowi« poduszkę, którą już pod pachą trzymał, i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta, i że się z niej pierze sypie. Znów tedy »handele« jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziesięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, żeby mu jeszcze kołdrę naszą dodać.

Ojciec spojrzał na matkę. Była tak osłabiona i blada, że wyglądała, jak martwa, leżąc nawznak, z głęboko zapadłymi oczami.

— Anulka... — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam kołdry, proszę ojca, nie chcemy! — krzyknął Felek. — My się tylko o tę kołdrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie!...

— Prawda, proszę ojca! — potwierdziłem gorliwie. — Co noc się bić musimy, bo spada...

»Handel« już kołdrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z tryumfem w podwórko.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom, co tam w klipe grali — »handel« kupił nasze łóżko, kołdrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali!...

— Wielka parada! — odkrzyknął blady Józiek od krawca z lewej oficyny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sy-piam bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Sypanie takie nie było więc już, widać, wynalazkiem naszym.

Tego dnia był u nas doktor, a ja biegałem aż dwa razy do apteki, bo matce znów było gorzej; ale kiedy przyszedł wieczór, tośmy ledwie ziemniaki dojeść mogli, tak nam pilno było na siennik, któryśmy sobie ułożyli w kącie za piecem. Felek to nawet z chlebem w ręku do pacierza klęknął i, oglądając się raz wraz na siennik, w trzy migi »Ojcie nasz« i »Zdrowaś« przeszeptał tak, że ja ofiarowania nie zaczął, a on już się w piersi bił, aż dudniało w izbie, i tylko katankę zrzucawszy, zaraz się od pieca położył. Co prawda, to i ja miałem myśl, żeby się od pieca położyć; ale mi się z Felkiem zaczynać nie chciało, więc go palnąłem w ucho i położyłem się od ściany, a Piotrusia tośmy między siebie wzięli. Zrazu zdawało mi się, że mi głowa gdzieś z karku ucieka, bom do poduszki nawykł, ale potem podłożyłem sobie łokieć, i dobrze.

— Czemże ja was, robaki, odzieję? — rzekł ojciec, patrząc, jakęśmy się jeden do drugiego tulili.

Obejrzał się po izbie, zdjął z kołka swój granatowy płaszcz i rzucił go na nas.

Wrzasnęliśmy z uciechy i natychmiast powsadzaliśmy ręce w rękawy. Piotruś tylko piszczał, nie mogąc do nich trafić, aleśmy go z głową peleryną nakryli, więc ucichł. Ojciec, nim się położył, raz jeszcze podszedł do nas.

— No i cóż? ciepło wam, baki? — zapytał.

— Mnie tam ciepło, odpowiedziałem z głębi płaszcza.

— A mnie jak! — krzyknął Felek. — O, proszę ojca, jak mi to gorąco.

I wystawił swoje długie, chude nogi, żeby okazać, jako o przykrycie nie dba.

Konopnicka. (Nasza szkap).

G O S C I E.

W dni świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwiema wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, sekretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem.

Znudzili się tem jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna poprosiła pana kasjera, ażeby zagrał do tańca.

— Dajcie mi państwo pokój! — bronił się kasjer, — nie wziąłem nawet gitary z domu.

— To pošlemy po nią — wołały panny.

— Gitara jest już w kuchni! — odezwałem się nieproszony.

Wszyscy w śmiech, — pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę — w zielonej koszulce.

Kasjer wciąż się bronił.

— Moi państwo, — mówił — na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki.

Było pięć panien, a nas kawalerów tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał do roboty. Czasem moja matka, znalazłszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji, wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolację podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólne jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wniesli krupnik. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona gwoździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić ty panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majowej, a nareszcie — zacząłem chodzić na rękę tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

— To będzie wielki człowiek!... — wołał, uderzając ręką w stół.

Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji, na zakończenie wieczoru, pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go, jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale zato wyższą czuprynę. Chodził w ciemno-zielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkim, i w aksamitnej kamizelce w ponsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halstuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na niem, zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,
Tak wyrok Boski zażądał;
Może tam zginę odrazu,
Już cię nie będę oglądał.

— Za pozwoleniem! — przerwał pan burmistrz. — Wyjrzyj-no, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przegrywce śpiewał dalej:

Może pójde do niewoli,
Między dzikie ludożerce, —
Któż mnie pocieszy w niedoli,
Jeśli nie ty, lube serce ?..

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

— To do ciebie, Jadziu, — szepnęła.

— Moja Meciui! — zgromiła ją siostra, rumieniąc się.

Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń, proszono go o drugą. Następowwała całkiem nowa przegrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,
Gdzie lecisz, ptaszyno mały?
Może zabłądzisz w te strony,
Które mnie dziecięciem znały?
Ach, powiedz mojej rodzinie,
Czy ich to nieszczęście smuci?
Uważaj, czy łza popłynie,
Gdy szepniesz: »Syn już nie wróci?...«

— »Gdy szepniesz: Syn, już nie wróci...« — powtórzyła

pani majorowa drżącym głosem. — Ślicznie! ślicznie! — wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał: »Lecą liście z drzewa...«

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa, (*ciszej*) co tam rosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było, (*ciszej*;) Matko, szczęścia tobie,
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho, jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

— Za pozwoleniem! wyjrzyj-no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem t e n...¹⁾ nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

— No, — rzekł, skończywszy, pan kasjer — teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

— Bój się Boga, człowieku! — przerwał mu pan burmistrz — nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje...

I wskazał swoją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

— Ach! — odparła — niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

— Dobrze, że pani nic nie robią, — mówi burmistrz — ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

— Ja się tylko Boga boję — mruknął ksiądz.

— No, więc — ja jestem! burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekował się moimi dziećmi?...

— Niema strachu, — rzekł proboszcz. — Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby t e n tam... podsłuchiwał pod oknami.

— Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki — upierał się zmartwiony burmistrz.

— O wiorstę i dwieście sążni od poczty — wtrącił pocztmajster.

¹⁾ Mowa tu o człowieku, niesłusznie posądzonym o szpiegostwo.

— Więc przynajmniej nie drzyj się pan i śpiewaj cicho — zwrócił się burmistrz do kasjera.

— Cóż znowu tatko mówi! — oburzyła się najstarsza córka. — Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

— Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu — wtrącił ironicznie pan kasjer. — Niema strachu, niema! Jeżeli kto, to ja powinienbym najpierw paść ofiarą...

— I padniesz, padniesz!... odparł burmistrz. — To największy w mieście rewolucjonista — szepnął do księdza.

Pan kasjer, zadowolony publicznem uznaniem jego rewolucyjności, wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze, niż zwykle, utopił wzrok w starszej pannie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.
Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy...

— Prześliczne! — zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

— Co to jest? — spytał niespokojnie pan burmistrz.

— Mickiewicz! — odpowiedział pan kasjer.

— Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale — wychodzę! Ja, — mówił pan burmistrz, bijąc się w piersi — ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażebym miał ginąć za wiersze.

— Cóż pan widzisz złego w tej piosence? — zapytał niecierpliwie proboszcz.

— Co?... jegomość tak dobrze wie o tem, jak ja! — odparł pan burmistrz. — A nuta? Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Tak! niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

— Czyś zwarjował, Franiu! — krzyknęła pani burmistrzowa.

— Taki jestem! — wołał zaperzony prezydent. — W razie, czego, Boże, nie dopuść wojny, wszystkie tutejsze zuchy włązą w ką, ale ja pokażę, co umiem!

— Franiu! tobie się w głowie przewraca — mitygowała go żona.

— Jestem zupełnie przytomny, — rzucał się pan burmistrz — ale chcę, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. Ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a spłakana pani majorkowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

— No, moi państwo, — odezwał się pan pocztmajster — czas do domu. Już dziesiąta.

— Czy być może? — zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną, i wszyscy zabierali się do wyjścia.

B. Prus.

Wzniosłość, tragiczność, humor świadczą niewątpliwie o przewadze pierwiastków uczuciowych w indywidualności autora, — uczuciowość jednakże niezawsze się wyraża w sposób wzniosły, tragiczny albo uśmiechem humoru. Głęboką, a pełną prostoty uczuciowość widzimy w wielu ustępach Pana Tadeusza, Dziadów i w innych utworach Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Reymonta, Żeromskiego, — bywa ona melancholijną, rzewną, tęskną, wybucha gwałtownie gorącym porywem, lub płynie serdeczną nutą, jako ukochanie ludzi, ziemi, ideałów.

Wszystkich odcieni uczuciowości wyliczyć prawie niepodobna, postarajmy się jednak określić tę cechę w następujących utworach.

ŻÓRAWIE.

Widziałem raz żórawie, odlatujące na wschód wielkim stadem.

Był to jesienny wieczór, pełen smętnego fioletu i ciszy, jak zwykle o tej porze w Tatrach.

Żórawie leciały wolno, czerniąc się nad różowemi ostatnim różem słonecznym górami.

Patrzałem za nimi długo, dopóki nie znikły, z coraz większym smutkiem. Nie wiem czemu, wydało mi się, że te żórawie oblakają się na morzu i nie powrócą już nigdy.

Leciały gdzieś w bezdenń powietrzną, w dal, tak posępne oku jakby i one czuły, że lecą tędy po raz ostatni, że nie powrócą już nigdy, już nigdy...

W głuchym jęku harfy rozbitej niema więcej smutku, jak w tem słowie: nigdy.

Ani tatrzański wiatr, bijąc skrzydłami o lód na zamarzłych jeziorach, nie jęczy smutniej...

Skarga drzew podciętych, które wyciągają ku słońcu konary, jest w tem słowie, i spojrzenie oczu ludzi umierających.

I co ma czynić człowiek, od którego wiara w rzecz najdroższą odlatuje, jak te żórawie, o których, nie wiem czemu, myślałem, że się oblakają na morzu i nie powrócą już nigdy?...

K. Tetmajer.

CZEMU MI SMUTNO?

Czemu mi smutno? czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam wysoko, po niebie nade mną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jękliwą przewiewa?
I pędzi tuman liści, spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co, wirem szału i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanej — nieznana
Leci, aż padnie, smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły?

Czemu mi smutno? czy że tu wokoło
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło?
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita?
Żaden głos chętny: co słyhać? nie pyta?
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojej gwieździe obrócony,

Każdy niedbały, co na drodze jego:
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,
Czołga się podle lub zuchwale leci,
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach Bożych: garść łez, krwi i błota?

Czemu mi smutno? Czy to, że widziało
Mądrości świata na duszę mi padło
I tak głębokie zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichej modlitwie, zmówionej
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,
Ani o starej ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo starej,
Pono na nutę nadziei i wiary?

Czemu mi smutno? czy że moi wszyscy,
Duszą jednacy, sercu sercem blizcy,
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,
Już sobie dawno po trudach wytchnęli?
A ja samotna, jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne w kraje szczęśliwsze ulecą,
Sama zostałam — i, gdy gwiazdy świecą,
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie
Błada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy mojego życia promień zwiędły,
Jak mi to nianka mówiła, uprzedły?
Och! bo mi głucho i pusto na ziemi,
Och! bo mi tęskno, tęskno za swojemi,
Co się w dębowej trumnie położyli,
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!...
Więc smutna jestem, smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złymi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieje,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych... Och, tak nie jest przecie!

Mężniejsza nad te ciosy dusza młoda, —
Wiem, że niezawsze na niebie pogoda,
Wiem, że niezawsze cnota jest na świecie;
Zdawnam przywykła w jesienne zawieje
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje,
A złością ludzką dobrego nie mierzyć,
Boć cnota — ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.
Och, nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły,
A Bóg — to wyraz niczem nie zatarty,
Co, jak go wieki w naturze skreśliły,
Tak znowu wieki z wieków się wypręda
I zawsze wkońcu: Bóg — Bóg! — czytać będą.
Po wszystkie strony był lot myśli mojej,
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi
I próbowałam pomysłu każdego,
A tłem wszechrzeczy było imię Jego.

Więc też spokojna na Boga się zdałam
I nietak gorzko umarłych płakałam,
Ja, co mam umrzeć, — och! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żałoby,
Ale mi smutno, bo dziś, jako cnotę,
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną;
A chyba w sądu godzinę okrutną
Ja Bogu powiem, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić niewolno.

N. Żmichowska.

ŚMIERĆ BORYNY.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły pisać,
gdy naraz Boryna ¹⁾ poruszył się na łóżku, jakby przecykając,
wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusnął, oblewając mu
twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

¹⁾ Od pół roku nieprzytomny z powodu rozciętej w bóję głowy.

Przysiadł na łóżku i kiwając głową, a robiąc usilnie grdyką, chciał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulgotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyrztał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zasnął, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

Pora wstawać, pora... — powtarzał, żegnając się wielokroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoic, ale nie znalazłszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błędził bezradnie rękoma dokoła siebie; pacierz mu się rwał, iż jeno niektóre słowa mamlął bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu spominki jakichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby; przesiąkało to w niego w strzępach nikłych, w bladych przypomnieniach, w ruchach zatartych, jak skiby na rżyskach, i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że porywał się co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczeplił, już mu się rozlażył w pamięci, jako te zgniłe przedce, i dusza mu się chwiała kiej płomień, nie mający się czem podsyć.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnię drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z dręt-wicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płonne są ich sny i próżne poczynania.

Zaczem cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że ciągiem się jeno wkółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyrztał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, łoso i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sien zalewało księżycowe światło; przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na

szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi, — pogładził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było, jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu polśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokiem milczeniu, jedne ptaszyska co się wydzierają zapamiętałe po gąszczach.

Znała przypomniało mu się cosik, bo poszedł spieszo w podwórze; drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, — zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potem do krów wsadził głowę: leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pospieszył i nie doszedłszy, całkiem zapomniał.

Staął wpośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądciś wołają.

Żóraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichusko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

— Prawda, piesku, pora siać...

Ale wmg i o tem przepomniął; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one złudy, jak to wrzecziono w nić, uciekającą wiecznie, a ciągiem na jednym miejscu.

— Juści... pora siać... — powiedział znowu i ruszył raźnie kole szopy opłotkami, wiedzącymi na pole; natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciąg-

nał się długi szmat podorówki; przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przedze, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kożuchem.

Wyrosłe, zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzą pod ciężarem kłosów, zwisających kieby te rdzawe dzioby piskłat, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czarniawemi piórami, zaś owsy i jęczmiona ledwie rozkrzewione, zieleniały kiej łąki w płowych przesłonach mgieł i światła.

Drugie kury już piał, noc była późna, pola pograżone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiedy cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jał w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnawszy tyła, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać.

Przychylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię po zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna zapatrzony przed się, w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo, błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu, i siał — siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, płatał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, bych siał.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze koleczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe,

nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemi — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świegotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż...

— Puszczaż, Kuba, brony, a letko! — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć, i znowu się brał do tej płonej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc żdziebko zmętniała, gwiazdy zbladły, i kury zaczynały pisać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, — wszystkie dni przeżyte, wszystkie żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepl nagle i zatonął w burych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkimi krokami skróś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakolysały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się, jakby w płaczu, i gorącymi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

— Gospodarzu! zdały się skomleć żyta, zastępujące mu drogę, i trzęsły rosistym gradem łez. Jakieś ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiatер załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokłą przedzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron były jękliwie, nieprzerwanie.

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądając się, wołał cicho:

— Dyc jestem, czego? co?...

Przygluchło naraz dokoła, dopiero kiej znowu ruszył posiewać ociężałą już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw: pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał; chciał krzyczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił, i ziemia chwyciła za nogi, pląta y go zboża, przytrzymywały brzozy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiat, błakała noc i te głosy, bijące całym światem.

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiał naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ociec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

— Pódzi-że, duszko człowiecza do mnie. Pódzi-żę, utrudzony parobku.

Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas podniesienia:

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na twarz przed tym Majestatem Przenajświętszym.

— Padł i pomarł — w onej łaski Pańskiej godzinie.

.....

Swit się nad nim uczynił, a Łapa był długo i żałośnie.

Wł. Reymont. (Chłopi).

Temu tylko pług, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łzy i ból!

Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędze;

Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!

Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz — to dziś miecz —
A wy, zimni, z pół tych — precz!

M. Konopnicka.

11. Fantastyczność.

PRZEBUDZENIE SIĘ GOPLANY.

Część lasu, widuć jezioro Gopło. Skierka i Chochlik wchodzi.

Skierka. Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

Chochlik. Śpi jeszcze w Gople.

Skierka. I woń sosnowa,

I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją jezioro,
Tak że się całe zwierciadło plami
W tysiące krązków.

Chochlik. Zanadto skoro

Zbudzi się jędra i będzie
Do pracy nas zaprzęgać! To w puste żołądziej
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom,
Budującym stolice, i drogi umiatać,
Do mrowiska wiodące; to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe lub rolę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworocznej matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwieźnię w zapadni, —
Naprzekór ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągłe trąbić do ucha naukę: nie kradnij;

Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj, jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimę śpij u chłopą za brudnym przypiekiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.

Skierka.

Bo też ty jesteś leniwy, chochliku!

(*Patrzy na jezioro.*)

Ach, patrz! Na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana:
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieszony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie,
I patrz, patrz, lekka i gibka,
Skoczyła z wody, jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach, czarowna! Któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Chochlik.

Ona ma wianek na głowie.

Czy to: kwiaty, czy sitowie?

Skierka.

O nie, — to na włosach wróżki

Uśpione leżą jaskółki;
Tak powiązane za nóżki
Kiedyś w jesienny poranek
Upadły na dno rzeczutki:
Rzeczutka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany,
Na złote włosy Goplany.

Chochlik.

Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać:
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miódów... lub malować pawie.

Skierka.

Więc uciekaj... ja się bawię,

Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka:
Ożyły, pierzchły i znikły,
Jak spłoszonych wróblu chmurka.
Królowa nasza bez ducha,
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych; nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiedłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano!

Wchodzi Goplana.

Goplana. Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek.

Chochlik. Już się zaczyna praca.

(Chochlik odchodzi, mrucząc).

Goplana. Czy to jeszcze rano?

Skierka. Pierwsza wiosny godzina

Goplana. Ach, gdzież mój kochanek?

Skierka. Co mi rozkażesz, królowo?

Zadaj piękną jaką pracę:

Winać tęczę kolorową,

Albo budować pałace,

Powojami wiązać dachy,

I opierać kwiatów gmachy

Na kolumnach malw i dzwonów

Lazurowych.

Goplana (zamyślona). Nie!

Skierka. Chcesz tronów

Z wypłakanych nieba chmur?

Czy ci przynieść pereł sznurek,

Z owych pereł, które dają

Lep na ptaszki; ale mają

Takie blaski, takie wody,

Jak kałakuckie jagody.

Chcesz? leczę na trzęsawicę,

Dojrzę, dogonię, pochwycę

Błędnego moczaru ognika;

I zaraz w lilijkę białą

Oprawię jak do świecznika

I nakryję białym dzwonkiem,

By ci świecił... Czy to mało?

Rozkaż, pani! co pod słońkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę:
Drzewa, kwiaty, światło, rosę.
Co nad ziemią, w ziemi łonie:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje, w jezior burzy
Kołysane.

J. Słowacki

Goplana, Skierka, Chochlik — to postacie, nie istniejące w naturze, nieprawdopodobne, fantastyczne, t. j. wytworzone jedynie w fantazji poety, lecz wytworzone tak, że stają przed nami, niby istoty żyjące.

W urywku z Kordjana (str. 140) autor nadaje takie fantastyczne istnienie Imaginacji, Strachowi, które tam mówią i działają, jak istoty żywe.

Fantastyczność należy odróżniać od fantazji (wyobraźni):

Każde dzieło sztuki wymaga fantazji: fantazją odznacza się i Grunwald Matejki i Pan Tadeusz Mickiewicza; ale w obu tych arcydziełach widzimy ludzi, którzy istnieli rzeczywiście — ci sami albo tacy sami.

Tymczasem np. w baśniach, podaniach ludowych, Dziadach Mickiewicza, Balladynie Słowackiego i t. p. występują istoty i zjawiska nie istniejące w rzeczywistości, nieprawdopodobne i nadprzyrodzone: czarownicy, wróżki, duchy, drzewa śpiewające, ludzie przemieniający się w zwierzęta i zwierzęta, mówiące ludzkim głosem — to świat urojony, fantastyczny.

Ten świat nadzmysłowy nadaje cechę fantastyczności ci utworom.

Wskaż fantastyczność w II części Dziadów, w znanych ci baśniach i podaniach.

Z II CZĘŚCI DZIADÓW.

(*Kaplica, wieczór. Guślarz, starzec, chór wieśniaków i wieśniaczek*).

Chór.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie!

Co to będzie, co to będzie?

Guślarz.

Zamknijcie drzwi do kaplicy

I stańcie dokoła truny,

Żadnej lampy, żadnej świecy,
W oknach zawieście całuny:
Niech księżyc jasność błada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

Starzec. Jak kazałeś, tak się stało.

Chór. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz. Czyścowe duszeczki!
W jakiegokolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek:
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek.

Chór. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz. Podajcie mi garść kądzieli,
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go lekkim oddechem!
O tak, o tak, dalej, dalej!
Niech się na powietrzu spali.

Chór. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz. Naprzód wy, z lekkimi duchy,
Coście wśród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu —
Zabłysnęli i spłonęli,
Jako ta garstka kądzieli:
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem

Przyzywamy, zaklinamy.

Chór. Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?

Guślarz. Patrzcie, ach, patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto złocistemi pióry
Trzepocze się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

Guślarz i starzec.

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

Aniołek do jednej z wieśniaczek.

Do mamy lecim, do mamy,
Cóż to, mamó, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to moja siostra Rózia.
My teraz w Raju latamy,
Tam nam lepiej, niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzeńki światełka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W Raju wszystkiego dostatek,
Codzień to inna zabawka;
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotknem, wykwita kwiatek.
Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach, mamó, dla twoich dziątek
Zamknięta do nieba droga!

Chór. Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga:
Ach, mamó, dla twoich dziątek
Zamknięta do nieba droga!

Guślarz. Czego potrzebujesz, duszeczek,
Żeby się dostać do nieba?

Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko,
I owoce i jagódki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

Aniołek.

Nic nam, nic nam nie potrzeba:
Zbytkiem słodczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi;
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię — wszystko caca,
Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki:
Oto była moja praca;
A jej praca — stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady;
Niepotrzebna msza ofiarna;
Nie o pączki, mleczka, chrósty,
Prosim gorzycy dwa ziarna:
A ta usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna i słodczy w niebie.

Chór.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna i słodczy w niebie.

Guslarz.

Aniołku! duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie,
To ziareczko, to ziareczko,
Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:

Zostawcież nas w pokoju.

A kysz! a kysz!

Chór.

A kto prośby nie posłucha:

W imię Ojca, Syna, Ducha!

Widzicie Pański krzyż?

Nie chcecie jadła, napoju,

Zostawcie nas w pokoju.

A kysz! a kysz!

(Widmo znika).

A. Mickiewicz.

WIDZIADŁO.

W ponurą rozpostarte dal

Północne szumi morze,

Wśród mgły ciągnących z wichrem fal

Dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posepnych głusz, z odmętów mgły,

Gdzie odpoczywa burza,

I grom wśród chmur wiszący drży,

Widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal

Kołyszą mętne piany,

Wypływa rycerz, w czarną stal

Od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,

Miecz mu pod ręką leży,

Płynie, jak chmura pośród chmur,

Jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,

Dech z piersi czerpie wzdętej,

I grzmi, jak burz północnych bóg,

Na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,

Ponury i rozległy,

Zda się, w ogromny wichry pęk

W gardło się rogu zbiegły.

Fale się macą, przestwór drży,
Sklep nieba, zda się, runie —
On nieruchomy, płynąc grzmi
Na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ład cały wszecz i wzdłuż
I głębiej mórz bezdenna,
I ginie, trąbiąc pośród głusz
Ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
Przez wód przelata puszcze,
I wśród mgły słyhać wicherów jęk,
I morze głucho pluszcze.

K. Tetmajer.

Wskaż fantastyczne utwory w tej książce.

12. Plastyczność i malowniczość.

TANIEC „ZBÓJNICKI“¹⁾.

Oto na skrawku łączki pod lasem, lub gdziebądź pod szalasem lub schroniskiem, pozzrucali na kupę torby i cuchy²⁾, pozzrucali i kapelusze, albo je przymocowali pod brodą z awadłami, następnie wbijają wszystkie ciupagi w ziemię i zaczynają dokoła nich taniec. Każdy po kolei staje przed grajkim, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę i puszcza się drobnego. Wkońcu wszyscy już są w kole, i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo, taniec opętany, warjacki, w którym na tle pewnego ogólnego tempa ruchów, każdy, odpowiednio do swego temperamentu i zdolności tancerskich, improwizuje rozmaite ruchy i skoki. Ten łagodny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod boki i wyprostowany, rzuca sobą w powietrze, padając ukośnie na ziemię, jak gwóźdź olbrzymi. Ten drab potężny, o czerwonej, spoczonej twarzy, wyrzuca się w górę na sążeń, zgina nogi, uderza z trzaskiem w locie dłońmi po piętach i spada z hukiem. Ów z nadzwyczajną elegancją i szykiem drepce w miejscu, pochylony, jak gdyby się zachwycał własnymi nogami. Tamten bije z zaciekłością nogą w ziemię, jak gdyby chciał w niej dziurę wybić, lub roztrzaskać własną piętę. Ów przypada ca-

¹⁾ Taniec Podhalan. ²⁾ Cucha — kaftan, gunia.

łem ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze, jak raca. Tamten przeciera obłąkane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętanym, pijanym jakimś szaleńcem, a jego nogi same, bez jego woli i wiedzy, trzęsą się na miejscu w jakichś zygzakowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią, śmigają rękami i nogami i zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, szczepiają je ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą wkoło zwolna, jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie nad oczyma, ukrytymi pod wystającym jak okap zrębem czoła, ścisła konwulsyjnie skrzypki i rznie jeszcze wścieklejszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

Rzecz oczywista, że aby nogi tak latały, trzeba, iżby je nosił w powietrzu ten namiętny i zaciekły temperament, który żyje w góralach. Pasja, która ich porywa przy tym tańcu, jest tak gwałtowna, że kiedy stają przed grajkiem, najtęższe chłopcy, z czerwonymi jak rak gębami, bledną jak trupy ze wzruszenia.

St. Witkiewicz.

Plastyczność polega na tak wyrazistym odtworzeniu rzeczywistości, iż wydaje nam się, że ją mamy przed oczyma.

Plastyczność możemy nazwać przymiotem rzeźbiarskim, gdyż odtwarza **kształty**.

NA ŻELAZNEJ DRODZE POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
Fioletu i ponsu plamy gorejące
Na modro-siny granit kładą się powoli;
Różowią się niebiosów błękitne roztocze,
Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
Na białło-żółtych chmurkach rozlały się pianę,
Z którą wietrzyk swawoli,
Sunąc ją przez powietrznych fal bezdną przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane

Pada światło słoneczne na cichą polanę,
Gdzie wśród jasnej zieleni,
Tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
Błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
Niezapominajek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
Za łąkami zbóż sennych o blasku złocistym,
Czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.

K. Tetmajer.

Jak maluje naturę przytoczony wiersz Tetmajera?
Styl, odtwarzający nam **barwy** obrazu, nazywamy **malowniczym**, barwnym.

Plastyczność i malowniczość to cechy obrazowości stylu.

V. Rodzaje stylu.

Na podstawie rozpatrywanych tu utworów i tego, co się mówiło od początku o rozmaitych cechach wysłowienia — widzimy, jak wiele jest rodzajów stylu i jak są różnorodne.

Zależnie od tego, z jakiego punktu będziemy je rozpatrywali, styl bywa:

jasny lub ciemny, — zwięzły i rozwlekły, — ucinowy, złożony ze zdań krótkich, i periodyczny — z okresów, — poprawny — niepoprawny, — czysty, dźwięczny, prosty, ozdobny, naturalny — napuszony, — indywidualny, pospolity, — piękny — niedbały i t. p.

może być także wdzięcznym, obrazowym, plastycznym, malowniczym, bezbarwnym, żywym, fantastycznym i t. p.

Ze względu na nastrój bywa poważny lub żartobliwy.

Poważny: silny, uroczysty, wzniosły, tragiczny, uczuciowy, sentymentalny (czułościowy), melancholijny, gwałtowny (namiętny) i t. p.

Żartobliwy bywa: wesoły, komiczny, dowcipny, humorystyczny, ironiczny, satyryczny, sarkastyczny, rubaszny, wytwórny i t. p.

Określanie stylu w następujących utworach i wyjątkach lepiej zapozna nas z jego cechami.

...Więc skończyłem wczoraj właśnie¹⁾. Pieśni ogromnych dwanaście! Wiele marności, wiele też dobrego. Będziesz czy-

¹⁾ Pana Tadeusza.

tał. Za parę tygodni druk zaczynam. Mnóstwo pracy w przepisywaniu.

(Z listu A. Mickiewicza do Odyńca).

Dziś wyjeżdżamy do Burgos. Przez czas pobytu nie tu nie zaszło ważnego. Żyjem zwyczajnym sposobem, tylko Henryk¹⁾ w ciągłych uniesieniach nad wschodem. Na wszystko patrzy djamentowemi okularami; dziwy opowiada i dziwy spisuje.

(Z listu A. Mickiewicza do córki).

Kto nigdy nie wdarł się na szczyt alpejski; nie lizał śniegu z nad linii śniegowej; nie rwał i nie wahał niezapominajek i innych kwiatuszków, rosnących obok lodu, wśród okruchów żwirówatych; nie oddychał tem powietrzem orzeźwiającem; nie spoglądał na świat z wysoka; nie gonił lecących cieniów obłocznych po dolinach; nie marzył sam wśród warstw granitowych: — ten marnie przeżył życie, nie zażył bowiem, raz żyjąc, czegoś wyjątkowego, jedynej w swoim rodzaju rozkoszy; duszy jego brak czegoś, jak temu, co nigdy nie widział oceanu i nie kołysał się na jego fali; to wielka szczerba, łysina w jego świadomości.

W. Matlakowski.

Gdy wiosna rozbudziła w duszy poezję, uśpioną zimnem smutnej naszej ziemi; — gdy odrodzony człowiek w swem rozczuleniu dla Stwórcy poetycznie dziecinnieje, uśmiecha się do pierwszych z pod śniegu główki wychylających dzwoneczków białych z tym żółtym pyłkiem, które ją tak zdobią; — kiedy się raduje z widoku tych listków niskich krzewów, które to pod włoskami obrosłe, aby się od przymrozków chronić, i patrzy na szerokie liście dzikich fijołków i poziomek, rozsiadających się po ziemi, dumnych, że matkę ziemię już przykrywają; — kiedy każdy kuszący owad nasze oko ku sobie zwraca, i wzrok goni za szczęśliwie prezimowanym motylem; — kiedy głosy najpierwej nam przybywających śpiewaków uderzą nasz słuch, i podziwiamy to melodyjne przypomnienie przeszłorocznych wyuczonych śpiewek i dumek; a gromady ziarnojadów, jeszcze na pary nie podzielonych, obsiedą

¹⁾ Służalski.

drzewa, z liści obnażone, i wspólny śpiew zanuca, śpiew, złożony z setnych głosów współubiegających się: — o! wtedy każdy ptak, każdy robaczek, każdy owad jest książką zajmującą do czytania; wtedy to przychodzą myśli zastanawiania się nad organizacją całej olbrzymiej przyrody, nad tem życiem u każdego żyjątka innem, a taką ścisłą harmonję tworzącem; wtedy to ruch ptaka, zawsze z pewnem przeznaczeniem i celem wytkniętym, wodzi wzrok badacza za sobą magnetycznie, a im więcej dążności ukrywa, tem więcej ciekawości wzbudza.

Z K. Wodzickiego.

RZEBIONE DRZWI ŚREDNIOWIECZNE.

Indziej znowu, gdzieś w zakąciu zapyłonej sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazja średnich stuleci, owa wróżka czarnoksięska, oplotła je zwojem gałęzi i liści misterynych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiewające, drzewa, co rodzą jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baję czarodziejskie, słyszane niegdyś w dziecięctwie od nianie przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królowny zakłęte, lub smoki i karzelki, kur czarny i czarownice, i zbójców dwunastu, — oto, że cię przywita znowu ta cała hołotka drwiąca, świetlista, psotna, co ci była strachem i radością, kochaniem i trwogą w chłopięcych latach.

J. Kremer.

BAŚŃ TĘCZOWA.

Od kolebki biegła za mną	I budziła się wraz ze mną,
Czarodziejska baśń tęczowa	I wraz ze mną ciągle rosła,
I szeptała wciąż do ucha	I z kołyski na swych skrzydłach
Melodyjne zakłęb słowa,	W jakiś dziwny świat mię niosła...
Urodzona nad wieczorem	Ponad morza purpurowe,
Z cichych gawęd mych piastunek,	Ponad srebrne niosła rzeki,
Spała ze mną, na mych ustach	Po zwodzonym moście tęczy
Kładąc we śnie pocałunek.	W cudowności świat daleki.

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widmi i czarów;

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki, czy boginie;
Więc na całą życia kolej
Szedłem błdzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita, skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci.

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wieczne źródło
Czyste wody swe rozlewa.

I witały mię po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń świata.

I witały ludzkim głosem [tów.
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
I przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piłem fali,
I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrawiony szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:
Biegnę naprzód, zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmetry,
I stanąłem u stóp góry,
Prostopadle nadół ściętej..

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zaklęciem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki...
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną.

Swe spiżowe jeżąc łuski,
Bronią skarbu zakłętego:
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak, mimo czujnej straży,
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie...

Miała gwiazdę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit nieba w jasnych oczach
I aniołów cudne lica;

I odrazu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnać się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królowny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem chwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty —
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: »Za nią! za nią!
Idźcie ginać, — o, rycerze!

»Idźcie pięć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie:
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiedzie.

»Choć nie dojdzie—chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza częśćka życia
W takiej walce i pogoni.

»Warto choćby widzieć z dala
Ow zakłęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.

»Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękie!

A. Asnyk.

DWIE ŁĄKI.

(Legenda indyjska).

Były dwie krainy, leżące obok siebie, niby dwie łąki niezmierne, przedzielone tylko jasnym strumieniem. Brzegi tego strumienia rozchylały się w jednym miejscu łagodnie na obie strony, tworząc bród miałki w kształcie jeziora, o wodach cichych i przezroczystych. Pod błękitną tonią widać było dno złote, z którego wystawały łodygi lotosu, rozkwitającego nad wodną szybą kwieciem różowym i białem; tęczowe łątki i motyle wiły się wokół kwiatów, a wśród palm nadbrzeżnych i wyżej w promiennem powietrzu dzwoniły, jak srebrne dzwonki, ptaki.

I to było przejście z jednej krainy do drugiej.

Pierwsza zwała się Łąką Życia, druga — Łąką Śmierci.

Stworzył obie najwyższy i wszechmogący Brahma, który w krainie Życia rozkazał włodarzyć dobremu Wisznu, a w krainie Śmierci mądrymu Sziwie.

I rzekł:

— Czyńcie, jako rozumiecie najlepiej.

Więc w krainie, należącej do Wisznu, zawrzało Życie. Poczęło wschodzić i zachodzić słońce, nastały dnie i noce, przestworza morskie jęły wzdymać się i opadać; na niebie pokazały się ciężarne dżdżem obłoki, ziemia porośla puszcza, zaroilo się od ludzi, zwierząt i ptaków. By zaś wszystkie twory żyjące mogły rozradzać się i mnożyć, stworzył dobry bóg Miłość, której nakazał, aby zarazem była szczęściem.

A wtedy Brahma zawołał go przed swoje oblicze i rzekł:

— Nic doskonalszego nie zdołasz wymyślić na ziemi, że zaś ja uczyniłem niebo już pierwej, przeto odpocznij, i niech

te istoty, które nazwałeś ludźmi, snują dalej bez żadnej pomocy nie Życia.

Wisznui usłuchał rozkazu Brahmy, i ludzie poczęli od-
tąd sami myśleć o sobie. Z ich dobrych pomysłów zrodziła
się Radość, a ze złych Smutki, więc ze zdziwieniem spo-
strzegli, iż Życie nie jest bezustannem weselem, ale że ową
jego nie, o której mówił Brahma, przędą jakby dwie prządki,
z których jedna ma uśmiech na twarzy, a druga łyzy
w oczach.

Udali się tedy przed tron Wisznui i poczęli się skarżyć.

— Panie, ciężkie jest życie w smutku.

A on rzekł.

— Niechaj was pociesza Miłość.

Usłyszawszy to, odeszli uspokojeni, albowiem Miłość
rozpraszała istotnie ich smutki, które wobec szczęścia, jakie
ona daje, wydawały się tak błahe, że niewarto było na nie
zważać.

Ale Miłość jest zarazem wielką rodzicielką Życia, więc
jakkolwiek ogromna była ta kraina, w której włodarzył Wisznui,
wkrótce dla tłumów ludzkich nie starczyło ni jagód leśnych,
ni miodu skalnych pszczół, ni owoców na drzewach. Wów-
czas ci, którzy byli najrozumniejsi, wzięli się do karczowa-
nia lasów, do uprawy pól, do siejby zboża i do zbierania
plonów.

I w ten sposób powstała na ziemi Praca.

Wkrótce wszyscy musieli się do niej zabrać, tak że
stała się ona nie tylko podstawą Życia, ale niemal życiem
samem.

Ale z Pracy urodził się Trud, a z Trudu Zmęczenie.

Gromady ludzi stanęły znów przed tronem Wisznui.

— Panie! — wołały, wyciągając ręce, — Trud osła-
bił nam ciała, Zmęczenie rozsiało się w naszych kościach,
i chcielibyśmy odpocząć, a Życie przymusza nas wciąż do
pracy!

Na to Wisznui rzekł:

— Wielki Brahma nie pozwolił mi rozwijać dalej Ży-
cia, ale wolno mi stworzyć coś takiego, co będzie jego przerwą,
a przeto i wypoczynkiem.

I stworzył Sen.

Ludzie z radością przyjęli ten nowy dar i wkrótce

uznali go za jeden z największych, jakie otrzymali z rąk boga.

We śnie koily się troski i zawody, we śnie krzepiły się siły zmęczonych. Sen osuszał, jak dobra matka, łzy smutku, i otaczał głowy śpiących, jakby cichą mgłą zapomnienia.

Więc ludzie wychwalali Sen, mówiąc:

— Bądź błogosławion, albowiem lepszyś jest od Życia na jawie.

I jedno tylko mieli mu do zarzucenia, że nie trwa wiecznie, że następuje przebudzenie, a po przebudzeniu praca, — i nowe trudy i zmęczenie.

Myśl ta poczęła ich trapić tak ciężko, że po raz trzeci udali się do Wisznu.

— Panie — mówili — dałeś nam dobro wielkie i niewysłowione, ale niezupełne. Spraw, aby Sen był wieczny.

Wisznu zaś zmarszczył swoje boskie brwi, jakby zgniewan ich natręctwem, i odpowiedział:

— Tego ja wam już dać nie mogę, ale idźcie do rzecznej przeprawy, a po drugiej stronie znajdziecie to, czego szukacie.

Ludzie usłuchali głosu bóstwa, i zastępy ich pociągnęły zaraz nad jeziorko, a stanąwszy nad niem, poczęły spoglądać na drugą stronę.

Za cichą i jasną, haftowaną kwieciami tonią ciągnęła się Łąka Śmierci, czyli kraina Sziwy.

Nie wschodziło i nie zachodziło w niej słońce, nie było dnia i nocy, ale całe przestworze nasyciała liljowa jednostajna jasność.

Żaden przedmiot nie rzucał tam cienia, bo owa jasność przenikała wszędy tak, iż zdawała się tworzyć istotną treść wszechrzeczy.

Kraina nie była pustynna: jak okiem sięgnąć, widniały w niej doliny i wzgórza, porośłe słicznymi kępami drzew, wokół których wiły się pnącze, zwoje bluszczu i winogrodu zwieszały się ze skał. Ale i skały, i pnie drzew, i smukłe łodygi roślin były niemal przezrocze, jakby ze zgęszczonego światła uczynione.

Liście bluszczu miały leciuchne różane blaski zorzy porannej, a wszystko było cudne, ukojone jakimś nieznanem na Łące Życia ukojeniem, przezyste, niby pogrążone w świat-

listej zadumie, niby senne i uśpione snem błogim, nieprzespanym.

W jasnym powietrzu nie było najmniejszego powiewu, nie poruszał się żaden kwiat, nie zadrgał żaden listek.

Ludzie, którzy przyszli na brzeg gwarno i z głośną rozmową, uciszyli się na widok tych liljowych, nieruchomych przestworów i tylko szeptem poczęli powtarzać:

— Jaka tam cisza, i jak wszystko spoczywa w świetle.

— O tak, tam spokój i wieczny sen.

Więc niektórzy, najbardziej zmęczeni, rzekli po chwili:

— Pójdźmy szukać wiecznego snu.

I weszli w wodę.

Grająca tęczą toń rozstała się zaraz przed nimi, jakby chcąc im przejście ułatwić. Ci, którzy pozostali na brzegu, chwyceni nagłą tęsknotą, poczęli na nich wołać, — lecz żaden z nich nie odwrócił głowy — i szli dalej lekko i ochoczo, widocznie coraz bardziej urokiem cudnej krainy przyciągani.

Tłum, patrzący z brzegu Życia, zauważył też, że ciała ich w miarę, jak się oddalali, stawały się rozwidnione, przejrzyste, coraz lżejsze, coraz bardziej świetlane, coraz promienniejsze i jakby topniejące w tej powszechnej jasności, która napelniała Łakę Śmierci.

A gdy przeszli, układali się do spoczynku wśród tamtych kwiatów i drzew lub u podnóża skał. Oczy ich były zamknięte, ale twarze miały wyraz nie tylko niewysłowionego spokoju, lecz i takiego szczęścia, jakiego na Łące Życia nie dawała nawet Miłość.

Co widząc, pozostali przy Życiu mówili do siebie:

— Słodsza i lepsza jest kraina Sziwy...

I poczęli przechodzić coraz liczniej na drugą stronę. Szły jakby uroczyste korowody starców i ludzi dojrzałego wieku, i mężów z żonami, i matek, prowadzących za rękę dzieci małe, i młodzieńców, i dziewcząt, a potem tysiące i miliony ludzi poczęły się tłoczyć u Cichego Przejścia, aż wreszcie Łaka Życia wyludniła się prawie zupełnie.

Wówczas Wisnu, którego zadaniem było strzedz Życia, przeraził się własną udzieloną w gniewie radą, i nie wiedząc, co począc, udał się do najwyższego Brahmy.

— Stworzycielu — rzekł — ratuj Życie! Oto dziedzinę

Śmierci uczyniłeś tak jasną, tak piękną i szczęsną, że wszyscy opuszczają moje królestwo.

— Zali nie pozostał ci nikt? — zapytał Brahma.

— Jeden tylko młodzieniec i jedna dziewczyna, panie, którzy, kochając się niezmiernie, woleli wyrzec się wiecznego ukojenia, niż zamknąć oczy i nie patrzeć na siebie więcej.

— Czego więc żądasz?

— Uczyń krainę Śmierci mniej piękną i szczęśliwą, bo inaczej i tych dwoje opuści mnie za innymi, gdy minie wiosna ich Miłości.

Na to Brahma zamyślił się przez chwilę, potem rzekł:

— Nie! Nie ujmę piękności i szczęścia krainie Śmierci, ale uczynię co innego, by ratować Życie. Odtąd ludzie muszą przechodzić na drugą stronę, ale nie będą już przechodzili chętnie.

To rzekłszy, utkał z ciemności grubą, nieprzeniknioną zasłonę, a potem stworzył dwie straszne istoty, z których jedna zwała się Boleść, a druga Trwoga, i kazał im tę zasłonę zawiesić u przejścia.

I od tej chwili Łąka Wisznu zarośla się znowu życiem, bo jakkolwiek kraina Śmierci pozostała tak samo jasna, cięcha i szczęśliwa, jak poprzednio, ludzie bali się Przejścia.

H. Sienkiewicz.

MŁODZIENIEC ZAKŁĘTY.

(Ballada).

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błdził wśród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
Co tam czarów, co tam strachów!
W jednym sklepisku zapadłem —
Jak dziwny rodzaj pokuty! —
Na łańcuchu przed zwierciadłem
Stoi młodzieniec okuty.
Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś częśćkę traci
I powoli wrasta w kamień.
Aż do piersi już był głazem—
A jeszcze mu błyszczą lica

Męstwa i siły wyrazem,
Czułością świeci żrenica.
— Kto jesteś — zakłęty rzecz —
Coś te gmachy zdobył śmiało,
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało?
— Kto jestem? O, drży świat cały
Przed mą szablą, na me słowa
Wielkiej mocy, większej chwały:
Jestem rycerzem z Twardowa.
— Twardowa? Za moich czasów
Nie słyszałem o nazwisku
Ni wśród wojennych zapasów,
Ni na rycerskiem igrzysku.
Nie zgadnę, jak długie lata
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata,
Musisz mi o nim powiedzieć.
Czy dotąd Olgierda ramię,
Naszą Litwę wiodąc w pole,
Po dawnemu Niemcy łamie,
Tratuje stepy mongole?
Olgierd? Ach, już przeminęło
Dwieście lat po stracie męża;
Lecz z jego wnuków Jagiełło
Teraz walczy i zwycięża.
Co słyszę?... Jeszcze dwa słowa:
Może w twych błędnych obiegach
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
Na Świtezi naszej brzegach?
Czy tam ludzie nie mówili
O Poraju silnej ręki
I o nadobnej Maryli,
Której on ubóstwiał wdzięki.
Młodzieńcze! nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju,
Ani o jego kochance.
Poco pytać? czasu strata.
Gdy cię wyrwę z tej opoki,

Wszystkie ciekawości świata
Własnymi odwiedziśz kroki.
Znam czarodziejską naukę,
Wiem dzielność tego zwierciadła:
Wraz je na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa spadła.
To mówiąc, nagłym zamachem
Dobyl miecza i przymierza, —
Ale młodzieniec z przestrachem:
— Stój! — zawołał na rycerza.
Weźmij zwierciadło ze ściany
I podaj je w moje ręce;
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce.

Wziął i westchnął; twarz mu zbladła,
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło —
I cały stał się kamieniem.

A. Mickiewicz.

BAŚŃ O SOBOTNIEJ GÓRZE.

Pocziwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był przy parafialnym kościele organistą, wielce mądrym i uczonym: czytał na każdej książce i z pisanego — i podobno, że samby mógł kantyczki¹⁾ składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba! i u samego plebana. Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchiwał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojciec jego przedtem, i niewiele dbając ani na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza, dlaczego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był. Wszyscy zaś trzej bracia, jako pocziwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście: niebogą starowinę porwały w nocy boleści srogie, jęcząc, pobudziła sy-

¹⁾ Kantyczki — pobożne pieśni kołędowe.

nów, — zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć — nie wiedzący.

— Już ja tutaj przy matce zostanę i czuwać będę nad niemi, a wy jeno bieżcie co żywo do mądrej, w lesie u starej mogiły, by przyszła chorej z pomocą! — rzekł do braci organista.

Oni tedy górą, dołem, biegli do starej mogiły, do spustoszonej chaty, gdzie mądra mieszkała, i znalazłszy babę, wiedli ją w skok do wioski. Kiedy byli blisko domu, patrzą, aż ci organista stoi przed wrotyma.

— A co? jak matce? — spytali.

— O! już-ci lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczeć, leżą cichutko w łóżku, pewnie śpią..

Baba weszła do chałupy, stanęła koło łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową: — Iścież waszej matce lepiej, a nie nie boli, bo oto skostniała, widać chwila, jak już zmarła.

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłyszany. Wszyscy trzej synowie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścianę i rękoma rwąc do krwi ciało tak okropnie, że baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zliutowała się nad nimi.

— Ha! jeżeli tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będzie-li tylko który chciał narazić własnego żywota? Pomódz jej może choćby kropla żywej wody, co za trzema puszciami bije na Sobotniej Górze z pod gadającego drzewa, na którem siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedem dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wniść na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał, broń Boże, jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć poza siebie: w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chceli z was który szczęścia próbować? Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się byle czego nie zlekne i choćby djabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójde, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego z żywą wodą.

I pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień miał się ku końcowi. Bracia, w domu pozostali, wyglądają niecierpliwie: żołnierza znikąd ni widu, ni słyhu. Gdy tydzień z górą minął, biegli do baby po radę.

— Daremnie go czekacie, — odpowie im mądra baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu sporzyć się z sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę po żywą wodę dla matki? Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co? ty? — ty, głupcze! tybys miał tam wskórać, gdzie twój brat nie wskórał? Lepszej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwieść szatańskiej mocy. Jać to wiem dobry sposób na djable pokusy; niechno tam pójde z kropidłem, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz, czy mi podoła.

I wzięwszy kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, książkę za nadrę, ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci, — tydzień cały; brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy: ni widu, ani słyhu... Biegł tedy znowu do baby po radę: co znaczy, że brat nie wraca?

— Daremnie go nie czekaj! — odpowiedziała baba, — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myśląc, biegł co tchu do domu i, wzięwszy bułkę chleba do opałki, kosę sobie nastaliwszy¹⁾, przewiesił ją przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci

¹⁾ Nastalić — naostrzyć kosę.

dzień o zachodzie słońca stanął pod Sobotnią Górą. Stanąwszy, spojrzy: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły — jakby jedno na drugim wyrastało, sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomiedzy niemi na ziemi gąszcz cierni, głógów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mchów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki, ni drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniął na matkę martwą i, wzięwszy Boga na pomoc, począł się drapać po górze. I dał się coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, na żmije, co mu nogi owijały, kłusząc żądły bolesnemi, — ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, alisci jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga.

Już, już co się miał obejrzeć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej baby i nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce zjawi się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry, — rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzyrożny kapelusz, — a dokąd to, przyjacielu?

— Juści że nie gdzie, jeno na tę górę, — odpowie syn wdowi.

— A czego to wam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę po tę wodę. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcecie.

— Ale nie tą przecie drogą! Poco tu drzeć się i krwawić, kiedy, spójrz na lewo, wygodnie ścieżką iść można.

Wdowi syn spojrział na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę! — nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

- Ależ pójdź-bo!
- Mówię ci, że nie pójdę.
- To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku! — Za-zgrzytnął z wściekłością Niemczyk, odskoczył w stronę i zniknął.

Wdowi syn piał się, jak począł, przed siebie, aż wtem postyszy za sobą nagle trzask i hałas niesłychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca sfór psów i wilków, i szczwanie djabelskim głosem: huź go, ha! huźha- huźha!... Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już za nim, już oto za nogi go chwytą... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, aleć wspomniał sobie na rady mądrej i zamiast poza siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłosny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć z przestachu, a już idzie strach nowy. Razem wśród ciemności nocnej taki od wierchu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło. Zdziwiony, podniesie głowy i widzi, że las całutki płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco jeszcze zdaleka poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy całe roziskrzzone, padały z trzaskiem jedno na drugie, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok ogarnął go strach okropny; lecz kiedy wspomniał na martwą matkę, pozbył wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w żarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep poprzód siebie: aż cały zziajany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

Wyszedłszy, spojrzy przed siebie: aliści i wierch już blisko! Lecz radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę, jako ściana prosta, sterczącą wśród drogi. Tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u wnijścia jej śpi, chrapiąc, siedmiogłowy smok... Wdowi syn zcicha podkradać się począł, chcąc we śnie groźnego potwora zabić. Ale smok, skoro ludzkie kroki postyszał, zerwał się ze snu, zaryczał wszystkimi siedmiu paszczami, aż się wstrząsła góra cała, i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste pło-

mienie, szedł przeciw niemu. On też, nie czekając, poskoczył naprzeciw bestji; siedem razy kosą świsnął, — a co ciał, to padnie łeb smoczy i krwią pluszcząc, wdół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna, siarczystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął od pragnienia i duszącego paru. Wtem, kiedy się napół żywy wlecze, z boku z rozpadliny skały ujrzy jasność, i zaleci go woń cudna. Spojrzał ciekawie i oto widzi ogromną jaskinię, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród precudowny, majową trawą pokryty, pełen róż i lilji wonnych. Na murawie drzewa różne z rumianami owocami, chyłą się ku srebrnej strudze... Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów ze ściany skały jasność go uderzy, i przez wąską rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa na złotym łańcuchu paliła się u sklepienia, a wokoło ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe napełnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami. Ale wdowi syn nie był chciwy: ani się kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.

I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszysz cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików, a przez rozwarte na oścież w boku opoki podwoje świeci się sala złocista. Wśród niej po miękkich kobiercach dziesięć dziewic urodziwych, w przezroczystych jak mgła sukniach, płasza po cudnej muzyce, przyspiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, poczęła się doń wdzięczyć. Ale młodzieniec pozostawił we wsi dziewczynę, liliję białą, ukochaną serca: więc gdy sobie na nią wspomniał, zasłonił ręką oczy i poomacku szedł dalej, aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię. Zaledwo ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem i wyszedł na dzień biały, na sam szczyt Sobotniej Góry.

Stanąwszy, spojrz ciekawie po wierzchołku góry i widzi wszystko, jak mu rzeczono było. Na nagiej by dłoń opoce rośnie jedno tylko drzewo, ze srebrzystymi listkami, którymi szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzy-

wych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, a na najwyższej gałęzi sokół się chwieje złocisty.

Złoty sokół zaledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął brzęczącemi pióry, roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, aż gdzieś znikł między chmurami.

Wdowi syn z sił opadły, ledwie się zdołał zawlec pod drzewo i, upadłszy na opokę, począł pić chciwie z krynicy. Alić ledwie jej usta dotknął, jakby nanowo na świat się narodził, poczuł w całym ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu nie zostało. Zerwał się tedy wesoło na nogi i, stanawszy pod drzewem, przy jasnym porannem słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrzał z wysokości na świat Boży. Wokoło góry, pola, lasy, wody, wioski, zamki, grody wielkie, takie mnóstwo, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, a tak cudny, że zda się, patrzeć na niego sto lat, nie napatrzyłby się jeszcze...

Gdy upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłysz nad sobą szum skrzydeł, i sokół złoty ze złotym dzbanem w dziobie z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiało głośniejsze, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

»Weźmij dzban ten, chłopcze młody!
Naczep z źródła żywej wody,
Gałąź ze mnie sobie złom
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywej wodzie maczaj liść,
Kędy krokiem stawisz nogę,
Świeć dokoła sobie drogę«.

Posłuszny wezwaniu, syn wdowi wziął dzban złoty, naczepał w niego przezroczystej wody, ułamał ze śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił, stawając, maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.

I oto stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek i, radując się i błogosławiąc mu, szedł za

nim... Im niżej spuszczał się, tak święcąc, tem bardziej za każdym krokiem rosła ċma ludzi z kamieni odkłętych; a gdy, stanąwszy u stóp góry, obejrzał się poza siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy, idąc różnymi czasy na Sobotnią Górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień obróćeni zostali. Więc mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy, a także obaj bracia szczęśliwego chłopka: rycerz z mieczem koło bioder i organista z kropielnicą a kropidłem... Cała ta gromada poczęła dziękować zbawcy, że ich uwolnił z zaklęcia, coby zapewne aż do sądneho dnia trwało, ślubując mu, iż go nigdy już nie odstąpią, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

Szli zatem wielkim taborem, aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał syn wdowy. Stanąwszy pod chałupą swoją, otwarł drzwi, podszedł ku posłaniu matki i martwe od trzech niedziel zwłoki skropił gałązką mówiącego drzewa, zmoczonego w żywej wodzie... A oto nie czekając chwili, starszka otwarła oczy i powstała rzeźwa, jak gdyby nigdy nie chorzała. Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy, i nie było miary uniesieniom i ucieście zgromadzonego mnóstwa...

Tymczasem na miejscu lichej owej wioszczyny stanęło rychło ludne i okazałe miasto, a wpośród niego zamek pyszny, w którym syn wdowi, pojawiwszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując wdzięcznemu ludowi...

R. Zmorski.

Z CHAŁUPY.

I.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za sadami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschyłały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.
Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy,
W kraśnych chustkach, w korałowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej, czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

J. Kasprzowicz.

LIRNIK WIOSKOWY.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
 Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
 Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznana, jakby na sercu grano,
 I smutno, i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
 Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień i noc, i jeszcze...
 Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
 Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
 Przecie tonów nie zniżę;
Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
 Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna z czarodziejskiego drewna,
 Niebezpieczneś narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
 Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
 I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,
 Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młoda
 Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
 Co tam w duszy lirnika!
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
 Że mnie tak chęćka bodzie:

Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki owina,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją! przy niej chłopcy się roją...
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza: znam, co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze!

III;

Liro ty moja śpiewna z czarodziejskiego drewna,
Wątle z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklękne,
Czy dla ludzi zapieję;
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wyteżę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitrężę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada!
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
I z innym płąsa rada.
Starzec westchnie i powie: »Za mych czasów grajkowie
»Toć to grali dla duszy!
»Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
»Trąbić mu w róg pastuszy!«

I tak wszyscy zebrani: jeden chwali, ten gani, —
Kłaniam, kłaniam uprzejmie;
Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro, próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień mej głowy: wszak ja, lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa,
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakolata:
»Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
»Lirnik głośny u świata«.
Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać, ściskając plecy: »Skąd ci ludzie dalecy
»Znają pieśni tej wioski?«
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzej ziemi
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną, wznosząc głowy: »Tu nasz lirnik wioskowy,
»Skonał, grając na lirze«.

PAPIERUCHA.

— Tu, panie, chojary były w tym lesie, ha! — prawil dalej Marcinek. — Ale naprzód ciął pan, teraz Zydy z Kałusyna tną, a tną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem; obaj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku; konie stanęły; Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

— Oś pękła!

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnie zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, my zaś wtuliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotychwki, które za nową będą musieli zapłacić »poćciwi panowie«.

— Ha, »nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi«, mówi poeta — rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześniowej kąpieli; — dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnimy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujemy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które aż nam po oczy bryzgnęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną.

Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić; to też, spojrzawszy na nas, brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy, jak wojsko faraonowe, w tem morzu — zawołał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi, Józiu! — odrzekłem rozśmieszony; — przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słuszność! szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy; jakiś płacz słyhać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie opłotki chróstowe łączyły się z gościńcem za-

padniętą i nadwyreżoną chatą, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek.

Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały, jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyzna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pęga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

— Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby. Uchyliłem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka szerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupałą twarz, nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Odkoczyłem strwożony, — było to leżące i do łóżka przywiązane ciele.

Kobieta ani drgnęła, domyśliłem się więc od razu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczulem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy wtem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci, zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot.

Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałże to być grób dla umarłej kobiety?

— Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzył na mnie surowo i odrzekł:

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego! — mruknął, nie podniósłszy nawet oczu; zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

— Oszalał! — szepnąłem do Józefa, który z dala był niemyim świadkiem tej sceny. — Poszedł po żonę... trup leży w izbie.

— Zwierzę! — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyspieszonym tętnem.

Utkwiliśmy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś straszego widoku. Wieśniak długo nie wychodził. Od czasu do czasu słychać tylko było głucho stukanie, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieńnię sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywłócił na podwórze białą nieżywą... krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! Papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak, nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu wśród krzyków dzieci i, popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie piasku.

— To nie moja zona, ale ich matka — rzekł do nas, wskazując dzieci. — Wszystkie wykarmiła... Płaccie, płaccie, bo ona już wam mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznem łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

— Bieda! — mówił dalej, — chłopska bieda! Zona rok już umiera i dźwignąć się nie może... Śtéry morgi piasku dosyć chleba nie urodzą; ot ta pościwina nam pomagała. Jakew drugiej dopozycył, to i ziarno zwiezła, i pole zorała, i jeszcze dzieciom mleka dała. Ha, wola Boza! Zdéchniemy i my, jak ona zdechła!

— Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

— A bom ja dochtór? Chłop nie pań, żeby wiedział, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z pod Podborza

mówi, że to kołtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili kapkę, napiła się... ale gdzie tam! Pokrzywiło i trzyma, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boże, bądź miłościw... O, moja biedna Papierucha! — zawołał, głęboko wzruszony, patrząc w dół. — Gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

— Papierucha! Papierucha! — wołały one ustawicznie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

— Nie płacta, małe — krzyknął ojciec; — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sowite wsparcie.

Trudno! co można!

— Przyjmijcie ode mnie, gospodarzu, 10 rubli — rzekłem zakłopotany, — tyle tylko, co wam dać mogę.

Pocciwy Józio nie pozostał obojętny — i on dołożył tyleż do mej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzył na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu polały się strumienie łez.

Odwrociłem się od tego przykrego widoku.

Za nami stał Marcinek.

— Jest oś! — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręku nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacji.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową; wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dołyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu

Pierwsza prelekcja już się rozpoczęła. Gdym wchodził do audytorjum ¹⁾, usłyszałem, jak profesor ekonomji politycznej wymawiał zdanie:

¹⁾ Audytorjum — sala wykładów.

»Prosty wieśniak jest dlatego od nas szczęśliwszy, że, mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień«.

W tej chwili Józio spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutnie.

Aleksander Świętochowski.

A żebyś ty, jasne słońko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy, w płaszczu tkany
Z purpury.

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu..
Nie rozłaje pierś zakrzepła
Narodu..
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słońko tak nam prędko
Ucieka!

Oj, żebyto już nad ludźmi
Smutnemi
Uderzyła jasność ducha
Po ziemi!
Zeby w światło się podniosły
Powieki!
I przyszłości dzień już nastał
Na wieki!

M. Konopnicka.

DZIEŃ ŚWIĄTECZNY.

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały z nad pól, porośłych zielonem zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieleności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba, ogromnem półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej, jak purpurową wstęgą, tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu.

Na świetnem tem tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości, na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu małych dworków. Był to, razem z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole, sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystem i spokojnem, wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od porastającej je zrzadka trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dziecieliny i smólek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się po drzewach fioletowe rohule, żółtemi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurza ślepota, liljowe skabiozy polne wylewały ze swoich stulistnych koron miodowe wonie, chwiałały się całe lasy delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swoich wysokich łodygach, rumianością i zawadjacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków.

Za temi pasami roślinności dzikiej, cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącemi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane, słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieniegdzie kilka zagonów,

a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołemi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy, ubrane w czerwone i żółte chusty, tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonji i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łąkach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt, u piersi w chustkach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośnie, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach, rosnących na wzgórzach, i w wielkim borze, który ciemnym pasem odcinał pozłacaną, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnemi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim, odbywającym się na urodzajnej równinie, czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień Boży powrót z kościoła.

El. Orzeszkowa.

BOJOWISKO.

Pokotem leży ścięty las
Pod bładem niebem jesieni,
Pokotem leży ścięty las,
I tęczą swoich zmarłych kras
W zwiędłym listowiu się mieni.

Leżą w śmiertelnym, głuchym śnie
Stuletnich buków zręby...
Leżą w śmiertelnym głuchym śnie
Prastarych jedli złote pnie
I święte kapłańskie dęby.

Słońce zapada w morze krwi
Nad bojowiskiem boru,
Słońce zapada w morze krwi,
A ponad światem cicho śni
Wilgotny smutek wieczoru.

Gwiazdami siewna wstaje noc, —
We mgły odziana chłodne, —

Gwiazdami siewna wstaje noc,
I nad olbrzymów padłych móc
Rozwiesza sny pogodne...

Rzekłbyś: zmarłego lasu szum —
Jeszcze błękitem się niesie...
Rzekłbyś, zmarłego lasu szum —
Ostatniem echem świętych dum
Płynie w gwiazdzystym bezkresie.

Nad bojowiskiem mrok i cień,
(Milczący sen stuleci) —
Nad bojowiskiem mrok i cień,
Tylko gdzieniegdzie drzewny pień
Błękitnem próchnem świeci...

Br. Ostrowska.

KRADZIONE.

Gawęda.

W ręce aspana, panie Jakóbie;
Mówisz: »kradzione lepsze« i chcesz tego dowieść:
Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
Powieм aspanu przypowieść.

W samym końcu zaścianka, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic pocziwy —
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa;
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie zato
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie, jak u młokosa.

A tuż, mój móspaneńku, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada:
Konie, owieczki i woły.

— Czy wiecie co, tatulu?« (tak mówił raz młody),
Fraszki to — praca i cnota:

U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota ¹⁾.

Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
Pocziwym nie da talarka;

¹⁾ Golizna, bieda.

Dla jednego pomysłność odmierza ośminą,
Drugiemu liczy na ziarnka.
Naprzykład, choćby u nas: ot, idą zapusty,
A w domu ni to, ni owo.
Hola! jakby to dobrze, by na czwartek tłusty
Utuczyć pieczeń wołową!
— A skądże weźmiesz wołu? — »Czy to wielka sztuka?
Niby to dostać nie możemy!
Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,
Niech potem sąsiad poszuka.
— Cóż to! — zawoła ojciec, — to kradzież wyraźnie,
To jakaś sztuka zbójcka;
A siódme przykazanie? a sumienie? błaznie,
A nasza wiara szlachecka?...
— At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
Za cóż my biedni i głodni?
Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni,
Czy to po ludziach nie chodzi? —

Na takie *argumentum* ¹⁾ ojciec mruknął z cicha:

— Cóż robić? szatan cię uczy;

Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha:

Nigdy kradzione nie tuczy! —

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,

Cichaczem kupił wołu, napił się borysza ²⁾.

Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada —

I z wołem... het! do zacisza.

Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,

Rozćwiertowali w stodole,

I, jak słowo powiedzieć, już u czynszownika ³⁾

Wołowa pieczeń na stole.

— Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się w pasie.

Zjadając mięsko tak cudnie,

Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakim czasie,

Kto z nas utyje, kto schudnie. —

Zmierzyli się, i każdy na swojej popręde

Naznaczył kreskę czerwoną.

¹⁾ Twierdzenie, dowodzenie. ²⁾ Poczęstunek przy kupnie. ³⁾ Czynszownik, drobny dzierżawca.

— Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
Teraz utuczym się pono! —
Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...
Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzypnie we wrotach — on w nocy i we dnie
Marzy o przyjeździe sąsiada;
W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila poblednie;
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu — syn wysechł jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.

— A co, błaznie, — rzekł stary, — pamiętaj przysłowie,
Że *male parta*¹⁾ do czarta,
Ja zakupiłem wołu, — toć mi szło na zdrowie,
Ty, kradnąc, schudłeś na charta.

* * *

— A cóż, panie Jakóbie, jak przypowieść zda się?
— Moralna! sens na wierzchu, jakby gwiazda świeci.
— Ja umiem jeszcze lepsze — a w swobodnym czasie
Więcej opowiem waszeci.

L. Kondratowicz.

ŚWIĘCONE U RADZIWIŁŁA.

Po skończonej rezurekcy, gdy już było około północy, wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, aż wreszcie gdy różowa Aurora²⁾ wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy, jak ona rumiani i weseli, — z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku.

W zamku dopiero czekał nas aspekt³⁾ niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszej sali, zaleciało

¹⁾ Źle nabyte. ²⁾ Aurora — bogini jutrenka, świt. ³⁾ Widok.

nas powietrze i aura ¹⁾ przesiąkła zapachem święconego, które urządził pierwszy kucharz JO. księcia, Włoch Loga, ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy, książę zawołał: »Mości panowie, do ataku!« — co wymówiwszy, zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiołuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukwszy okna, powylały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzje, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak że czasami wlatywał śród do sali i spadał gradem od pułapu odbity na nasze łysiny, — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować zato, że nie dopiekl zwierzyny; — kucharz się tłumaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcy, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie, stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekl w niej całego Laokonta ²⁾ z węzami. JO. książę, wzięwszy ze ściany buławę żelazną, nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzelśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrupowany kielbasami, jakby ów Laokont, właśnie pasujący się z gady Minerwy. — »A i ten żyje!« krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz, niby zawstydzony, odezwał się: »*Decoctus erat, sed resurrecit*« ³⁾. — »Może to być«, rzekł pan Sierotka, »a w trzecim pasztecie co?« — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda ⁴⁾, przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie. — Jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Djane, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowę dzika, z paszczką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem.

¹⁾ Atmosfera. ²⁾ Laokont — według podania greckiego kapłan, udu-szony przez węże z rozkazu Minerwy, bogini mądrości za to, że ostrzegł Trojan o niebezpieczeństwie, grożącym im od drewnianego konia. ³⁾ Ugo-towany — zmartwychwstał. ⁴⁾ Andromeda — postać mitologiczna, kró-lewna etjopska, przykuta do skały przez Neptuna, bożka mórz za to, że śmiała rywalizować pięknością z nimfami.

Kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne affektu ¹⁾ — a nareszcie i piastunce swojej, która, w kącie stojąc, płakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę, która go wzięła za głowę i uściśnęła, jak dziecko swoje.

A książę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: »Mości panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami — ale niech to was, miłośni panowie, nie pozbawia apetytu... proszę się rozgościć«.

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencją księcia kucharz wszystko tak urządził, że nietylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali tej albowiem wśród mnóstwa drzew z miodu lipcowego była sadzawka z wyspą, zielonym owsem pokrytą, na której się pał święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkulów ²⁾, ze skarbu JO. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziły cztery dziki okropnej wielkości, upieczone całkowicie, a dwanaście jeleni ze złożonymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzony. Gdy tu same mięsiva, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje, niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby, podobne skałom, nosiły na głowach migdałowe grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem wśród cukrowych domów ukryte ananasy konarami szarymi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży.

A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłumaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruiny ulegną.

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, rostruchanów ³⁾, czar złotych, srebrnych i kryształowych, i win różnych i miodów, i małmazjów, które się tam obficie znajdowały — a żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później w pu-

¹⁾ Uczucia. ²⁾ Gatunek rubinu. ³⁾ Dzbanów.

styniach głód cierpiąc, wspomniało się na owo święcone z niejakim żalem i z chciwością, nieprzystojną filozofowi.

J. Słowacki.

Z M A R J I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A kłoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić —
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

I.

Ej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?
Czyś zaoczył zającą, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
i z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
lub może do swej lubej, co czeka śród niwy,
nucąc żalosną dumkę, lecisz niecierpliwy;
bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze —
a długi tuman kurzu ciągnie się po drodze;
zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
i jak światelko w polu, błyszczy na niej radość,
gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
porze szumiący wicher, wyciągnawszy szyję.
Umykaj, czarnomorcu! z swą mażą ¹⁾ skrzypiącą —
bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca.
A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz,
i krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
śpiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
nim skończysz twoje koło, oni ująć gotowi.

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
podobni do jakiego od niebianów gońca. —
I długo i daleko słyhać kopyt brzmienie;
bo na obszernych polach rozległe milczenie:

¹⁾ Wóz, na jakim wożą sól ze stepów czarnomorskich.

ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy,
tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosa,
tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
które duch dawnej Polski potomności chowa, —
a gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
ach, czyż serce, czyje w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatarzy;
przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
bo pod nią już oddawna upiór pochowany),
uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
i jak wiatr świsnął stepem z pilnymi rozkazy.
I koń rzeżki żadnym się urokiem nie miesza,
tylko parsknął i wierzgnął — i dalej pośpiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
a śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje;
szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
a żwawy wierny konik kozaka rozumie —
i przez kwieciste łąki, przez ostre bodjaki,
lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
i jak strzała schylony na wysokiej kuli,
czai się zwinny kozak, do konia się tuli,
i przez puste bezdroża król pustyni rusza —
a step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

A. Malczewski.

OBÓZ POD SOKALEM ¹⁾

W kilka dni po przybyciu króla Jana Kazimierza do obozu zaczęły się ściągać pojedyncze oddziały pospolitego ruszenia. Dzień po dniu nadciągały strojno i huczno województwa, ziemie i powiaty, bogate pułki wielkich panów, zwyciężne chorągwie z tłumami sług i taborami wozów.

¹⁾ Sokal — miasto nad Bugiem. Tutaj w r. 1651 Jan Kazimierz zgromadził wojsko, które następnie pod Beresteczkiem zadało stanowczą klęskę Chmielnickiemu.

Chmara przekupniów ciągnęła zewsząd do Sokala. Tłumy ludzi, niezliczony ogrom wozów i koni, zalegały doliny i wzgórza dokoła. W okręgu kilkunastu mil pasły się konie stadami o kilkunastu tysiącach sztuk; — jak okiem dosięgał, wszystko było jednym pastwiskiem.

Zdawało się, jak gdyby cały naród polski zabierał się do założenia nowej stolicy państwa. Szopy dworskie, drewniane kancelarje ministrów, baraki kwarcianych¹⁾, otoczone dokoła szanćami, tworzyły środek tego płóciennego miasta; przyległe wzgórza, zastawione namiotami i szałasami pospolitego ruszenia, otoczone niezliczoną liczbą wozów, wydawały się przedmieściami.

Złociste karoce przebiegały doliną, w namiotach ministrów załatwiano bez przerwy interesa publiczne; mnóstwo interesowanych nadjeżdżało i wyjeżdżało z obozu, kurjery, pastuchy, strażę i podjazdy wbiegały i wybiegały za wały; masy przejezdnych widzów i gości, roje ludzi około bud, szałasów i straganów... wszędzie targ, ciżba, wrzawa, ruch, jakiego nigdy nie było w Warszawie.

Wieczorem, kiedy ognie zapłonęły na wzgórzach, a czeładź rozbiegła się z końmi na paszę, słyszałeś zewsząd surmy²⁾ i wiwaty po namiotach wielkich panów, którzy po zwyczaju młodszą bracię hojnie u siebie gościli. Rankami odbywały się przeglądy, które przepychem olśniewały cudzoziemców, ożywiały wojsko i zdolne były obudzić zaufanie w niezwyciężone siły Rzeczypospolitej.

Występowały wtedy pułki jeden za drugim. Szedł na-przód dwór królewski, strojny i świetny, pod złotohaftowanymi chorągwiami, konno, piórno i bogato. Chorągwie pancerne lśniły się od skrzydeł białych, rycerstwo w półkirysach³⁾ złotem szmelcowanych, tygrysy i lamparty na grzbiecie. Za nimi pachołcy w kapach półszkarłatnych, na których wisiał orzeł królestwa, haftem złocistym ozdobiony. Proporce husarskie różnobarwne, w szachownicę, z białym i błękitnym ogonem, wesoło drgały w powietrzu. Na chorągwiach i dardach⁴⁾ u hajduków, u rajtarji i pieszych dworskich lśnił się złocisty herb króla.

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń

¹⁾ Kwarciane wojsko, z kwarty cz. $\frac{1}{4}$ królewskich dochodów stale utrzymywane. ²⁾ Trąby. ³⁾ Półkirysy — półbroje, górna część pancerza. ⁴⁾ Włócznie.

wojska polskiego, sławę i pychę Rzeczypospolitej — husarję w całej okazałości. Kipiały od strusich piór kity na głowach końskich, na hełmach i na skrzydłach rycerzy, pędziły rotę szumno i rzeżko, jak orszak aniołów w zbrojach srebrnych, szumiały i brzęczały skrzydła na żelaznych ramionach, lśniły od drogich kamieni końskie wywroty, pancerze, pałasze, perskie i tureckie hafty na siedzeniach; rzucały się w podskokach konie arabskie, sekle¹⁾ i dzianety²⁾, jedno w czaprakach frandzlistych, w czółdarach³⁾ kwiatu bogatego, inne w sakabantach⁴⁾ opinanych i drogo haftowanych, w dyftykach⁵⁾ szkarłatnych. Każda chorągiew inaczej strojna i zbrojna, w krysach szmelcowanych lub polerowanych, przy tarczach różnobarwnych, w kitach rarożych⁶⁾, strusich i innych piórach zamorskich, w skórach lamparcich, pstrych i czerwonych.

Ponad hełmami posuwał się las kopji, strojnych w różnobarwne proporce, lśniących ostrymi groty. Za husarją pomykali petyhorcy⁶⁾, lżejsi i mniejszego proporca, z dzidą przy łopie czarnym, lub z drzewcem równym kopji, w pancerzach z nitu, w kolczugach⁷⁾ misternie wycinanych. Dalej szły chorągwie z różną strzelbą: jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, w misiurce i karwaszach⁸⁾: wołoskie, multañskie, tatarskie, czemeryskie... wszystko zaciąg z różnych narodów, a wszystko do czat i podjazdów. Skrzydło każdej rotę zawodził towarzysz weteran z chorągwią w rękę.

Za temi chorągwiami ciągnęło polspolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty, słowem Rzeczpospolita we własnej osobie, strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej strojny i na przeróżnych koniach.

Nikt nie może mieć wyobrażenia, jakie rasy, jakie krzyżowania maści i własności koni mogą istnieć na świecie, kto nie widział polspolitego ruszenia.

Za polspolitem ruszeniem szła rajtaria⁹⁾ z Ubaldem, przy strusich piórach, w kapeluszach z wysokim grzebieniem. Konie w kapturach i derkach pstrych, poważnie prowadzone. Nie lubiła szlachta wojska cudzoziemskiego, ani łanowej piechoty, jak to widać z tonu współczesnego opisu:

¹⁾ Sekle — konie siedmiogrodzkie. ²⁾ Dzianet — koń rasy hiszpańskiej. ³⁾ Czółdary — wełniane pokrycie na konia. ⁴⁾ Sakabanty i ⁵⁾ Dyftyki — materiały jedwabne i wełniane. ⁶⁾ Raróg — gatunek sokoła. ⁷⁾ Petyhorcy — lekka jazda. ⁸⁾ Kolczugi — druciane koszulki. ⁹⁾ Karwasze — żelazne naramienniki. ¹⁰⁾ Rajtaria — jazda.

»Oficer dmie się, jak bąk, ogon roztoczon, jak u pawia, łeb w pudle, nogi żórawie. Kapitanowie rapiry gołe w rękach prezentują przed królem; pludry na wszystkie strony połyskują. Siedzą na fryzach lub pomorczykach¹⁾ kusych i bez uszów. Dmie się każdy, jak indyk, ogon rozpuszczon, jak u dropia, głowa ostrouszna, nogi bocianie, ale myśl chłopia. Tak rotmistrz, jak pacholek, huczą i krzyczą, a jak do bitwy — to ze skruchą. Chorążowie chorągwie wielkie wkrag siebie wywijają, muszkiety połyskują, walą w bębny i szafamaje...«

Za łanową piechotą szły armaty, dalej prochy, granaty, ogniste kule w osobnych wozach, dalej wozy na rydle i motyki, a przy nich żołdacy z pikami.

Występowały pułki, regimenta i chorągwie jedne po drugich, a z powrotem do obozu spisywał je przy moście na Bugu Zygmunt Przyjemski, generał artylerji i pisarz wojskowy, odbierając od każdego rotmistrza raport na piśmie, który królowi oddawał.

Cała ta masa pyszna i strojna była nadzwyczaj nabożnie usposobiona. W obozie odprawiało się nieustannie nabożeństwo, szopa królewska, w której stał cudowny obraz Matki Boskiej, z Chełmna przywieziony, napełniona była dzień i noc pobożnymi, a liczne zjawiska, które sobie rozogniona wyobraźnia żołnierzy tworzyła, utrzymywały umysły w gorączkowem naprężeniu.

W wojsku tem znajdowało się dwóch ludzi, którzy w danym razie całą Rzeczpospolitą z ostatecznej toni wyprowadzić byli zdolni. Pierwszy z nich wojewoda ruski, ks. Jeremi Wiśniowiecki, ulubieniec całego narodu, »za którego piersiami cała ojczyzna spokojnie oddychałyby mogła«, trzymał się skromnie na uboczu, ale słowa jego, w stanowczej chwili powiedziane, były zawsze dla wszystkich hasłem i rozkazem, i nie było wątpliwości, że w razie potrzeby cała szlachta bez wahania oddałaby się w ręce księcia, który »w sławie się kochał i w niej jak w słońcu chodził«. Drugim był, mało znany wówczas, porucznik hetmana w. kor. Stefan Czarniecki, który jednak z każdym dniem rósł w wpływy i znaczenie u króla. To też dla pierwszego z tych dwóch ludzi bitwa pod Beresieczkiem była pysznym odblaskiem zachodzącego słońca, dla drugiego — zorzą wschodzącej sławy bohatera. *L. Kubala.*

¹⁾ Fryzy i pomorczyki — gatunki koni.

DUMA O SAMUELU KORECKIM.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, prózeń trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi

Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...

Cóż kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem

Ledz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi wkrąg go obegnano;
Pięć dni go siekli groźni najeźdźnicy,

Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strząskaną

Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —

W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?

— Nikt — odrzekł Samuel — sam tak chciałem: u mnie

Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,

Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...

— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu

Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże

W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:

Lecz wkrótce więzień, omyliwszy strażę,

Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,

Wrócił do swoich, istny syn światłości,

Gość z poza świata, co choć rad, a przecie

Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... wstrząsł się, i o dziwo!

Zadrżał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,

Widział, jak głowę hetmana sędziwą

Na włócznń natknął.

Tyle krwi przeżył, kłęk i hańby tyle!

Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,

Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle

Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,

Dumał. Noc była. Wicher rozszałały

Ryczące wściekle głębie Bosforowe

Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mgławce brzaski?
Chrzęsty wrzeczadze. — Kto tam? — Czausz ¹⁾ sułtana
Wchodzi, zwiastując, że mu z jego łaski

Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:

To, co rzekł zwiastun, snać złe jakieś knowa...

Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,

Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alieć tuż u proga

W padalcze skręty stryczka więz zelżywa

Szyi mu sięga. Zbladł, i boleść sroga

Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:

— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły —

Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze

Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrząści:

Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie

Pierwszego z brzegu ściągwszy młotem pięści,

Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce

Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi:

Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce

Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,

Żelazne drągi garść rozwściekła imie,

I z rykiem runą na kark bohatera

Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni

Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,

Szarpie zębami, piętami się broni

Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża;

Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...

Tylko żelazem żelaznego męża

Przemódz zdołano!

¹⁾ Czausz — goniec.

Tak legł złamany, ale nieugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszałały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibadź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

Felicjan Faleński.

PRZEPRAWA.

Skoro tylko dragon odwrócił się tyłem do sanek, Rafał i Krzysztof zsunęli się ze swych miejsc i chyłkiem, wpół zgięci, skoczyli za ognisko. Do wału rzecznego było kilka kroków. Minęli go jednym susem. Po drugiej stronie tego jaru rosły wikie¹⁾. Całe to zbocze od strony rzeki pokryte było skorupą lodu. Pomiędzy tą skorupą a wałem umykali teraz, jak lisy, w dół rzeki. Kiedy tak dopadli połowy odległości między jednym a drugim ogniskiem, usłyszeli tuż za wałem tętent konia, lecącego wskok. Przycupnęli. Koń przeleciał.

Tuż pod nimi rozległ się trzykrotny świst jakby kulika²⁾. Rozsunęli rokity i ujrzeni w pobliżu pod rozłożystym pnem starej wierzby łódeczkę. Chłop w kozuchu chwycił silnie każdego z nich za ręce i wciągnął do łodzi. Mruknął ze srogim gniewem:

— Późno! Dzień wylazł...

Kazał im przytulić się do dna, sam, siedząc w kucki na przodzie, pchnął łódź tak potężnym rzutem wiosel, że odrazu wypadła w wart. Tam jeszcze raz wmiesił wiosła w nurty. Jeszcze jeden całoramienny zamach wiosel, jeszcze jeden... Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle, że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prosto w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż koło nich przeciągle gwiznęły kule.

Jedna z nich musnęła wodę koło burtu łodzi. Cicho i boleśnie jęka druga. Nieustraszony Ślązak-przewoźnik wstał teraz na nogi. Wiosła dzwiękły i zagrały w jego potężnych

¹⁾ Wikle — rodzaj wierzby. ²⁾ Ptak brodzący.

rękach. Ujrzeni przed sobą ogromną jego postać, od głowy do stóp zamkniętą w wielkim kożuchu. Łódź pomknęła wdół, ukośnie tnąc strzał środka rzeki. Lecieli nad wyraz chyżo. Ale na opuszczonym brzegu rozległ się nowy grzmot kano-nady i rozwałił ciszę nocy.

Przewoźnik raptem siadł na nogi w tem miejscu, gdzie stał, zakaszłał się straszliwem chrzypieniem. Wiosła wypadły mu z rąk. Przez chwilę w zdumionych oczach zbiegów kiwał się to wtył, to naprzód, charcząc i ciągnąc w piersi powietrze, aż runął na dziób łodzi, zwieszonemi rękawami kożucha trzepiąc i chlapiąc po wodzie. Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Nieporecznie, wydzierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i broniło przystępu. Rafał w rozpaczę zwałił je wiosłem, ale tylko zadzwiekle, jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i grozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlokły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeni wyłom między lodami. Łódź spodem docierała mielizny, więc ze wszech sił wpierając ocalone wiosło w ławice piasku podwodnego, dobijali. Już przedświt powlekał pędzącą wodę śniadą barwicą. Coraz wyraźniej było widać rzekę i przestworza. Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam szarpnął barkę za łańcuch i wywłókł na mieliznę. Dźwignęli co tchu chłopca. Obrócili go twarzą ku niebu. Oczom ich przestawił się widok brunatnej twarzy, z której rozwartych ust wałiła się falą ciemna krew. Oczy, już zaszkłone bielmem śmierci, patrzyły w nich spojrzeniem tamtego świata. Ujrzawszy niewysłowioną mowę boleści w tej twarzy stężałej wśród życia, wśród siły, wśród potężnej pracy, Krzysztof zachwiał się na nogach. Kolana jego głęboko wgniotły się w śnieg. Z załamanemi rękoma, z wyrazem rozpaczki bezdennej patrzył i patrzył w leżącego trupa. Znała zatrząsł się cały i począł łkać, jak dziecko. Głowa jego padła do nóg zabitego, ręce kurczem objęły mokre, staplane buty. Począł w boleści skomleć i wyrzekać:

— To ja... To moja wina... To ja cię zamordowałem... Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz... Boże, Boże! Cóż ja teraz pocznę? coż ja teraz pocznę, nie-szczesny! Boże wielkiego miłosierdzia!...

Wzniósł obłąkane, skostniałe oczy na Rafała i pytał go z ogłupiałem skamłaniem:

— Cóż teraz będzie? Zlituj się nade mną? Cóż ja teraz z nim pocznę?...

— Wiesz co — rzekł Rafał, ściągając przemokłe buty — ty nadzwyczajnie nadajesz się do stanu żołnierskiego. Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Jeżeli nad każdym trupem będziesz tak pięknie wigilje śpiewał, to z ciebie będzie najteższy oficer w armji... Przedstawia cię Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody.

Krzysztof słuchał uważnie. Wytrzeszczonemi oczyma patrzył, jak Rafał drze swą koszulę i suchemi onuczkami przewija sobie nogi, jak znowu wdziewa buty...

— Cóż my pocniemy? — szeptał coraz ciszej.

— Przedewszystkiem ściągnij buty, udrzyj z koszuli płat i zawiń nogi.

Spełnił to wszystko co prędzej, jakby w istocie taki był środek ratunku, o który się pytał. Gdy już byli obuci, Rafał kazał mu jeszcze bardziej wyciągnąć łódź na brzeg, sam okręcił łańcuch jej o pień wierzby. Wtedy zdjął czapkę, zwrócił się twarzą do trupa i przez sekundę modlił się cicho.

Dzień wstawał. Wyszli z zarośli nadbrzeżnych i wielkim krokiem wdarli się na wyniosłość pobraża. Ale skoro tylko ukazali się tam, znowu warcząc i burcząc, górą przeleciały kule, i rozległ się huk wystrzałów. Rafał parsknął śmiechem. Krzysztof patrzył na niego bezsilnemi oczyma, do których napływały jeszcze łzy.

— Niemce! — wrzasnął Olbromski, nastawiwszy dłoni koło ust. — Austryjaki! Gałgany! Strzelajże jeden z drugim, a celnie! Godzinę celuj, a traf przecie raz w życiu!... Na szubienicy tobyś wieszał, austryjacki wojaku! Celuj! Niedołęgo!

Poszedł naprzód wielkimi krokami, gwiżdżąc całą gębą. W pewnej chwili zwrócił się do Krzysztofa:

— Wciąż jeszcze beczysz?

— Słuchaj-no, daj mi pokój...

— Jeżeli chcesz beczeć, to idź sobie osobno, bo gotowi ludzie pomyśleć, że to ja cię za uszy ciągnę do wojska.

Krzysztof był już spokojny. Szedł takimi samymi krokami, jak jego mentor. W milczeniu przebyli płaszczynę

i zaczęli wstępować na wzgórki, długim wałem wyznaczające dolinę Wisły.

Weszli na najwyższy wydmuch, ledwie teraz owiany szronem i śniegiem. Czarny, zmarzły piach ustępował pod ich stopami... Rozejrzeli się wokoło.

Na wzgórzu nagiem sterczało to siedlisko rybackie, czy miejsce ucieczki dla powodzian. Do resztek dawnego muru karczmy przybudował terazniejszy mieszkaniec lepiankę z wicińcy i rzecznej mułu, z kawałów belek, szczątków desek, krokwi a łat, odebranych wiślanym falom.

Zakołatali we drzwi pięściami. Nie zaraz otwarło je babsko wyschłe, czarne, kudłate. Za niem pokazały się głowy dzieci o twarzach jakoby kobusów¹⁾ i kukulek.

Rafał odchylił całe drzwi i mimo smrodliwej pary, która ich owiała, wszedł do środka. Rozejrzał się naokoło w mroku.

— Wasz przewozi przez Wisłę? — zwrócił się do baby.

— Ja ta nie wiem, — odmruknęła niechętnie.

— No, nas przewiózł, więc wiadomo.

— Nie wiem, co i jak gadają. Mój je rybak. Kto jego wie, czy przewozi? Teraz wojsko stoi i z gwerów²⁾ bije.

— No, my tu mieli do niego interes.

— To przyńdzie pod południe, a ja nie wiem.

— Kazał wama powiedzieć, matka... — rzekł Rafał, licząc ponuro oczyma dzieci — że te... że przyńdzie dopiero na odwieczerz. Teraz nie przyńdzie. Rozumiecie?

— Czy ja niby rozumiem?

— No!... A co mu się od nas za przewóz należy i za to wino, co je to przemycał, to wam kazał dać w rękę. Necie...

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy, odliczył kilka dukatów i dał jej w rękę.

— Trzymaj to, babo, garścią, bo to nie koprowina, ino samo złoto! — krzyknął na nią.

Otrząsnął się i co prędzej miał ku drzwiom.

Ze dworu już wrócił po wyjaśnienie, gdzie tu najbliższa wieś, czy dwór, żeby można furmankę nająć. Wtem ujrzał, że Krzysztof kozikiem pochwycenym ze stołu rozdziera brzeg swego rajtroka i wygarnia zaszyte złoto.

— Co robisz, warjacie? co robisz?! — syknął na niego. — Za cóż ty kupisz konia, mundur i najmiesz pocztowego?

¹⁾ Kobus — ptak drapieżny. ²⁾ Strzelba.

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Darł nożem podszewkę dookoła i co wymacał dukata, to wszystko, aż do ostatniej sztuki kładł na stole. Baba z rozdziawioną gębą przypatrywała się wszystkiemu, przekrzywiając obojętnie głowę to na prawe, to na lewe ramię. Wreszcie, gdy Krzysztof wyrzucił z kieszeni wszystko, co miał, Rafał go chwycił za rękę.

— Pytam ci się, co masz zamiar czynić?

Krzysztof nie odpowiedział. Całe jego ciało wstrząsało się co chwila od wewnętrznego rozruchu, szczęki były zwarte, oczy przysłonięte powiekami.

— Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz! — rozkazał Rafał szeptem. — Dasz jej pięć dukatów, i tak będzie bogata. Czy ty słyszysz, co ja ci rozkazuję!

Szarpnął go za ramię. Ale zniecierpliwiony Krzysztof odtrącił go precz od siebie ruchem i giestem tak nieoczekiwanym, spojrzał takim wzrokiem, że Rafał uchylił się dość pokornie. Opuścili domostwo.

S. Żeromski (Popioły).

SONETY KRYMSKIE.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE ¹⁾.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi, ni kurhanu...
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam z dala błyszczy obłok, tam jutrzeńka wschodzi:
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żorawie,
Którychby nie dościgły żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

¹⁾ Akerman — miasto portowe nad Morzem Czarnym,

Kędy wąż ślizką piersią dotyka się ziola...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy! nikt nie woła...

IV.

BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawieł,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki;
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki;
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego oddechu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury,

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

A. Mickiewicz.

GARŚĆ ZIEMI OJCZYSTEJ.

Izba, w której w drzwiach roztwartych stanął Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jej, na ławie, umieszczonej pomiędzy ścianą a stołem, siedział Izaak Todros, w którego ubraniu i postawie nie znać było święteckości żadnej. Miał on na sobie tę samą, co zawsze, długą suknię, zsza-rzaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył zsunięta w taki sposób, iż zmięty daszek jej sterczał nad czołem żółtem, ocienionem ogromną gęstwiną włosów kruczych, zlekka tylko przypruszonych siwizną.

Nie odrazu jednak mógł Meir rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze starcem jakimś, którego opylona odzież świadczyła, że przybywał z daleka, a który, wspierając się na kiju, stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Sta-

rzec ten prosił rabina o udzielenie szczypty ziemi, z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jerozolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy na drogę nie mam. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku stamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza moja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie; a prawdaż to jest, że do tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciała ich nie jedzą?

— To jest prawda, — odpowiedział poważnie rabin, i, wyjąwszy garstkę białego piasku z worka, w którym drogocenny przedmiot starannie owinięty był, i obwiązany, owinął ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął ten dar trzęsącą się od radości ręką, złożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmianistej, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł, ja nie mam czem zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swoją i przerwał szybko:

— Z daleka widać przybywasz, skoro o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nic zapłaty żadnej nie biorę; a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której nie syta nigdy dusza moja pożąda.

Starzec chwiejnym krokiem, o kiju zbliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łakącego mądrości.

— Rabbi, — westchnął starzec pobożnie — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoją...

— Pocałuj, łagodnie odpowiedział mistrz — ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął w obie dłonie głowę jego, białymi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął, na sfałdowanej i zeschniętej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty, — rzekł Todros — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności Zakonowi Pana i miłości dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach, i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością!

El. Orzeszkowa.

W LECIE.

Wolno i sennie chodzą

Po jasnym tle błękitu

Złocisto-białe chmurki

Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy

Pod słońca blask z ukosa

Jaskółka śmigła, czarna,

Sunąca przez niebiosą.

Po łące cichej, jasnej,

W srebrne objętej ramy

Przez opalowy strumień,

Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska

Na ciemnej drzew zieleni,

Lub przez konary rzuca

Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie

Po łąk zielonym łanie,

Przejrzyste, zwiewne idzie

Błękitne zadumanie.

K. Tetmajer.

MGŁA PORANNA W GÓRACH KARPACKICH.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany opustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie. Budzę się w ciemnościach, gwiazdy iskrzą, lśni

się obfita rosa; korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnem niebem do zachodu. Pogoda była mi tem uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście, jak żeby milczącą modlitwę dumały.

I oto ze szczytu Babiej-góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzienka ucieka w głębi nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku; od zachodu mgły się podnoszą; z początku bieleją w postaci kilku chmurerek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzej osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przelewają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzieniegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórze, lasami porośte.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, grających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgły aż ku mojemu oku, jakimi barwami po ruchomem tle jej igrał, jakiego uroku był ten most tęczy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska...

Widowisko skończone! — zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owo Morze Karpackie, które podług podań, zalewało niegdyś Nowotarską dolinę!

Seweryn Goszczyński.

CZARDASZ.

(Urywek).

Hej, czardasza ty mi graj,
cygańska muzyko!
Huczcie basy, gęśło łkaj,
a szumnie, a dziko...
Ile smutku w duszy mej,
ile kłatwy, żalu:
tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,
Cyganie-góralu!...

Ile żalu w piersi mej,
tłumionego dumnie:
tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,
a dziko, a szumnie...
Hej, w nas obu skalna krew,
dusze w obu harde —
wygraj-że mój cały gniew,
cały gniew i wzdardę...

Słuchaj, słuchaj — szumi bór
daleko, daleko —
zagraj-że mi, jak on gra,
kiedy wicher po nim gna;
niech ze smyczka leci wiór,
niech łyzy ze strun cieką...
Hej! Niech mój nie pada trup
na doliny nizko —
nie dla niego w ziemi grób,
ni śmierci igrzysko!
Na granitach leżeć mu
wśród ciszy nadskalnej,
niech kołysze go do snu
łkający wiatr halny...

Niech mu szumią smutnych limb
konary zielone,
chmury mu uwiją nimb,
a tęcze koronę...
Wielkie orły lecą tam
i krążą, i kraczą,
z granitowych płynąc bram,
wielkie wody płaczą...

K. Tetmajer.

Z SAN FRANCISCO DO LOS ANGELOS.

Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-Franciskańskiej przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na ocean i przepłynawszy koło skał Clif-Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydawał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza, zaczerniała, nakształt chmurki, smuga szarego dymu: to jakiś parowiec pasażerski, przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornji, wyrastał zwolna, jak gdyby z pod toni, na krańcu widnokregu; czasem zabielał żagiel rybackiego skuneru. Czarne pobrzeżne skały wydawały się z daleka jakby całkowicie pokryte jakimś olbrzymiem robactwem, poruszającym się i pełznącym nakształt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich za zbliżeniem się statku rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tyśiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i, otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice czekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwemi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące podzwrotnikowe słońce. Widziany z dala wysoki brzeg piętrzył się wyniosłemi urwiskami, a z poza ich szczytów wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzie indziej strumień spadał białą jak mleko kaskadą z wysokości kilkunastu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem, był to śliczny krajobraz morski, pełen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiał go całe nasze towarzy-

stwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema; stary »Mohongo« drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeroki szlak zbitej kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk ku morzu, i znowu toż samo; a my śmiejemy się, jakby z najdowcipniejszej krotchwili. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość: »Co to takiego? co to takiego?« — wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a stewart ¹⁾ okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnem »hurra«! Niektórzy mają ochotę się kąpać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionem koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niezadługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam: czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równika?

— Tak? — pyta niez miesza ny wcale, przymrużając jedno oko: — a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nade mną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy oba.

Jak żyję, nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z łada powodu śmiejemy się wszyscy, jak dzieci. Oto np. z pod pokładu wychyla się kosooka głowa Chińczyka, rozgląda się po pokładzie głupowato i woła przez nos *Jeh-hang!* *Jeh-hang!* Na pokładzie niema żadnego Jeh-hanga, ale natych-

¹⁾ Stewart — zarządzający gospodarczą częścią na okręcie.

miast wszyscy poczynają wołać: *Jeh-hang!* na całym okręcie rozlega się *Jeh-hang!* na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: *Jeh-hang!* Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół zółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem: sam pieprz. Nawet Amerykanom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają się na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewartów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala Murzyn lampy, obiad się kończy, i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wsiąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność; powietrze świeże, trochę słone, przejęte nawskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Po prostu — usypia.

Co za cudowna chwila! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokładu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimowoli pytasz się: czy ta droga nie prowadzi do jakiej krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują?... Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem, jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki? — pytam majtkę.

— Endžel-ailand (Angel Island), Anielska wyspa. I do prawdy, nietylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pływają się w świetle czerwonym. W tem wszystkim tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach, jedna mała czarna łupinka i więcej nic. Bo też niema nic prostszego nad majestat.

H. Sienkiewicz.

PUSTYNIA KSIĘŻYCOWA.

(Wyjątek z dziennika, pisanego na księżycu).

Dzień się już ma ku schyłkowi. Wszystkie nierówności terenu, każdy głaz, każda mała wyniosłość — rzucają długie, nieruchome cienie, krające w jednym kierunku tę ogromną płaszczyznę, na której się znajdujemy. Jak okiem zasięgnąć — nic, tylko pustynia bezbrzeżna, śmiertelna, zorana w długie kamienne skiby z południa ku północy, po których napoprzek czernią się owe pasy cieniów... Daleko, daleko na widnokręgu sterczą najwyższe iglice szczytów.

W miarę, jak się oddalamy od równika, szklana ziemia nad nami przechyla się od zenitu ku południowi. Dopełnia się teraz do pierwszej kwadry i świeci jasno — jak siedem księżyców w pełni. Tam, gdzie słabnący blask słońca nie dochodzi, srebrzy się jej upiorna poświata. Mamy dwa światła niebieskie, z których jedno, silniejsze, wydaje się przez kontrast żółte, a drugie sine. Cały świat jest napół jaskrawo-żółty i napół szaro-siny. Gdy spojrzę na wschód, żółci się pustynia i żółcą się odległe szczyty Apeninu księżycowego; od zachodu, pod brylantowe słońce, wszystko jest zimne, sine i mroczne. A nad dwubarwną pustynią ciągle to niebo z czarnego aksamitu, pełne różnokolorowych drogocennych kamieni, nadęte bajecznym tumanem drobnego złotego piasku...

Noc się przybliża. Wysłała już swego zwiastuna, jednego, jaki jej pozostał na tym świecie, pozbawionym zmierzchu i wieczornej zorzy... Chłód idzie przed nią po pustyni, przysiadła w każdej szczelinie, w każdym cieniu i czeka cierpliwie, rychło żółtawe słońce szczołga się z firmamentu i ześlizgnie z pustyni, pozostawiając jemu i nocy samowładne królowanie...

(Na srebrnym globie).

Jerzy Żuławski.

DUMANIE POETY.

Noc ponura osiadła skał obrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro,
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co, siedząc przy stoliku, temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem;

Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.
On po sklepieniu nieba wieszczce oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszczce usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczcy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

L. Kondratowicz.

VI. O kompozycji pisarskiej.

Dotąd badaliśmy stronę zewnętrzną wyrażania myśli t. j. styl, jego przymioty i rodzaje.

Teraz przyjrzyjmy się **kompozycji** czyli budowie, układowi ogólnemu utworów literackich.

Przeczytaj ten urywek.

Z IV CZĘŚCI „DZIADÓW“.

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki;
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy,
Po krótkiem oddaleniu gdym wracał do mamy!
Już mię dobre życzenia spotkały z daleka,
Zycziwa domu czeladź aż za miastem czeka;
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
»Gustaw! Gustaw!« wołają, pojazd zatrzymali:
Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu.
Mama z błogosławieństwem czeka mnie na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy!
Teraz pustka, noc, cichość, ani żywej duszy.
Słysząc tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
Ach! ty to, psie nasz wierny; nasz pocziwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!

Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
 Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
 Kruku mój! pójdź tu, Kruku! — Bieży, staje, słucha,
 Skacze na piersi, wyje — i pada bez ducha!...
 Ujrzałem światło w oknach; wchodzę — cóż się dzieje?
 Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
 Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
 W miejscu, gdzie stało niegdyś łóżce mojej matki,
 Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły;
 Schwyciłem, zgniotłem, — oczy na łeb mu wybiegły!
 Siadam na ziemi, płacząc. W przedporannym mroku
 Ktoś posuwa się, kijem podpierając kroku.
 Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
 Bardziej do czyścowego podobna widziadła;
 Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
 Zegnając się i krzycząc, słańia się z przestrachu.
 — Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś, moja kochana?
 Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana?
 »Jestem biedna uboga«, ze łzami odpowie:
 W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie;
 Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
 Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci, —
 Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,
 O paniczu nie słyhać — pewnie już nie żyje!«
 Krwią mi serce nabiegło, wsparłem się u proga...
 Ach! więc wszystko minęło?

Książdz.

Prócz duszy i Boga!

Wszystko minie na ziemi — szczęście i niedole.

A. Mickiewicz.

I. Co jest główną treścią (tematem, pomysłem) tego opowiadania?

Odwiedziny domu rodzicielskiego.

II. Jakie uczucia i myśli wyraża tu poeta?

Miłość synowska.

Smutek z powodu zniszczenia gniazda rodzinnego.

Oburzenie na sprofanowanie miejsc świętych dla poety.

Tęsknotę za minioną przeszłością.

Myśl o znikomości wszystkiego.

Nie ginie tylko Bóg i dusza.

III. W jakim porządku autor wypowiada swe myśli i uczucia?

1. Odwiedziny domu.
2. Zniszczenie: a) w domu
b) na dziedzińcu.
3. Wspomnienie dawnego powrotu do domu: powitanie przez służbę, braci, matkę.
4. Zestawienie tej chwili z obecną.
5. Pies ostatni przyjaciel: a) powitanie
b) śmierć psa.
6. Złodzieje w domu.
7. Oburzenie poety. Walka.
8. Płacz.
9. Nadejście starej żebraczki.
10. Jej serdeczne wspomnienie o rodzicach poety.
11. Smutek autora i zwątpienie.
12. Pocięcha z ust księdza.

IV. W jaki sposób autor wypowiada tu swe myśli i uczucia?

Z nadzwyczajną prostotą i szczerością.
Całość wywołuje głębokie wrażenie.

A zatem: — w badaniu tego opowiadania rozważaliśmy:

- I. Wybór tematu (pomysł).
- II. Myśli, uczucia i wypadki, jakie się z tematem łączą.
- III. Uporządkowanie ich.
- IV. Obrobienie (nadanie formy).

Te rzeczy odróżniamy w każdej kompozycji, i musi je brać pod uwagę każdy z piszących.

Zastanówmy się nad tymi punktami kolejno:

I. Wybór tematu zależy od indywidualności autora i pod tym względem żadnych wymagań stawiać nie można. Niech każdy pisze, co myśli i czuje, byle znał przedmiot i opracował go dobrze.

II. Autor pilnować się musi, aby wybrać i poruszyć to wszystko, co ma związek z tematem. Zarówno psują kompozycję myśli, uczucia i obrazy, nie łączące się logicznie z główną treścią, jak pominięcie czegoś, co należy do niej bezpośrednio. Mickiewicz np. odbiegłby od tematu, gdyby zaczął opisywać swoje zabawy szkolne lub kolegów, kiedy miał

mówić o domu; — zubożyłby swój temat, gdyby pominął wspomnienie dawnego powrotu do domu.

III. Również bardzo ważną jest rzeczą uporządkowanie myśli według jakiegoś planu. W przytoczonym urywku z Dziadów to uszeregowanie wypadków jest takie, że wrażenie czytelnika stopniowo wzrasta. Nie osiągnąłby poeta takiego wyniku, gdyby był np. na samym wstępie powiedział o złodziejach, łupieżących w pokoju matki, — pierwszej przytoczył wspomnienia żebraczki, a potem powitanie i śmierć psa i t. p.

IV. Co do formy nakoniec — całe to opowiadanie wzruszyłoby nas o wiele mniej, gdyby autor przeładował styl ozdobami, — tutaj prostej treści odpowiada prosta forma.

Ćwiczenia: Rozpatrz w podobny sposób kompozycję: Muzyki Jankla (str. 33). Gości Prusa (str. 210), Śmierć Boryny (str. 218) zwracając uwagę na 1) temat, 2) myśli i uczucia, 3) rozkład treści, 4) formę, t. j. styl.

Plan (rozkład, dyspozycja).

Dobry rozkład przyczynia się wielce do podniesienia wartości utworu. Przeciwnie, jeśli treść główna utonie w powodzi szczegółów, jeżeli będzie brakowało jakiejś części ważnej, albo mniej ważna wysunie się na pierwszy plan, jeżeli nie zachowamy proporcjonalności budowy i należytego ustopniowania — utwór nie sprawi pożądanego wrażenia, będzie niby kaleka, któremu jakiegoś członka brakuje, a inny ma za to potwornie rozwinięty, np.

Kochana Janko. Stefcio jedźcie do Warszawy, więc piszę przez niego, żebyś mi przysłała trochę cukru i herbaty, bo już nie mam. Bardzo nam tu dobrze, przyjechaliśmy szczęśliwie, tylko brak mi kwiatów, więc kup trochę nasion do ogródka. W drodze zaskoczył nas deszcz, ale nie zrobił nam wielkiej krzywdy, przyszło mi jednak na myśl, że przysłałyby się kalosze. Stoją w zachowanku, — każ je Małgosi wyprzątnąć, bo nie zdążyłam. Bardzo mi za wami tęskno, przyślij nam trochę ciastek i mój biały kapelusz. Leży w komodzie, ale nie pognieć koronek. Muszę tu sobie obmyślić jaką ładną robotę. Zosia ma katar, a Mania trochę kaszle.

Do zobaczenia, kup mi cukierków ślazowych.

Twoja Hala.

albo:

Kościół był kryty blachą, tylko wieża gontami. Dzwony miały głos przyjemny i w niedzielny poranek brzmiały uroczyście i pociągająco. Podłoga w kościółku była drewniana, dlatego niszczyła się prędko i często wymagała naprawy; zato w zimie nie ziębły na niej nogi tak, jak na kamiennej. Ławki były wygodne. Oprócz głównego ołtarza były po bokach dwa: na prawo Matki Boskiej, a na lewo św. Józefa. W nawie z każdej strony stało tylko sześć ławek. O wiele okazałej wyglądałby kościółek, gdyby miał kamienną posadzkę, ale w tej okolicy dowóz kamienia był trudny. Dzwony sływały znów z pięknego głosu, choć dzwonnica niezbyt wysoka. Obraz Chrystusa na krzyżu w głównym ołtarzu był podobno dziełem dobrego artysty. Kazalnica rzeźbiona z baldachimem. Na ołtarzu św. Józefa bardzo piękne lichtarze. Wejście trochę ciasne, a kruchta tak mała, iż zaledwie kilka osób mogło się w niej pomieścić. Podziwiano powszechnie piękne i kosztowne wota na ołtarzu Matki Boskiej.

Czy można zrobić plan tego listu i opisu?

Wszystko tu pomieszane; — powraca się kilka razy do tego samego przedmiotu, szczegóły przyćmiewają rzecz główną, całość nie sprawia jasnego wrażenia, przeciwnie — jest chaotyczna, niezdatna, niezupełna, bo nie dowiadujemy się np. o wielkości kościoła.

Ten przykład uczy, jakie znaczenie ma dobry rozkład dla utworu.

Dla porównania zrobmy dyspozycję Wschodu słońca Mickiewicza.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezglówiu cieni,
Jeszcze smagławę, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, żrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogni wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,

Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem, —
Aż rozłśniło się, jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światło, наконец ogniste.
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Gaśnięcie gwiazd.

Świt.

Zmiana barw nieba: pośrodku,
na zachodzie,
na wschodzie.

Wychylanie się słońca z za horyzontu.

Pierwszy promień.

Wschód słońca.

Gra kolorów.

Pochód słońca po niebie.

W tym opisie uderza nas, oprócz prawdy i piękna, logiczny
ład, który sprawia, iż zjawisko występuje przed nami jasno.

Na czem tu polega dobry rozkład?

1) Wyczerpuje treść, to znaczy: obejmuje główne zjawiska,
łączące się z danym tematem.

2) Jest uporządkowany logicznie, czyli szczegóły podane
są w chronologicznym następstwie, jak idą po sobie w rzeczywistości;
rzecz główna góruje nad częściami podrzędnymi, a wszystko spleta się
w proporcjonalną, harmonijną całość.

Tego też wymagamy od rozkładu: żeby był wyczerpujący
(czyli zupełny) i uporządkowany.

Pojedyncze punkty rozkładu Wschodu słońca dają się powią-
zać w pewne grupy. I tak.

Wstęp:	{	Gaśnięcie gwiazd.
	{	Świt.

Środek cz. rozwiniecie tematu	{	Zmiana barw nieba.
		Wychylanie się słońca.
		Pierwszy promień.
		Wschód słońca.
		Gra kolorów.

Zakończenie: Pochód słońca po niebie.

Wstęp¹⁾ jest jakby przygotowaniem czytelnika do całej treści.
Jeśli nie jest koniecznie potrzebny, to można go nie robić.

¹⁾ Chmielowski: Stylistyka.

Rozwinięcie tematu (środek) wyczerpuje treść główną i jest częścią najważniejszą.

Zakończenie obejmuje ostateczne wyniki, skutki, wnioski i t. p. i jakby zaokrągla całość. Też niezawsze jest potrzebne: gdy rzecz sama dostatecznie mówi za siebie — zupełnie zbyteczne.

Ćwiczenie: 1. Wskaż w tej książce takie urywki, gdzie są wszystkie 3 części planu, — i takie, w których niema wszystkich 3 części.

2. Ułóż rozkład ćwiczeń stylistycznych na tematy: Żniwa, Poranek wiosenny. Podróż koleją żelazną. Dworek wiejski.

Uwaga. Każdy temat może być obrobiony rozmaicie. Piszący tylko musi sobie dokładnie zdać sprawę z tego, o czem chce pisać, wyczerpać dany temat i uporządkować treść: np.

Żniwa. Może to być: 1) Obraz malowniczy żniw. 2) Opis właściwy (ściśły). 3) Opowiadanie o jakimś zdarzeniu podczas żniw. 4) Rozprawka.

albo: Kwiaty: 1) Moje ulubione kwiaty: a) opis, b) porównanie, 2) Opis ogrodu, łąki, drzew kwitnących. 3) Znaczenie kwiatu dla rośliny. 4) Kwiaty w zimie. 5) Dowolne opowiadanie, w którym kwiaty odgrywają ważną rolę.

W obrazie malowniczym odzwierciedlić piękności tej pracy zbiorowej.

W opisie ściśłym uszeregować następstwo czynności, związanych ze żniwami np. porę roku, długość dnia roboczego, postępowanie żniwiarzy aż do ukończenia pracy.

W opowiadaniu trzymać się też jakiegoś logicznego porządku i stopniowania uczuć.

W rozprawce zastanowić się można nad dzisiejszym sposobem zbierania zboża z pola i zestawzić ze środkami, używanymi dawniej, — można wykazać braki dzisiejszej pracy i proponować takie lub inne udoskonalenia, — można rozpatrywać tę sprawę z punktu pracy i wynagrodzenia pracowników i t. p.

Podobnie z każdym pomysłem, np.

Porównanie wiosny i jesieni.

I.

Wstęp.	Podobieństwa, — pomimo to znaczne różnice.
Rozwinięcie.	I. Długość dnia, temperatura.
	II. Zjawiska atmosferyczne.
	III. Budzenie się natury, — zamieranie:
	a) w świecie roślinnym, b) w świecie zwierzęcym.
	IV. Zająęcia człowieka, wynikające z praw natury.
Zakończenie.	Wpływ wiosny i jesieni na usposobienie człowieka.

II.

- I. Krajobraz wiosenny w dniu pogodnym.
- II. Krajobraz jesienny (w dniu słotnym lub pogodnym).

Rozmaitość zatem w opracowaniu jednego tematu może być bardzo wielka i zależna jest zarówno od tego, co w danym temacie chcemy rozpatrywać, jak od indywidualności piszącego.

Ponieważ najtrudniejszym zadaniem dla piszącego jest rozprawka, wymagająca największej ścisłości w uporządkowaniu poszczególnych części i logicznem ich powiązaniu, dlatego plan w rozprawce największe ma znaczenie i najdokładniej musi być opracowany.

Rozpatrzmy np. następujące plany rozprawek.

Praca jest dobrodziejstwem dla człowieka.

I.

Wstęp. Praca jest dla nas dobrodziejstwem.

Środek: I. 1) Materialne korzyści pracy dla jednostki,
dla społeczeństwa,
dowodzenie. 2) fizyczny wpływ pracy na organizm człowieka,
3) umysłowy,
4) moralny.

II. Zastrzeżenie co do nadmiaru pracy i jej warunków higienicznych.

Zakończenie. Potwierdzenie wniosku.

albo

II.

I. Rola pracy w świecie; praca zwierząt i roślin.

II. Życie człowieka bez pracy.

III. Wpływy pracy fizyczne i moralne na jednostkę.

IV. Przykłady z historii wpływu pracy na rozwój cywilizacji i dobrobytu ludów.

V. Wniosek.

Korzyści podróży pieszych¹⁾,

Wstęp. Dzisiejsze udogodnienia podróży wogóle (środki komunikacji) — korzyści podróży pieszych.

Rozważenie tematu.

1) Podróż piesze dają łatwy dostęp do każdego miejsca, więc sprzyjają:

a) gruntownemu poznawaniu kraju i ludzi. Można z nimi łączyć wycieczki naukowe, zbieranie zielników, kolekcji owadów, muszli i t. p. — pieśni i podań ludowych i t. p.,

b) dostarczają najszlachetniejszych rozkoszy, płynących z przedstawiania z przyrodą, ze spokoju, wypoczynku od gwaru wielkomiejskiego, wreszcie ze wzbogacania umysłu nowemi obserwacjami i wrażeniami.

2) Człowiek nie jest zależny od rozkładów jazdy, nie spieszy się — ma zadowolenie, spokój i swobodę.

3) Pokonywa trudności, ćwiczy siły, stąd zyskuje:

a) pod względem fizycznym: hartuje się, wzmacnia, wyrabia zręczność,

¹⁾ Krasnowolski cz. II.

b) pod względem moralnym: wyrabia w sobie energję, samodzielność, pogodę umysłu.

4) Tani ość uprzystępnia piesze wędrowki i najuboższym.

Zakończenie. Są też niedogodności: 1) Powolność podróżowania, 2) niewygody, 3) zależność od stanu pogody.

Ten sam temat możnaby obrobić trochę inaczej np.

Wstęp. Każda podróż może przynieść pożytek. Jakie korzyści da podróż piesza?

Rozważ. tematu. 1) Korzyści: a) dla umysłu, b) dla charakteru, c) dla ciała.

2) Złe strony podróży pieszej.

Zakończenie. Przewaga dobrych stron i zachęta do pieszych wycieczek.

Na zakończenie przytaczamy przestrogi Chmielowskiego dla piszących:

1) Nie pisać o przedmiotach, których dobrze nie znamy, i nie używać wyrazów, których dobrze nie rozumiemy.

2) Nie malować uczuć, których nie doznajemy i należycie nie pojmujemy.

VII. Proza i poezja.

M G Ł A.

Powietrze czyste i suche, albo pomieszané tylko z nieskroploną parą wodną, jest gazem zupełnie przezroczystym. Gdy w otoczeniu dostrzeżemy brak tej przezroczystości, mówimy, iż powietrze jest zamglone.

Mgła składa się z bardzo drobnych cząsteczek wody, powstałych przez częściowe zgęszczenie pary, będącej w powietrzu. Cząsteczki te są tak małe, iż nierychło spadają ku ziemi, podobnie jak drobny pył lub kurz, który mimo większego ciężaru, z łatwością się w powietrzu unosi.

Mgła tworzy się, ilekroć powietrze wilgotne zostanie do tego stopnia oziębione, iż wszystkiej będącej w niem pary nie może w stanie lotnym w sobie utrzymać. Z tej przyczyny tworzą się obłoczki mgły, gdy w mroźny dzień na dworze oddychamy; w lecie oddech nie bywa zamglony.

W przyrodzie istnieją różne przyczyny, oziębiające wilgotne powietrze i sprawiające zamglenie. Znane są mgły ziemowe, które powstają, gdy po dłuższym mrozie, który ziemię silnie oziębił, powieje cieplejszy i wilgotny np. południowo-zachodni wiatr. Mgły takie bywają zapowiedzią odwilży. W lecie bardzo pospolite są mgły wieczorne, tworzące się przeważnie w miejscach niskich i wilgotnych. Widać wówczas często mgły ponad rzekami; woda bowiem zatrzymuje ciepło dłużej, aniżeli otaczające, pospolicie wyższe brzegi. Powietrze, tam oziębione, spływa ponad rzekę i sprawia zamglenie.

Podobnie tłumaczą się mgły ponad niskimi równinami, nad łąkami, moczarami i t. p. Mgły są bardzo pospolite w górach, a po deszczu z każdego niemal parowu i z wilgotnych lesistych dolin wychodzą mgły niekiedy tak gęste, jak dym.

A. Witkowski.

MELODJA MGIEŁ NOCNYCH.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie...
Okrecajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciało przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne, i w smrekowym szmer borze;
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona.

Puchem z mlecza się bawmy i émy błoną przezroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą;
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci
Jak my same, i w nikle oplatajmy go sieci;
Z szczytu na szczyt przerzucmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,

A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w płasy znów pogoni nas skocznie.

K. Tetmajer.

Porównaj *Mgłę* Witkowskiego i *Melodję mgieł* nocnych Tetmajera.
Czem się różnią te dwa urywki?

Proza maluje rzeczywistość bez względu na piękno,
daje nam obraz prawdziwy, dokładny i pouczający.

Poezja — maluje złudzenia naszej wyobraźni, wrażenia
i uczucia nasze.

Ogólnie biorąc, proza to rzeczywistość, ścisła prawda,
rozważona rozumem, przeznaczona przeważnie dla umysłu; —
poezja — to fantazja, uczucie, marzenie, prawda przedsta-
wiona pięknie, przemawiająca przeważnie do uczucia i wyo-
braźni. Zadaniem prozy: badać, wyświeślać, uczyć; zadaniem
poezji — malować piękno, zachwycać, wzruszać.

Rozpatrzmy to na przykładach:

Latarnik Sienkiewicza należy do poezji, czy do prozy? Czy ma-
luje rzeczywistość, czy prawdopodobieństwo, odczute i odtworzone przez
wyobraźnię? Czy celem autora było uczyć, czy wzruszyć czytelnika?

W ten sam sposób zastanówmy się nad *Baśnią o Sobotniej górze*,
(str. 244) *Dwiema łakami Sienkiewicza* (str. 238). — Czy to jest poezja,
czy proza? Dlaczego?

Co do formy, *Latarnik*, *Baśń*, *Dwie łaki* pisane są mową nie-
wiązaną.

Grażyna, *Pan Tadeusz* — czy należą do prozy, czy do poezji?
Dlaczego?

Pisane są mową wiązaną, czy niewiązaną?

Widzimy więc, że utwory poetyckie mogą być
pisane wierszem i prozą, czyli mową wiązaną
i niewiązaną. (Wyrazu proza używamy także w znacze-
niu mowy niewiązanej).

Daj przykład poezji, pisanej mową wiązaną.

Daj przykład poezji, pisanej mową niewiązaną.

Rozróżnianie poezji i prozy.

Z WIZERUNKU.

Bo jeśli to rozkoszą kto ma przewać właśnie,
Gdy grzmi bęben za uchem, a kozi róg wrzaśnie,

Pomorty a puzany ¹⁾, co wszystkie zagłuszą,
 Albo skakać od kąta do kąta z Maruszą.
 Już który kąt zastąpisz, już siedz jako drewno,
 Bo jako się podniesiesz, odepchną cię pewno.
 Już jako głuch na drugie musisz palcem kiwać,
 Bo już tam trudno słusznej rozmowy używać.
 Abowiem już tam każdy, chociaż ledwie ziewa,
 Wrzeszczy, sapi, markoce, a mnima, iż śpiewa.
 A drugi za nim stojąc, jako ciele ryczy,
 A zda mu się, iż wesół, a iż pięknie krzyczy.
 Sklenice w kąt latają, na stole by w łaźni, —
 Tak więc Bachus, on rycerz, swe kochanki błażni,
 Iż kiedy rano wstawszy, wieczór wspominają,
 — Abociem był oszalał — sami sobie łają.
 Ano się we łbie kręci, pan siedząc szczka, spluwa,
 Pierza ma we łbie pełno, opak się obuwa,
 Oblicza się z kaletą, nie chce respondować ²⁾,
 Musi jej dać na kwity, gdy niemasz co schować.
 Suknia śmierdzi drożdżami, czapka gdzieś na ławie:
 Patrzajże krotochwile ³⁾ w takiej miłej sprawie.

M. Rej.

Czy to poezja, czy proza? Które z następujących wyjątków i utworów zaliczysz do poezji, a które do prozy?

PRZED KONTYNĄ.

Weszli rycerze w pustoszą, w ciemną i głuchą knieję.
 Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołysząc się w spławach
 jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr,
 pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy nie-
 kiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubi-
 nowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierz-
 chu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmie-
 chów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądzę ⁴⁾ konie do pniów, odpaszą miecze,
 zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy

¹⁾ Instrumenty dęte. ²⁾ Odpowiadać — ustnie lub kieszenią. ³⁾ Zabawa, przyjemność. ⁴⁾ Wojownicy.

upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wichur, z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista¹⁾, gdy, pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur, z grzmiotem pod kopytami, a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłemi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela²⁾. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody, wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty, jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawždy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Płaczą się twarde różgi i dotykają liście.

Zdała tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty³⁾ i śnić chłodnemi rankami po ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwe pawęże⁴⁾ gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hoduja czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn⁴⁾. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem, — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnemi pięściami, cicho się wrótnie rozsuneły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łąn, niwa bodze⁵⁾ poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich rzemień kścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieszczce rumaki w trawniku świętej Pogody.

¹⁾ Bożek wiatru. ²⁾ Bożek deszczu i słońca. ³⁾ Świat — pień.

⁴⁾ Tarcza. ⁵⁾ Płot. ⁶⁾ Bogu.

Wodę piły, gdy wola, ze źródlika wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a z pod przyciesi bożnicy baniami przejrzystymi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uspiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układły, spać z dobrowoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Polel obmył czystymi wodami z chmur, na bukach osiadłych, kości białe, krew struchlałą a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnymi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życia rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie — i, strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce ¹⁾ wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznemi od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co jak serce w piersi człowieka, wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień, chodzący dokoła węglów, i nieweczy wszelki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu niezmrużonemi oczyma promieniste złocenie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świetle wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem jak gdyby poblask na wodach zorzy wieczornej... Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemno-niebieskich dzwonek zatoka. Na powikłanych odnózkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej

¹⁾ Kły.

przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty, plemieniu ludzkiemu przychylne, a darowują oczom tę barwę, której ponad wszystkie inne trwożą się dziwożony¹⁾.

S. Żeromski.

Zmiany fonetyczne i analogiczne w języku.

Zmiany w języku każdego narodu bywają głównie dwojakiego rodzaju: jedne z nich polegają na zastąpieniu pewnego dźwięku drugim: są to zmiany fonetyczne, głosowe, ułatwiające przeważnie samo wymawianie; drugie zaś są zmianami postaci wyrazów na wzór innych i polegają na upodobnieniu jednych form gramatycznych do drugih, co w gramatyce nazywa się analogją. Tak np. ogólnie dziś używany wyraz mularz, lub imię Małgorzata mają brzmienie łagodniejsze, aniżeli postaci ich dawniejsze murarz (pochodne od mur) i Margorzata (od Margaryta); dzisiejszy przymiotnik wiejski łatwiej się wymawia aniżeli stara jego postać wieśski (wieś ski). Są to zmiany fonetyczne. Przeciwnie forma przystówka wyżej, zamiast dawniejszej wyszej, nie powstała bynajmniej wskutek zmiany fonetycznej *sz* na *ż*, ale utworzona została na wzór form bliżej, niżej. Tu więc mamy zastosowanie analogji.

A. A. Kryński.

PIĘKNA POLSZCZYŻNA.

— Pan Piotr miał wypadek mały:	...Więc pan Piotr okno wybija,
Onegdaj pod wsią Kamykiem	A choć krzyczą: złamiesz nogę!
Dwa pociągi się spotkały...	On zdrową radę pomija...
— Jakim pan mówisz językiem!	— Panie! ja słuchać nie mogę!
Nie mów pan nigdy spotkały,	Wyższy styl dziś nie pomija
Lecz pociągi się <i>zderzyły!</i>	Rady, lecz ją <i>abstrahuje!</i>
To wyraz dla ucha miły!	Że też pan tego nie czuje!

... Otóż pan Piotr w tem zdarzeniu	... Otóż skoczył i wpadł w błoto;
Poleca się Boskiej pieczy,	Tym sposobem niepotrzebnie
I myśli o wyskoczeniu...	Wystawił się na śmiech oto.
— Jak pan polszczyżnę kaleczy!	— Ach! jak pan mówi haniebnie:
Nie — myśli o wyskoczeniu,	Wystawił się na śmiech oto!
Ale — <i>na skok reflektuje!</i>	<i>Zblamował się!</i> tak, mój panie!
To dopiero rzecz maluje!	Pozwól, ja powiem to zdanie:

¹⁾ Dziwożony — bajeczne mieszkanki lasu, złośliwe względem ludzi.

Pan Piotr *na skok reflektuje*,
Bo pociągi się *zderzyły*;
I zamiar swój *wykonuje*,
Choć nie radzą. Zbiera siły,

Skacze, radę *abstrahuje*...
Zblamował się! Każdy przyzna,
Że to jest piękna polszczyzna!
Rodoć.

Z sonetów „Nad głębiami“.

SONET XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci, — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty na siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasných żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława — istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

Adam Asnyk.

Przekonywamy się przez porównanie tych urywków, że nieraz trudno jest znaleźć ścisłą granicę między poezją a prozą. Sonet Asnyka, Śmierć ks. Józefa (str. 44) i Kazanie Skargi (str. 24 i 166) okazują, że poezja może nauczać, rozszerzając widnokrąg myśli, a proza wzruszać, działać na uczucie.

»Pan Tadeusz« i »Smutno mi, Boże«, — dowodzą, iż nie tylko proza odtwarza rzeczywistość. Życie szlachty na Litwie w początkach XIX w. i smutek Słowackiego oddane są tu z prawdą.

Zestawienie Wizerunku z Kontyną unaocznia, jak mało znaczący forma wiązana, jako rzekoma cecha poezji.

Nie można także twierdzić z całą stanowczością, że tylko poezja oddziaływa na wyobraźnię, bo czyż historia albo

nauka o wszechświecie lub drobnoustrojach nie porusza żywo fantazji?

Ogólnie więc powiedzieć tylko można, iż w prozie przeważa pierwiastek rozumowy, w poezji — uczucie i fantazja, główną zaś różnicę stanowi piękno. Na tej podstawie »Zmiany fonetyczne« zaliczyć możemy do prozy, a »Przed kontyną« do poezji.

Rodzaje prozy i poezji.

NA WEZUWJUSZU.

Był zachód słońca. Fala, cicha jak sen, grała w kolorach złota, ponsu i szafiru.

Nieruchome, spokojne, małe okręty rybackie, łowem koralu zajęte, bieleły się żaglami na wodzie, pochylone nabok, podobne do nenufarów, kwitnących na jeziorze.

Cicho było dziwnie.

W dali widać było Neapol, od zachodzącego słońca różowy, i hen, aż ku Polom Elizejskim, szła przestrzeń błękitniejszej w zmięczeniu, zamysłonej ziemi. Kapryjskiej wyspy skała podnosiła się z morza, lekko różowa i cieniem przesłana podłużnym; nad Sorrentem i zatoką morską śniegiem u szczytu srebrzyła się góra Świętego Anioła, i hen od niej biegły olbrzymim kręgiem fioletowo-niebieskie i różowo-pozłociste kopy gór włoskich, podobne do rozkołysanych fal oceanu.

Niebo, nad wstęgą gór jasne, w światłach metalicznego amarantu i żółto-błękitnych kolorach, szarzało na wschodzie i stawało się senne. Na Pompei padł mrok; miasto umarłych ginęło, jakby w mgle jakiejś wielkiej i spokojnej.

Szedł wieczór.

Cicho było dziwnie, tylko Wezuwusz niekiedy wyrzucał w strop słupy czerwonej lawy, z hukiem i trzaskiem, i rozsypywał ją w powietrzu, że podobną się stawała do ogromnego stada płomiennych ptaków, które z szumem chmurą spadały na zbocze krateru, lśniąc jeszcze długo na ziemi, złowrogo, strasznie i jakby całej naturze przeciwnie.

A kiedy wybuch zgasł, znowu było dziwnie cicho.

K. Tetmajer.

WYPRAWA SOBIESKIEGO NA CZAMBUŁY ¹⁾.

Hetman wielki koronny wyprowadził z obozu wcale niewielką liczbę żołnierza: 3 do 4-ch tysięcy głów ludzkich, ale konskich we dwójnasób, ponieważ każdy jeździec miał konia luźnego. Nie było żadnego taboru — ani dział, ani wozów, ani bagaży. Dziś nazwalibyśmy taki oddział nie armją, nie wojskiem, lecz jakąś kolumną ruchomą czy lotną, a dowództwo nad nią sprawowałby generał dywizji jazdy. Ale szczupłą liczbę potęgowała znacznie waleczność, sprawność, dzielność tych dawnych towarzyszy broni, i dobór oficerów.

Deszcz padał »srogi«, mimo to Sobieski szedł nieustannie do późnej nocy, aż natrafił na koczowisko tatarskie pod Krasnobrodem. Zatrzymał się, żeby uderzyć o świcie. Tymczasem nadszedł Haneńko inną drogą, »z boku«, i spłoszył Tatarów. Wielu z nich, korzystając z ciemności, ukryło się w lasach, lecz Abas-murza z główną siłą uszedł w kierunku południowym.

Wkrótce ujrzano wszystko Podsanie w ogniach. Umiął hetman jednak oświecać sobie drogę dokładnie za pomocą wyprawianych na wszystkie strony podjazdów.

Ubiegłszy dnia tego mil 4, dał Sobieski tylko 3—4 godziny wypoczynku i o północy z 6 na 7 października poszedł dalej na ogień. Skoro dzień, przyprowadzono mu 15 »języków«, od których zdobył kilka ważnych wskazówek. Wrozumiał, że wszystkie szlaki grasujących w tej okolicy zagonów schodzą się pod Niemirowem, a ponieważ znał doskonale miejscowość i liczne tutejsze przeprawy, więc urządził zręcznie obławę. Dogonił pod Horyńcem dużą orde i napędził ją na wielkie przeprawy. Wtedy zadał Tatarom dotkliwą klęskę: zasał trupem kilka szlaków na przestrzeni dwóch mil; Tuhaj-murza dostał się do niewoli żywcem, 5 lub 6-ciu murzów zginęło; koni zdobywanych i własnych tatarskich bachmatów dużo dostało się wojsku; najcenniejszą wszakże zdobyczą było »kilkanaście tysięcy« (podobno 12) wyzwolonych braniców i branek.

Wypadło poświęcić część dnia 8 października na zbieranie dzieci po polach i lasach i na odwożenie ich do po-

¹⁾ Czambuły — oddziały napadające szybko dla rabunku.

blizkiego monasteru, poczem Sobieski zbliżył się do swego Jaworowa i stanął na noc w Kochanówce.

Dalej Sobieski szedł forsownym marszem, skoro do południa zrobił półósmej mili pod deszczem i przy najgorszych przeprawach. Pomimo zmęczenia koni, zdecydował się na atak natychmiastowy, wiedząc, że z Tatarami niema chwili do stracenia. Już bowiem z kilku wiosek po drodze uciekali oni do kosza¹⁾; a Nuradyn, ostrzeżony przez nich, kazał ścinać jeńców.

Wojsko polskie nie przenosiło półtrzecia tysiąca człeka, ponieważ część znaczna powróciła ze zdobyczą, a niemało też pozostało w błocie na przeprawach. Sobieski posłał przodem kilkaset koni ochotnika. Walka trwała niedługo, skoro bowiem huknęła muzyka marsowa, i Sobieski zaczął się przerzynać przez gęstą masę Tatarów, ogarnął ich taki strach, że jedni w tył, a drudzy w oczy mało co potarłszy się, sromotnie uchodzić poczęli. Jasyru odbito »najmniej na 20.000« — szlachty, kobiet, księży, więcej daleko Polaków, niż Rusi, gdyż brani byli przeważnie za Sanem, z Sanoka i Biecza.

»Owo zgola nie mógł sam Pan Bóg większej łaski swojej i błogosławieństwa swego świętego pokazać, jakie pokazał, snadź za uproszeniem tych niewinnych dusz, które niebiosa same przenikać musiały płaczem swoim«. Temi słowy zamykał Sobieski sprawozdanie o znakomitym czynie swoim w raporcie o tyle skromnym i skróconym, że należy uzupełniać go dokładniejszymi zapiskami jednego z żołnierzy, uczestnika wyprawy.

»Blizko trzecia część wojska nadążyć nie zdołała. W godzinę po wschodzie słońca ujrzano Tatarów. Najpierw zapobiegł Sobieski, aby się nie rzucili nazad »ku Polsce«. Sam przygotował się do uderzenia na nich »w oczy«, skradając się dolinami, chróstami. Chorążym kazał spuścić wdół sztandary, czem wprowadził Tatarów w błąd, bo z daleka wzięli wojsko polskie za swoje. Dopiero na wierzchołku ostatniej góry ozwały się trąby i kotły, podniosły się znaki hetmańskie, i kilkaset ochotnika pomknęło do ataku. Zmieszali się ordynicy, ale już było za późno. Próbowali ratować jasyr, wyprowadzając go naprzód, gotując się do walki w odwodzie. Nie wytrzymali jednak natarcia i zaczęli uciekać »lotnie«. Przy-

¹⁾ Obozu.

puszczam, że konnica polska niedługo mogła ich gonić po zarosłym drzewami wąwozie, pokiereszowanym niezmiernie krętą rzeczulką Bereźnicą i zawałonym warstwami kamieni. Ale raziła i odpierała ich zewsząd. Padło zaraz trupa bardzo gęsto pod lasem; wzięto żywcem kilkadziesiąt znacznych, zdobyto wszystkie chorągwie, juki, sobole i szaty nuradynowe. Tłum tatarski szukał schronienia i ocalenia w lasach Bednarowskich, lecz te były już pełne chłopów, a Sobieski posłał dragonów i pacholików do przetrząsania. Szło też wiele towarzyswa ochotnego.

Nazajutrz, 15-go, kazał Sobieski odprawić dziękczynne nabożeństwo przy muzyce wojskowej w obozie »pod Kałuszem«. Następnie wojsko cofnęło się wolnym marszem pod Koszowę, gdzie miało wypoczywać. Był to wypoczynek dobrze zasłużony, tak przez żołnierzy, jak przez wodza, któremu uczestnik wyprawy wystawia świadectwo »pilnego dozoru przy niesłychanych niewczasach i pracach: nigdy prawie nie śpiąc, nigdy nie rozbierając się, ognia nie niecąc, mało, ledwie co jedząc (bo w spustoszałym kraju o chleba bochenek trudniej było, niż o tysiąc Tatarów), w tak wielkich i niecotliwych przeprawach«.

Tadeusz Korzon.

Porównajmy Wyprawę Sobieskiego na czambuły i Karpaty.

Widzimy, iż treścią jednych utworów w prozie i poezji jest przedstawienie kolejno po sobie następujących wypadków — to opowiadanie.

Opowiadanie maluje przebieg zdarzeń w ciągu pewnego czasu.

Inne utwory wyliczają cechy danego przedmiotu w przestrzeni — to opisy.

Daj przykład opisu. Daj przykład opowiadania.

Wskaż różnice między opisem a opowiadaniem.

Rozpatrzmy teraz uważniej Dwie łąki: (str. 238) czy w tem opowiadaniu niema opisów? — Widzimy, iż niektóre ustępy będą opisem, inne opowiadaniem, a w całości te dwa rodzaje uzupełniają się nawzajem.

W każdym prawie dłuższym utworze, zarówno w prozie, jak w poezji, znajdujemy i opis i opowiadanie.

Wskaż ustępy opisowe i opowiadania w Święconem u Radziwiłła (str. 264), Przeprawie (str. 274).

ROZBIÓR „TRENÓW“ KOCHANOWSKIEGO.

Najwyżej wzniosł się talent Kochanowskiego w Psalterzu Dawidowym i w Trenach.

W Trenach wyraził Kochanowski z przedziwną pięknnością cały ogrom bólu ojcowskiego po śmierci ukochanej córeczki, Orszulki. Nie brak w nich ani jednego odcienia boleści rodzicielskiej — od smutku do zwątpienia i rozpacz, a od rozpacz do ukojenia. Wszystkich trenów jest dziewiętnaście, a stanowią one jedną piękną całość, jeden rozdzierający poemat bólu.

Dwa pierwsze to jakby wstęp. W pierwszym woła poeta, że chciałby skupić w swem sercu bóle i lzy całego świata, aby mózg godnie wypowiedzieć to, co się w jego sercu dzieje; a w drugim mówi, że wolałby śpiewać pieśni dla mamek, kołyszących dzieci, aniżeli »płakać nad grobem mej wdzięcznej dziewczyny«.

Treny od III do VIII włącznie są wyrazem rozdzierającego smutku, ale jeszcze nie rozpacz. Nieszczęśliwy ojciec wspomina z żalnością »słowa, zabawy i wdzięczne ukłony« ukochanego dziecka, i zdaje mu się, że jedna mu tylko została pociecha — iść za niem. Smutek potęguje się jeszcze na myśl, że Orszulka zgasła tak młodo: gdyby żyła dłużej, mogłaby »siłą pociech przymnożyć oczom moim«; nie spostrzega się w swym smutku Kochanowski, że gdyby Orszulka umarła później, ból ojcowski byłby jeszcze silniejszy, — nie spostrzega się, bo kto bardzo cierpi, ten nie rozumuje na chłodno, serce skrwawione nie pozwala myśli skupić, — i znów płacze poeta, że Orszulka »mało nad ziemię się co wzniosłszy, rodzicom troskliwym u nóg martwa upadła«, podobnie jak młoda oliwka pada pod nożem ogrodnika.

Lecz nie sam zgon przedwczesny potęguje ból ojcowski: Orszulka była nietylko najmilszem dzieckiem, ale i »śpiewaczką ucieśną«, odziedziczyła po ojcu zdolności poetyckie; nie dziw, że wspomnienie to powiększa smutek w sercu ojca-

poety, któremu żywo staje w pamięci rozrzewniające pożegnanie konającego dziecka z matką: »Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę, ani za twym stołem miejsca zasięde: przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać, domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać«. Wszystko jedno, czy to pożegnanie jest prawdą, czy tylko zmyśleniem poetyckiem, — wiersze te, jako niezrównana rzewność, należą do największej piękności naszej poezji. Widok pozostałego po dziecku ubrania i straszliwych pustek w domu, po którym się tak niedawno jeszcze rozlegał szczebiot dziecięcy, to nowy powód wzmagania się smutku.

Aż wreszcie smutek przeradza się w rozpacz i zwątpienie w trenach IX, X i XI. W dziewiątym z bolesną ironją zwraca się poeta do mądrości, do tej mądrości starożytnej, którą tak wychwalał w swoich pieśniach refleksyjnych, a która uczyła, że człowiek powinien być obojętnym względem dobrej zarówno jak złej doli: kiedy zła dola przyszła, cała mądrość prysła jak bańka mydlana, i z piersi zbolalej wydiera się krzyk: »Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje na tem strawił, żebych był ujrział progi twoje!« A nie tylko o mądrości starożytnej zwątpił poeta: on, chrześcijanin, nie wie, dokąd poszła dusza Orszulki; co więcej, nie jest pewny, czy jej dusza wogóle jeszcze żyje: »Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żalości!« Słowem zwątpił o nieśmiertelności duszy!... Zwątpił wreszcie o wartości cnoty, i on, który niegdyś wołał: »Cnota — skarb wieczny, cnota — klejnot drogi«, teraz woła: »Fraszka cnota!... kogo kiedy pobożność jego ratowała, kogo dobroć przypadku złego uchowała?« — niewarto być cnotliwym, skoro się za to nagrody nie ma.

Ale po tych wybuchach rozpacz cichnie: w trenach XII i XIII jest wprawdzie jeszcze rozdzierający smutek — na wspomnienie przymiotów duszy Orszulki, które pozwalały ojcu tak śliczne rokować nadzieje, — ale rozpacz już niema; to już nie krzyk, tylko jęk.

W dalszych zaś trenach poeta szuka już ukojenia. On, humanista, szuka go naprzód tam, dokąd z takim upodobaniem leciały jego myśli: w autorach starożytnych, od których się dowiedział, że i w starożytności były w ludzi straszne nieszczęścia rodzinne: oto Orfeusz po stracie ukochanej żony, Eurydyki, aż do piekła poszedł, aby srogiego Plutona o litość błagać; a nieszczęsna Niobe jednego dnia stra-

ciła nie jedno, ale czternaścioro dzieci, i skamieniała z rozpaczy. Świadomość jednak, że i dawniej było nieszczęście, to mała pociecha! Wie o tem poeta, to też szuka pociechy innej: »Czasie, (pożądaney) ojciec niepamięci, zgój smutne serce!« A potem ów mędrzec, który mniemał niegdyś, że łyzy nie przystoją mądrymu człowiekowi, nie chce już walczyć z naturą ludzką i... płacze. Łzy dają mu pewne ukojenie, ale dusza wciąż się jeszcze buntuje przeciwko nieszczęściu, póki na koniec nie znajduje go w Bogu, przed którym korzy się ojciec i którego błaga o litość. Bóg jej nie odmawia, i w ostatnim trenie, będącym zakończeniem poematu, zjawia się poecie podczas snu nieboszczka matka z Orszulką na ręku i koi jego serce wiadomością, że Orszulka cieszy się wiekuistym szczęściem u Boga, że przez wczesną śmierć uniknęła cierpień ziemskich.

Oto co przecierpiał i przemyślał Kochanowski po stracie Orszulki, oto główne uczucia i myśli, wypowiedziane w Trenach, z których jasno widać, że się poeta wyrzekł mądrości pogańskiej i powrócił do mądrości chrześcijańskiej, która uczy, że największym skarbem i najsukuteczniejszą pociechą w nieszczęściu jest korna wiara w miłosierdzie Boże, że w tem życiu niema trwałego szczęścia, że ono jest udziałem jedynie życia wiekuistego, że ku niemu powinien człowiek zwracać myśl swoją. A tak nietylko znakomitego poetę, ale i szlachetnego chrześcijańskiego myśliciela poznajemy w Trenach. Są one najpiękniejszym zwierciadłem jego duszy, która uszlachetniała się w cierpieniach; są koroną jego mądrości i zarazem koroną jego poezji, a zatem koroną całej poezji niepodległej Polski. Niejeden pomysł i niejedną myśl w Trenach zawdzięcza Kochanowski poetom i myślicielom starożytnym, ale uczucie bólu rodzicielskiego i prawdę tego uczucia, która jest główną tajemnicą piękności i niespożytej wartości Trenów, znalazł tylko i tylko we własnem sercu. Jest w poezji polskiej inny wspinały pomnik bólu rodzicielskiego — Ojciec zadżumionych; ten przewyższa może Treny sztuką, ale nie dorównywa im prawdą uczucia.

*I. Chrzczanowski. **

Czy nazwiesz ten ustęp opisem, czy opowiadaniem?

Nie, — autor zastanawia się tutaj nad wartością i pięknnością utworu Kochanowskiego, rozumuje.

Co jest treścią Mgły Witkowskiego (str. 296)? O ważności czytania Prusa (str. 12)?

Tego rodzaju utwór, w którym autor zastanawia się nad jakąś kwestją, wyjaśnia jakieś pojęcie, dowodzi jakiegoś twierdzenia, ocenia jakieś dzieło — słowem rozumuje, nazywamy **rozprawą**.

Rozprawa należy do prozy rozumującej (nauczającej, dydaktycznej).

Jakie jeszcze rozprawy znajdziesz w tej książce?

MOWA PRZY ODSŁONIĘCIU POMNIKA SŁOWACKIEGO.

(1899 r. w Miłosławiu¹⁾).

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i byste umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: »Oto na domiar wszystkiego daję wam spiż dzwieczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom; daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą«.

I została ta mowa, niepożyta, jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dzwieczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dzwieczęła nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, — Boża, jak modlitwa, — słodka, jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i położywszy na niej natchnione dłonie,

¹⁾ W Poznańskim.

wydostał z jej strun takie dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać...

wszystkim się zdawało,
że wielki mistrz gra jeszcze... a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl objąć może, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i od niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu, i że ozdoby i doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.

.
Lećcie u zorzy prosić purpury
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić.

Tak jest. On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i osypał nimi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie, niby Harfa-królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak uczynił. Zdołał — bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, — a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa ale i nieśmiertelna.

H. Sienkiewicz.

Jaka jest treść przemówienia Sienkiewicza?

Maluje piękność naszej mowy, podnosi zasługi Słowackiego dla jej wzbogacenia i udoskonalenia, budzi w sercach słuchaczy miłość ojczystego języka.

Treść przemówień jednakże może być bardzo rozmaita: obrońca w sądzie, mówca w parlamencie, kapłan na kazalnicy — przemawiają nie tylko do umysłów, ale i do uczuć słuchaczy, a często zagrzewają ich do czynu (Kazanie Skargi str. 24 i 166).

Tego rodzaju proza, mająca na celu nie tylko przekona-
nie czytelnika, ale i pobudzenie jego woli, a więc w następ-
stwie czyn — zowie się prozą zniewalającą, ora-
torską.

Wiele w niej bywa poezji.

Zestawmy.

Przed sądem — Konopnickiej (str. 16) — opowiadanie mową wią-
zaną.

Śmierć ks. Józefa — Skałkowskiego (str. 44) — opowiadanie mową nie-
wiązaną.

Wschód słońca — Mickiewicza (str. 292) — opis mową związaną.

Dzień świąteczny — Orzeszkowej (str. 259) — opis mową niewiązaną.

Sonet XIII — Asnyka (str. 303) — rozumowanie mową związaną.

Rozbiór „Trenów” — Kochanowskiego (str. 308) — rozumowanie
mową niewiązaną.

Poznaliśmy więc: opis, opowiadanie, rozprawę i prozę oratorską
czyli wymowę, — każdy z tych działów rozpatrzmy teraz szczegółowo.

I. O P I S.

K A R P A T Y.

Karpaty ciągną się potężnym łukiem od Dunaju pod Or-
szowę. Łuk ten jest długi na 1200 kilometrów. Wewnątrz tego
łuku są zamknięte niziny węgierskie, zewnątrz wspiera on się
na wyżynie Czeskiej, Małopolskiej i Czarnomorskiej.

Łuk Karpat jest zbudowany nieprawidłowo: zwężony
jest w środku, a znacznie rozszerzony na zachodzie i po-
łudniowym wschodzie. Pomiędzy słowacki świat Karpat na

zachodzie a potężny czworobok górski Siedmiogrodu na południowym wschodzie wciska się głęboko w góry wzdłuż licznych dopływów Cisy szeroka zatoka niżu węgierskiego. Ta zatoka niżowa jest wielkiem zapadliskiem, podobnie jak niziny, rozciągające się na północnej krawędzi Karpat. W nim Nadcisańskim zapadły się jednak nie kraje podkarpackie, jak w niżu Małopolskim lub Naddniestrzańskim, lecz same Karpaty i to zapewne ich najpotężniejsze łańcuchy. Łańcuchy te łączyły niegdyś góry Słowiańszczyzny z górskim wyżem Siedmiogrodu w jednolicie szeroką masę gór łańcuchowych.

Wewnętrzna strona łuku Karpat uległa wogóle znacznie większym przeobrażeniom aniżeli zewnętrzna. Wzdłuż potężnych pęknięć podłużnych, t. j. równoległych do kierunku Karpat, i poprzecznych — obsunęły się nie tylko całe światy górskie w dół, i zostały głęboko pod niżem węgierskim pogrzebane, ale wogóle zostały wszystkie zewnętrzne łańcuchy Karpat silnie połamane, obsunięte i przesunięte. Następstwa tego były podwójne. Skutkiem obsunięć zostały w węgierskich łańcuchach odsłonięte wszystkie wewnętrzne pokłady Karpat. Gdy więc w polskich łańcuchach gór panuje ogromna jednostajność skał, uderza w węgierskich Karpatach najbogatsza różnorodność. W polskich Karpatach przeważają wogóle tylko piaszkowce, w wewnętrznych węgierskich występują obok nich różnorodne wapienie, a przede wszystkim tak śliczne w kolorze i budowie rozmaite skały krystaliczne.

Tę różnorodność skał i krajobrazu łańcuchów wewnętrznych spotęgowały jeszcze skały wulkaniczne, które wystąpiły całymi łańcuchami wewnątrz łuku Karpat. Skały wulkaniczne wytrysły wzdłuż wszystkich większych pęknięć, bądźto rozlały się w szerokich płytach, bądź wystąpiły w szeregach wulkanów, oddawna już wygasłych. Cały niż Nadcisański jest też obwiedziony utworami wulkanicznymi.

E. Romer.

Porównajmy opis Karpat z opisem zachodu słońca »Na Wezuwjuszu« (str. 304). Tutaj autor stara się przede wszystkim dać obraz rzeczywistości dokładny i prawdziwy, tam — pięknie i poetycznie maluje krajobraz włoski tak, jak się jego oczom przedstawia. Pierwszy nazywamy opisem właściwym, ścisłym, naukowym, drugi — to opis piękny czyli artystyczny.

Który z tych opisów zaliczysz do prozy, a który do poezji? Wyszukaj w tej książce inny opis piękny czyli artystyczny.

II. RODZAJE PROZY OPOWIADAJĄCEJ.

HISTORJA, KRONIKA, ROCZNIK.

Przeczytaj »Śmierć ks. Józefa« (str. 44).

Jest to opowiadanie z przeszłości, malujące prawdziwe wypadki rzeczywiste, pewne. Takie opowiadanie nazywamy historycznem. Jeżeli obejmować będzie szereg ważnych zdarzeń, stanowiących pewną całość, nazwiemy je historją np. Historia wojen napoleońskich, historia rewolucji francuskiej, historia Francji, historia XIX w. i t. p.

Zastanówmy się, w jaki sposób autor opisuje śmierć ks. Józefa. Szczegółowo, zgodnie z prawdą, opierając się na świadectwie wiarogodnych źródeł i uczestników bitwy. Stara się wytłumaczyć, dlaczego ks. Józef musiał zginąć, i jakie miał znaczenie ten wypadek.

Historja więc podaje nietylko wiadomości prawdziwe, pewne, ale łączy je w nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Każde zdarzenie jest następstwem jakiegoś innego, a zarazem przyczyną nowych: np. zwycięstwo pod Grunwaldem jest jednym z następstw połączenia się Litwy z Polską i jedną z przyczyn Unji horodelskiej i ściślejszego przymierza między temi państwami; unja horodelska jest znowu następstwem zwycięstwa pod Grunwaldem, a jednocześnie przyczyną wzrastającej potęgi obu państw i t. d. Takie wykazanie łączności między wypadkami historycznymi nazywa się pragmatyzmem, a ściśle sprawdzenie i ocena faktów — krytycyzmem; historia musi być krytyczna, t. j. podawać tylko fakty pewne, sprawdzone, i pragmatyczna t. j. wyjaśniać ich przyczyny i następstwa.

Możemy więc powiedzieć, że **historja** jest to ściśle zgodna z prawdą opowieść o przeszłości (narodu, ważnego wypadku, cywilizacji, sztuki i t. p.) krytyczna i pragmatyczna.

Co to jest historia? Jakie musi mieć cechy wyróżniające? Co to jest krytycyzm i pragmatyzm? Jakie urywki historyczne znajdziesz jeszcze w tej książce?

Z „KRONIKI“ GALLUSA.

Z księgi I, rozdział 1 i 2.

Był w mieście Gnieźnie, co po słowiańsku gniazdo znaczy, ksiązę imieniem Popiel. Miał dwóch synów i według obyczaju pogańskiego sprawił wielką ucztę na ich postrzyżyny i zaprosił na nią wielu ze znacznych panów i przyjaciół.

Z niedocieczonych wyroków boskich przybyli też dwaj goście, których nietylko na ucztę nie zaproszono, ale nawet od bram miasta haniebnie odpędzono. Goście ci, obrażeni niegościnnością mieszkańców owych, cofnęli się na przedmieście i przypadkiem zatrzymali się przed chatą rolnika księcia, wyprawiającego ucztę synom.

Biedny rolnik przez litość przyjął gości do swej chaty i chudobę swoją życzliwie z nimi podzielił.

Przychylili się chętnie do zaprosin biedaka i wchodząc pod gościnny dach, rzekli: »Cieszcie się z naszego przybycia, bo ono przyniesie wam wielkie dostatki, a potomstwu cześć i znamenitość«.

Byli zaś w owej gościnnej chacie Piast, syn cieśli, i żona jego, Repta (Ripta, Rzepicha) nazwiskiem. Podług możności swojej, ale chętnie i serdecznie opatrzyli potrzeby gości swoich, a widząc ich roztropność, we wszystkim sobie podług ich rady poczynali.

Jak się zwykle dzieje, rozmawiali z nimi o wielu rzeczach. Podróżni zapytywali, czy jest w chacie jaki napój? Gościnny rolnik odpowiedział: »Mam właśnie baryłkę piwa, którą przygotowałem na postrzyżyny syna mojego, jedynaka, ale niewielka to rzecz, wypijcie, jeśli chcecie!« Postanowił bowiem wieśniak jako ubogi człowiek, że kiedy ksiązę, pan jego, ucztę synom swoim przygotowuje, i on także na postrzyżyny synowi swojemu biesiadę jaką taką wyprawi, bo kiedyindziej dla ubóstwa swego nie mógłby tego uczynić, i zaprosi przyjaciół swych i innych biednych nie na obiad, ale na śniadanie. Karmił też na ten użytek i prosiaka.

Cudowne rzeczy opowiadać będę, ale na cóż się przyda sprawy Boskie rozbierać, albo któż się odważy roztrzasać dobrodziejstwa Tego, który nieraz docześnie podnosi wysoko pokorę biednych i nagradza pogan nawet za ich gościnność. Owóż goście ci, pewni siebie, rozkazali przynieść piwo i skoro

pić zaczęli, nie ubywało go, ale jeszcze przybywało; powiadają nawet, że się go tak dużo zrobiło, iż napełnili niem wszystkie naczynia w chacie będące, a nawet od księcia bankietującego pożyczone te, które były próżne.

Rozkazali też zabić prosie, i dziwna rzecz, napełnili niem dziesięć naczyń, po słowiańsku cedrami nazywanych.

Ujrawszy Piast i Repta owe cuda, które się stały, przewidzieli, że wielka przyszłość dla ich syna się gotuje, zaczęli też myśleć o zaproszeniu księcia i jego gości, ale nie śmieli, dopóki się z podróżnymi owymi nie naradzą. Za ich tedy radą i zachętą zaprosił Piast do siebie pana i księcia swojego i biesiadników jego. Książę nie odrzucił zaprosin wieśniaka, bo wtedy księstwo polskie nie było tak wielkie, i monarcha polski nie był jeszcze otoczony taką wystawną okazałością, ani też nie miał przy sobie tak świetnego jak teraz orszaku.

Przy zaczęciu uczty obrzędowej, obficie dla wszystkich zastawionej, goście owi postrzygli chłopca i nazwali go Ziemowit, jakoby dla wróżby na przyszłość.

Czy to opowiadanie jest także historją? czy jest pewne i zgodne z prawdą?

Autor pisze o wypadkach z odległej przeszłości, na które niema żadnych dowodów, gdyż wieść o nich przechowała się jedynie w tradycji ustnej, a więc w przeciągu tak długiego czasu mogła zostać bardzo zmieniona. Autor nie troszczy się jednak o sprawdzanie faktów, powtarza je i uzupełnia własnymi domysłami, a zamiast szukania istotnej przyczyny, tłumaczy sobie wszystko tylko wolą Bożą np. przybycie nieznanomych gości, ich rozmowę z Piastem, nawet myśli kołodzieja, jego przewidywania i zamiary — i o tem wszystkim pisze, jak o rzeczy pewnej, choć świadectwa żadnego na to nie posiada. W opowiadaniu jego niema więc krytycyzmu ani naturalnej między faktami łączności czyli pragmatyzmu, a tem samem dzieło jego nie jest historją, lecz kroniką.

Kroniką nazywamy bezkrytyczne opowiadanie o dziejach i przeszłości danego narodu.

Co trudniej pisać: kronikę czy historję? Co wymaga większego przygotowania i nauki? Co zwykle powstaje wcześniej: kronika czy historja? i dlaczego?

Najdawniejsi nasi kronikarze to: Gallus, (cudzoziemiec), za Bolesława Krzywoustego, Wincenty Kadłubek za Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego, oraz Długosz — już po części historyk — za Kazimierza Jagiellończyka.

Autorem pierwszej krytycznej i pragmatycznej historii był Adam Naruszewicz za Stan. Aug. Poniatowskiego.

Jeszcze dawniej, przed kronikarzami, w X, XI w. w taki sposób notowano po klasztorach ważne wypadki dziejowe:

963 Otto cesarzem tytułuje się.

965 Dubrouka do Meska przybywa.

966 Mesko, księżę polski, chrzci się.

997 Męczeństwo św. Wojciecha.

Takie króciutkie notatki o zdarzeniach dziejowych nazywano **rocznikami**. Zapisywano je zwykle na marginesach kalendarzy, niepodobnych naturalnie do dzisiejszych, gdyż stanowiły dużą pergaminową tablicę z wynotowaniem dni świątecznych; niekiedy notowano i na innych księgach, psalterzach i t. p. zawsze tylko wypadek, nigdy opowiadanie o nim, najczęściej zdarzenia z dziejów klasztoru lub odnoszące się do spraw kościoła np. śmierć biskupa, obiór nowego opata, przybycie lub wysłanie gdzie jednego z braci i t. p.

Krótkość tych notatek czyni je wiarogodnymi, ponieważ na wymysły i dodatki niema miejsca.

Co nazywamy rocznikiem? Czem się różni historia od kroniki i rocznika?

PAMIĘTNIK, DZIENNIK.

»Księżę feldmarszałek Czarторыski¹⁾ w owym r. 1800 liczył lat 69. Wzrostu był średniego, szczupły, nosił perukę pudrowaną i tapirowaną podług mody, która istniała w środku panowania Ludwika XVI. Rzadko inny przywdziewał strój jak mundur austriacki, błękitnawo szary, nakrapiany, z czerwonym, galonami haftowanym kołnierzem. Z orderów nosił tylko jeden Złotego Runa. Nos miał cienki, orli, oczy ciemno błękitne, mało ognia, ale wiele łagodności i słodczy w sobie mające. Trzymał się zawsze prosto, miał chód wolny i poważny i w całej postaci coś imponującego. Nadzwyczajnie

¹⁾ Adam — generał ziem podolskich.

uprzejmy nie tylko dla obcych i dorosłych, ale nawet dla takich berbeci, jak byłem ja, Heller i Matuszewicz. Nie było dnia, żeby z nami nie rozmawiał, nie wypytywał o lekcje, nie dawał rad i ostrzeżeń. Kazał nam nadto do siebie pisywać i na listy z radami odpowiadał własnoręcznie.

Umiał kilkanaście języków, nawet mówił po turecku i arabsku z Turkiem swym Hassanem, którego mu ze Stambułu przysłali, i który był niegdyś majtkiem na flocie tureckiej. W Puławach znajdował się zawsze na pokojach, a jedyną jego funkcją było podawanie cybuchów z drzewa aloesowego. Lecz książę mimo rozległych wiadomości mało wogóle mówił, a wolał słuchać konwersacji innych, do której od czasu do czasu parę słów wtrącał. Mężczyzn nazywał zwykle po imieniu, a nie po nazwisku.

W pałacu puławskim mieszkał na dole w lewym pawilonie. Apartament jego dopierał z dwóch stron do tej bogatej biblioteki, która zawierała szacowne edycje literatur zagranicznych, a nieocenione ojczyste, gdyż prócz zasobów, jakie taki miłośnik nagromadzić zdołał, zakupiono bibliotekę porycką za złp. 600.000, t. j. wszystko, co uczony Czacki przez całe życie po klasztorach przez *fas i nefas*¹⁾ zbierał. Zajmowany apartament składał się z 4 pokoiów. W pierwszym siedzieli służbowi kozacy i lokaje, w drugim kamerdynerzy, Niemiec i Francuz. Trzeci pokój książęcego apartamentu był przeznaczony wyłącznie do ubierania, a właściwie do fryzury i pudrowania. Czwarty służył za gabinet i sypialnię. W ubieralni prócz stolika, kanapy i kilku stołków, żadnych innych mebli nie było; w sypialni — prócz łóżka, przy którym mały stoliczek, kilka krzeseł i ogromnego biura, mającego długości z 9, a szerokości z 5 łokci, nie się więcej nie znajdowało. Na tem ogromnem biurze przez środek był ustawiony pulpit, a obok niego mnóstwo książek i cały przyrząd piśmienniczy. Żadnego obrazu, żadnego kosztownego sztychu tu nie dostrzegłeś.

Wstawał książę zawsze o godz. 9 i w pudermantlu²⁾ wychodził do ubieralni. Tam już oczekiwali na niego dworscy t. j. major Orłowski, kasjer Piramowicz, sekretarz Skowroński,

¹⁾ Per fas et nefas — wszelkimi środkami.

²⁾ Pudermantel — podwłóśnik — rodzaj długiego kaftana, narzućcanego przy czesaniu.

Bernatowicz, Łuniewski i Roch Orłowski, *factotum*¹⁾ Tar-chalski i archiwista Zalewski. Ułatwiwszy z każdym interesa dzienne, przywoływał księżę marszałka i koniuszego. Pierwszy zawiadamiał, kto przyjechał, drugi odbierał zlecenia co do spacerów dziennych. Następnie po ich ustąpieniu wchodzili przyjaciele domowi, stale w Puławach mieszkający, generał Orłowski, pułkownik Ciesielski, księżę Konstanty, mój ojciec i inni. Ci asystowali operacji pudrowania, po całej izbie manewrując, aby puder, obficie z dala sypany, sukni ich nie przykrył. W czasie tego trwała pogadanka, która się zwykle o 10-ej kończyła. Poczem księżę, wypiwszy w sypialni kawę, udawał się do żony na t. zw. śniadanie. Ze śniadania tego zwykle mało kto korzystał, bo wprzód każdy posiłk się u siebie. Na gawędzie i paleniu tytoniu schodził czas do południa, poczem następował spacer konny z koniuszymi i Ciesielskim. Między 1—2 jadał księżę u siebie obiad, z 3 potraw się składający, z których rosół i cielęcina pieczona stanowiły 2 dania niezmiennie. Koło 6-ej przychodził do żony i tu do 8-ej poufne a przyjacielskie toczyły się rozmowy. Do tego towarzystwa 2 tylko osoby bywały dopuszczane: księżna Wirtemberska²⁾ i moja matka. Nawet ks. Konstanty, jego żona i pani Zamoyska³⁾ w tych godzinach do rodziców nie przychodzili.

O 3-ej dzwoniono lub bębnilo na obiad. Zawsze kilkadziesiąt osób do stołu siadało, a czasami i kilkaset; stoły rozstawiane były w dwóch salach. Domowi wprzód o 2-ej godzinie jadal. Obiad koło 4¹/₂ się kończył. Wieczorem schodzono się o 8-ej, a w lecie, kiedy herbata była w Parchatce lub na Kępie, zbierano się wcześniej.

Kolację dawano o 10-ej i księstwo zwykle między 11—12 salony opuszczali. Księżę na kolację jadał tylko suche kotlety, a przy obiedzie u stołu wielkiego siedział, ale nic nie jadł. Wieczorem dzielono się na towarzystwa: konwersacyjne⁴⁾, które razem z księstwem przy wielkim okrągłym stole zasiadało. Kobiety wykonywały robótki ręczne, stosownie do mody i zwyczaju. Pamiętam, że był czas, w którym strzępiono jedwabne materje na wate, odkręcano zużyte galony na topie-

¹⁾ Factotum — człowiek, używany do załatwiania wszelkich spraw.

²⁾ Marja, córka ks. Adama. ³⁾ Zofja, druga córka. ⁴⁾ Rozmawiające.

nie srebra, robiono kwiaty, a nawet trzewiki. Nie mówię już o wyklejaniu szkatulek i pudełek do domu gotyckiego i mnóstwie podobnych rzeczy.

Drugi oddział towarzystwa bawił się graniem w bilard, szachy i karty. Młodzież obu płci, po otrzymaniu na to pozwolenia, odchodziła do drugiej sali, i tam z całą hałaśliwością, wiekowi właściwą, biegano, skakano, grano we wszystkie *petits jeux*¹⁾, poczynawszy od ciuciubabki i gotowalni, a skończywszy na lisie i pytce. Księżna Wirtemberska i pani Zamoyska nie odmawiały zwykle udziału, lecz zabawa stawiała się najprzyjemniejszą, kiedy zdołano uprosić Ludwika Rembielińskiego, aby objął jej kierunek. Matematyk ten niewyczerpany miał zapas conceptów do rozmaitego rodzaju rozrywek, i kiedy się bardzo z wieczora rozochociono, proszono o pozwolenie tańców. W jednej chwili nadbiegało 12 muzykantów z pulpitami, a dyrektor ich Schmeigler tem ochoczej na skrzypcach przygrywał, im z większem życiem tańczowano. W momencie organizował się bal, który ażeby większych nabrał rozmiarów, posyłano na pensję pani Januszeńskiej, gdzie było zawsze 12 panien, otrzymujących edukację kosztem księstwa, i spraszano innych w Puławach osiadłych.

Leon Dembowski (Z moich wspomnień).

Czy treścią tego urywku są wypadki dziejowe? Czy możemy go nazwać historją lub kroniką?

W tym wyjątku mamy postać historyczną ks. Czartoryskiego i obraz historyczny wielkopańskiego dworu na początku w. XIX. Gdybyśmy przeczytali całą pracę L. Dembowskiego, znaleźlibyśmy w niej ciekawy obraz wojen napoleońskich i wypadków z r. 1831, cały szereg sylwetek wybitnych, znanych ludzi, z którymi autor zetknął się w ruchliwym życiu, ciekawych typów współczesnego mu pokolenia, rysów obyczajowych, uczuć, nadziei, zawodów, sądów o ludziach i rzeczach, słusznych i niesprawiedliwych — bo niezawsze możemy sądzić sprawiedliwie o wypadkach bieżących, które widzimy dokładnie, lecz tylko z jednej strony.

Więc treść jest historyczna, a jednak historją nazwać tego nie możemy. W takich osobistych wspomnieniach nie możemy być zawsze krytyczni, niewszystko, co podajemy,

¹⁾ Gry towarzyskie.

jest prawdą, choć autorowi prawdą się wydaje, niewszystko jest wyjaśnione pragmatycznie, słowem jest to obraz ludzi i dziejów, bez ściślejszego sprawdzenia, bez dokładnej znajomości całego materiału dziejowego. To tylko **pamiętniki**.

Pamiętniki należą do prozy, ponieważ ich treścią prawda i rzeczywistość, jeżeli jednak autor jest poetą, może w nich pięknie i porywająco wypowiadać najwznioślejsze myśli i uczucia, może wspomnieniom swoim nadawać formę artystyczną.

Bo treścią pamiętnika niezawsze bywają wypadki historyczne: często zappełnia je życie autora, jego własne uczucia, dążenia, zawody.

Weźmy np. urywek z pamiętnika Juliusza Słowackiego.

Z PAMIĘTNIKA JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Dnia 17 lipca 1831 r. Drezno.

1817 r. w sierpniu przyjechał do Krzemieńca profesor Bécu w zamiarze ożenienia się z moją matką; zdecydowali się rodzice, jużto żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, jużto dla mojej edukacji, która w Wilnie mogła daleko lepiej być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tem; myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Przy końcu sierpnia wyjechaliśmy do Wilna. Miałem wtenczas lat 8. Wilna nie pamiętałem zupełnie. Panny Bécu, Olesię i Hersylkę, a teraz siostry moje, zastałem w Dąbrowni; ledwo mogły dostrzedz małego swego przyjaciela, tak byłem mały i szczupły. Obraziłem zaraz jedną z nich zgryźliwą jakąś uwagą; przy wieczery opowiadałem w zapale jakąś komedję tak, że aż wstałem od stołu, łącząc do opowiadania dziwaczne gesta. Przybywszy do Wilna, zaraz pobiegłem do mego małego ogródka. Potem z matką odwiedziłem grób ojca na Rossie; klęcząc na kamieniu, mówiłem pacierz i płakałem, bo o łzy u mnie nie było trudno. Grób ojca jest jednym z najpiękniejszych na Rossy cmentarzu. W skale, ułożonej sztucznie z kamieni, wprawiona tablica ukośna marmurowa, na niej skromny napis.

.

Liczba książek, zamkniętych w szafce mojej matki, wyczerpała się; brałem się do najnudniejszych, a lubiłem małe

książeczki; pochlebiało mi to, gdy całą przez dzień mogłem przeczytać. »Maksymy« de la Rochefoucold winne są małemu formatowi, iż je kilka razy przeczytałem. Dowiadywałem się ciągle, czy niema jeszcze innego dzieła, takiego jak »Iljada«. Matka obiecała mi dać »Enejdę« Wirgiljusza. Z jakąż niecierpliwością czekałem tej książki; dostałem ją nakoniec, lecz mam-że wyznać? Znudziła mnie okropnie i dotąd jeszcze usypiające ma dla mnie skutki, gdy »Iljada« Homera dotąd mnie zachwyca, już nie jako obraz wojen, ale jako wzór poezji i uniesień ludzkości.

.....

Nie, ja skazany jestem żyć już bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy, która może przyjdzie pierwszego dnia po mojej śmierci. Pamiętam, że będąc małym dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: »O Boże, daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najniešťczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu«.

Co jest treścią tego urywka? Czy znasz Pamiętniki Paska? Co jest ich treścią? Czy mają związek z historją?

Pamiętniki więc są to wspomnienia autora o sobie i współczesnych wypadkach, treść ich — jak widzimy — bywa bardzo rozmaita.

Pamiętniki mogą mieć wielką wartość dla historii, gdyż rzucają nieraz wiele światła na życie wewnętrzne narodu, w tem ich główne znaczenie, trzeba jednak, aby piszący umiał patrzeć, dostrzegać rzeczy ważne i opisywać je wiernie; niekiedy stanowisko pozwala mu wiedzieć to, co dla ogółu osłonięte tajemnicą, lub sam odgrywa ważną rolę w opisywanych zdarzeniach.

Jest jeszcze inny sposób pisanja swoich wspomnień, zobaczymy, czem się różni. Ten sam Słowacki pisze podczas pobytu w Paryżu:

5 kwietnia 1832, czwartek. Cholera w Paryżu. Zrana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną: chłopiec mały 15 letni umarł na cholere. Musiałem pójść do salonu, cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy

stali wokoło bladzi i przerażeni tak, że nikt się tknąć chorego nie ważył, moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo.

9 kwietnia. Skibicki po wczorajszej kłótni przyszedł do mnie o 12-ej w południe i pociągnął na koncert historyczny w konserwatorium muzycznym. Dziwne to jest zjawisko koncert historyczny: pan Fetis, profesor, czytał rozprawę o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdej z 3 rozpraw następowały przykłady przez pierwszorzędných śpiewaków, i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach, których dawniej używano. Wystawić sobie nie możecie, jak to interesujące, jak miło wpada w ucho postęp sztuki, jak widać każdy przeskok do doskonałości. Uściskałem Skibickiego za sprawioną mi przyjemność.

12 kwietnia, czwartek. Mam poezję moje i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności.

albo:

Notatki z podróży po Palestynie i Syrii Juljusza Słowackiego.

1837.

4 stycznia. Gaza w ogrodach. — Włoch instruktor, włóczęga — jestem na pensji w klasztorze florenckim — stancja w Khanie. Walterskot z tej stancyjki utworzyłby romans, — minaret oświecony — Tasso.

6 stycznia. Wyjazd, deszcze, — nocleg w małej wiosce, — jakśółka ma w naszym pokoju gniazdo.

12 stycznia. Równina, — na wstępie gór Jerozolimskich wioska dobrego złodzieja, — góry — jedzie się łozem potoku, — oliwy, — wioski z kamieni pitoresque, — zameczek Mahabeuszów — noc — Jerozolima, pod drzwiami miasta, jak Krzyżak, — księżyc — Oleś — przyjaźń młodych lat — nie poznał mnie.

14 stycznia. Noc u grobu w kościele — o godzinie 8-ej sam jestem — klęczę, na marmurze czołem oparty, czytam ewangelję — o 11-ej mąż i żona wchodzą do grobu, modlą się i całują mię w rękę. — o 12-ej dzwon, — zaczynają się śpiewy różnych wiar, jak ptaki zbudzone po gniazdach — Kopta klatka, — o godzinie 2-ej msza, — śpię nad rankiem jak dziecko po płaczu.

Jeżeli autor od czasu do czasu pod wpływem świeżych wrażeń notuje wypadki, które jego uwagę zwróciły, albo

własne uczucia, myśli, spostrzeżenia, oznaczając je datą — to zapiski takie nazywamy **dziennikiem**.

Czem się różni dziennik od pamiętników? Co można pisać bezstronnie, spokojnie: rzeczy dawno ubiegłe i przeżyte, czy to, co nas obecnie najmocniej zajmuje, wzrusza, oburza, porywa? Z tego względu co można uważać za wiarogodniejsze: dziennik czy pamiętniki?

Nie można zapominać, że pamiętniki najczęściej piszą ludzie w późniejszym wieku, że pamięcią i myślą sięgają w przeszłość, która dawno upłynęła, a pamięć ludzka niezawsze jest pewna i błędzić może łatwo. Piszący dziennik świeżo ma przed sobą zaszłe wypadki, i z tego znów powodu taki opis może być wiarogodniejszy.

AUTOBIOGRAFJA — ŻYCIORYS.

Jeśli treścią pamiętnika jest własne życie autora, to go nazywamy **autobiografją**.

Życie ludzi niespopolitych, zasłużonych obchodzi żywo inteligentną część społeczeństwa, staramy się je poznać, zbadać, zrozumieć; dokładny obraz życia takiego człowieka nazywamy **życiorysem** albo **biografją**.

Czy znasz jakiż życiorys Mickiewicza lub innego zasłużonego człowieka?

PODRÓŻE.

Przeczytaj urywek z podróży Sienkiewicza p. t. »Z San Francisco do Los Angeles« (str. 284), — co w nim przeważa: opis czy opowiadanie? Wskaż ustępy opisowe i opowiadające.

Chociaż podróże muszą być opowiadaniem (przeciąg czasu), lecz opisy zajmują w nich zwykle dużo miejsca, gdyż autor daje nam obrazy tego, co przesuwa się przed jego oczyma: krajobrazów, ludzi, zwyczajów i t. p.

Przeczytaj: Na oceanie Atlantyckim Sienkiewicza (wyjątki i skrócenia Bib. Un. Łud.).

Uwaga. W miarę rozwoju uczniów i czasu na czytanie, można wspomnieć o szkicu historycznym, monografji, studjum i t. p. nie chodzi tu jednakże o poznanie wszystkich rodzajów prozy opowiadającej, lecz tylko o najważniejsze, typowe, z którymi uczniowie mieli sposobność zapoznać się już przez czytanie.

RODZAJE PROZY RÓZUMUJĄCEJ. ROZPRAWA, KRYTYKA, CHARAKTERYSTYKA.

NIEŚMIERTELNY.

— Znasz, Trazeuszu, naukę Epikura ¹⁾ o atomach materji, które, bujając nieustannie po nieskończonych przestrzeniach, tworzą ciągle coraz nowe światy i istoty. Gwiazda, metal, roślina, zwierzę i człowiek zlepkami są nieskończonej liczby atomów, z których każdy jest nieśmiertelnym, bo rozprzegając się, wiążą się one znowu w kształty inne, a nigdy nie giną. Takim jest królestwo materji, do którego ciało twoje należy. Jak garść piasku, przez wiatr zdmuchnięta, rozpierzchnie się ono po nieskończonej przestrzeni, a składające je atomy wnukną może w jedwabną tkaninę liljowego liścia, albo w strumieniu popłyną kroplą wody, czy parą wzniosą się w błękitne etery, zamigocą w płomieniu lampy, błysną w djamencie, wyrosną z ziemi kłosem pszenicy, stwardnieją w sierści zwierzęcej, spojrzą znów na świat żrenicą nowonarodzonego dziecięcia, lub świętym ogniem myśli zapłoną w mózgu męża. To wszystko opowiadam ci o królestwie ciał. Lecz obok niego istnieje także królestwo dusz. Uczucia i myśli — to atomy duszy człowieka; tak jak te, które składają jego ciało, nie giną one nigdy, lecz sprzegając się z atomami dusz innych, tworzą coraz nowe światy. Mądrość, wiedza, cnota, bohaterstwo, harmonja zlepkami są nieskończonej liczby atomów, zleciałych z dusz ludzkich. Nakształt ogniska, rozwianego w mnóstwo promyków, i fali wodnej w kroplistą mgłę, dusza twoja, Trazeuszu, rozproszy się po przestrzeni czasu, a składające ją atomy wnukną może w serce młodzieńca zapalę i męstwem, czy w pierś niewiasty pragnieniem wielkich miłości i ofiar, czy w czaszkę starca — miłą o czynach twoich opowieścią, czy w mózg dziecięcy — przecuciem bohaterskości przyszłej. Żywić się nimi będzie może niewolnik blady, lub truć się ten, który go rzucił w ciemnicę; wciągnie je w pierś swą pusty hulaka i z czołem zawstydzonym od biesiadnego stołu powstanie; albo męczennik, wychylający swą gorzką czare, słodyczą ich usta swe ukoji. Ze

¹⁾ Filozof grecki.

śmiercią ludzi nie umierają myśli ich, ani uczucia, ani słowa, ani czyny. To nawet, czego nigdy nie wypowiedziałeś, pieśnią bez słów w świat uleciało przez oczy twoje, postawę, uśmiechy, westchnienia. Milczące twoje bunty przeciw złemu zabrzmiały w przestrzeni czasu hasłem, wołającym ku dobru. A czy wiesz, jaką pierś podnosić będą kiedyś bolesne twoje westchnienia? Na czyje usta zlecą uśmiechy twoich wspaniałych wzgard? Ty na to wszystko mi odpowiesz: »Mnie tam nie będzie!« bo umiłowanie przyszłych wieków i pokoleń mocno tkwi w duszach wzniosłych. Umierając, powtarzaj słowa starożytnego poety:

Niechaj nikt łzami grobu mojego nie skrapia,
Ani z płaczem za trumną moją nie idzie —
Bo żyję wiecznie i z duszy do duszy przelatom.

Taką jest nieśmiertelność, Trazeuszu, którą ci opowiedział Demetriusz z Sunjonu.

E. Orzeszkowa.

»Nieśmiertelny« należy do prozy rozumującej, ponieważ autor zastanawia się tutaj nad nieśmiertelnością ducha, rozumuje i wyprowadza wnioski. To **rozprawa**.

Rozprawą był też »Rozbiór Trenów Kochanowskiego« (str. 308), lecz tam zastanawialiśmy się nad utworem literackim, tutaj nad zagadnieniami życia i nieśmiertelności.

Przeczytaj »Ważność sztuki czytania« Prusa (str. 12). »Prawe szlachectwo« Reya (str. 22) »Rozmowa przy kominku« (str. 85) — jak nazwiesz te wyjątki i urywki?

Widzimy zatem, iż treścią rozprawy mogą być kwestje najróżnorodniejsze: społeczne, naukowe, fachowe, literackie itp. czasem nawet nadajemy im formę poetyczną, jak np. Przy kominku (str. 85), Nieśmiertelny.

Rozprawa, której treścią jest ocena utworu literackiego, dzieła sztuki, działalności człowieka i t.p. nazywa się **krytyką**.

Czy każda rozprawa jest krytyką?

Czy każda krytyka jest rozprawą?

PYSZAŁEK.

...Patrz jedno na jego postawy, jeśli że się nie masz czemu i pośmiać i podziwować, — a on idzie, nawieszawszy

dziwnych pstrych chobotów¹⁾ około siebie, na ludzi nie patrzy, tylko sam na się pogląda, cień upatruje, spluwa, choć mu nie trzeba, rękawicę z tej ręki, na której sygnet, zejmie, a w drugiej ją dzierży, kaszle, krzaka, choć mu się nie chce, z kamyka na kamyk stapa, kroku strzeże, aby go nie zmylił, na pacholki się ogląda, jeśli je ma. Owa cokolwiek pocznie, to wszystko ku sprosnemu a głupiemu chłopu, a mało nie ku szalonemu barzo podobno. A jeśli też już gdzie na miejscu między dobrymi towarzyszami usiedzie, tedy jeśli co mówi, to już z oną przewłoką, z oną postawą, z onym przekęsowaniem słówek, z onym rzkomo zająkowaniem, aby tak rozumiano, iż z rozmysłem mówi. Paznogie ogląda, czapki poprawuje; a łotrowie mu siedząc pochlebiają, jeden na drugiego poglądają, a barzo go snadnie na wszystko przywiodą, iż im szynkuje, albo musi posłać, po co jedno każą.

Mikołaj Rey.

Czy na podstawie tego opisu możesz sobie wyobrazić postać pyszałka? Czy tylko jeden był taki na świecie?

Czy autor podaje wszystkie cechy tego człowieka, czy stara się odróżnić i podać te tylko, które go wyodrębniają od innych? Czy wypowiada swój sąd o pyszałku i wyprawdza wnioski z jego postępowania?

Znajdujemy w tym opisie i rozumowanie, to charakterystyka.

TEOFIL DZIECIAK.

Teofil zwał się w gronie naszym »dzieciakiem« nie dla wieku, bo starszym był od innych, ale dla niekarnej prostoty swego ułożenia. Rozpierał się na wszystkich stołach, rozkładał na wszystkich kanapach, głośno krzyczał, kiedy mówił, lubił ciastka i cukierki, bawił się puszczoneym balonem i złapaną pod szklanę muchą, a przy tem wszystkim, lub raczej jakby na odpokutowanie tego wszystkiego, rozmiłował się w najstarszej, najnudniejszej, najcięższej nauce — w numizmatyce²⁾. Za jeden ugrynszpaniony³⁾ pieniążek byłby całe

¹⁾ Gatunek spodni buchastych.

²⁾ Nauka polegająca na znajomości starych monet.

³⁾ Pokryty grynszpanem, t. j. trującym związkiem miedzi i kwasu.

godziny spokojnie i prosto jak panienka na krześle siedział; po jeden rzadszy medalik byłby z narażeniem wolności i życia najniebezpieczniejsze odbywał drogi; a tak szanował dokładność zbiorów, tak artystycznie kochał swój przedmiot, że raz dla uzupełnienia bogatszej jakiejś kolekcji¹⁾ sam się z bardzo ciekawego огоłocił egzemplarza.

Tytuł Teofila w uczonym, powierzchowność zaś jego w towarzyskim świecie, były to dwie najucieszniesze sprzeczności, możnaby nawet powiedzieć, że była to jedna żywa szarada, której prawdziwego słowa wiele osób odgadnąć nie umiało. Jedni posądzali go o udawanie, drudzy o rubaszość, a tymczasem był to dzieciak i numizmatyk; w przydatku to było także najlepsze, najpocziwsze serce. Mogłeś mu zabrać płaszcz i zegarek, czas i wesołość, mogłeś od niego żądać dobrej rady, przysługi, kurs mającej monety — byleś starożytnej nie rozrzucił — to wszystko ci oddał, wszystko zrobił, choć czasem, według humoru, mniej więcej pogrymasił sobie.

Mimo tak niezaczepnej z pozoru natury miał jednak Teofil bardzo licznych nieprzyjaciół, zwyczajnie jak dziecko, i do tego trochę zepsute, a bardzo gadatliwe dziecko; zawsze każdemu wypowiedział wszystko, co mu do myśli przychodziło, że zaś był dowcipny, psotny, i pełno różnych ludzi spotykał, więc mu do myśli przychodziły różne koncepta — o głupstwie, próżności, nieszczerem ugrzecznieniu, zabawnej intrydze — ot, tak sobie, dla śmiechu, — a słuchający obrażali się często. Jednak nikomu nie szkodził, — jemu okropnie szkodziło.

N. Żmichowska. (Poganka).

Czy na podstawie tego opisu możesz sobie wyobrazić postać Teofila? jego usposobienie, charakter?

Wierne odmalowanie cech charakteru danego typu lub danej jednostki, cech, wyróżniających tę postać od innych ludzi, nazywamy **charakterystyką**.

Przeczytaj »Ziemie polskie« Konopnickiej (str. 87). Czy znajdziesz tu rozumowanie? Autorka zastanawia się nad cechami, wyodrębniającymi nasze ziemie pod względem ukształtowania powierzchni, nawodnienia itp. stara się poznać i uwydatnić ich charakter — jest to więc także charakterystyka.

¹⁾ Zbiór.

Możemy zatem charakteryzować człowieka, — kraj, — porę roku, — grupę zwierząt, — roślin, — malując cechy, które ją wyodrębniają od innych.

Charakterystyka — jak widzimy — przypomina opis, ale i różni się od niego, gdyż łączy z postrzeganiem i rozumowaniem. Tworząc bowiem charakterystykę danego człowieka (przedmiotu, zjawiska i t. d.), nie wyszczególniamy wszystkich cech jego, tylko wyszukujemy i skupiamy te, które go różnią od innych, pokrewnych, cechy znamienne, istotne, nie przypadkowe. A ta czynność jest już połączona z rozumowaniem.

Jakie charakterystyki możesz wskazać w tej książce?

Jakie są charakterystyczne cechy: owadów, — (naszych) wsi, — naszych lasów? Jak możesz je charakteryzować na podstawie tych spostrzeżeń.

Ćwiczenie: Charakterystyka dobrze znanej ci osoby.

PROZA ORATORSKA.

(Zniewalająca).

Przeczytaj wyjątek z VIII kazania Skargi (str. 166). Porównaj go z przemówieniem Sienkiewicza (str. 311).

Skarga przemawia jako kaznodzieja do przedstawicieli narodu, gromi i wyrzuca im błędy, prorokuje straszną przyszłość, stara się oddziaływać nie tylko na umysł i uczucie, ale i wolę słuchaczy; nie tylko przekonać ich i wzruszyć, ale i zniewolić do czynu: do poprawy.

Sienkiewicz przy odsłonięciu pomnika Słowackiego mówi o piękności mowy polskiej, której poeta był mistrzem.

Przemówienie Skargi zaliczamy do mowy kościelnej, której treść może być najrozmaitsza, lecz zawsze na podstawie religijnej.

Mowa Sienkiewicza jest świecka.

Możemy ją nazwać okolicznościową, jak przemówienia podczas wesela, pogrzebu, smutnego lub szczęśliwego zdarzenia, które głęboko obchodzi słuchaczy.

Mamy jeszcze inne rodzaje prozy świeckiej:

W sądzie prokurator oskarża, obrońca broni podsądnego, — to mowa sądowa.

Wymowa parlamentarna zajmuje się sprawami państwa i urządzeń społecznych. Przemawiają posłowie w parlamencie, mówcy na trybunach.

Wszystkie te rodzaje wymowy tworzą osobny dział prozy t. zw. prozę zniewalającą, oratorską.

Główną jej cechą jest to, że oddziaływa na umysł, wyobraźnię, uczucie i prawie zawsze na wolę słuchacza lub czytelnika, starając się pobudzić go do czynu.

Ponieważ zaś proza oratorska odznacza się uczuciem, a nieraz i piękną formą, zbliża się przez to bardzo często do poezji, i tutaj więc zarówno jak gdzieindziej trudno przeprowadzić ścisłą granicę między poezją i prozą.

Czy przemówienie Sienkiewicza nazwiesz poezją, czy prozą?
A kazania Skargi?

RODZAJE POEZJI.

Utwory poetyckie dzielimy jeszcze inaczej.

Co jest treścią Kradzionego, Syrokomli (str. 262)? Wypadki, wzięte ze świata zewnętrznego.

Co jest treścią Pieśni Wajdeloty? (str. 114). Uczucia i myśli autora

Jedne utwory malują nam to, co się dokoła nas dzieje, świat zewnętrzny, — inne świat wewnętrzny pisarza: jego myśli i uczucia.

Pan Tadeusz, Marja, Grażyna, Latarnik, Janko muzykant, malują zdarzenia lub opisy świata zewnętrznego, to poezja opisowa — **epiczna**.

Daj przykłady **poezji epicznej**.

Smutno mi, Boże, — Lirnik wioskowy, Leżę na obłoku, Treny — malują uczucia autora — to poezja **liryczna**.

Daj przykłady **poezji lirycznej**.

Czy w Panu Tadeuszu nie mamy ustępów lirycznych? Wskaż je. A w Grażynie? Przed sądem?

Widzimy zatem, że **poezja liryczna i epiczna** łączą się nieraz i uzupełniają nawzajem. Trudno znaleźć utwór epiczny

bez domieszki liryki, — częściej spotykamy czysto liryczne utwory.

Do jakiej poezji: **epicznej** czy **lirycznej**, zaliczamy:

Bajkę: Młynarz, syn jego i osieł, — Sonet XIII, Asnyka? (str. 303).

Treścią pierwszego — zdarzenie i rozumowanie, drugiego tylko rozumowanie.

Mamy więc dział poezji rozumującej czyli **dydaktycznej** t. j. nauczającej.

Do jakiej poezji zaliczysz przypowieść Mickiewicza (str. 107), Satyrę do króla (str. 202)?

Daj przykład poezji **dydaktycznej**.

Do jakiej poezji zaliczamy Pana Geldhaba? Zemstę za mur graniczny?

Treścią tych utworów są wypadki, wzięte ze świata zewnętrznego, ale autor ich nie opowiada, one przesuwają się przed nami w akcji (działaniu) i dialogu (rozmowach) osób. Patrzymy na nie. Utwory, przedstawiające w ten sposób zdarzenia ze świata zewnętrznego, należą do poezji **dramatycznej**.

Daj przykłady **poezji dramatycznej**.

Rozróżniamy więc 4 rodzaje poezji: **epiczną**, **liryczną**, **dydaktyczną** i **dramatyczną**.

RÓDZAJE POEZJI EPICZNEJ.

Baśń, legenda, podanie.

Przeczytaj »Baśń o Sobotniej górze« (str. 244). Co jest treścią tego utworu? Czy jest on prawdopodobny? Czy jest w nim jaka prawda? Kto jest autorem tej baśni?

Treścią baśni jest miłość synowska. Mimo fantastyczności i nieprawdopodobieństw jest w niej ta wielka prawda, że miłość cuda czyni i zwycięża nieraz wielkie przeciwności. Napisał tę baśń Roman Zmorski, poeta XIX w. ale nie on

jest jej autorem, bo nie on ją stworzył, — jest ona bardzo stara, spotykamy ją w ustach ludu, opowiadaną tak albo inaczej, ale zawsze z podobnem zakończeniem.

Czy tylko tę baśń znasz? Jakie jeszcze słyszałeś i od kogo?

Baśnie opowiadają nam piastunki, — opowiada je lud w długie wieczory zimowe, — to jego pierwsza poezja; — układał je wtedy, gdy nie znano książek, kiedy ludzie wierzyli w to wszystko, co w baśniach opowiadają: wierzyli w żywą wodę, w gadające drzewa, zwierzęta i ptaki, ożywiali całą naturę na podobieństwo człowieka i w jej tworach widzieli myślące, czujące, wrogie nam albo przyjazne istoty; wierzyli w czarodziejów czyli ludzi, posiadających niedostępne innym tajemnice, w smoki, potwory i t. p. — w życiu ludzkim i otaczających zjawiskach widzieli walkę dobra ze złem; ubolewali, gdy złe zwyciężało, wierzyli jednak mocno w ostateczny tryumf dobra na tym świecie, i dlatego w baśniach zawsze złe jest ukarane, a cnota nagrodzona.

Więc **baśń** to fantastyczna opowieść ludowa, oparta na wierzeniach w potęgę sił nadprzyrodzonych, biorących żywy udział w życiu człowieka.

Oprócz baśni ludowych mamy też baśnie w podobny sposób pisane przez poetów, dla wyrażenia alegorycznie jakiejś myśli, np. baśnie Andersena. Czy znasz »Ropuchę«, »Krasnoludka« lub inną baśń Andersena? Co autor chce w nich wypowiedzieć?

Przeczytaj »Prządki« Zmichowskiej. (B. Un. lud).

Przypomnijmy sobie legendę o św. Wojciechu.

Bolesław Chrobry chciał wykupić jego ciało od Prusaków. Paganie żądali tyle złota i srebra, ile ono zawąży. Lecz okazało się, że w porównaniu z ciałem św. męczennika, złoto i srebro żadnej wagi nie ma. A jeden pieniążek ubogiej wdowy, z gorącą miłością na szalę rzucony, zrównoważył ciężar ciała, bo również był ofiarą.

Czy to jest historyczna prawda? — Czy możemy tę opowieść nazwać baśnią? Czem się od baśni różni?

Jest także o zdarzeniach nadzwyczajnych i cudownych, lecz zamiast sił przyrody, występuje tu moc Boga, rzeczywista postać św. Wojciecha, pojęcia chrześcijańskie.

Czy znasz »Legendy o Matce Boskiej« (B. U. Lud.) »O Chrystusie« — o św. Janie Kantym i t. p.

Możemy więc powiedzieć, że **legenda** jest to pełne fantazji opowiadanie ludowe, oparte na pojęciach chrześcijańskich, w którym występuje czynnie Chrystus, Matka Boska lub święci, i cud, jako widomy objaw woli Boskiej.

Jeśli w opowiadaniu odgrywają rolę bóstwa i bohaterowie pogańscy, to nazywamy je **mytem**.

Przeczytaj »Dwie łaki« Sienkiewicza (str. 238). Czy słusznie autor nazwał to opowiadanie legendą? Dlaczego to uczynił? — Czy to jest męt rzeczywistości istniejący?

Jaką myśl alegoryczną zawiera ten utwór?

Przypomnijmy sobie podanie o Krakusie, Wandzie, Popielu, — czy możemy je nazwać baśnią lub legendą? — Czem się różni podanie od baśni i legendy?

Czy w podaniu jest coś pewnego?

W podaniu o Krakusie rzeczywistością jest Kraków, do którego to podanie zostało przywiązane, — prawdopodobnem jest istnienie Kraka, mieszkańca, a może właściciela ówczesnego grodu Krakowa; — możemy oglądać także smoczą jamę, — pokazują kopiec Krakusa. Mamy też kopiec Wandy. Mamy na Gople t. zw. mysią wieżę, gdzie niby myszy zagryzły Popielą, — widzimy zatem, że podanie najczęściej przywiązane jest do jakiejś miejscowości, człowieka, faktu historycznego, np. podania o Twardowskim, o żelaznych słupach Chrobrego, założeniu Wilna przez Gedymina i t. p. — nie zawsze ma na celu myśl moralną i ukaranie zła, — nie występuje w niem Bóg ani święci.

A zatem **podanie** jest to opowieść ludowa (niekiedy kronikarska) zwykle fantastyczna, przywiązana do istniejącej miejscowości, postaci historycznej, faktu rzeczywistego.

Daj przykład baśni, legendy, podania; wytłumacz, dlaczego tak nazwałeś każde z danych opowiadań.

Ballada, śpiew historyczny, duma.

Przeczytaj balladę »Młodzieniec zaklęty« (str. 242). Co jest jej treścią? Fantastyczne opowiadanie, oparte na wierzeniach ludu, o młodzieńcu, który pod wpływem czarów zwolna kamienieje. Z tem łączy się podaniowa postać Twardowskiego, i myśl, że lepiej umrzeć, niż żyć pośród zupełnie obcych ludzi.

Mamy więc fantastyczność, cudowność, pierwiastek ludowy, — formę wierszowaną, strofkową, artystycznie opracowaną.

Przeczytaj ballady Mickiewicza: Świtez, Lilje, To lubię.

W pierwszej mamy znowu podanie ludowe o zatopionem mieście, fantastyczną postać złowionej kobiety, cudowną przemianę ludzi w kwiaty, a całość przywiązana do istniejącej miejscowości.

I Lilja i To lubię mają te same pierwiastki i są oparte na wierzeniach ludu.

Możnaby więc powiedzieć, że **ballada** odtwarza w pięknej formie, mową wiązaną, strofkami, jakieś zdarzenie cudowne, fantastyczne, tajemnicze, oparte na pojęciach i wierzeniach ludowych.

Przeczytaj śpiew historyczny Niemcewicz p. t. Zawisza Czarny.

Co treść jego stanowi? Postać historyczna i jej losy rzeczywiste. W jakiej formie opiewa je poeta? Mową wiązaną, wierszem artystycznie pięknym, melodyjnym, strofkami.

Więc **śpiewem historycznym** nazywamy utwór niezbyt długi, w którym autor pięknym i dźwięcznym wierszem (strofkami) opiewa jakąś postać lub zdarzenie historyczne.

Duma o Koreckim (str. 272) opiewa także pięknym, artystycznym wierszem zdarzenie historyczne, różni się tylko tem od śpiewu, że autor maluje zdarzenie smutne: śmierć męznego rycerza, — takie utwory nazywamy **dumą**.

Przeczytaj Dumę o Stanisławie Żółkiewskim Niemcewicz, — o Michale Głińskim, Stefanie Potockim.

Określ różnice między balladą, śpiewem historycznym i dumą.

Obrazek rodzajowy i liryczny, powiastka, anegdota.

Przeczytaj »Święcone u Radziwiłła« (str. 264). Co stanowi treść tego opowiadania? — Daje nam ono w sposób obrazowy pojęcie, jak obchodzono poranek wielkanocny na dworach wielkich panów w XIX w. Nazwa sama nasuwa się na myśl — to **obrazek**, jedna scena z życia.

Jeśli obrazek taki zgodnie z rzeczywistością maluje jakiś rys obyczajowy, to nazywamy go obrazkiem rodzajowym.

Czy moglibyśmy nazwać obrazkiem rodzajowym opis śniadania w domu pana sędziego w Panu Tadeuszu? — lub grzybobranie? — Zosie karmiącą drób? i t. p. Widzimy więc, że obrazek rodzajowy może być pisany mową niewiazaną lub wiazaną.

Przeczytaj »Przed sądem« M. Konopnickiej (str. 16). To także tylko o b r a z e k, bo przecież w tem opowiadaniu niema wcale zdarzeń, możemy je w całości odmalować jednym rysunkiem, to jedna chwila z życia kilku osób.

O co chodzi autorce w tym obrazku: czy o rys obyczajowy? zgodne z prawdą przedstawienie osób chłopca, sędziego, pisarza? — Nie to jest dla niej rzeczą najważniejszą, postaci oznacza tylko paru linjami, które jej są potrzebne do wzbudzenia współczucia dla biednego dziecka, pozbawionego opieki i światła. Autorka chce wzruszyć czytelnika i przemawia do niego surowym głosem przyszłości, przemawia z silnem, gorącym uczuciem.

Jeśli w obrazku przeważa uczucie, a zadaniem jego — wzruszyć czytelnika, nazywamy taki utwór obrazkiem lirycznym.

Czy znasz »Jaś nie doczekał«, »W piwnicznej izbie«, »Z szopką«? — Czy w tych obrazkach przeważa uczucie, czy wiernie malowana rzeczywistość?

Wartość obrazka rodzajowego polega właśnie na doskonałem uchwyceniu prawdy, cech rzeczywistych i charakterystycznych, — w lirycznym nieraz autor trochę zmienia prawdę, uwydatniając niektóre cechy, a pomijając inne, jeśli tego potrzebuje dla uwydatnienia swej myśli.

Przeczytaj »Garść ziemi ojczystej« (str. 279). Jak nazwiesz ten obrazek? Goście (str. 210).

Określ, co to jest obrazek? jakie możemy rozróżnić obrazki? — czy to utwór wierszowany, czy pisany mową niewiązaną?

Przeczytaj »Dziekan z Badajoz« (str. 28). Czy to obrazek? — Niezupełnie, — to już nie jedna scena, lecz cały szereg. Nie chodzi autorowi ani o rys obyczajowy, ani o wzruszenie czytelnika, ale o wypowiedzenie myśli, że ludzie są niewdzięczni.

To **powiastka** czyli krótkie opowiadanie, zwykle mające na celu przekonać o czemś czytelnika, dać mu jakąś naukę.

Przeczytaj »Panna Guzdralska« Niemcewicza ¹⁾. O co tu autorowi chodzi?

Najwięcej mamy powiastek dla dzieci, dajemy w nich zwykle jakąś moralną prawdę.

Jeżeli powiastka zawiera dużo komizmu i napisana jest w celu zabawienia czytelnika, to nazywa się **humoreską**.

Przeczytaj »Dyplomata« (str. 192). Czy to powiastka? Nie, — nawet nie obrazek — to **anegdota**. Króciutkie, niezawsze prawdopodobne, a zabawne opowiadanie o drobnem zdarzeniu, lub dowcipna rozmowa np.

Polak jeden, jechawszy na naukę do Włoch, nie był tam, jeno przez lato, a na zimę przyjechał zaś do domu. Kiedy go ojciec pytał, czemu tak rychło przyjechał, odpowiedział, że »mię tam przez wszystko lato trawą karmiono tak, żem się bał, żeby mi w zimie siana nie dawano«.

J. Kochanowski.

Dwu kotu w jeden wór nie sadzać.

Kancierz jeden koronny zwykł był mawiać: »Z każdym się zgodzę, jedno z łakomym nie: bo on chce, a ja też chcę«.

J. Kochanowski.

¹⁾ Wybór poezji Niemcewicza B. Un. Lud.

Trafił swój na swego.

August II Sas, król polski, był bardzo silny. Pewnego razu podczas samotnej wycieczki koń jego zgubił podkowę i zaczął kuleć. Król zatrzymał się więc przed jakąś kuźnią i kazał go podkuć. Lecz gdy kowal przyniósł podkowę, August wziął ją do ręki i złamał. Kowal przyniósł drugą i trzecią, lecz każda łamała się w rękę, jak skorupka. Zdumiony biedak nie wiedział, co począć. Nakoniec August jedną uznał za dość mocną, pozwolił podkuć konia i dał kowalowi talara. Lecz ten złamał go jak marchewkę. Toż samo zrobił z drugim i trzecim. Zrozumiał król nakoniec, że trafiła kosa na kamień, i dał dukata, którego kowal przyjął bez próby.

Do jednego chudego poety przyszedł wierzyiciel i domagał się o należność. Poeta, mając głowę nabitą swoją tragedją, zawołał: Czego tu stoisz, wrogu? Mości panie — odparł wierzyiciel — ja stoję na środku pokoju, nie w rogu.

Na egzaminie z religji zapytano małej dziewczynki, jaka jest różnica między Starym a Nowym testamentem. Taka — odpowiedziała — że Stary to jest podarty, a Nowy czysty i cały.

— Przynieś szklankę wody dla gościa — zawołał pan na chłopca posługującego. Ten przyniósł szklankę wody w rękę. Głupis — powiedział pan — podaje się na spodku, — wróć się i podaj, jak należy. Chłopiec wyszedł, wylał wodę na spodek i przyniósł powtórnie, zadając sobie pytanie, jak też gość pić ją będzie.

A. Żółkowski.

Gawęda, sielanka.

Przeczytaj teraz »Kradzione« L. Kondratowicza, — zastanówmy się nad treścią i formą tego utworu.

Treść opowiada głównie o jednym zdarzeniu, ale prześledź przed nami cały szereg obrazów, malujących jego przebieg, przyczyny i następstwa, — to też jakby powiastka, ale trochę inna, autor swobodnie nieraz odbiega od treści, aby dość obszernie opowiedzieć jakiś szczegół.

Czy forma jest bardzo piękna i artystycznie obmyślana? Nie, o piękność wiersza autor tak bardzo nie dba, stosuje go do treści, prostej, niewykwintnej. Takie opowiadanie nazy-

wamy gawędą, bo jest jak gdyby od niechcienia, bez sztuki, tak sobie, jakieś zdarzenie przyszło na myśl podczas pogawędki i opowiedziane zostało bez przygotowania. Zwykle też autor wkłada to opowiadanie w czyjeś usta.

Przeczytaj »Urodzony Jan Dęboróg« Syrokomli. — Co jest treścią tej gawędy? Przeczytaj »Garść pszenną«, »Szkolę wiejską«, »Tereferę« i »Szerpentyne« — Syrokomli.

Gawędy te opowiadają zwykle drobne, błahe zdarzenia z prostotą, swobodnie, niekiedy zamasyżcie, — czy to z życia szlachty, czy chłopą, żołnierza i t. p. dlatego nazywamy je nawet: gawęda szlachecka, ludowa, żołnierska i t. p.

Przeczytaj »Wiesława« Brodzińskiego i »Sielankę« Sienkiewicza, — co w każdej z nich autor maluje?

Jeden i drugi utwór to proste, pogodne opowiadanie na tle życia wiejskiego i przyrody; takie utwory nazywamy **sielanką**.

»Wiesław« jest obszerniejszy, daje kilka obrazów, obejmuje pewną grupę ludzi, maluje zabawy, obyczaje wiejskie, troski i radości swoich bohaterów, sięga nawet w przeszłość, choć bardzo pobieżnie.

»Sielanka« Sienkiewicza, — to jeden dzień zaledwie, słoneczny, pogodny, piękny — jak dusze jego dwojga bohaterów.

A forma? Czy poeta więcej troszczy się o piękno niż w gawędzie? Czy najpiękniejsze obrazy natury może uwydatnić forma zaniedbana?

Ponieważ w sielance pogoda i piękno są warunkiem koniecznym, więc musi być do tego przystosowana i forma, dlatego jest zwykle bardziej artystyczną, przy prostocie i swobodzie.

Nowela — poemat.

Przeczytaj »Papieruchę« Świętochowskiego (str. 254). Czy znasz »Latarnika« Sienkiewicza? — »Dym« lub »Naszą szkapę« Konopnickiej? »ABC«, »Babunię« Orzeszkowej? »Anielkę«, »Katarynkę« Prusa? Napewno znasz niejedno z tych opowiadań, — są to także niby powiastki, treścią ich głównie

jedno zdarzenie, malują jakiś ułamek życia; ale różnią się od powiastki bardzo piękną, artystycznie wykończoną formą.

Takie krótkie i piękne opowiadanie o jakimś zdarzeniu albo szeregu zdarzeń, obejmujących mały odłamek życia — nazywamy **nowelą**.

Cóż może być treścią noweli? — »Papierucha« to zdarzenie w podróży powracających z wakacji studentów, które mówi im co innego, niż profesor z katedry. W »Latarniku« maluje autor potęgę wspomnień, jakie w duszy starca-tułacza budzi odczytywanie »Pana Tadeusza« na obczyźnie, w osamotnieniu. »Dym« — wypadek w fabryce, który burzy spokojne życie dwojga ludzi — słowem: w każdej noweli jest głównie jedno zdarzenie, reszta szczegółów potrzebna tylko do tego, abyśmy to zdarzenie dobrze zrozumieć mogli, np. poprzednie życie Latarnika albo Joanny Lipskiej w ABC.

Co powiesz o formie noweli: czy jest pisana mową związaną, czy niewiązaną.

Czy znasz »Grażynę« Mickiewicza? »Jana Bieleckiego«, »Ojca Zadżumionych« Słowackiego? »Marję« Malczewskiego? Przeczytaj jeden z tych utworów.

Co jest treścią »Ojca Zadżumionych«? Rozpacz nieszczęśliwego ojca, któremu okropna zaraza podczas kwarantanny w ciągu kilku tygodni zabija wszystkie dzieci i żonę. To tylko krótki ustęp z życia tego człowieka, którego przeszłości nie znamy, nie wiemy, co pocznie potem, — jakby nowela, napisana mową związaną. Taki utwór nazywamy poematem (powieścią poetycką).

Poemat zatem, czyli powieść poetycka, jest to utwór piękny, niewielkich rozmiarów, malujący głównie jedno zdarzenie, prawdziwe, historyczne, lub zmyślane. Występuje tu niewiele osób i z życia ich autor daje tylko urywek.

W »Grażynie« mamy dzieje jednej nocy i poranku, potem chwilę palenia zwłok na stosie; działają głównie trzy osoby; treścią jest poświęcenie kobiety dla ocalenia kraju od wojny bratobójczej, a męża od hańby przymierza z wrogami.

W »Janie Bieleckim« — zemsta pokrzywdzonego szlachcica; w »Marji« okropna śmierć nieszczęśliwej kobiety, ofiary magnackiej pychy.

Treść zatem poematu jest przeważnie wysoce poetyczna, forma prawie zawsze wierszowana.

Powieść — epopeja.

Czy w »Potopie« lub »Krzyżakach« Sienkiewicza mamy także głównie jedno zdarzenie? jednego bohatera?

W »Krzyżakach« mamy najpierw napad Zbyszka na Krzyżaka i ocalenie Zbyszka od śmierci przez Danusie — to jakby jedna całość; mamy postać Juranda ze Spychowa, porwanie jego córki, upokorzenie i krzywdę nieszczęśliwego ojca, odnalezienie Danusi i chrześcijański czyn Juranda — przebaczenie, — to druga całość; drobny ale cały sam w sobie obrazek stanowi zamieć śnieżna i ocalenie ofiar, zasypanych śniegiem; — całość tworzy Jagienka, jej postać i stosunek ze Zbyszkim, szlachetność i poświęcenie, наконец szczęśliwe małżeństwo; — a dalej cały obraz stosunku Polski do Krzyżaków: typy krzyżackie, ich różnorodność, przewrotna polityka, ich uczty i siedziby, i społeczeństwo polskie: król Jagiełło, Jadwiga, wielcy panowie i szlachta, ich sposób życia, zabawy, uczucia, pojęcia, dążenia, złe i dobre strony; — wreszcie zetknięcie się tych dwóch odrębnych światów na polu walki i — bitwa grunwaldzka. Bitwa grunwaldzka to znów całość sama w sobie, cały skończony obraz.

I nie wyliczyliśmy jeszcze wszystkich: nie wspomnieliśmy nawet o śmierci Jadwigi, która jest także całością, obrazem.

Widzimy więc, że »Krzyżacy« to cały szereg obrazów i zdarzeń, w znacznej części historycznych, niekiedy zmyślnych, zajmujących dość długi przeciąg czasu, pozwalających nam poznać ludzi tej epoki pod względem pojęć, uczuć i sposobu postępowania — taki utwór nazywamy powieścią.

Niezawsze jednak powieść przedstawia nam zdarzenia i osobistości historyczne, — czy znasz »Nad Niemnem«, »Meira Ezofowicza« Orzeszkowej? — »Krystynę« Hoffmanowej? »Spekulanta« Korzeniowskiego? »Szary proch« Rodziewiczówny? »Placówkę« Prusa? Przeczytaj jedną z tych powieści.

Nie spotykamy w nich ani osób, ani wypadków historycznych, lecz obraz życia jakiejś części społeczeństwa lub jednostki w pewnej chwili: »Nad Niemnem« to współczesna szlachta polska, osiadła na Litwie, czy w ubogim zaścianku, czy też w pańskim dworze; jej wzajemny stosunek, sposób myślenia, wady, zalety — słowem: obyczaj, charakter. »Meir« — to świat żydowski w małym miasteczku, zapasy ciemnego i fanatycznego motłochu ze szlachetnym marzycie-

lem. »Placówka«, to walka o ziemię chłopą, gorąco do niej przywiązanego, z kolonistami niemieckimi. »Nad Niemnem« — »Meir«, »Placówka« — to także powieści.

Możemy więc powiedzieć, że **powieść** jest to obszerniejszy utwór epiczny, który w artystycznej formie przedstawia większy odłam życia jednostki, pewnej warstwy społecznej lub narodu w danym okresie czasu.

Wymień powieści, których treścią jest życie narodu w danym okresie, — życie jednej warstwy społecznej, — życie jednostki. — Czemże więc powieść różni się od noweli i poematu? Zestaw »Krzyżaków« z »Grżyną«, »Nad Niemnem« z »Latarnikiem«.

Rozróżniamy kilka rodzajów powieści:

Jeśli autor maluje zdarzenia i postaci historyczne, musi je malować zgodnie z tem, co o nich wiemy, co nam mówi historia, — taką powieść nazywamy **historyczną**.

Jakie znasz powieści historyczne? Dlaczego je tak nazywasz?

Jeśli autor przedstawia w powieści życie prywatnych ludzi albo pewnych warstw społecznych, zwyczaje i obyczaje współczesne — będzie to powieść **obyczajowa**.

Jakie znasz jeszcze powieści obyczajowe?

Niekiedy autor chce w powieści przekonać o czemś czytelnika; np. w powieści »Nad Niemnem«, oprócz wielu innych rzeczy, chce powiedzieć, że śmieszną i szkodliwą jest granica między ludźmi, którą wytworzył przesąd, — ta granica nie pozwoliła zacnej Marcie stworzyć własnego ogniska domowego; Justyna potrafiła odrzucić przesąd i śmiało z pańskiego dworu przeszła do własnej chaty. Taka powieść (historyczna czy obyczajowa), w której autor wypowiada jakiś pogląd, zasadę, dąży do tego, aby zbudzić w czytelniku pewną myśl, uczucie, nazywa się **tendencyjną**.

Czy znasz jaką powieść tendencyjną?

Co to jest powieść fantastyczna?

Powieść większych rozmiarów na tle historycznem lub społecznem nazywają niektórzy **romansem**.

Czytaliśmy wszyscy »Pana Tadeusza«, jaka jest jego treść?

»Pan Tadeusz« daje nam obraz Litwy w r. 1811 i 12, wypadki historyczne wskazują nam dokładnie, kiedy opisywani przez Mickiewicza ludzie tak żyli, czuli, myśleli. Możemy sobie doskonale wyobrazić na podstawie tego utworu, jak w owym czasie na Litwie żyła szlachta, nawet jak się ubierała, co jadła, — jakie były jej zwyczaje i zabawy; co ją zajmowało, wzruszało, gniewało; poznajemy jej charakter i uczucia, jej stosunek do przeszłości i przyszłości. Oprócz tego mamy tu cały obraz przyrody litewskiej: pól uprawnych i puszczy, pogody i burzy, poranku i wieczoru, słowem — dokładny obraz kraju i społeczeństwa ziemiańskiego w pewnym ściśle określonym czasie, na tle wypadków historycznych.

Taki utwór nazywamy **epopeją**.

Epopeja jest zatem do pewnego stopnia jak gdyby powieścią wierszowaną na tle historycznym. Najdawniejsza, jaką znamy, epopeja grecka, *Iliada*, na tle niby historycznego wypadku, wojny trojańskiej, odtwarza doskonale całe życie ówczesnych Greków, ich wierzenia religijne, pojęcia, obyczaje, sposób prowadzenia wojny i t. p. — w »Panu Tadeuszu« nie mamy obrazu życia całego narodu, i może dzisiaj jest to już niepodobieństwem obraz taki w jednym utworze odmalować, gdyż życie nasze jest nieskończenie bardziej złożone, niż było życie Greków w epoce wojny trojańskiej.

Czem różni się epopeja od powieści i poematu?

POEZJA EPICZNO-DYDAKTYCZNA (nauczająca).

Bajka — przypowieść — satyra.

Przeczytaj »Owieczka i pasterz«, »Talar i czerwony złoty« (str. 107). Czy należy dosłownie rozumieć te utwory?

Każdy z nich jest alegorią (str. 108); mówiąc o owcy i pasterzu lub o dwóch monetach, autor ma na myśli ludzi, ich stosunki, wady, ułomności, które dowcipnie przedstawia, aby im dać nauczkę w artystycznej formie.

Tego rodzaju utwór nazywamy bajką.

Czy to jest poezja, czy proza?

Proza musi być ściśle zgodna z rzeczywistością, maluje prawdę wiernie, a tu jest zmyślenie — więc to nie proza.

Ale proza uczy, a bajka jest przecież nauką.

Poezja wzrusza nas, zachwyca, a żadna z tych bajek wzruszyć ani zachwycić nie może.

Ale poezji wolno nadawać życie twórcom martwym, obdarzać zwierzęta mową, działać na naszą wyobraźnię — to znajdujemy w bajce.

Widzimy zatem, że bajka stanowi połączenie prozy i poezji: prozą jest myśl w niej zawarta (pierwiastek nauczający), poezją — obrazowość, fantazja i mowa wiązana.

Taką poezję, w której nietyle chodzi o piękno i uczucie, lecz głównie o myśl, naukę, prawdę moralną, nazywamy dydaktyczną czyli nauczającą.

Ponieważ w bajce oprócz myśli moralnej jest i opowiadanie, z którego właśnie nauka wypływa, przeto zaliczamy ją do poezji epiczno-dydaktycznej.

Bajka więc jest to jakby mała powiastka lub obrazek alegoryczny, zawierający jakąś naukę, najczęściej podaną w formie rozmowy lub zdarzeń ze świata zwierzęcego, roślinnego lub ciał martwych.

Wskaż w bajkach »Owieczka i pasterz« »Talar i czerwony złoty« pierwiastek epiczny (opowiadający) i dydaktyczny (nauczający).

Przeczytaj parę bajek Krasickiego, Mickiewicza, Morawskiego. (Wybór B. Un. Lud.).

Porównaj: baśń i bajkę.

Do jakiej poezji zaliczysz **przypowieść** Mickiewicza (str. 107)? albo **przypowieść** z Pisma świętego o Siewcy? o Synu marnotrawnym?

Co w tych utworach stanowi pierwiastek dydaktyczny? co jest poezją?

Jaką widzisz różnicę między bajką a przypowieścią?

Pod względem formy: bajka prawie zawsze pisana jest mową wiążaną, — przypowieść mową niewiązaną, stylem biblijnym, ponieważ w Biblii mamy pierwsze wzory przypowieści.

W bajce często występują zwierzęta, jako istoty rozumnie działające, — w przypowieści zaś nigdy.

Bajka bywa dowcipna, żartobliwa, ironiczna, — przypowieść zawsze poważna.

Treścią przypowieści są najczęściej głębokie, wzniosłe myśli, o charakterze religijnym i moralnym, — bajka maluje zwykle błędy ludzkie.

Przeczytaj satyrę »Do króla« (str. 202).

Co jest treścią tego utworu? Autor, niby ganiąc króla, wyszydza tych, którzy śmieszne stawiają mu zarzuty: że nie pochodzi z królewskiego rodu, że jest Polakiem, że młody, łagodny, szerzy światło, kocha książki i t. p.

Przeczytaj »Piękna polszczyzna« Rodocia (str. 302). — Jaka jest treść tego utworu?

Widzimy więc, że **satyra** wyszydza błędy i wady ludzkie, najczęściej w artystycznych obrazach lub opowiadaniach. Czyni to w sposób żartobliwy, wesoły, szyderczy, — albo poważny, niekiedy gorzki lub zjadliwy, stosownie do indywidualności autora, którego zło może śmieszyć lub boleć.

Przeczytaj »Pijaństwo« Krasickiego. »Nie jestem przy apetycie., »Myśliwi« — Rodocia.

POEZJA LIRYCZNA.

Przeczytaj »Żórawie« Tetmajera (str. 215). Co jest treścią tego urywku? **U c z u c i e**, jakie budzi w autorze widok odlatujących żórawi. Jest to jak gdyby połączenie pięknego (artystycznego) opisu z wyrażeniem uczuć autora — takie utwory nazywamy **liryką opisową**.

Przeczytaj sonet »Stepy akermańskie« i »Burzę« Mickiewicza, — czy możesz je zaliczyć do liryki opisowej? Czy znajdziesz więcej podobnych utworów w tej książce? Czy więcej pisanych mową wiązaną, czy niewiązaną?

Przeczytaj następującą **pieśń** ludową.

W polu ogródeczek,
W polu malowany.
A któż go ogrodził?
Jasio mój kochany.

A w tym ogródeczku
Czerwone gwoździki.
Zapręgaj, Jasieńku,
Cisawe koniki.

Jakże mam zaprzęgać,
Kiedy się motają.
Ciężki żal dziewczynie,
Kiedy jej ślub dają.

A dają jej, dają
W tym naszym kościele;
Nie wstydź się, dziewczyno,
Odpowiadaj śmieie.

Przyszła do kościoła,
Uklękła z druchnami,
Co spojrzy na druchny,
Zaleje się łzami.

Spojrzyjcie, panienki,
Spojrzyjcie, mężatki,
Jaki żal dziewczynie
Odchodzić od matki.

Pieśń ludowa to najdawniejsza liryka. Tworzono pieśni jeszcze w czasach przedhistorycznych: śpiewał je dziad-lirnik, młodzieniec-poeta, smutna i wesoła dziewczyna, — wypowiadano w nich wszelkie uczucia, były konieczne przy wszelkich obrzędach. A gdy jedne ginęły, powstawały nowe. Mamy też bardzo wiele pieśni ludowych z różnych czasów, należą do nich t. zw. krakowiaki, kujawiaki i t. p. Następującą pieśń możnaby nazwać szlachecką. — Dlaczego?

Wzmę ja kontusz, wzmę ja kontusz,
Szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej,
Tam się ucieszę.

Przyjechał do niej, przyjechał do niej,
Puknął w okienko:
Wyjdźże, dziewczyno, wyjdźże jedyna,
Wyjdźże, panienko.

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
Jak różany kwiat,
Oczki zapłakała, rączki załamała,
Zmienił jej się świat.

— Czegóż ty płaczesz, czego lamentujesz,
Dziewczyno moja?

— Jakże nie mam płakać, nie mam lamentować:
Nie będę twoja!

— Będiesz ty moja, będziesz jedyna,
Będiesz, dalibóg,

Ludzie mi cię raja, i rodzice daja,
I sam sędzia Bóg!

Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,
A ja doliną,
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną.

Ty pójdiesz drogą, ty pójdiesz drogą,
A ja lasami,
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
A ja łezkami.

Ty będziesz panią, ty będziesz panią
Na wielkim dworze,
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem
W białym klasztorze.

A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,
Każemy sobie
Złote litery, złote litery
Wybić na grobie.

A kto tam przejdzie, a kto przejedzie,
Przeczyta sobie:
Złączona miłość, złączona miłość
Leży w tym grobie!

Do pieśni ludowych należą też **dumki**, proste, rzewne, tęskne i smętne piosenki, najczęściej ukraińskie, np.:

DUMKA.

Bohu! Bohu! sławna rzeko!
Żal mi, żal mi cię!
Twoje wody z jękiem cieką,
A nikt nie wie — gdzie...

Hej! Kozacze! twoje oczy
Zamroczone łzą?
Coś ci serce ciężko tłoczy,
A nikt nie wie — co...

Boh do morza het popłynie
I nie wróci wstecz;
Kozak marnie gdzieś zaginie
Na czużynie ¹⁾ precz.

Boh i kozak w smutnej dumie
Nuca sobie wraz;
Ale nikt ich nie rozumie...
Bo ludzie jak głaz.

Najdawniejszą znaną pieśnią polską jest »Bogurodzica« (str. 22) — Przeczytaj »Pieśń poranna« Karpińskiego — treść obu religijna. »Powrót wiosny« Kochanowskiego, »Pieśń o domu« Konopnickiej (str. 118). »A żebyś ty, jasne słońko, wiedziało« — tejsze autorki, — to pieśni literackie, treść ich najrozmaitsza: uczucie religijne, miłość ojczyzny, piękno przyrody, wesele, smutek, miłość, wszystkie jednak cechuje wiersz lekki i dźwięczny, wszystkie nadają się do śpiewu, — takie właśnie utwory liryczne, melodyjne i śpiewne nazywamy **pieśnią**. Forma ich zawsze zwrotkowa.

Jakie jeszcze pieśni znajdziesz w tej książce?
Jaka jest różnica między dumą i dumką?

Przeczytaj »Czemu mi smutno« (str. 216).

Czy możemy ten utwór nazwać pieśnią?

Nie jest dość melodyjny, niema budowy zwrotkowej; odznacza się większą kunsztownością. Treścią jego nietylko uczucie smutku, ale zastanawianie się nad przyczynami tego smutku (pierwiastek refleksyjny), — to elegja.

A więc **elegja** to utwór liryczny, w którym poeta wyraża uczucie smutku i zastanawia się nad jego przyczynami.

Przeczytaj: »O czem tu dumać na paryskim bruku« Mickiewicza, (wstęp do »Pana Tadeusza«).

Czem się różni elegja od pieśni, wyrażającej smutek, i od dumki?

¹⁾ Na obczyźnie

Przeczytaj »Tren VI« Kochanowskiego (str. 23). Jaka jest jego treść? czy przypomina elegję? czem? i czem się od niej różni?

Poeta wypowiada tu również uczucie smutku, zastanawia się nad przymiotami zmarłej córki, rozpamiętywa jej ostatnie chwile.

Tren więc może być uważany za pewną odmianę elegji, różni się od niej tem, iż zawsze wyraża ból i żal z powodu czyjejs śmierci.

Od XVI w. spotykamy często treny w naszej literaturze, najpiękniejsze jednak są treny Kochanowskiego po śmierci ukochanej Orszulki.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy.
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca.

Patrz na dół! kędy wieczna mgła zacienia
Obszar, gnuśności zalany odmętem:

To ziemia!

Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;

Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby...
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nieć powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szaleń,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dziekiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piektu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie;
Młodości! orla twych lotów potęgą,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...

Dalej z posad, bryło świata!
Nowymi cię pchniemy tory,

Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: »Stań się« z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie...
Oto miłość ogniem zionie,
Wydzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Pryskają nieczule lody
I przesady światło ćmiące...
Witaj, jutrenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Jakie uczucia wyraża autor w tym utworze? — Wiare w potęgę młodości i nadzieję, że ona świat odrodzi. Ona miłością cuda czynić może, gdy zespoli wszystkie siły do jednego celu; — ona jak orzeł wzlatuje ku niebu, spada jak piorun szybka i potężna, — ona z chaosu świat ducha wywiedzie i zapewni przyszłość szczęśliwą ludzkości.

Autor nazwał ten utwór **odą**, gdyż tak nazywamy utwory liryczne o nastroju wzniosłym, w których wypowiadamy uczucia podziwu, uwielbienia i czci dla idei, czynu, bohatera, zjawiska natury i t. p.

Siła i wielkość uczucia, a zarazem mniejsza prostota i melodyjność wiersza odróżniają odę od pieśni.

O DOBRODZIEJSTWACH BOGA.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary!
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata, Tys niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tys fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie gwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie gwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twojej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzą swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twojej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twoja dobroć nigdy nie ustanie!
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

Jan Kochanowski.

I tu autor wyraża podziw, uwielbienie, wdzięczność, ponieważ jednak wszystkie te uczucia zwrócone są do Boga, nazywamy taki utwór **hymnem** lub **psalmem**.

Różnica między hymnem i psalmem trudna jest do określenia, możnaby powiedzieć jednak, że hymn to jakby oda na cześć Boga, — psalm często wyraża żal i skrucę wobec Boga.

LIRYKA REFLEKSYJNA.

PIEŚŃ O DOBREJ SŁAWIE.

Jest kto, coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy,
Chciał ze mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy?

A starać się, ponieważ musi zniszczyć ciało,
Aby imię przynajmniej po nas tu zostało?

I szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęce¹⁾ żyje,
Tkając, lejąc w sie wszystko, póki zstawa szyje:
Nie chciał nas Bóg położyć²⁾ równo z bestyjami,
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami.

Przeto chciejmy wziąć przed sie myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy pocziwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje:
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega.

A ty, coć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz się z poganinem, jako słusze cnemu:³⁾
Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje.

Śmiałemu wszędy równo, a o wolność miłą
Godzi się oprzeć, by więc i ostatnią siłą:
Nie przegra, kto frymarczy⁴⁾ na sławę żywotem:
Azaby go dał lepiej w cieniu⁵⁾ darmo potem?

J. Kochanowski.

Czy to także utwór liryczny?

Tak, lecz autor wypowiada w nim nietylko uczucia, ale i myśli swoje o wartości przemijających uciech i zysków wobec nieśmiertelnej sławy, i mówi, że nawet ten nie traci, kto w dobrej sprawie życie za sławę oddaje. Poucza nas więc, i dlatego możemy tę pieśń zaliczyć do liryki dydaktycznej (refleksyjnej) czyli nauczającej.

Przeczytaj »Sonet XIII« Asnyka (str. 303). Jaka jest treść jego i do jakiej poezji go zaliczysz?

¹⁾ Po bydlęcemu. ²⁾ Postawić na równi. ³⁾ Przystoi cnotliwemu.

⁴⁾ Kupczy. ⁵⁾ Czyżby lepiej było, gdyby potem żywot darmo oddał w ukryciu?

POEZJA DYDAKTYCZNA.

Epigramata, fraszki.

Do poezji dydaktycznej zaliczamy bardzo drobne, parowierszowe utwory, w których autor, w sposób lekki, dowcipny, niekiedy uszczypliwy, wypowiada jakąś uwagę o ludziach, obyczajach, lub daje naukę moralną, — nazywamy je: fraszkami, epigramatami np.:

O STASZKU.

Gdy co nie grzechy ¹⁾ usłyszysz mój Staszek,
To mi wnet każe przypisać do fraszek.
Bracie! by się to wszystko pisać miało,
Jużby mi dawno papieru nie stało.

J. Kochanowski.

NA ZDROWIE.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz... etc.

J. Kochanowski.

NAGROBEK PIJAKOWI.

Tu leży pijak sławny, a gdy na sąd wstanie,
Spytany, co wżdy czynił? — rzecze: — Piłem, Panie.
W. Potocki.

RADA PANNOM.

Wenus na żółwiu stoi. Na co? Łatwo wiedzieć:
Że panna niema biegać, ale w domu siedzieć.

W. Kochowski.

¹⁾ Co niedorzecznego.

NA GANIĄCEGO.

Wszystko ganisz, nic w żadnym nie pochwalisz domu,
Nikt ci się nie podoba, — i ty też nikomu.

W. Kochowski.

Że kobieta z kości swój początek bierze,
Mocno temu wierzę.
Bo i Basia swoją złością
Stanęła mi w gardle kością.

Fr. Morawski.

Przysłowia i myśli.

Do poezji dydaktycznej należą także przysłowia (sentencje, maksymy), o ile odznaczają się obrazowością, — w przeciwnym razie będą należały do prozy dydaktycznej. np.

Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał.
Bardziej boli od języka, niżeli od miecza.
Nie odrazu Kraków zbudowany.
Kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha.

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży.

K. Brodziński.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób:
Ciebie, nie dzieło, porwie grób.

K. Brodziński.

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

A. Mickiewicz.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię zbogacą,
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

A. Mickiewicz.

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? Bo ma w sobie zwierza.

A. Mickiewicz.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kątą:
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

(Patrz. str. 62—63).

A. Mickiewicz.

Dra się o wolność. — Boże, nachylaj im grzbietu,
Bo wolność — jest jakoby posiadanie fletu:
Jeśli go weźmie człowiek muzyki nieświadom,
Piersi straci, — i uszy sfałszuje sąsiadom.

J. Słowacki.

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłota wiecznotrwały.

Z. Krasiński.

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we wszechświecie,
Bo cel światów — szlachetnienie.

Z. Krasiński.

Ten tylko duchem, kto zarówno duszę jak ciało swe umie na-
wlec na wolę swą — oto, jak giętką rękawiczkę na dłoń!

Zygmunt Krasiński.

Przez szczęście ja rozumiem to, co zbawiennym wpływem wznosi,
kształci i uszlachetnia ducha naszego; a nieszczęściem to, co go poniża,
nikczemni i gnębi.

N. Żmichowska.

Które z tych przysłów i myśli zaliczysz do poezji, a które
do prozy dydaktycznej?

Uwaga: Rozwinięcie i wyjaśnienie podanych myśli i przy-
słów stanowić może temat ćwiczeń stylistycznych.

POEZJA DRAMATYCZNA.

Weźmy »Zemstę za mur graniczny« Aleksandra Fredry (ojca). Co jest treścią tego utworu?

Dwaj sąsiedzi, zupełnie sprzecznych usposobień, mieszkają tuż obok siebie i kłócą się o byle drobiazg: rejent np. chce naprawić mur graniczny, a cześnik na to nie pozwala; wynika bójka, która da powód do procesu.

Rejent Milczek jest podstępny, obłudny, krętacz, słodki z pozoru, małomówny. Cześnik Raptusiewicz gwałtowny, krzykliwy, ale szczerzy, prawy i rycerski.

Syn rejenta Wacław kocha siostrzenicę cześnika Klare, lecz niezgoda pomiędzy ojcem i opiekunem nie pozwala im otwarcie przyznać się do tych uczuć.

Znęcony pozornym majątkiem przekwitającej wdówki, podstoliny, cześnik zamierza się z nią żenić. Rejent podstępnie odmawia mu narzeczoną, aby wydać ją za swego syna, wbrew woli i prośbom Wacława. Dowiedziawszy się o tem, cześnik porwya Wacława i na złość rejentowi żeni go z Klara.

Młodzi są uszczęśliwieni, cześćnik pomszczony do pewnego stopnia, a rejent złapał się we własne sidła.

Cała ta sztuka dzieli się na 4 części, zwane aktami. Są to jakby rozdziały w powieści. Każdy akt dzieli się znowu na drobniejsze cząstki t. zw. sceny. Początek nowej scenie daje wejście lub wyjście jakiej osoby.

Przeczytajmy parę urywków tej sztuki.

AKT III — SCENA IV.

(Tchórz i samochwał Papkin w imieniu cześnika przychodzi do rejenta wyzwać go na pojedynek).

PAPKIN (*wsuwając się trwożliwie*).

Wolnoż wstąpić?

REJENT. Bardzo proszę.

PAPKIN (*z najniższym ukłonem i nieśmiało*).

Pana domu i Rejenta

Widzieć w godnej tej osobie

Chłuba wielka, niepojęta

Spada na mnie w tejże dobie,

Jak niemylnie pewnie wnoszę?

REJENT (*pokornie*). Tak jest — sługa uniżony.

Wolnoż mi się w odwet spytać,

Kogom zyskał honor witać?

PAPKIN (*na stronie*). Hm! pokorna coś szlachciurka,

Z każdym słowem daje nurka —

Niepotrzebne miałem względy. —

(*Śmielej*).

Jestem Papkin.

Rejent wskazuje z ukłonem krzesło, na środku stojące — Papkin przypatruje się z uwagą Rejentowi, który, jak zawsze, z założonemi na piersiach rękoma nieporuszenie w miejscu stoi.. Papkin mówi dalej na stronie).

Jak uważam,

Skończę wszystko bez pomocy.

Głośno — wyciągając się na krześle.

Jestem Papkin — lew północy,

Rotmistrz sławny i kawaler —

okazując gestem wstęgi orderowe.

Tak, siak, tędy i owędy —

Mądry w radzie, dzielny w boju,

Dusza wojny, wróg pokoju. —

Znają Szwedy, Muzułmany,

Sasy, Włochy i Hiszpany

Artemizy ostrze sławne

I niem władać ramię wprawne.

Jednem słowem, krótko mówiąc,

Kula ziemską zna Papkina —

Teraz, bratku, daj mi wina.

REJENT (*po krótkim wahaniu na stronie*).

Nemo sapiens, nisi patiens¹⁾.

Dostaje butelkę z pod stolika, kilimkiem nakrytego — patrzy w nią do światła — nalewa lampeczkę i podaje Papkinowi, który tymczasem mówi, co następuje.

PAPKIN (*na stronie*). O! — Brat szlachcic tchórzem podszyt —

Po zleceniu od Cześnika

Może sobie udrę łyka (*nakrywa głowę*).

(*pije*) Cienkusz! (*pije*) deresz ¹⁾ (*pije*).

REJENT (*na stronie*). Nadto śmiało.

¹⁾ Nie nabędzie mądrości, kto niema cierpliwości.

²⁾ Tutaj: mieszaniec, znaczy: wino z wodą.

PAPKIN. Istna lura, panie bracie,

Cóż, lepszego tu nie macie?

REJENT. Wybacz, waszmość, lecz nie stało.

PAPKIN. Otóż to jest szlachta nasza!

(*ze wzgardą*). Siedzi na wsi — sieje, wieje —

Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,

A dać wina — to nie staje.

(*Idzie do stolika, nalewa sobie — Rejent nieporuszony prowadzi go oczyma*).

Albo jeśli przyjdzie flasza,

Samą maścią już przestrasza.

Potem prosi: jeśli łaska —

Nie proś, nie nudź, hreczkosieju,

A lepszego daj, u djaska!

REJENT. Ależ mości dobrodzieju...

PAPKIN (*pijąc*). Mętne, kwaśne nad pojęcie —

Istna lura, mój Rejencie! —

REJENT (*na stronie*). Cierpliwości wiele trzeba;

Niech się dzieje wola nieba.

PAPKIN. Zwiedź piwnice wszystkie moje,

Gdzie z pół świata masz napoje,

Gdzie sto beczek stoi rzędem:

Jeśli znajdziesz co takiego,

Dam ci, bratku, konia z rzędem.

REJENT (*z ukłonem*). Pozwól spytać, panie drogi,

Gdyż nieznana mi przyczyna,

Co w nikczemne moje progi

Marsowego wiedzie syna?

PAPKIN (*rozpieraając się na krześle przy stoliku*).

Co? Chcesz wiedzieć?

REJENT. Proszę o to.

PAPKIN. Więc staję tu, wiedz, niecnoto,

Z strony jaśnie wielmożnego

Cześnika Raptusiewicza,

Co go ranka dzisiejszego

Twych służalców sprośna dzicza,

Godna jednak pryncypała¹⁾,

W jego zamku napaść śmiała.

¹⁾ Zwierzchnika.

REJENT. Mówże waszmość trochę ciszej,

Jego sługa dobrze słyszy.

PAPKIN. Mówię zawsze podług woli.

REJENT. Ależ bo mnie głowa boli.

PAPKIN (*jeszcze głośniej*). Ze tam komu w uszach strzyka,

Albo że tam czyj łeb chory,

Przez to nigdy w pieśń słowika

Nie odmienia głos Stentory¹⁾.

REJENT (*słodko*). Ależ bo ja mam i ludzi,

Każę oknem cię wyrzucić.

Papkin w miarę słów Rejenta wstaje, zwołna zdejmując kapelusz.

A tam dobry kawał z góry.

PAPKIN. O, nie trzeba.

REJENT. Jest tam który!

Hola!

PAPKIN. Niech się pan nie trudzi.

REJENT. Pan jak piórko stąd wyjedzie.

(*do służących*) Czekać w czterech tam za drzwiami!

PAPKIN. Ale nacóż to, sąsiedzie,

Tej parady między nami?

REJENT. Teraz słucham waszmość pana.

(*sadzając go prawie gwałtem*).

Bardzo proszę — bardzo proszę —

(*siada blisko i naprzeciwko*).

Jakaż czynność jest mu dana?

(*nie spuszcza z oka Papkina*).

PAPKIN. Jesteś trochę nadto żywy:

Nie wiedziałem, Bóg mi świadkiem,

Ze tak bardzo masz słuch tkliwy —

Przestrzeż, proszę, gdy przypadkiem

Jakie słówko głośniej powiem.

REJENT. Czy się prędko rzeczy dowiem?

PAPKIN (*bardzo cicho*). Zaraz — Cześnik bardzo prosi..

REJENT. He?

PAPKIN. Czy głośniej?

(*na znak potakujący Rejenta mówi dalej*).

Cześnik prosi..

To jest... raczej Cześnik wnosi,

¹⁾ Grecki wojownik, jeden z bohaterów wojny trojańskiej, odznaczający się donośnym głosem.

Ze, by skończyć w jednej chwili

Kontrowersję¹⁾, co... zrobili...

(*Nie mogąc uniknąć wzroku Rejenta, miesza się coraz więcej*).

Dobrze mówię... co zrobili...

Kontrowersję... jak rzecz znana...

Że tak... to jest... że... sprzy... sprzyja...

(*odwracając się, na stronie*).

A to jakiś wzrok szatana,

Cały język w trąbkę zwija.

REJENT. Ja nie jestem pojąć w stanie —

Waszmość prawisz zbyt zawiło.

PAPKIN (*wstając*). Bo to... bo te... wybacz, panie,

Wino trochę mocne było.

A nie jestem zbyt wymowny...

(*ciszej*) Czy tych czterech jeszcze stoi?

REJENT. Jednem słowem — mój szanowny

Dobry sąsiad czego żąda?

PAPKIN. Lecz się poseł trochę —

REJENT (*kończąc*). Boi.

Bądź, serdeńko, bez obawy.

PAPKIN. Więc Cześnika prośba niesie,

Abyś waszmość *circa quartam*

U trzech kopców w czarnym lesie

Staął z szablą do rozprawy.

REJENT (*ironicznie*). Stary Cześnik jeszcze żwawy!

PAPKIN (*ośmielając się*). Ba! To wszyscy wiedzą przecie,

Ze niemyłne jego ciosy —

Wszakże w całym już powiecie

Pokarbował szlachcie nosy,

Tylko jeszcze...

REJENT. Ciszej, proszę.

PAPKIN (*ogłędając się na drzwi*). Prawda, ciszej. — Cicho zatem

Jego grzeczną prośbę wnoszę

I dołączam moją własną

O odpowiedź krótką, jasną.

REJENT. Tę listownie mu udzielię.

Ale jakże to się zgadza:

Wszakci jutro ma wesele.

PAPKIN (*śmiejąc*). Tamto temu nie przeszkadza:

¹⁾ Spór o granicę.

Rano pierścień — w pół dnia szabla —

Wieczór kielich — w nocy...

REJENT (*słodko*). Cicho.

PAPKIN. Prawda, cicho.

(*na stronie*). Sprawa diabła,

Ani mrumru. — Czy mnie lichy

Tu przyniosło w takie szpony!

Przeczytaj w Stylistyce (str. 189) scenę V, aktu IV, gdzie Cześnik dyktuje Dyndalskiemu list niby od Klary do Wacława, żeby go zwabić i ożenić gwałtem na złość rejentowi.

Najlepiej przeczytać całą »Zemstę«¹⁾.

W jakiż sposób autor treść tę przedstawia? W akcji (działaniu) i dialogu (rozmowie) występujących osób. — Od siebie nie mówi nic, nie opowiada zdarzeń, rzecz dzieje się przed naszymi oczami: widzimy ludzi i wypadki, a nie słyszymy o nich, — patrzymy wprost na życie bezpośrednio.

Jacyż ludzie występują w tej sztuce?

Zwyczajni śmiertelnicy, z wadami i słabościami obok zalet. Dążą oni do celów pospolitych, niekiedy nawet niskich, a w tych dążeniach ścierają się z sobą i walczą w taki sposób, iż wzbudzają śmiech w widzach. Bo też wszyscy są śmieszni do pewnego stopnia, czasem karykaturalni: śmieszny jest gwałtowny cześnik i w umizgach do podstoliny, i w zawziętości względem rejenta, i w rozmowach z Papkinem. Śmieszny i skarykaturowany jest rejent i podstolina, i Dyndalski, a już najwięcej komizmu nadaje sztuce Papkin.

A cel tego utworu? Ukazanie nam śmiesznośtek i wad ludzkich.

Tego rodzaju utwór dramatyczny nazywamy komedią.

Komedja jest to zatem utwór dramatyczny, w którym autor ośmiesza błędy i wady swoich bohaterów, przedstawiając ich w sposób komiczny, a niekiedy karykaturalny.

Mamy w komedji śmieszność (komizm), dowcip, często ironję, niekiedy humor i sarkazm.

¹⁾ Bibl. Uniw. Lud. 20 kop.

Rozpatrzmy teraz zupełnie inny utwór dramatyczny, napisany w XVI w. przez genialnego poetę angielskiego, Szekspira, p. t. *Makbet*.

Makbet jest szlachetnym i walecznym rycerzem szkockim. Ocalił kraj i króla przed zdradą i najazdem wroga. Wdzięczny monarcha nagradza go dostojenstwem i majątkiem pokonanego zdrajcy.

Dotąd Makbet cieszy się słusznie powszechnym szacunkiem i sympatją, — ale w duszy jego tkwi iskra groźnej namiętności, która stłumi wszystkie szlachetne popędy, jeśli wybuchnie potężnym płomieniem — ta namiętność to duma, ambicja bez granic.

I oto po zwycięstwie ukazują mu się 3 czarownice i wróżą, że zostanie królem. Można je rozumieć jako uosobienie złych instynktów duszy Makbeta. Jednocześnie towarzyszowi Makbeta, Bankowi, przepowiadają one, że potomstwo jego będzie kiedyś panowało.

W duszy Makbeta szybko rośnie żądza władzy. Zwierza się żonie ze swych pragnień i nadziei, opartych na przepowiedni czarownic, a ta podsyca w nim groźną namiętność.

Lecz jakże zostać królem, gdy prawy król żyje i ma synów, dziedziców tronu? Okoliczności stwarzają pokusę: król wstępuje na noc do zamku Makbeta. Ta noc przyspieszyć może spełnienie przepowiedni, jeśli król nie wstanie jutro.

Możeby Makbet nie dokonał zbrodni: żądza panowania walczy w nim z wrodzoną szlachetnością (kolizja sprzecznych uczuć), ostrzega go sumienie, — ale chciwa wielkości i przebiegła żona rozżarza w nim tlejącą dumę, głuzy wyrzuty sumienia szyderstwem i popycha go do mordu.

Makbet zabija króla we śnie, — pijanych giermków posądzono o zbrodnię; synowie królewscy uciekają z kraju przerażeni — i na nich pada podejrzenie, — szlachetny i mężny Makbet jednogłośnie obrany królem. Tajemny cel wszystkich pragnień osiągnięty, pierwsza część przepowiedni spełniona.

Czyż miałyby się spełnić i druga, że synowie Banka zasiądą na tronie, okupionym tak drogo? Temu zapobiedz trzeba: najemny zbójca morduje Banka.

Lecz Makbet ma sumienie. Nie był dotąd zbrodniarzem, więc czuje się nieszczęśliwym, cierpi. Sumienie dręczy go widzeniami popełnionych zbrodni, sen ucieka od jego powiek.

Nic go jednak nie wstrzyma już na pochyłości. Pod wpływem mąk wewnętrznych, trwogi i podejrzeń Makbet sieje śmierć dookoła, jedna zbrodnia popycha go do drugiej, — i staje się tyranem.

Przebrała się wreszcie miara krwawych czynów: już nie podejrzenia przeciw niemu świadczą, ale jawne okrucieństwa i bezprawia. To też panowie szkoccy powstają przeciw ciemnocyfelowi, przybywa z Anglii zbiegły syn królewski, zbliża się ostatnia walka.

Złowrogie czarownice łudzą Makbeta jeszcze przepowiedniami, które napozór zapewniają mu zwycięstwo np. że pierwaj las Birnamski poruszy się z miejsca, nim zamek jego zostanie zdobyty. Ale las się poruszył, bo wojska powstańców, osłaniają swe ruchy, niosąc gałęzie drzew, w lesie złamane, Makbet ginie przez własne winy, sam sprawca swego losu

Przeczytajmy parę wyjątków z Makbeta.

AKT I, SCENA VII.

(Makbet pod wpływem szlachetniejszych uczuć cofa się przed spełnieniem zamierzonej zbrodni, — żona pobudza go jednak do czynu).

MAKBET. Jeśli to, co się ma stać, stać się musi,
Niechby przynajmniej stało się niezwłocznie.
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć wszelkie
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn mógł być
Sam w sobie wszystkim i końcem wszystkiego,
Tylko tu, na tej doczesnej mieliznie,
O przyszłe życiebym nie stał. Lecz zwykle
W podobnych razach tu już każn nas czeka.
Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszą głowę. Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust. Z podwójnych względów
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:
Jestem i krewnym jego i wasalem.
To samo zbyt już przeważnie potępia
Taki postępek; lecz jestem, co więcej,
I gospodarzem jego, który winien
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie owszem
Sam mu do piersi zbójczy nóż przykładać.
A potem, Duncan tak skromnie piastował
Swą godność, tak był nieskalanie czystym
W pełnieniu swego wielkiego urzędu,
Że cnoty jego, jak anioły nieba,
Piorunującym głosem świadczyć będą
Przeciw wyrodnym sprawcom jego śmierci,
I litość, jako nowonarodzone
Nagie niemowlę, lub cherub, siedzący
Na niewidzialnych powietrznych rumakach,
Wiać będzie w oczy każdemu okropny
Obraz tej zbrodni, by wiatr łyż osuszył.
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodziec
Podżęga we mnie tę pokusę, to jest
Wyniosłość, która przeskakując siebie,
Dąży powalić drugich. (*Wchodzi Lady Makbet*).

Cóż tam?

L. MAKBET.

Właśnie

Wstał od wieczerzy. Pocoś się oddalił?

MAKBET. Czy pytał o mnie?

L. MAKBET.

Ty mnie o to pytasz?

MAKBET. Nie postępujemy dalej na tej drodze.

Dopiero co mnie obdarzył godnością,
I sam dopiero co sobie kupiłem
Złotą u ludzi sławę, sławę, którą
Godziłoby się jak najdłużej w świeżym
Utrzymać blasku, nie zaś tak skwapliwie
Odrzucać.

L. MAKBET. Byłaż pijaną nadzieja,

Co cię niedawno jeszcze kołysała?
Zasnęłaż potem i budziż się teraz,
Żeby ospale, trwożnie patrzeć na to,
Na co tak raźnie wtedy poglądała?
Nie lepsze dajesz mi wyobrażenie
I o miłości twojej. Maszli skrupuł
Mężnie w czyn przelać to, czego pożądasz?
Chciałbyś posiadać to, co sam uznajesz
Ozdobą życia, i chcesz żyć zarazem
W własnem uznaniu jak tchórz, albo jako
Ów kot w przysłowiu gminnem, u którego
Nie śmiem przeważa chciałbym.

MAKBET.

Przestań, proszę.

Na wszystkim gotów, co jest godne męża;

Kto więcej waży, nie jest nim.

L. MAKBET.

I jakiż

Zły duch ci kazał tę myśl mi nasunąć?
Kiedyś ją powziął, wtedy byłeś mężem,
O ilebyś był więcej tem, czem byłeś,
O tyle więcej byłbyś nim. Nie była
Wtedy po temu pora ani miejsce,
Jedno i drugie stworzyć byłbyś gotów, —
Teraz się jedno i drugie nastęcza,
A ty się cofasz? Byłam karmicielką
I wiem, jak to jest słodko kochać dziecię,
Które się karmi; byłabym mu jednak
Wyrwała była pierś z ust nadstawionych,
Które się do mnie tkliwie uśmiechały,
I roztrzaskała czaszkę, gdybym była

Zobowiązała się do tego czynu,
Jak ty do tego.

MAKBET. Gdybyśmy chybili?

L. MAKBET. Chybić! Obwaruj jeno swoje męstwo,
A nie chybimy. Skoro Duncan zaśnie,
(Co naturalnie po trudach dnia prędko
Pewnie nastąpi), przyrządzonem winem
Dwóch pokojowców jego tak uraczę,
Że się ich pamięć, ten stróż mózgu, w parę,
A władz siedlisko zamieni w alembik.
Gdy snem zwierzęcym ujęci, jak trupy
Spoczywać będą, czegoż nie zdołamy
Dokazać wtedy ze śpiącym Duncanem?
Czego nie złożyć na jego pijaną
Służbę, na którą spadnie cała вина
Naszego mordu?

MAKBET. Rodź mi samych chłopców!
Bo męstwa mego nieugięty kruszec
Nic niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.
Skoro tych śpiących ludzi krwią pomażem
I użyjemy ich własnych sztyletów,
Któż nie pomyśli, że ta zbrodnia była
Ich dziełem?

L. MAKBET. Któż ma pomyśleć inaczej?
Jeżeli zwłaszcza jękiem i lamentem
Nad jego śmiercią napełnimy zamek.

MAKBET. Niech się więc stanie! Wszystkie moje siły
Nagnę do tego okropnego czynu.
Idźmy i szydźmy z świata jasnem czołem,
Fałsz serca i fałsz lic muszą iść społem.
(*Wychodzą*).

AKT II, SCENA II.

(Zbrodnia spełniona, uczucie zgrozy i trwogi budzi się w sercu Makbeta).

L. MAKBET. Co ich uspiło, to mnie ocuciło;
Co ich zniemogło, we mnie zmogło siły.
Cóżto jest? Cicho! To puszczyk zahuczał,
Złowrogi ten stróż nocny, który groźnie

Woła dobranoc. On tam jest; podwoje
Na wpół otwarte, — pijane pacholki
Szydzą chrapaniem z swego obowiązku.
Taki im napój dałam, że natura
I śmierć spór teraz wiodą o ich życie.

MAKBET (*za sceną*). Kto tu? hej!

L. MAKBET. Biada! pewnie się ocknęli,
I wszystko za nic. Zamach to, nie zbrodnia
Zgubi nas. Cicho! Pokładłam sztylety
Tuż przecie przy nich; nie mógł ich nie znaleźć
Gdyby był we śnie nietylko podobny
Do mego ojca, byłabym się była
Niechybnie sama na to odważyła.
Ha! I cóż? (*wchodzi Makbet*).

MAKBET. Stało się. Słyszałaś hałas?

L. MAKBET. Słyszałam sowy krzyk i poświęrk świerszcza.
Cóżęś to mówił, mężu?

MAKBET. Kiedy?

L. MAKBET. Teraz.

MAKBET. Kiedym tu wchodził?

L. MAKBET. Tak.

MAKBET. Cicho! Czy słyszysz?

Kto tam śpi w tamtym pokoju?

L. MAKBET. Donalbain.

MAKBET (*przypatrując się swoim rękom*).

Żalosznyż to jest widok!

L. MAKBET. Wstydź się mówić:

Żaloszny widok; niemeżny tak mówi.

MAKBET. Jeden się zaśmiał przez sen, drugi krzyknął:

Ratunku! aż się przebudzili wzajem;

Jam stał i słuchał, ale oni cicho

Zmawiali pacierz i znów się spokojnie

Do snu pokładli.

L. MAKBET. Tam ich dwóch jest.

MAKBET. Jeden

Zawołał: Boże! zmiłuj się nad nami!

A drugi: Amen! jakby mię widzieli

Z temi rękami kata, stojącego

I śledzącego ich trwogę. Jam nie mógł

Powiedzieć: Amen, wtenczas kiedy oni

Mówili: Boże, zmiłuj się nad nami!

L. MAKBET. Nie zastanawiaj się nad tem tak pilnie.

MAKBET. Dlaczegoż tego nie mogłem powiedzieć?

Potrzebowałem bardzo zmiłowania,

A jednak Amen, zamarło mi w ustach.

L. MAKBET. Nie trzeba sobie takich rzeczy w takim

Świetle wystawiać; inaczejby przyszło

Oszaleć.

MAKBET. Zdało mi się, że słyszałem

Głos wołający: Nie zaśniesz już więcej!

Makbet zabija sen, niewinny sen,

Który zwikłane węzły trosk rozplata,

Grzebie codzienne nędze; sen, tę kąpiel

Znużonej pracy, cierpiących serc balsam,

Odżywiciela natury, głównego

Posiłkodawcę na uczcie żywota.

L. MAKBET. Co wygadujesz!

MAKBET. Ciagle mi brzmiał w uszach

Ten głos: Nie zaśniesz, nie zaśniesz już więcej.

Glamis sen zabił, dlatego też Kawdor

Nie zaśnie; Makbet nigdy już nie zaśnie.

L. MAKBET. Któżto tak wołał? O, szlachetny tanie,

Rozmiękczasz w sobie tęgość ducha, marząc

Tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody

I obmyj rękę z tych plugawych znamion.

Pocoś tu z sobą przyniósł te sztylety?

Tam jest ich miejsce. Idź, odnieś je, pomóż

Krwia tamtych ludzi.

MAKBET. Już tam moja noga

Nie wnijdzie. Wzdrygam się, kiedy pomyślę

O tem, com zrobił; widok tego byłby

Nad moje siły.

L. MAKBET. Kaleko na duchu!

Daj te sztylety. Śpiący i umarli

Są obrazkami tylko; nikt, prócz dzieci,

Malowanego nie lęka się diabła.

Sama ubarwię krwią ręce i szaty

Tych dwóch pacholków, bo oni się muszą

Wydać sprawcami zbrodni. *(wychodzi).*

(Słychać zewnątrz kołatanie).

MAKBET. Skąd ten odgłos?

Cóż się to ze mną stało, kiedy lada

Szmer, lada szelest przejmuję mię dreszczem?
Co to za ręce? Ha! wzrok mi pożera
Ich widok. Mógłżeby cały ocean
Te krwawe ślady splukać z mojej ręki?
Nie, nigdy! raczejby ta moja ręka
Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić
I ich zieloność w purpurę zamienić, (*Ledy Makbet wraca*).

L. MAKBET. Mam teraz ręce podobne do twoich,
Ale się wstydzę, że jeszcze masz przytem
Tak białe serce. (*Kołatanie*). Słychać kołatanie
U południowej bramy: przejdźmy żywo
Do naszych komnat. Kilka kropel wody
Oczyści nas wnet z plamy tego czynu.
Jakże on wtedy będzie lekkim! Męstwo
Całkiem cię widzę opuściło. (*Kołatanie*). Słyszysz?
Znów kołatają. Przywdziej nocny ubiór,
Ażeby, skoro wyjść potrzeba będzie,
Nie pokazało się, żeśmy czuwali.
Przestańże gubić się tak nędznie w myślach.

MAKBET. Obok uczucia takiej okropności,
Lepiej byłoby utracić poczucie
Samego siebie. (*Kołatanie*). Zbudź tem kołataniem
Dunkana! Obyś mógł tego dokazać! (*Wychodzą*).

W ostatnim akcie widzimy jednakże i dumną ledy Makbet złamaną.

AKT V, SCENA I.

(*Ledy Makbet, pod wpływem wyrzutów sumienia, we śnie powtarza scenę morderstwa i usuwa ślady zbrodni*).

LEKARZ i jedna z DAM pałacowych.

(*Ledy Makbet wchodzi ze świecą w ręku*).

DAMA. Patrz pan, oto idzie! Tym samym trybem jak zawsze i najzupełniej uspiona. Uważaj tylko, stój cicho.

LEKARZ. Skąd ona wzięła tę świecę?

DAMA. Stała przy jej łóżku. Ciągłe musi mieć światło przy sobie.

LEKARZ. Widzisz pani, oczy ma otwarte.

DAMA. Tak, ale ma zawartą ich władzę.

LEKARZ. Cóżto ona robi? Patrz pani, jak sobie ręce obciera.

DAMA. To jej ruch zwyczajny; zdaje się jej, że tym sposobem umywa sobie ręce; widziałam ją to robiącą, bywało, przez cały kwadrans

L. MAKBET. Jeszcze jedna plama.

LEKARZ. Cicho, zaczyna mówić; muszę sobie zapisać wszystko, co usłyszę, abym mógł lepiej spamiętać.

L. MAKBET. Precz, przeklęta plamo! precz, mówię! Raz, dwa — czas działać. — Piekło ciemne. — Wstydź się, mężu, wstydź się! żołnierzem jesteś, a tchórzysz? Cóż stąd, chociażby się wydało? Nikt nas przecie nie pociągnie do tłumaczenia. — Jednakże, ktoby się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!

LEKARZ. Słyszysz, pani?

L. MAKBET. Ten Fajf miał żonę; gdzież ona jest? Cóżto? Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą? Dość tego, mężu, dość tego! Wszystko popsujesz tym obłąkanym wzrokiem.

LEKARZ. Nieszczęsna! Wiadome jej są rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

DAMA. Powiedziała, czego nie powinna była mówić; to rzecz pewna. Bóg raczy wiedzieć, co jej jest wiadomem.

L. MAKBET. Ciągłe ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabji nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki. Oh! oh! oh!

LEKARZ. Co to było za westchnienie! Ciężkież musi mieć brzemię na sercu.

DAMA. Nie chciałabym mieć jej serca w mojem łonie za wszystkie zaszczyty tego świata.

LEKARZ. W rzeczy samej.

DAMA. Nie daj mi, Panie, tego dożyć!

LEKARZ. Choroba tego rodzaju leży poza obrębem mojej umiejętności. Znałem jednakże ludzi, co śpiąc, chodzili, a mimo tego skonali bogobojnie na łożu.

L. MAKBET. Umyj ręce, weź szlafrok; nie wyglądaj tak blado. Powtarzam ci, Banko pogrzebany, nie powstanie więcej.

LEKARZ. Czy tak?

L. MAKBET. Do łóżka! do łóżka! kołatają do bramy. Pójdź! pójdź! daj rękę. Co się stało, odstać się nie może. Do łóżka! do łóżka! do łóżka!

(*Wychodzi*).

Tak się rzecz dzieje na scenie, — cóż więc jest treścią Makbeta? — Walka człowieka niezwykłej siły charakteru o cel, namiętnie pożądaný; walka z sobą, z pokusami i przeciwnościami, potężniejszymi od wszelkich wysiłków jego woli, — walka, w której człowiek ginie pokonany.

Czy Makbet budzi współczucie? — Tak, — mógł być

szcześliwym, szanowanym, czystym, użytecznym krajowi, — tymczasem ulegając złym instynktom własnego ducha, utracił wszystko, na co poprzednio zasłużył, czego najmocniej pragnął, a zdobyć chciał gwałtem i zbrodnią.

Sam to mówi przed zgonem:

Dość już żyłem, wiosna
Życia mojego prędko przeszła, prędko
Żółtym, zwarzonym pokryła się liściem,
A to, co miało być działem starości:
Cześć, posłuszeństwo, miłość, grono wiernych
Sług i przyjaciół, wszystko to nie dla mnie!

Taki utwór dramatyczny nazywamy tragedją.

Tragedja więc maluje walkę niepospolitego siłą ducha bohatera o cel namiętnie upragniony, z potężnymi przeciwnościami, które go wreszcie łamią.

Przeczytaj »Balladyne« Słowackiego. Czy to jest tragedia? Czy bohaterka jest postacią silną i niezwykłą? Z jakimi walczy przeciwnościami? Czy one ją pokonywają? Czy budzi w nas współczucie?

Co to jest więc tragedia i komedia?

Niekażdy jednak utwór dramatyczny jest komedją albo tragedją. — Przeczytajmy np. »Panią Kasztelanową« albo »Mnicha« Korzeniowskiego. (B. Un. Lud.)

Pani Kasztelanowa, ociemniała arystokratka, wychowana w przesadach o wyższości swego rodu, dumna i nieugięta, nie chce pogodzić się z myślą, że syn jej bez jej wiedzy zaślubił ubogą szlachciankę, i stara się o zerwanie tego związku.

W obronie młodej pary staje brat Kasztelanowej, stary wojskowy, lepiej znający ludzi i oceniający ich wartość. By zwalczyć przesady siostry, wprowadza do jej domu jako opiekunkę jej własną synową. Teresa pełni trudne obowiązki z poświęceniem i prawdziwie dziecięcą miłością, zdobywa też na koniec serce matki.

Wtedy rzecz się wyjaśnia, kasztelanowa godzi się na wybór syna, i na gruzach zburzonego uprzedzenia zakwita szczęście wzajemnej miłości.

Jak widzimy, treść utworu jest poważna, więc nie moglibyśmy nazwać go komedją, — autor maluje błędy i ułomności ludzkie, ale one nie pobudzają nas do śmiechu, i au-

tor nie ma bynajmniej zamiaru zabawienia czytelnika kosztem swoich bohaterów. — I tragedją nie możemy tego nazwać, gdyż żadna z osób nie ma bohaterskiego charakteru, nie stacza bohaterskiej walki z potężnymi przeciwnościami. — Ludzie występują w tej sztuce zwyczajni, jakich codziennie spotykamy w życiu: rozumni i zaślepieni, szlachetni i ulegający słabostkom, jak zwykle. Nie różnią się od ogółu ani siłą uczuć, ani postępowaniem, — w dążeniu do swych celów spotykają wprawdzie przeszkody, lecz je pokonywają, i wkońcu wszyscy są zadowoleni.

Tego rodzaju utwór nazywamy **dramatem** właściwym.

Zastanówmy się jeszcze, dlaczego dramatem nazywamy »Mnicha« Korzeniowskiego. (B. Un. Lud.).

Do klasztoru w Osjaku schronił się Bolesław Śmiały po zabójstwie biskupa. Cierpi wyrzuty sumienia, nie śmie wstąpić w progi kościoła, stroni od ludzi i ukrywa swe imię i winę.

Do klasztoru przybywa wysłannik biskupa z wieścią o kłatwie na króla polskiego, któremu nikt nie ma prawa dać schronienia.

Jednocześnie poznaje króla przybyły z Polski Szreniawita, Bolesław opuścić musi ostatni przytułek, odtrącony przez Boga i ludzi.

Lecz miara jego cierpień dopełniona: zjawia się święty Stanisław, wobec wszystkich wprowadza Bolesława do świątyni, i król umiera u stóp ołtarza.

Więc utwór kończy się śmiercią bohatera, — lecz nie ginie on pokonany w walce z przeciwnościami, przeciwnie, śmierć jego jest tryumfem, świadectwem odpuszczenia winy, najwyższem szczęściem, jakie go na ziemi po dokonanej zbrodni spotkać mogło.

Wskaż różnice pomiędzy tragedją i dramatem właściwym.

Wskaż pierwiastek epiczny i liryczny w »Zemście«, »Makbecie«, »Pani Kasztelanowej«, »Mnichu«.

Dlaczego nie zaliczamy tych utworów do poezji epicznej ani lirycznej? Co je wyodrębnia?

W jaki sposób w tych utworach przedstawione są zdarzenia? Czy autor opowiada je od siebie?

Czem się różnią te utwory pod względem akcji od poematów, noweli, powieści?

Wskaż w każdym z tych utworów, na czym polega zawikłanie (kolizja)?

Wskaż kolizję w charakterze Makbeta.

Akcja i kolizja — główne warunki dramatyczności.

Co jest głównem zdarzeniem (osią dramatu) w Makbecie, Zemście?

Wskaż w tych utworach 3 główne momenty: ekspozycję (przygotowanie), kolizję (zawikłanie), i katastrofę (rozwiązanie).

VIII. Nauka o wierszu.

(Wersyfikacja).

Mówiliśmy, że dźwięczność jest przymiotem stylu miłym dla ucha. Dźwięczną może być i mowa wiązana czyli wiersz i mowa niewiązana. Ale wiersz bywa daleko dźwięczniejszy od mowy niewiązanej, tak, że zbliża się do śpiewu.

Rozpatrzenie budowy wiersza wyjaśni nam przyczynę jego muzykalności.

Akcent. Przypomnieć musimy, że w języku polskim nie wymawiamy wszystkich zgłosek wyrazu z jednakową siłą, lecz na jedną kładziemy zwykle większy nacisk, niż na inne. Ten przycisk zowie się **akcentem**.

W wyrazach kilkosylabowych akcent pada stale na przedostatnią zgłoskę od końca np.

Tra | fi | ła — ko | sa — na ka | mień,
Wi | słę prze | pły | nał, — na Du | naj | cu — zgi | nał.

Wyjątek stanowią:

1) Przyrostki: **by, li, że, no** i końcówki fleksyjne: **śmy, ście, byśmy, byście**, których się nie bierze pod uwagę, to znaczy, że akcent pozostaje na tej samej sylabie, na przykład: **po**daj, **po**dajno, **po**dajże, **mówi**li, **mówi**liby, **mówi**liśmy, **mówi**libyśmy.

2) Wyrazy cudzoziemskie, które przeszły do języka polskiego z tą samą końcówką, jaką miały w języku obcym, zachowują dawny akcent, np. **fizy**ka, **muzy**ka, **alge**bra, **polity**ka i t. p.

3) Wyrazy jednosylabowe, użyte bez przyimka, mają akcent, gdy na nie kładziemy nacisk myślowy, np. Tak, to **ja**. Gdy stoją z przyimkiem, akcent przechodzi na przyimek, np. Na **koń**! zagrzmiała komenda.

4) Wyrazy złożone z dwóch części parozgłoskowych posiadają akcent podwójny: pierwszy słabszy, drugi mocniejszy, np. **pląsk**owz**gór**ze, **równ**ow**aga**.

I. Rytm. Przypatrzymy się akcentom w tym wierszu:

Świeć się, świeć się, wie | ku mło | dy,
Śnie na kwia | tach, śnie mój zło | ty!

Widzimy, że tu wyrazy tak są zestawione, iż akcent pada stale w pewnych odstępach (na pierwszą, trzecią, piątą i siódmą zgłoskę).

Jeśli sylabę nieakcentowaną przedstawimy tak $\cup$, a akcentowaną tak $\acute{\cup}$, to ten wiersz się przedstawia:

$\acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup$
 $\acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup | \acute{\cup} \cup$

Taki akcent stały, powtarzający się jednostajnie, miarowo, tworzy jakby takt muzyczny w wierszu i nazywa się **rytm**.

Rytm — to najważniejsza cecha wiersza.

II. Rym. Przypatrzmy się końcówkom tego wiersza.

Płyną wody za wodami,
 I z gałązek liść oblata;
 Sierotka za górami
 Przewędrował kawał świata.

Widzimy, że końcowe zgłoski pierwszego wiersza brzmią podobnie jak trzeciego, drugiego zaś — jak czwartego.

Ta zgodność końcowych sylab zowie się **rymem**.

Niewszystkie wiersze posiadają rymy, np.

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie myślicie,
 Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach
 Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
 Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
 Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną:
 Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

A. Mickiewicz.

Wiersz, w którym niema rymu, nazywa się **biały**.

Rym więc jest drugą cechą wiersza, ale niestałą.

III. Ilość zgłosek. Przeczytaj ten czterowiersz: »Płyną wody za wodami« i policz ilość sylab w każdym wierszu. Toż samo w następującym.

W wieńcu z gwiazd,
 W płaszczu z chmur
 Cicha noc
 Schodzi z gór.

Otóż i w ilości zgłosek da się zauważyć w wierszu pewien porządek, powtarzanie się jednostajne, choć bywa i rozmaitość w tej jednostajności, np.

A żebyś ty, jasne słonko,
 Wiedziało,

Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy, w płaszczu tkanym
Z purpury.

M. Konopnicka.

Albo:

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam bledną,
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy;
Lecz spuść rzeźwiącą krynice
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynice
Co prędzej!

J. Kasłowicz.

Najkrótsze wiersze są 3 sylabowe, najdłuższe dochodzą do 20 zgłoszek np. w Chórach aniołów (z III części Dziadów), — ale te należą do rzadkości. Przeważnie wiersz ma od 8 do 13 sylab.

Z III CZĘŚCI DZIADÓW.

Archanioł pierwszy.

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

Archanioł drugi.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim Twoi anieli.

Archanioł pierwszy.

Tych zdepc, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte
[sądy pogardzą.

Archanioł drugi.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

Anioł.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,

Hymn narodzenia śpiewali anieli:
Mędrcy nas nie widzieli,
Królowie nie słyszeli,

Pastuszkowie spostrzegli

I do Betlejem biegli:

Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali —
Biedni, prości i mali.

Archanioł pierwszy.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu aniołów, sług
[swych, obaczył,
Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył.
Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozумы.

Chór aniołów.

Pan małuczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.

Litość! litość! nad synem ziemi,
On był między wielkimi.
Litość nad synem ziemi!

Archanioł drugi.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

Archanioł pierwszy.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczył, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

Archanioł drugi.

Lecz on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki,
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu.

A. Mickiewicz.

Oblicz ilość zgłosek w Marji Malczewskiego str. 267.

Tak więc są trzy cechy wiersza: rytm, rym i jednostajna ilość zgłosek.

IV. Średniówka. Czytajmy głośno:

Kochasz ty dom, | rodzinny dom,
Co w letnią noc | wśród srebrnej mgły
Szumem swych lip | wtórzy twym snom,
A ciszą swą | koi twe łyzy.

Widzimy, iż mimowoli zatrzymujemy głos w środku każdego wiersza, robiąc krótką przerwę. Ten przystanek głosu nazywamy średniówką. Średniówka przypada mniej więcej w środku wiersza. Znajdujemy ją w wierszach dłuższych np.

O, widać i słyhać! — | w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie,
I moje kwiateczki | z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą zielono i ładnie!

O, miłsze krosienka
I milej z okienka
Zadzwoń piosenka,
La, la, la, piosenka!

B. Zaleski.

Wskaż średniówkę w urywku z Marji Malczewskiego, i tu:

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiwa ich sławą.

K. Ujejski.

Różne rodzaje rytmu: stopy.

Wiersz składa się zwykle z jednostajnych części, dwu lub trzysylabowych, zwanych **stopami**. W każdej stopie jedna zgłoska musi być akcentowana, inne nie mają akcentu, np.

Płyną wody za wodami = ' — | ' — | ' — | ' — w tym wierszu są 4 stopy dwusylabowe i w każdej akcent przypada na pierwszą zgłoskę.

Ważniejsze rodzaje stóp.

Trochej (' —) jest to stopa dwuzgłoskowa z akcentem na pierwszej zgłosce np. droga, — burza,

Świeć się, świeć się, wieku młody,

Płyną wody za wo—dami.

Z ponad | lasu | z ponad | chmury

Na do- | linę | sioła

Kruk się | spuścił | czarno- | pióry

Na żer | dziatwę | woła.

— — | — — | — — | — —
— — | — — | — —

W pierwszym wierszu mamy 4 stopy dwuzgłoskowe, z akcentem na pierwszej zgłosce, — w drugim 3 stopy dwuzgłoskowe z takim samym akcentem.

Oznacz sam stopy w wierszach.

Zasnął hetman siwobrody,

Zasnął, jakby między swemi;

Nie śpi, czuwa giermek młody,

Długo o swej duma ziemi.

M. Morawski.

Słońce idzie, jakby spało,

Dym polykam i kurzawę,

Przebieżałem mil dwie mało •

Wzdłuż i wpoprzek przez Warszawę.

B. Zaleski.

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,

Jako umie, w tęsknej dumie krok za krokiem tuż.

Tu jest dodana zgłoska przyciskowa na końcu każdego wiersza: wzdłuż, — tuż.

Jamb (— —). Stopa dwuzgłoskowa z akcentem na drugiej sylabie np. To ja!

Słowicz | ku mój! | a leć, | a piej!

Na po | żegna | nie piej

Wyla | nym łzom, | spełnio | nym snom,

Skończo | nej piosn | ce twej!

— — | — — | — — | — —
— — | — — | — —

Pierwszy wiersz ma tu 4 stopy dwuzgłoskowe z akcentem na drugiej zgłosce; w drugim są 3 takież stopy z takim samym akcentem.

Oznacz stopy i akcent.

Nie wam, nie wam
Dolecieć tam...
Nad piętra chmur,
Gdzie pieje chór...

Wł. Syrokomla.

Tys Bóg, tys Pan,
Ty święty, święty, święty!

Amfibrach (— ' —) — stopa trzyczgłoskowa, akcent na środkowej, np. Kalina.

Kto żubra wywiedzie	— ' — — ' —
Z ostępu za rogi?	— ' — — ' —
Kto kudły niedźwiedzie	— ' — — ' —
Podesłał pod nogi?	— ' — — ' —

Mamy tu po dwie stopy trzysylabowe, z akcentem na środkowej zgłosce.

Oznacz stopy i poakcentuj:

Och! jasno, zielono, a wieczór tak cichy.
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perłą się rosy świecące;
Tam wiejsce pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chróściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze zmęczona rzeczulka,
I wstają mgły białe nad senną wiosczyną,
I ozwał się dzwonek z kościołka:

K. Ujejski.

Oprócz tych 3 rodzajów stóp, są jeszcze inne, mniej często się zdarzające, a najwięcej mieszanych i skombinowanych w rozmaity sposób.

Różne rodzaje rymu.

- 1) Pomimo gorzkich prób
Zawsze ach! dobrym bądź!

Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób!

A. Asnyk.

2) Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.

T. Lenartowicz.

Wiersz Asnyka ma na końcu wyraz jednozgłoskowy akcentowany, i rymują się w nim tylko ostatnie sylaby. Taki rym nazywa się **męski**.

W wierszu Lenartowicza są na końcu wyrazy parosylabowe z akcentem na przedostatniej zgłosce, rymuje się w nich ostatnia sylaba i część przedostatniej z samogłoską. To rym **żeński**.

Określ rymy w tych urywkach:

Dziecino, nie płacz, nie,
Rozjaśnij twoją twarz:
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle!

A. Asnyk.

Hej! mruga na mnie, mruga
Szumiąca, chłodna struga...
Hej! szepce coś do ucha,
Aż serce samo słucha.

M. K.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...

M. Konopnicka.

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,
W posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

K. Tetmajer.

Kochasz ty dom, rodzinny dom. (str. 118).

Prócz tego wiersze mogą rymować się z sobą rozmaicie: I z III, II z IV; I z IV, II z III i t. d. Wskaż tę różnorodność w wierszach, znajdujących się w tej książce.

Zwrotki czyli strofy.

Na jakie strofki dzieli się: Powrót wiosny (str. 23), Smutno mi, Boże (str. 19).

Zwrotka czyli strofka jest to połączenie kilku wierszy w rytmiczną całość.

Z ilu wierszy składa się zwrotka Ciszy wieczornej (str. 100), W lecie (str. 281), Bojowisko (str. 261).

Najpospolitsze strofki są czterowierszowe. Mogą być jednak bardzo rozmaite, zarówno pod względem ilości wierszy, jak rymu.

Wybierz w tej książce zwrotki 2, 3, 4, 5 wierszowe.

Określ ilość wierszy i rym w wyjątku z Beniowskiego (str. 21).

Strofa 8 wierszowa, w której rymują się wiersze: 1, 3, 5, — 2, 4, 6, — 7, 8 nazywa się oktawą.

Odrębny rodzaj całości stanowi sonet.

Rozpatrz sonet XIII Asnyka, (str. 303), Burzę Mickiewicza, (str. 279)

Sonet ma 14 wierszy, rozdzielonych na 4 strofki: dwie pierwsze po 4 wiersze i 2 następne po 3 wiersze.

Dostrzeżona omyłka: str. 235 zamiast Burgos — pow. być Burgas.

SPIS RZECZY.

I. Co to jest styl i od czego zależy.

1. Różnice stylu, zależne od tego, kto mówi.	
Hrabia i Zosia—Mickiewicz . . .	1
W chacie — Reymont	4
Na bezludnej wyspie — Sieroszewski	6
Przed wiekami—Sienkiewicz . . .	8
Styl to człowiek	10
2. Różnice stylu, zależne od tego, o czym się mówi.	
Z grzechów dzieciństwa—Prus . . .	10
Ważność sztuki czytania—Prus . .	12
Spowiedź Anielki—Prus	13
3. Różnice stylu, zależne od tego, do kogo lub dla kogo mówimy lub piszemy.	
List do syna	15
List do dziecka	15
List do doktora	15
Na jagody—Konopnicka	16
Przed sądem—Konopnicka	16
4. Różnice stylu, zależne od usposobienia autora (nastroju).	
Hymn o zachodzie słońca—Słowacki	19
Ze Złotej czaszki—Słowacki	20

Str.

Z Beniowskiego—Słowacki	21
5. Różnice stylu, zależne od epoki.	
Bogu Rodzica	22
Prawe szlachectwo—Rey	22
Powrót wiosny—Kochanowski . . .	23
Tren VI—Kochanowski	23
Wyjątek z kazania Skargi	24
Elekcja Wiśniowieckiego—Pasek . .	25
Z Psalmody—Kochowski	25
Pieśń Licydyny—Zimorowicz	27
Głos umarłych—Naruszewicz	27
Dziekan z Badajoz—Krasicki	28
Ocean i Tagus rzeka—Krasicki . . .	32
Pieśń poranna—Karpiński	32
Matka i dziecię—Brodziński	32
Muzyka Jankiela—Mickiewicz	33
Pogrzeb Wisza—Kraszewski	36
Z Anhellego—Słowacki	40
Z Nieboskiej komedji—Kraśiński . . .	41
Streszczenie	42

Str.

II. Gramatyczno-logiczne przymioty stylu.

1. Jasność.

Poranek—Mickiewicz	43
Śmierć ks. Józefa—Skalkowski . . .	44
Wpływ warunków miejscowych na temperaturę — Nalkowski . . .	46
A. Budowa zdania, okresy	47

	Str.		Str.
B. Omówienia	52	Pieśń Wajdeloty—Mickiewicz	114
C. Synonimy	53	2. Urozmaicenie i ożywienie	
Homonymy	56	stylu	
D. Archaizmy	57	B. Zwroty krasomówcze.	
E. Neologizmy	57	a. Powtórzenie	117
2. Zwięzłość.		Szkoda—Asnyk	117
Po pierwszym rozbiórce—Smo-		Z Głosy św. Teresy—Kraśniński	118
leński	58	Pieśń o domu—Konopnicka	118
Objaśnienia	59	b. Pytanie	119
Ks. Jeremi—Sienkiewicz	61	c. Wykrzyknienie	120
Z improwizacji—Mickiewicz	62	d. Apostrofa	122
Myśli	62	e. Poprawienie	123
3. Poprawność.		f. Zamilknięcie, niedomówienie	124
4. Czystość.		g. Stopniowanie i nagromadze-	
Czy nigdy nie należy używać		nie	125
zwrotów obcych	72	h. Antyteza, przeciwstawienie	127
Skąd się wzięły w naszym je-		3. Dźwięczność.	
zyku wyrazy obce	73	Onomatopea	131
Gazda halny—K. Tetmajer	74	Deszcz jesienny—L. Staff	132
Gwara	78	Streszczenie	134
Taniec mazowiecki—Reymont	78		
Prowincjonalizmy	81	IV. Przymioty stylu indywidualne.	
Zargon	82	Choroba Cioci Polci	135
Pod Zamościem—Sienkiewicz	83	W gorączce—Żeromski	136
Przy kominku—Żmichowska	85	Z improwizacji—Mickiewicz	138
Ziemie polskie—Konopnicka	87	Z Kordjana—Słowacki	140
Streszczenie	90	Z Psalmu wiary—Kraśniński	141
		Wśród wody—Dygański	142
III. Estetyczne przymioty stylu.		Ziemia—Orzeszkowa	144
1. Obrazowość.		Drzewa w Grudniu—Żeromski	147
Cisza morska—Mickiewicz	91	1. Naturalność.	
A. Przenośnie.		Z Pana Tadeusza—Mick.	148
a. Porównanie	92	Z sierocęj doliny—Prus	150
b. Przenośnia—metafora	94	2. Żywość.	
c. Epitet	96	Na wieś—Sewer	152
d. Uosobienie	99	Z Pana Tadeusza—Mick.	154
Cisza wieczorna—Kasprowicz	100	Z Bartka Zwykczycy—Sienkie-	
Farys—Mickiewicz	100	wicz	155
e. Przesadna, hyperbola	105	3. Wdzięk.	
Dzwony św. Piotra—Tetmajer	106	Z pana Tadeusza—Mick.	157
f. Alegorja	106	Hania—Sienkiewicz	159
Owieczka i pasterz—Kraśnicki	107	Preludjum Chopina—Ujejski	160
Talar i czerwony złoty—Kra-		Jagoda—Lenartowicz	160
sicki	107	4. Siła.	
Z ksiąg pielgrzymstwa—Mickie-		Przekleci—Ujejski	163
wicz	107	Z Irydjonu—Kraśniński	164
Zaśnięci—Orkan	109	Z VII kazania Skargi	166
Świt—Żeromski	110	Święty Boże—Przybyszewski	167
g. Zamiennia, metonimja	111		

	Str.
5. Wzniosłość.	
Młodości moja—Ujejski	169
Psalm VIII—Kochanowski	169
Z Psalmu dobrej woli—Kraśniński	170
Jedność narodu	171
6. Tragiczność.	
Śmierć Konrada Wallenroda—Mickiewicz	172
Z Lilli Wenedy—Słowacki	177
Legjonista—Żeromski	180
7. Śmieszność.	
Jeździec—Prus	183
List z drogi—Reymont	187
Objaśnienia—Prus	188
Z zemsty za mur graniczny—Fredro	189
8. Dowcip.	
Doktor i zdrowie—Krasicki	192
Dyplomata—Żółkowski	192
Z życia malarzy—Sienkiewicz	194
Z grzechów dzieciństwa—Prus	195
W obozie—Sienkiewicz	196
9. Ironja.	
Wstęp do bajek—Krasicki	202
Ptaka ranny—Lemański	202
Satyra do króla—Krasicki	202
10. Humor.	
Stary sługa—Sienkiewicz	206
Bieda—Konopnicka	207
Goście—Prus	210
Uczuciowość.	
Zórawie—Tetmajer	215
Czemu mi smutno—Żmichowska	216
Śmierć Boryny—Reymont	218
Temu tylko pług, a socha—Konopnicka	223
11. Fantastyczność.	
Przebudzenie się Goplany—Słowacki	224
Z II części Dziadów—Mickiewicz	227
Widziadło—Tetmajer	231
12. Plastyczność i malowniczość.	
Taniec zbójnicki—Witkiewicz	232
Na zielonej drodze—Tetmajer	233

V. Rodzaje stylu.

Styl urywkowy i okresy	234
----------------------------------	-----

	Str.
Rzeźbione drzwi średniowieczne—Kremer	236
Baśń tęczowa—Asnyk	236
Dwie łaki, legenda—Sienkiewicz	238
Młodzieniec zaklęty—Mick.	242
Baśń o Sobotniej górze—Zmorzowski	244
Z chałupy—Kasprowicz	251
Lirnik wioskowy—Lenartowicz	252
Papierucha—Świętochowski	254
A żebyś ty, jasne słonko—Konopnicka	259
Dzień świąteczny—Orzeszkowa	259
Bojowisko—Ostrowska	261
Kradzione—Kondratowicz	262
Święcone u Radziwiłła—Słowacki	264
Z Marii Malczewskiego	267
Obóz pod Sokalem—Kubala	268
Duma o Koreckim—Faleński	272
Przeprawa—Żeromski	274
Sonety krymskie I i IV—Mick.	278
Garść ziemi ojczystej—Orzeszkowa	279
W lecie—Tetmajer	281
Mgła w górach—Goszczyński	281
Czardasz—Tetmajer	283
Z San Francisco do Los Angeles—Sienkiewicz	284
Pustynia księżycowa—Żuławski	287
Dumanie poety—Kondratowicz	287

VI. O kompozycji pisarskiej 288

VII. Proza i poezja.

Mgła—Witkowski	296
Melodia mgieł nocnych—Tetmajer	297

Rozróżnianie poezji i prozy.

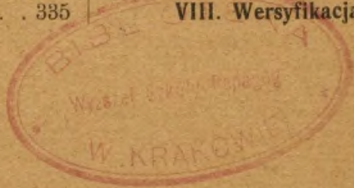
Z wizerunku—Rey	298
Przed kontyną—Żeromski	299
Zmiany fonetyczne—Kryński	302
Piękna polszczyzna—Rodoć	302
Sonet XIII—Asnyka	303

Rodzaje prozy i poezji.

Na Wezuwiuszu—Tetmajer	304
Wyprawa na Czambuły—Korzon	305

	Str.		Str.
Rozbiór Trenów Kochan.	308	Obrazek, powiastka, anegdota	336
Mowa Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika Słow.	311	Gawęda, sielanka	338
Opis.		Nowela, poemat	339
Karpaty	313	Powieść, epopeja	341
Rodzaje prozy opowiad.		Poezja dydaktyczno-epiczna.	
Z kroniki Gallusa	316	Bajka, przypowieść, satyra	343
Z moich wspomnień — Dembow.	318	Poezja liryczna.	
Z pamiętnika Słowackiego	322	Liryka opisowa	345
Autobiografia. Życiorys.		Pieśń, dumka	345
Podróże.		Elegja	348
Rodzaje prozy rozumującej.		Oda	349
Nieśmiertelny — Orzeszkowa	326	O dobrodziejstwach Boga	351
Pyszałek — Reya	327	Liryka refleksyjna.	
Teofil Dzieciak	328	Pieśń o dobrej sławie	352
Proza oratorska.		Poezja dydaktyczna	
Rodzaje poezji.		Poezja dramatyczna	
Rodzaje poezji epicznej.		Komedja — rozbiór »Zemsty«	357
Baśń, legenda, podanie	332	Tragedja — rozbiór Makbeta	363
Ballada, śpiew histor.	335	Dramat	371

VIII. Wersyfikacja.



Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia

Ammonia





UP - Kraków BG



1050295222

Wydawnictwa Geb

- Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J.** *Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania dla szkół elementarnych. Zatwierdzone przez Warsz. Okrąg Naukowy dla użytku szkolnego. Stopień I. Wyd. 4-te* 15
- — — *Stopień II. Wyd. 4-te* 20
- — — *Stopień III. Wyd. 2-gie* 25
- *Ćwiczenia stylistyczne z wzorach i tematach, ułożone systematycznie. Stopień I, dla młodszych. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione. Karton.* 70
- — — *Stopień II.* 70
- *Podręcznik do ćwiczeń ortograficznych i systematycznego dyktanda według pisowni Akademii Umiejętności w Krakowie, z dodaniem Uchwał Zjazdu Rejowskiego. Wyd. 9-te. Karton.* 80
- *Podręcznik do wypracowań dla szkół elementarnych* 20
- *Druga książka do czytania, dla dzieci od lat 8—10. Klasa wstępna. Wyd. 4-te, przejrzane i poprawione, z 54 cylinami. Zatwierdzona przez Warsz. Okrąg Naukowy dla użytku szkolnego. Karton.* 60
- *Wypisy polskie na klasę I. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione. Karton.* 60
- *Wypisy polskie na klasę II. Wyd. 2-gie. Karton* 60
- *Wypisy polskie na klasę III. Karton.* 60
- Bogucka C. i Niewiadomska C.** *Nasi pisarze, ich życie i dzieła. Krótki zarys dziejów piśmiennictwa polskiego. Karton* 1
- Niewiadomska Cecylia. A. B. C. Uczy się czytać i pisać. Nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Wyd. 2-gie. Karton. 30**
- *A. B. C. poglądowe. Nauka czytania i pisania, ułożona według najnowszych zasad wychowawczych, z 345 rysunkami J. Holewińskiego. Z dodaniem powiastek i wierszyków najcelniejszych autorów. Wyd. 2-gie na pięknym papierze w dużym formacie. Karton* 20
- *Elementarz, nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Karton.* 20
- *Pierwszy rok gramatyki. Klasa wstępna. Wyd. 4-te zastosowane do programu, ułożonego przez komisję P. Z. N. i S. N. P.* 15
- *Drugi rok gramatyki. Klasa I. Wyd. 2-gie przystosowane do programu, ułożonego przez komisję P. Z. N. i S. N. P.* 20
- *Trzeci rok gramatyki. Klasa II. Wyd. 2-gie* 25
- *Czwarty rok gramatyki (Składnia)* 15